



SAMEEM
ALI

W DOMOWEJ
NIEWOLI

Świat Książki

Spis treści

Karta tytułowa Karta redakcyjna Wstęp Rozdział 1 Rozdział 2 Rozdział 3
Rozdział 4 Rozdział 5 Rozdział 6 Rozdział 7 Rozdział 8 Rozdział 9 Rozdział 10
Rozdział 11 Rozdział 12 Rozdział 13 Rozdział 14 Rozdział 15 Rozdział 16
Rozdział 17 Rozdział 18 Rozdział 19 Rozdział 20 Rozdział 21 Podziękowania

SAMEEM ALI

W DOMOWEJ NIEWOLI

Z angielskiego przełożyła
Katarzyna Roslan

Tytuł oryginału
BELONGING

Wydawca
Magdalena Hildebrand

Redaktor prowadzący
Katarzyna Krawczyk

Redakcja
Marta Mizuro

Korekta
Krystyna Śliwa
Marianna Filipkowska

Copyright © by Sameem Ali, Humphrey Price and Terie Garrison 2008
The right Sameem Ali, Humphrey Price and Terie Garrison to be identified as the Authors of the Work has been asserted by them in accordance with the Copyright, Designs and Patents Act 1988.

All rights reserved

Copyright © for the Polish translation by Katarzyna Roslan 2016

Świat Książki
Warszawa 2016

Świat Książki Sp. z o.o.
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Księgarnia internetowa: swiatksiazki.pl

Łamanie
Piotr Trzebiecki

Dystrybucja
Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o., sp. j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
e-mail: hurt@olesiejuk.pl tel. 22 733 50 10

www.olesiejuk.pl

ISBN 978-83-8031-190-9

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com

*Książkę tę dedykuję mojej rodzinie:
Osgharowi, Azmierowi i Asimowi*

To autentyczna historia,
choć niektóre postaci zostały zmienione.

Wstęp

Z przeszłości nie za wiele mogę sobie przypomnieć. Płacę po dziś dzień, wracając myślami do tego, czego w życiu doświadczyłam, co usłyszałam. Wspomnienia nie są dla mnie przyjemnością, nie stanowią bezpiecznej przystani ani miejsca ucieczki w trudnych chwilach. Są przekleństwem.

Matka była dla mnie wszystkim, a ja przez całe dzieciństwo koncentrowałam się tylko na tym, by nie dawać jej powodów do myślenia, iż nie jestem najbardziej posłusznym, najgrzeczniejszym, najbardziej pracowitym dzieckiem pod słońcem. Dzieckiem wartym tego, by nazwać je swoim, kochać je i pielęgnować. Córką zasługującą na matczyną miłość.

Parę lat temu opowiedziałam komuś o mojej przeszłości. Osoba ta nie kryła zdumienia. Mówiła:

– Niemożliwe, musiałaś zostać adoptowana. Tego się nie da inaczej wytłumaczyć. Żadna matka nie mogłaby tak traktować własnego dziecka. Może byśmy sprawdziły twoje papiery w opiece społecznej? Może w ten sposób dowiedziałybyśmy się, kto jest twoją prawdziwą matką, i poznały twoją historię?

Wydawało się to proste i naturalne. No jasne – właśnie tak musiało być, ale dlaczego wcześniej taki scenariusz nie przyszedł mi do głowy? To by sporo wyjaśniało, odpowiedziałoby na wszystkie moje pytania. Podeszłam do sprawy z wielkim zapałem i dwa tygodnie później obie trafiłyśmy do biura opieki społecznej. Tam, zalana łzami, przejrzałam dokumenty i okazało się, że wcale nie zostałam adoptowana, lecz odebrana rodzinie, która nie była w stanie sprostać opiece nade mną, i że wiele lat później, kiedy rodzina na powrót tego zapragnęła, wróciłam do niej. Bardzo chciałam dowiedzieć się o swoim dzieciństwie czegoś dobrego. Myślałam, że dzięki temu w pewnym sensie odzyskam utracone lata. Tak się jednak nie stało. Przeciwnie – poczułam się brutalnie zaatakowana przez własną przeszłość. Ta, z której krwi i ciała pochodziłam, szarpała mnie i biła, porywała, zmusiła do małżeństwa, przerażała, ignorowała, poniżała. A co najgorsze – odmówiła mi miłości. Mogłam przetrwać wszystko, lecz nie to. Byłam małą dziewczynką i pragnęłam tylko jednego – właśnie tego, czego nikt nie potrafił mi dać. Przecież zasługiwałam na miłość.

Kiedy miałam pół roku, zostałam odebrana ojcu i umieszczona w domu dziecka. Krótco po moim urodzeniu matka rozchorowała się i wraz z moimi braćmi i siostrami wyjechała do Pakistanu, ale dlaczego ja musiałam zostać i dlaczego ojciec nie wyjechał razem z nią, tego nigdy się nie dowiedziałam. Odebrano mnie ojcu, bo sąsiedzi donieśli, że płaczę dniami i nocami. Mój ojciec, o czym wiem z dokumentów, cierpiał na chorobę psychiczną, uznano więc, że nie jest w stanie samodzielnie zajmować się małym dzieckiem. Kiedy matka z resztą rodzeństwa wróciła, ja pozostałam w domu dziecka.

Pobyt w tej placówce okazał się najlepszą częścią mojego dzieciństwa. Czułam się tam szczęśliwa. Nie wiedziałam, że dopiero w dorosłym życiu znów zaznam tego uczucia.

Frustruję się, wspominając dom dziecka. W pamięci został zarys codziennej rutyny, ale prawie nie przypominam sobie ludzi ani przedszkola, do którego chodziłam. Spędzone tam dni i noce zlały się w jedno. Pamiętam pory roku – to, że zimą było chłodno i padał śnieg, a latem – gorąco i długo widno, ale nic więcej. Czasem wspomnienia wracają same, bez uprzedzenia – pewnego dnia, kiedy czytałam przed snem, nagle uprzytomniłam sobie, że ktoś kiedyś czytał mi tę samą historię. W moich uszach dźwięczał głos tej osoby, wypowiadający poszczególne słowa tuż obok mnie. Ponieważ nigdy nie zdarzyło się, aby ktoś na głos czytał w domu rodzinnym, musiała to być ciocia Peggy – moja wychowawczyni z sierocińca.

Najwyraźniejszym wspomnieniem z domu dziecka jest to z Bożego Narodzenia, kiedy dostałam lalkę Sindy. Miałam wtedy sześć lat. Razem z pozostałą piątką czy szóstką dzieci siedziałam przed górą prezentów w dużym salonie. Napięcie rosło z każdą chwilą oczekiwania. Pierwszym prezentem było pudełko zawinięte w połyskujący czerwony papier. Sindy. Rozpakowywaniu towarzyszył dreszcz podniecenia. Uwielbiałam tę Sindy, ale kiedy wyprowadzałam się z domu dziecka, by wrócić do własnej rodziny, musiałam ją zostawić. Pewnie zapamiętałam tamte święta dlatego, że później bardzo tęskniłam za tą lalką.

W domu dziecka nigdy nie odczuwałam braku miłości. Ciocia Peggy – niska, pulchna, o krągłej twarzy i życzliwym spojrzeniu, pachnąca mydłem, kwiatami i ciepłym chlebem, otaczała mnie serdeczną miłością. Miała krótkie włosy, które zimą wpychała pod szal tak, że wystawała tylko grzywka poruszająca się na wietrze dmącym od Cannock Chase[1].

Zachowałam też żywe wspomnienia ze spacerów, a raczej zabaw w Cannock

Chase. W domu dziecka mieszkał z nami wielki, czarny labrador o imieniu Jet, którego zabieraliśmy na spacer do Chase. Biegał, aportował patyki, ścigał ptaki lub nawet samo powietrze. Wracał tak szybko, że aż piszczałyśmy z zachwytu i podniecenia. Uwielbiałam chować twarz w ciepłym, gęstym futrze na jego szyi i poklepywać go po lśniącym łbie.

Jeśli chodzi o wnętrze domu dziecka, to pamiętam jadalnię, kuchnię, duży salon, w którym oglądaliśmy telewizję, i swoją sypialnię. W kuchni pomagałam piec ciastka, a potem siadałam na blacie z łyżką w ręku i wyskrobywałam resztki ciasta z miski. Musiałam uważać, żeby się nie pobrudzić, więc zawsze wkładałam fartuszek. Nasze fartuszki wisiały na kołkach przy drzwiach. Mój był niebieski.

W sypialni stały trzy łóżka. Na ścianach wisiały plakaty z podobiznami Davida Cassidy i zespołu Bay City Rollers. Moim ulubieńcem był wokalista, Les McKeown. Przy łóżku miałam szafkę nocną, na której trzymałam wszystkie swoje skarby: Sindy, małego porcelanowego delfina, którego kupiłam sobie w Rhyl (na pamiątkę pobytu nad morzem), książkę pożyczoną ze świetlicy i sosnowe szyszki z pobliskiego lasu. Leżąc w łóżku, tuż przed zaśnięciem patrzyłam na wszystkie te przedmioty – pod warunkiem że zasłony były ciut rozsunięte.

Na jednym z dwóch pozostałych łóżek spała Amanda. Młodsza ode mnie o pół roku, mieszkała w domu dziecka, odkąd sięgam pamięcią. Byłyśmy nierozłączne. Wszystko robiłyśmy razem jak prawdziwe przyjaciółki. Chodziłyśmy do tej samej klasy. Kiedy wspólnie bawiłyśmy się w świetlicy na końcu korytarza, a dwaj chłopcy z sąsiedniego pokoju próbowali zabierać nam zabawki, wzajemnie stawałyśmy w swojej obronie. Chłopcy zostali przyłapani na gorącym uczynku. Potem kłócili się z wychowawcami i pyskowali, a za karę nie mogli oglądać telewizji w sobotę rano.

Uwielbiałyśmy wielki ogród na tyłach domu dziecka. Bawiłyśmy się tam, kiedy tylko się dało, nawet zimą. Zwykle ktoś musiał nam pomóc włożyć, a potem zdjąć, ciepłe kalosze, które nakazano nam nosić. W ogrodzie były huśtawki i zjeżdżalnie, trawa do turlania się i gęste krzaki, w których się chowałyśmy, a także tajemnicze kąciki, gdzie popołudniami bawiłyśmy się lalkami. W lecie w ogóle nie chciałyśmy wracać.

Przez cały tydzień chodziłam do szkoły w spódniczce do kolan i rozpinanym sweterku z czerwonymi guzikami. Na początku, kiedy byłam jeszcze bardzo mała, ciocia Peggy musiała zapinać mi te guziki. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, jak niewielka była ta szkoła. Plac zabaw również, ale wtedy stanowił cały mój świat.

Co rano o wpół do ósmej budziła nas ciocia Peggy. Przed zejściem na dół na śniadanie myłyśmy się i ubierałyśmy – już samodzielnie. Na stole czekały na nas miseczki na płatki, talerzyki na tosty, a obok każdego nakrycia stała szklaneczka na sok. Amanda nie знаła się jeszcze na zegarze, ale ja nauczyłam się tej sztuki szybko i byłam bardzo dumna, że potrafiłam jej powiedzieć, za ile przyjdzie ciocia

Peggy, gdy same się za wcześnie obudziłyśmy.

W szkole dokuczano mi z powodu jąkania. Musiałam uczyć się mówić powoli, aby, zanim się odezwę, mózg mógł spokojnie dokończyć dobieranie słów, które zamierzałam wypowiedzieć. Ciocia Peggy rozśmieszała mnie, mówiąc, że mózg przede mną ucieka, a ja chichotałam, wyobrażając sobie, jak ścigam go na ulicy. Z czasem – i oczywiście dzięki wielokrotnie powtarzanym ćwiczeniom – nauczyłam się we właściwym momencie zaczerpywać oddech lub wyśpiewywać trudne do wypowiedzenia dźwięki. Zdołałam opanować jąkanie, które po pewnym czasie zupełnie przestało mi doskwierać.

Potem pojawił się kolejny problem, to znaczy moje stopy. Urodziłam się z wadą, którą należało skorygować, i miałam kilka operacji stóp, ostatnią w wieku kilkunastu lat. Pamiętam to wszystko jak przez mgłę, ale dokumenty mówią wyraźnie: „Wciąż chodzi z lekko rozstawionymi stopami... w razie potrzeby konieczne będzie zastosowanie plastikowych szyn. Nogi koślawe w kostkach”.

Ponieważ byłam nieco starsza niż Amanda, mogłam troszkę później chodzić spać. Choć podczas oglądania opery mydlanej *Crossroads* prawie zasypiałam na kanapie, protestowałam, gdy ktoś próbował zagonić mnie do łóżka. Nauczyłam się cichutko zamykać drzwi do sypialni, nie budząc przy tym Amandy, i to ciocia Peggy pokazała mi, jak naciskać kłamkę, żeby nie skrzypnęła.

W soboty i niedziele mogłyśmy pospać dłużej, choć i tak zawsze byliśmy gotowe do zejścia na śniadanie, zanim personel zdążył wszystko uszykować. Aż do obiadu nie musiałyśmy się przebierać, mogłyśmy oglądać telewizję lub bawić się z Jetem.

Za to po południu wkładałyśmy buty i kurtki i któryś z wychowawców prowadził nas do sklepu ze słodyczami tuż za rogiem. Tam wydawałyśmy swoje kieszonkowe. A potem szłyśmy do Cannock Chase, gdzie zostawałyśmy do końca dnia, o ile oczywiście nie było zbyt mokro.

Chase to najszcześniejsze miejsce mojego dzieciństwa. Kilometrami ciągnęły się tam lasy, zarośla i wrzosowiska. Amandzie i mnie wydawało się magiczne i bezkresne. Przecinały je małe, błotniste strumyki, nad którymi można było się położyć i gapić w przepływające nad głową chmury. Miało swoje kolory i zapachy, niepowtarzalne, potem nigdy i nigdzie takich nie spotkałam. Innymi słowy – idealny teren do zabaw w berka i chowanego, a także wymyślonych przez nas same, na przykład w „czy widzisz goblina”, która polegała głównie na siedzeniu w krzakach i pokrzykiwaniu ile sił.

Jet też uwielbiał Chase. Biegał razem z nami, a kiedy się zmęczyłyśmy, siadał obok i dyszał równie głośno jak my. Rzucaliśmy mu patyki, a on zrywał się i je przynosił. Zawsze za każdym razem niezmiennie tak samo.

Po powrocie bardzo chciało nam się jeść i nie mogłyśmy doczekać się podwieczorku. Najpierw musiałyśmy umyć ręce. Sobotnie podwieczorki zazwyczaj

były wspaniałe – na przykład burgery i frytki, a na deser lody. Czasem zdarzały się kanapki z bananem, których nie cierpiałam, ale zamiast o nie mogłam poprosić o kanapki z ogórkiem. Innym razem dostawaliśmy kanapki z bekonem. Zawsze uwielbiałam desery i ciasta.

W niedziele my, wychowankowie domu dziecka, ubieraliśmy się ładnie i szliśmy do kościoła. Potem zostawaliśmy w szkole niedzielnej, którą bardzo lubiłam. Melodie śpiewanych tam piosenek zapamiętałam na zawsze. Do dziś często je podśpiewuję, wracając do domu – na przykład *Morning Has Broken* lub *All Things Bright and Beautiful*.

Pamiętam jeden szczególny dzień, kiedy pozwolono nam bić w dzwony. Na tyłach kościoła znajdowała się dzwonnica. Po stromych schodach ostrożnie wdrapałyśmy się aż do długich, spuszczonej z góry sznurów przyczepionych do dzwonów, które wisiały bardzo wysoko. Dorośli pokazali, jak ciągnąć za sznur i że należy złapać za specjalną część owiniętą miękkim materiałem, by nie poranić sobie rąk. Przywiązali do sznurów mniejsze sznurki i wyjaśnili, że najpierw trzeba za nie pociągnąć, a potem, kiedy dzwon unosi się do góry, rozluźnić dłoń i pozwolić im się przesunąć, bo inaczej pokaleczyłyby nam palce. Nie musiałyśmy zbytnio się wysilać, ciągnąc za sznurki – w zasadzie robili to dorośli, którzy równocześnie pociągali za główne sznury. My jednak miałyśmy poczucie, że same wprawiamy dzwony w ruch. Dźwięk był tak bardzo głośny, znacznie głośniejszy, niż kiedy stało się na zewnątrz, że zatkałyśmy z Amandą uszy i piszczałyśmy z radości.

Czułam się bezpieczna i otoczona opieką. W porze obiadu zawsze czekało jedzenie, w szkolnej ławce siedziałam z najlepszą koleżanką, a Jet przynosił patyk, który rzucałam mu w Chase. Co rano ciocia Peggy robiła pobudkę, a co wieczór sprawdzała, czy porządnie się umyłam, otulała kołdrą i dawała buziaka na dobranoc. Jeśli się przewróciłam, podnosiła mnie; jeśli zdarłam kolano, przemywała je i naklejała plaster. Była taka dobra, że żywiłam szczerą przekonanie, że musi być moją matką, bo w książkach, które czytałyśmy, mamy zawsze są dobre dla swoich dzieci. Kiedy pewnego dnia jej to powiedziałam, roześmiała się i odparła:

– Nie, Sam, jestem twoją ciocią. Jestem ciocią wszystkich dzieci, które tu mieszkają.

Pewnego dnia bawiłam się z Amandą w berka – uciekałam przed nią najszybciej, jak potrafiłam. Przewróciłam się i otarłam skórę na kolanie. Bardzo bolało, więc zaczęłam płakać. Pokuśtykałam do cioci Peggy.

– Dzielne dziewczynki tak nie płaczą, cichutko, przestań. Podmuchaj na kolano i od razu przestanie boleć.

Nie chciałam przestać płakać, ale zrobiłam, jak kazała.

– Dzielna dziewczynka. Widzisz? Już nie boli.

Rozpromieniłam się. Lubiłam być dzielna.

Co jakiś czas przyjeżdżał do mnie tata. Nie dziwiłam się jego odwiedzinom w domu dziecka. Zjawiał się, rozmawiał z personelem w biurze, a potem stamtąd wychodził, pieszczotliwie czochrał mi włosy i dawał słodycze, które zawsze trzymał w kieszeniach. Tata był zdecydowanie wyższy od innych pracujących w domu dziecka dorosłych. Ciągłe się uśmiechał, a kiedy to robił, na tle jego ciemnej skóry połyskiwały białe zęby. Nie przypominam sobie naszych rozmów, pamiętam tylko te słodycze. Otaczał mnie ramieniem i mówił różne miłe rzeczy, a ja wkładałam rękę do jego kieszeni, skąd wyciągałam cukierki i czekoladki. Potem dzieliłam się nimi z Amandą. Tata rozmawiał przez chwilę z ciocią Peggy, oboje przypatrywali mi się, kiwając głowami i rozprawiając o czymś, czego nie słyszałam. Ojciec był kimś bardzo odległym, nie miał nic wspólnego z moim życiem w domu dziecka. Był po prostu moim tatą – i tylko to zapamiętałam z jego odwiedzin. Ponieważ nigdy nie wiedziałam, kiedy mam się go spodziewać, nie bałam się tych wizyt ani ich nie oczekiwałam. Wydawały mi się naturalne jak to, że kiedy upadałam, zdierałam naskórek na kolanie. A gdy już przyjeżdżał tata, w kieszeniach jak zawsze miał słodycze.

Było tylko jedno odstępstwo od codziennej rutyny w domu dziecka. Czasem, kiedy wracałam z lasu lub ogrodu, zdarzało się, że na trzecim łóżku – tym obok mojego – znajdowała się świeża pościel. Biegłam wtedy na dół i stukaliśmy w drzwi biura, gdzie czekała już ciocia Peggy z moją siostrą. Wizyty Meny, która czasem przyjeżdżała na noc, należały do najbardziej ekscytujących wydarzeń w moim życiu. Cieszyłam się z nich nawet bardziej niż z Bożego Narodzenia, bardziej niż z wyjazdu nad morze. Miałam kogoś jedynie dla siebie, kogoś, z kim mogłam być. Czułam się wtedy po prostu wyjątkowo.

Za pierwszym razem zdziwiłam się zmianą w pokoju i nie wiedziałam, kim była ta dziwna dziewczynka u boku cioci Peggy. Wydawała się zupełnie inna niż ja – mniejsza, w długiej tunice włożonej na luźne spodnie. Włosy – równie ciemne jak moje – miała ściągnięte w długi koński ogon, a oczy szeroko otwarte. Wtulała się kurczowo w ciocię Peggy, jakby się spodziewała, że zaraz porwą ją fale i odpłynię daleko w morze. Gdy ja ogromnie się cieszyłam z nowej towarzyski zabaw, ona bardzo się wstydziła.

– Sam, to twoja siostra Mena – oznajmiła ciocia Peggy. – Przyjechała do nas na trochę. Chodź, przywitasz się.

Moja siostra? Rozumiałam oczywiście, co to znaczy, lecz nic o Menie nie wiedziałam. Uśmiechnęłam się do niej, ale ona wciąż patrzyła na mnie niepewnie. Wyciągnęłam więc rękę.

– Cześć – powiedziałam.

Nie odezwała się, tylko dalej mi się przyglądała.

– Może pokażesz Menie wasz pokój i jej łóżko? – zaproponowała ciocia

Peggy. – Przygotowałam dla niej trochę ubrań, są w dolnej szufladzie. Pomożesz jej się przebrać? Pewnie chciałyby się pobawić, a nie może przecież pobrudzić tych ładnych ubrań z domu, w których przyjechała.

Co ciocia miała na myśli, wspominając o „ubraniach z domu”? Przecież właśnie była w domu. Ale dorośli mówili czasem różne dziwne rzeczy, więc odwróciłam się do Meny, wzięłam ją za rękę i zaprowadziłam na górę.

Byłam taka dumna. Miałam siostrę. Najprawdziwszą. Do nikogo w całym domu dziecka jeszcze nigdy nie przyjechała siostra. Co za szczęście. Radość po prostu mnie rozpierała. Najpierw pokażę jej mój pokój, potem przedstawię ją Amandzie, a później wyjdziemy na dwór na huśtawki. Może będzie знаła jakieś zabawy, których my nie znamy.

W pokoju na górze Mena usiadła na łóżku i zgodziła się, żebym pokazała jej ubrania. Mówiła, co może włożyć, a czego nie. W końcu padło na spodnie – bo nie chciała odsłaniać nóg – i jaskrawą bluzkę z długim rękawem. Przyszła Amanda i stanęła w progu, a ja powiedziałam, żeby przywitała się z moją siostrą. Potem pobiegłyśmy razem do ogrodu. Omal nie pękłam z dumy i radości. Pokazałam jej huśtawki. Ostrożnie usiadła na jednej, poruszając nogami, ale nie wiedziała, jak się rozbujać, więc stanęłam za nią i lekko ją popchnęłam.

– Nie tak mocno! Nie tak mocno! – zawołała, przerażona szybkością i wysokością.

Chciałam wsiąść na huśtawkę obok, żebyśmy bujały się razem, ale nie potrafiła utrzymać swojej w ruchu, więc ktoś musiał stać i jej pomagać.

– Chodź! – zawołałam, biegnąc przez trawnik. – Chodź, pobawimy się w chowanego.

Amanda musiała szukać nas obu, bo Mena nie chciała schować się sama. Nawet berek okazał się za trudny, ponieważ kiedy ona goniła, musiałam ruszać się powoli, by dać się złapać. Nie potrafiła szybko biegać. Ale nie zważałam na to. Wiedziałam, że muszę opiekować się moją siostrą. Przecież nie znała tego miejsca, była tu nowa.

Nigdy nie przyszło mi do głowy spytać, dlaczego tutaj trafiła ani skąd się wzięła, ani o to, czy przedtem wiedziała, że ma siostrę. To był mój dom, mój świat, do którego ona przyjechała. Tak jak tata, który przywoził słodycze. Mena też. Po prostu pojawiała się i nocowała w moim w pokoju.

Była ode mnie starsza. Całe dwa lata, ale musiałam wszystko jej pokazywać i wszystkiego ją uczyć. Wydawała się nieśmiała i strachliwa. Kiedy leżałyśmy już w łóżkach, lubiłyśmy z Amandą opowiadać sobie historie o goblinach z Cannock Chase. Mena strasznie się ich bała i kazała nam zamykać okno, nauczyłyśmy się więc nie robić tego przy niej. Przyjeżdżała może ze dwa razy do roku. Nie wiem, jak długo zostawała, ale myślę, że równie dobrze jak dwa dni mogło to być całe lato.

Dzięki temu, że mieszkałam w domu dziecka, byłam bardzo odważna. Wiedziałam, że nie mam się czego bać. Nigdy nie marzłam. Nigdy nie czułam głodu. Zawsze miałam czyste ubranie. A kiedy wracałam ze szkoły, czekało mnie miłe powitanie. Moje życie było doskonałe.

Aż do dnia, kiedy poznałam swoją matkę.

1 Cannock Chase – obszary leśne, rezerwat przyrody, wrzosowiska w okolicach Stafford w Anglii (przyp. tłumaczki).

To musiało być w czasie wakacji. Nie chodziłam wtedy do szkoły i w sierocińcu przebywała właśnie Mena. Następnego dnia wyjeżdżała. Wiedziałyśmy, że tata ją odbierze, więc o wskazanej godzinie zeszyliśmy razem do biura. Tym razem tata nie przyjechał jednak sam, nie schylił się jak zwykle, by pogłaskać mnie po policzku i dać coś słodkiego. Zamiast tego ujął moją rękę i przycisnął ją do dłoni towarzyszącej mu kobiety – nieco niższej i chudszej od niego. Ta przez cały czas bacznie i bez uśmiechu mi się przyglądała. Nosila śmieszny strój, podobny do tego, w jakim zawsze przyjeżdżała Mena, która dopiero na miejscu przebierała się w dzinsy. Na głowie miała szal. Pomyślałam, że wygląda na bardzo poważną i bardzo elegancką.

– Sameem – odezwał się tata – to twoja mama. Przywitaj się.

Matka nie zrobiła ani kroku, żeby mnie uściskać. Trzymała tylko lekko moją dłoń w swojej. Podniosłam na nią oczy.

– Dzień dobry – powiedziałam grzecznie. Czy właśnie tak należało się zachować? Nie miałam pojęcia. We wszystkich książkach, które czytałyśmy, występowały matki, ale one cały czas spędzały przy dzieciach, przytulały i całowały je na dobranoc jak nasza ciocia Peggy. Moja matka sprawiała wrażenie, jakby nie chciała mnie przytulić ani ucałować. Po prostu patrzyła. Nagle odwróciła się do taty i wydała z siebie jakieś dziwne dźwięki. Brzmiały nieprzyjemnie, ostro i nieco strasznie, więc się cofnęłam. Ponieważ tuż za mną stała Mena, wpadłam na nią. Ona też nie zamierzała podejść i się przywitać. Matka ścisnęła moją rękę mocniej, po czym obróciła się i przemówiła nieco łagodniejszym głosem, wysuwając przy tym drugą rękę. Popchnięta lekko przez Menę, postąpiłam krok do przodu i chwyciłam również tę drugą rękę. Matka znów odezwała się do ojca, który uśmiechnął się i powiedział:

– Mówi, że bardzo się zmieniłaś. Zapamiętała cię zupełnie inaczej. Wyglądasz bardzo dorośle. Urosłaś.

Uśmiechnęłam się do niej blado. Nie wiedziałam, co będzie dalej.

Spojrzała na stojącą z tyłu Menę i coś do niej powiedziała w tym swoim dziwnym języku. Mena wyszła zza moich pleców, odwróciła się i poszła na górę. Chciałam iść za nią, ale nie mogłam wyrwać się z uścisku matki. Właśnie to zapamiętałam najlepiej – lepiej niż cokolwiek innego. I w tamtej chwili poczułam się inaczej. Uświadomiłam sobie, że mam matkę. Matkę, której obecności nigdy dotąd nie zaznałam i która przyjechała, żeby się ze mną spotkać. Znowu podniosłam na nią wzrok. W tej samej chwili ona spojrzała na mnie i po raz pierwszy się uśmiechnęła. Też się więc uśmiechnęłam. Teraz, gdy się odezwała, jej

głos nie zabrzmiał ani szorstko, ani dziwnie. W tej chwili mówiła jak matka. Choć nie rozumiałam ani jednego jej słowa, bąknęłam: „Dobrze”, bo wydawało mi się, że tak należy. Zanim zdążyłam się zorientować, Mena, z powrotem przebrana w swój „domowy” strój, już wróciła. Obie z matką natychmiast wyszły. Nie żywiłam do nich urazy – przecież tylko ja tu mieszkalam. Od tego czasu matka była moim najważniejszym gościem. Matka Amandy nigdy do niej nie przyjeżdżała. Dzięki wizytom siostry czułam się jak księżniczka, a kiedy właśnie matka przyjechała z wizytą, czułam się jeszcze lepiej – jak królowa. Uwielbiałam ją za to. Kiedy przybywała, zawsze ją witałam, siadałam obok niej i trzymałam ją za rękę.

To, że matka pojawiała się, żeby odebrać Menę, wcale mi nie przeszkadzało, bo nie ustały też odwiedziny taty. Od wielu lat przyjeżdżał raz w tygodniu, a matka tylko wtedy, kiedy Mena miała wrócić do domu.

Wyglądało to następująco: szłam i stawałam obok niej, brałam ją za rękę, a ona patrzyła, pochylała głowę i pytała:

– Wszystko w porządku?

A ja odpowiadałam:

– Tak.

Na tym kończyła się nasza rozmowa. Tata uśmiechem dodawał mi otuchy. Mena przebierała się i odjeżdżali we trójkę. Nigdy nie zastanawiałam się, dlaczego mnie nie zabierają. Uznałam, że jestem po prostu tam, gdzie moje miejsce.

Kiedy skończyłam siedem lat, matka zaczęła częściej pojawiać się w sierocińcu, nawet gdy nie było Meny. Widywałyśmy się więc we dwie. Ponieważ spośród wszystkich dzieci w domu dziecka tylko mnie odwiedzała matka, czułam się wyróżniona. Dlatego uważałam, że moja matka jest idealna. Nie przeszkadzał mi dziwny, ostry zapach, który wyczuwałam zawsze, kiedy się do niej przytulałam, ani to, że nasza rozmowa ograniczała się do „Jak się masz?” i „Dobrze”. Jako matka nie mogła się mylić. Siadałam obok niej na dużej sofie. Mówiła: *Bedża, bedża*, a ja wiedziałam, że to znaczy „siadaj tu”, brałam ją za rękę i się uśmiechałam.

Wiedziałam, kim jest matka, z książek. Tam matki zawsze były doskonałe. Ciocia Peggy również – oczywiście w moich oczach – uznałam więc, że matka musi być jeszcze lepsza. Postanowiłam już, że ją uwielbiam. Pokochałam ją. Nie miało znaczenia, że wydaje się jakaś inna. Po prostu zaakceptowałam te różnice. Fakt, że kochałam matkę, bo jest, wydawał się najbardziej naturalny na świecie.

Tak samo naturalny jak to, że za parę miesięcy miałam jechać do domu.

– Sam – oznajmiła pewnego dnia ciocia Peggy. – Muszę powiedzieć ci coś ważnego. – Ze świetlicy zabrała mnie do sypialni, gdzie mogłyśmy spokojnie porozmawiać. Usiadła obok na łóżku i oburącz ujęła moją rękę. W jej tonie było coś niezwykłego. Mówiła drżącym głosem, ale ja nie rozumiałam dlaczego. –

Jedziesz do domu.

– Do domu? Przecież jestem w domu.

Ciocia Peggy się uśmiechnęła.

– Nie, mam na myśli twój dom rodzinny. Niedługo będziesz mieszkać razem ze swoją rodziną.

– Z rodziną? – Zastanawiałam się, co ma na myśli.

– Tak. Masz trzech braci i jeszcze jedną siostrę prócz Meny.

Patrzyłam na nią, nic nie rozumiejąc. Cała rodzina? Ale to znaczy, że stąd wyjadę, prawda? Zaczęłam mrugać oczami, do których napłynęły mi łzy.

– Czy tam będzie Mena? – zapytałam.

Skinęła głową.

– Ale czy będziemy wszyscy tu przyjeżdżać? Czy ty będziesz mnie odwiedzać, ciociu?

Zaśmiała się.

– Nie, głuptasku. Na dobre wracasz do domu. Ja muszę zostać tutaj, z Amandą i resztą dzieciarni.

Nie wiedziałam, co znaczy „na dobre”, ale to, że mam rodzinę i że będę z nią mieszkać, było najbardziej ekscytujące, co mi się w życiu przytrafiło. Pamiętam, jak inna dziewczynka z naszego domu, starsza ode mnie, wracała do rodziny i jak się z tego powodu cieszyła. Przez kilka następnych dni wyobrażałam sobie, że jestem nią i że jestem równie szczęśliwa. Planowałam sobie w duchu, co będę robić ze swoją rodziną.

Wieczorami leżałam w łóżku i opowiadałam Amandzie, jak będę bawić się z rodzeństwem.

– Mam nadzieję, że twoi bracia nie okażą się tacy jak chłopcy z naszego domu – mówiła Amanda.

– Nie – odpowiadałam – my jesteśmy rodziną, więc nie będziemy się kłócić. Będziemy razem szczęśliwi jak rodziny w książkach.

We wszystkich moich marzeniach o zabawach z rodzeństwem, o pięknym, dużym domu, który pomieści naszą ogromną rodzinę, zawsze obecna była Amanda. Nie wyobrażałam sobie, żeby najlepsza przyjaciółka mnie nie odwiedzała.

– A ja będę przyjeżdżać tutaj, do ciebie – mówiłam – więc koniecznie dopilnuj, żeby naszykowali łóżko.

W dniu odjazdu czekałam całkowicie gotowa – z walizką ubrań, wykąpana, w najlepszej sukience, żeby ładnie wyglądać. Ciocia Peggy zrobiła mi nawet specjalną fryzurę.

Zdawało się, że minęła wieczność, zanim wreszcie podjechał samochód i wysiadła z niego matka. Prowadził jakiś dorosły mężczyzna, którego nie znałam. Matka rozmawiała przez chwilę z ciocią Peggy, a potem wyciągnęła rękę i powiedziała coś w tym języku, którego nie rozumiałam. Ja też wyciągnęłam do

niej rękę. Podeszliśmy do samochodu.

Dorośli wysiadł z za kierownicy i włożył do bagażnika moją niewielką walizkę. Był chudy, miał włosy do ramion i gęste, kręcone wąsy.

– Jestem Manz – przedstawił się. – Twój brat. Wsiadaj.

Mój brat? Taki stary? Nie potrafiłam sobie wyobrazić zabawy z nim. Mruknęłam nieśmiało „dzień dobry”, jak mnie nauczono. To, co jeszcze wczoraj wydawało się podniecające, teraz stało się trochę straszne. Nagle poczułam się bardzo mała. Za plecami usłyszałam głos:

– Do widzenia, Sam.

To ciocia Peggy z Amandą u boku stały przy drzwiach.

Wyrwałam rękę z dłoni matki i pobiegłam do nich. Byłam zdezorientowana. Z jednej strony wiedziałam, że powinno rozpierać mnie szczęście, z drugiej – żołądek ścisnął mi się, a do oczu napłynęły łzy. To prawda, cieszyłam się, że jadę do rodziny, ale nie zdawałam sobie sprawy, jak trudno będzie zostawiać dom i Amandę. Wyciągnęłam ręce do cioci Peggy i usłyszałam jej głos:

– Chcę, żebyś się dobrze sprawowała.

– Obiecuję – szepnęłam.

Nie wiedziałam jednak, ile będzie mnie kosztować ta obietnica.

Potem uściskałam Amandę, która płakała tak samo jak ja.

– Nie płacz – powiedziałam. – Przyjadę do ciebie.

Potem ten człowiek, który zapakował moją walizkę do bagażnika, odezwał się ostro:

– No, chodź wreszcie, musimy jechać.

Matka chwyciła mnie za ramiona i odciągnęła od Amandy. Rzuciłam przyjaciółce smutne spojrzenie przez ramię i ruszyłam za matką do samochodu.

Mężczyzna otworzył tylne drzwi po stronie pasażera i spojrzał na mnie niecierpliwie. Zawahałam się, a potem wzięłam głęboki oddech i wsiadłam do auta. Uklękałam na siedzeniu, wyrzałam przez okno na ciocię Peggy i Amandę i machałam im, kiedy odjeżdżaliśmy. Nie przestawałam nawet, gdy za zakrętem zniknęły mi z oczu.

Matka i brat Manz wieźli mnie do domu do Walsall. Nigdy sama, bez jednego z wychowawców, nie byłam tak daleko od domu dziecka, ale teraz się nie bałam, bo miałam przy sobie matkę.

Jechaliśmy dość długo. Podczas jazdy matka i Manz w ogóle się do mnie nie odzywali. Rozmawiali ze sobą w tym dziwnym języku. Czułam się niezręcznie i o nic nie pytałam, wyglądałam tylko przez okno i cichutko sobie nuciłam. Opuszczenie domu dziecka było wielkim szokiem. Choć od dawna wiedziałam, że nadejdzie ten dzień, nie zdawałam sobie sprawy, co wtedy poczuję. Teraz nie miałam siły zadawać żadnych pytań. Zadowoliliam się siedzeniem cicho i obserwowaniem.

Samochód zwolnił, bo wjechaliśmy na jakąś bardziej ruchliwą szosę.

– No, prawie jesteśmy – odezwał się z przedniego fotela Manz, nawet na mnie nie patrząc.

Domy i ludzie wokół nas wyglądali inaczej. Domy wydawały się mniejsze i mniej zadbane, ale za to bardziej kolorowe. Jakby wszystkiego było więcej, z wyjątkiem trawy i drzew. Sklepy sięgały do samego chodnika, a ludzie musieli się przepychać, żeby przejść. U ich stóp płątały się małe dzieci. Przycisnęłam nos do szyby – może to moi przyszli koledzy?

Samochód zatrzymał się przed najmniejszym i chyba najbardziej niechlujnym z budynków. Z zaniedbanym, porośniętym wysokimi chwastami ogrodem. Nie widziałam wnętrza domu, bo widok przysłaniały zaciągnięte zasłony. Choć wiedziałam, że nie powinnam, byłam trochę rozczarowana. Wsiadłam z samochodu i stanęłam przed domem. Farba na drzwiach wejściowych, pomalowanych na ohydny, zielony kolor, obłaziła. Matka ruszyła ścieżką do wejścia, a Manz wyciągnął moją walizkę. Ruszyłam za matką. O, była i Mena. Unosiła się przy drzwiach niczym zjawa w swojej sukni i powłóczystych spodniach. Wydawała mi się szczuplejsza, niż zapamiętałam. Mimo że uśmiech na jej buzi świadczył, że cieszy się z mojego przyjazdu, nie podeszła, żeby się przywitać, żeby przyjąć mnie w nowym domu. To nie był mój dom. Jeszcze nie. Ach, jak bardzo chciałam, żeby się nim stał. Podekscytowana, a zarazem zdenerwowana, wyciągnęłam rękę do matki.

– *Ami* – zaczęłam.

– *Chalander* – odparła, odpychając moją dłoń.

Byłam w szoku – nie przez to, co powiedziała, bo oczywiście nie miałam pojęcia, co znaczyło to słowo, ale z powodu tonu jej głosu. Nikt i nigdy nie mówił do mnie w ten sposób. Żaden dorosły w domu dziecka nie odezwałby się tak do

podopiecznego. Ale tyle się wokół działo – Manz przeciskał się przez drzwi z moją walizką, matka też wchodziła, ja chciałam jak najszybciej przywitać się z Meną – że nie zastanawiałam się zbyt długo nad nagłą zmianą nastroju matki.

Mena otoczyła mnie ramionami, ja też ją uściskałam. To była wielka ulga – mieć koło siebie kogoś miłego. Czułam, że robi mi się ciepło na sercu, a zaciśnięty żołądek się rozluźnia. Wypuściliśmy się nawzajem z objęć, spojrzaliśmy na siebie i szeroko się uśmiechnęliśmy. Już miałam coś powiedzieć, kiedy matka znów rzuciła coś tym swoim nowym, szorstkim tonem. Mena odsunęła się, po czym powiodła mnie do środka.

Matka zniknęła w pokoju ukrytym w głębi domu. Mena powoli ruszyła za nią, a ja nie odstępowałam jej na krok. Szłam, rozglądając się po mrocznym, ponurym wnętrzu. W pomieszczeniu, do którego weszliśmy, prawie nie było mebli. Pod ścianą stała skórzana kanapa, miejscami podarta i wystrzępiona. Siedziała na niej nieznajoma, starsza dziewczynka ubrana tak samo jak Mena. Pod szczelnie zasłoniętym oknem, przez które do pokoju nie wpadało światło dzienne, stał mały, drewniany stolik. Niczego nie rozumiałam: dlaczego tutaj nikt nie jest miły? I dlaczego jest tak ciemno, brudno i brzydko pachnie? Za wszelką cenę pragnęłam jednak się dostosować. Uznałam więc, że lepiej o nic nie pytać.

Matka usiadła na kanapie obok małego chłopca. Nie interesowała się tym, co robię, nie zaprowadziła do mojego pokoju ani w ogóle nic. Zwróciła się za to do starszej dziewczynki i to ona coś mi powiedziała. Cóż, przynajmniej zostałam zauważona, ale nie rozumiałam ani słowa. Rzuciłam Menie pytające spojrzenie. Dziewczyna na kanapie ciężko westchnęła, wstała, podeszła, popatrzyła na mnie z góry i powiedziała:

– Mam na imię Tara. Jestem twoją najstarszą siostrą. Mów do mnie *badzi*. Teraz musisz iść się przebrać, bo my w domu nie nosimy takich rzeczy. – Gestem pełnym dezaprobaty wskazała na moją najładniejszą sukienkę, w którą rano z taką dumą się ubrałam. Zawstydziałam się i spuściłam oczy. – Nie pokazujemy nóg. Będziesz musiała się do tego przyzwyczaić.

Potem odwróciła się i z powrotem usiadła na kanapie, skąd dalej mierzyła mnie nieprzyjaznym wzrokiem. Poczułam się jeszcze gorzej. Twarz mi płonęła od upokorzenia. Pomyślałam, że chyba zrobiłam coś nie tak, ale nie miałam pojęcia co. Byłam rozdarta: z jednej strony chciałam wiedzieć, co zrobiłam źle, a z drugiej za wszelką cenę nie chciałam zostać zbuczana przez matkę tak jak przed chwilą.

Na szczęście z pomocą przyszła mi Mena. Pociągnęła moje ramię i powiedziała:

– Chodź, zabiorę cię na górę, to się przebierzesz!

Wtedy weszła inna, trochę starsza pani. Spojrzała na mnie, a potem powiedziała coś do Tary – *badzi*, która odpowiedziała jej i lekceważąco machnęła ręką w moją stronę.

– Okej – odparłam, zastanawiając się, czego jeszcze ode mnie oczekiwano.

Pani zbliżyła się, a ja zrobiłam to, co powinnam.

– Dzień dobry – przemówiłam z nadzieją, że mój głos nie zdradzi smutku, jaki odczuwałam.

Pani miała na sobie takie same ubrania jak wszyscy w tym pokoju, ale prócz tego szal na głowie. Spod szala wystawał ciasno spleciony, przełożony przez ramię warkocz. Domyśliłam się, że Mena tłumaczy, kim jestem, choć nie rozumiałam, co powiedziała.

Tara odezwała się z kanapy:

– To Hanif. Jest żoną *padzi* i masz ją nazywać *bhabi*.

Uśmiechnęłam się do Hanif. Byłam zdezorientowana i zdenerwowana. Nie wiedziałam, co Tara ma na myśli. Kim jest *padzi*? Czy Hanif to nasza kolejna siostra? Nikt w mojej rodzinie nie wyglądał tak, jak się spodziewałam. Wszyscy byli znacznie starsi, nie zauważyli pięknej sukienki, w którą specjalnie się ubrałam, i nie powiedzieli mi prócz Meny nic miłego.

W tej samej chwili Mena ponagliła:

– Chodź, pora się przebrać.

Chciałam jej powiedzieć, jak bardzo się cieszę z jej obecności i że tym razem to ja czuję się niepewnie, ale szybko wyszła z pokoju i zaczęła wspinać się po stromych schodach. Ruszyłam za nią. Na górze zobaczyłam trzy pary drzwi – jedno na wprost, inne po prawej i kolejne po lewej. Panowała tam ciemność – przez zamknięte drzwi nie wpadało światło, brakowało tu też okien. Mena weszła do pokoju po lewej. Nie śmierdziało w nim tak jak na dole, bo na szczęście okno było otwarte. Zobaczyłam dwa duże łóżka, szafę, a na podłodze ciemny, zniszczony dywan. Na ścianach nic nie wisiało, tylko na suficie widniały zielonkawe plamy.

Zapytałam:

– Co się stało? I czemu wszyscy są tacy źli?

Mena mnie zignorowała. Pokazała na łóżko pod oknem i powiedziała:

– Będziesz tu spała razem ze mną. Na drugim śpi *badzi*.

Na gołym materacu piętrzył się stos koców. Poduszka była tylko jedna, szara i poplamiona. Nie miałam ochoty nawet siadać na tym łóżku, a co dopiero na nim spać. Zastanawiałam się, czy nie mogłabym wrócić do domu dziecka po pościel i moje ulubione koce. I po plakaty, żeby nadać tym gołym ścianom trochę przytulności.

Podniecenie związane z podróżą minęło. Już się nie cieszyłam. Wręcz przeciwnie – chciało mi się płakać. Nie miałam najmniejszej ochoty dzielić pokoju z Tarą, która budziła we mnie lęk i wydawała się stara.

– Ile lat ma Tara, to znaczy *badzi*? I kto śpi w pozostałych pokojach? – zapytałam. Miałam nadzieję, że gdzieś znajdzie się dla mnie przyjemniejszy kącik.

– *Badzi* ma prawie dwanaście lat. W pokoju obok mieszka Saber. Ale nie

wchodzi tam, on tego nie znosi. A drugi pokój należy do Hanif i *padzi*.

I znów ten *padzi*.

– Kim jest *padzi*? I gdzie śpi mama? Kto to jest ten mały chłopczyk na dole?

Mena się roześmiała.

– Ej, nie tak szybko. Nie martw się. Wszystko ci wytłumaczę. Mama nocuje na dole. Nie cierpi chodzić po schodach, więc śpi na kanapie razem z Salimem.

Nie rozumiałam, więc tylko pokręciłam głową.

Mena podeszła i otoczyła mnie ramieniem.

– Nie martw się – powiedziała ze współczuciem. – Cieszę się, że tu jesteś i że będę miała z kim rozmawiać. Wiem, że nie rozumiesz języka. Nauczę cię. Jeśli tylko będziesz się dobrze sprawować, wszystko będzie w porządku.

Dźwięczały mi w uszach słowa cioci Peggy, które skierowała do mnie tuż przed moim odjazdem. „Sprawuj się dobrze”. Uśmiechnęłam się do Meny niepewnie.

– Siadaj – powiedziała. Niechętnie usiadłam na skraju odrażającego łóżka. – *Badzi* znaczy „starsza siostra” i tak mówimy do Tary – wyjaśniła. – *Padzi* to „starszy brat” i chodzi o Manza, tego, który cię tu przywiózł. Hanif jest jego żoną, czyli twoją szwagierką. Inaczej *bhabi*.

– Dlaczego nikomu się nie podoba moje ubranie? Co w nim złego? – zapytałam, dotykając swojej najlepszej sukienki, która teraz wydała mi się ohydna.

– Sam, to dlatego, że jesteśmy muzułmanami. Muzułmanie ubierają się tak jak ja – odparła Mena. Widząc niezrozumienie na mojej twarzy, westchnęła: – No tak, zapomniałam, że ty nic o tym nie wiesz. Muzułmanie tak jak chrześcijanie wierzą w Boga, tylko trochę inaczej. W naszej religii ważne jest ubranie. A innych rzeczy dowiesz się później.

Przypomniałam sobie słowa, które powtarzaliśmy w szkółce niedzielnej.

– Wierzę w jednego Boga, w jeden Kościół – powiedziałam i poczułam ulgę. Przynajmniej coś się zgadzało. – Ale ja jestem chrześcijanką. – Już miałam dodać, że dlatego właśnie mogę nosić swoją sukienkę, lecz Mena szybko mi przerwała.

– Ciii, Sam, nie mów tego. – Chwyciła mnie za ramiona i lekko potrząsnęła.

– Ciszej! Jeśli tylko ktoś cię usłyszy, to oberwiesz.

– Co? – Z całą pewnością musiała żartować. – Oberwę? A dlaczego?

Zerknęła na zamknięte drzwi, zbliżyła się i powiedziała prawie szeptem:

– Kiedyś źle zmyłam podłogę i dostałam od mamy, a potem jeszcze od *badzi*. Teraz po prostu schodzę wszystkim z drogi.

Gapiłam się na nią z niedowierzaniem. Też kiedyś mi się oberwało. W szkole. Pewien chłopiec pociągnął mnie za włosy, czego nienawidziłam, więc odwróciłam się i uderzyłam go w twarz. Zanim nadeszła nauczycielka i nas rozdzieliła, zdążył oddać. Tego dnia za karę oboje nie poszliśmy na basen. Ale to był chłopiec w moim wieku. Nie potrafiłam sobie wyobrazić uderzenia przez

dorosłego. Zanim zdążyłam odpowiedzieć, Tara krzyknęła z dołu:

– Mena, przyprowadź Salima, jak będziesz szła jeść.

– Kto to jest Salim? – zapytałam.

– To nasz najmłodszy brat. W tym roku w lecie idzie do przedszkola. – Mena wskazała na drzwi obok. – Jest w tamtym pokoju. Chodź, przebierzesz się i weźmiemy go na dół.

– Obok? To znaczy w pokoju Sabera?

Skinęła głową.

– Ile lat ma Saber?

– Dwanaście. Jest dwa lata starszy ode mnie – odparła, po czym wstała i wzięła do ręki ubranie, które leżało w nogach łóżka. – Wstawaj, pomogę ci się przebrać.

Zdjęłam sukienkę, złożyłam ją ładnie i odłożyłam na łóżko. Z pomocą Meny przebrałam się w inny strój – jaskrawopomarańczową długą tunikę i takie same spodnie. Nigdy dotąd nie miałam na sobie czegoś takiego. Czułam się dziwnie, jak w przebraniu. Mena zawiązała mi szal na głowie. Na drzwiach szafy wisiało lustro. Spojrzałam na swoje odbicie. Czy to naprawdę ja? Trochę przypominałam mamę i siostry, dzięki czemu poczułam się bardziej na miejscu. Ale sztywny szal drapał, a za długie rękawy i nogawki były niewygodne.

– I co, w porządku? – Mena uśmiechnęła się niepewnie, jakby chciała, żeby dla jej dobra ubranie mi się spodobało.

– Chyba tak – odparłam i zdołałam zmusić się do niewyraźnego uśmiechu.

Mena wyszła z pokoju i otworzyła sąsiednie drzwi. Wyprowadziła zza nich Salima, małego chłopca, którego widziałam przedtem na dole.

– To twoja siostra, Sam – rzekła.

Salim spojrzał na mnie bez słowa.

– Cześć – powiedziałam z uśmiechem i wtedy trochę się rozpogodził.

Mena potargała jego włosy i ruszyli w dół po schodach, a ja za nimi. Szłam bardzo ostrożnie – bałam się, że mogę się potknąć o za długie nogawki.

Kiedy zeszliśmy do kuchni, spytałam Menę, gdzie jest łazienka. Wskazała mi tylne drzwi prowadzące na dwór.

– Tam.

Mam się załatwić na zewnątrz? Byłam przerażona. W ogrodzie, gdzie wszyscy będą mogli podglądać? Mena zauważyła moją reakcję i wyprowadziła mnie na dwór. Potknęłam się o próg. Ku mojej nieopisanej uldze pokazała mi drzwi tuż przy tych, przez które właśnie wyszłyśmy.

– Tu. Szybko, bo kolacja gotowa.

Ostrożnie popchnęłam drzwi, które skrzypnęły przerażająco, i zajrzałam do środka. Było tam ciemno i brzydko pachniało. Pod tylną ścianą dojrzałam ubikację. Weszłam do zimnego pomieszczenia i dotknęłam ściany, by wymacać włącznik

światła, ale natychmiast cofnęłam rękę, bo okazało się, że ściana jest lepka i wilgotna.

– Szybciej – ponagliła Mena.

Przez małe okienko wpadł promień światła. To musiało wystarczyć.

Kiedy się załatwiłam, zamknęłam za sobą drzwi i zadrżałam – ale nie z zimna.

– Gdzie można umyć ręce?

– Tu – odparła moja siostra.

Wróciłyśmy do ciepłej kuchni, gdzie umyłam ręce pod zimną wodą. Zajęta przy kuchni Hanif zlustrowała mnie od góry do dołu i powiedziała coś do Meny. Nic nie rozumiałam, ale Mena przetłumaczyła:

– Mówi, że teraz dobrze wyglądasz.

Obie się uśmiechnęły.

Ale ja wcale tak nie uważałam. Nie było mydła, nie mogłam więc zmyć z rąk ohydnej lepkości ze ścian ubikacji, a za luźne w talii spodnie spadały mi, i wciąż musiałam je podciągać. Czułam się bardzo nieswojo.

Gdy Mena mówiła coś do Hanif, rozejrzałam się za czymś do wytarcia rąk. Nie zauważyłam nic, co by się nadawało, więc szybko otarłam dłonie o ubranie. Ogarnęłam wzrokiem kuchnię. Nie zobaczyłam tam stołu, tylko blat w całości pokryty mąką. Stały na nim jakieś miski i słoiki. Kuchenka była włączona, ze stojących na niej garnków z przypalonymi czarnymi brzegami unosiła się para.

– Dobra – rzekła Mena. – Pora jeść. – Z tymi słowami wręczyła mi talerz. – Rób to co ja – poinstruowała. Najpierw wzięła ze stosu na brzegu blatu coś, co przypominało placek, a potem Hanif nałożyła jej czegoś z garnka. – To kurczak – wyjaśniła.

Zrobiłam to samo, uprzejmie mówiąc do Hanif, która nałożyła i mnie:

– Dziękuję.

W odpowiedzi tylko się roześmiała.

Weszłyśmy do pokoju, w którym dotychczas nie byłam. Już w progu poczułam silną woń, której nie potrafiłam rozpoznać. Trochę przypominała mi zapach mokrej sierści Jeta lub zapach jesiennych liści, jaki pamiętałam ze spacerów po Chase. Miałam ochotę się odwrócić i wyjść. Mena weszła jednak do środka, a ponieważ od wyjazdu z domu dziecka nic nie jadłam i byłam bardzo głodna, zrobiłam to samo.

W pokoju panował chłód – prawie taki sam jak w toalecie na zewnątrz – ale przynajmniej było światło, które zapaliła Mena. Usiadłyśmy na jedynym meblu stojącym w pokoju – na czarnej, zapadniętej kanapie, z talerzami na kolanach. W domu dziecka zawsze jadalśmy przy stole, nie wiedziałam więc, czy sobie poradzę. Podpatrywałam, co robi Mena.

Ona zaś postawiła sobie talerz na kolanach, odłamała kawałek placka,

zamoczyła go w sosie i zjadła.

– Na co czekasz? – wymamrotała z pełnymi ustami.

– Co mam robić? – zapytałam. – Gdzie noże i widelce?

– Weź *roti* do ręki, odłam kawałek i nabierz nim sosu. O tak, patrz. – I znowu nabrała sobie jedzenia na placek, a potem włożyła do ust. – Pycha – mruknęła z zadowoleniem.

Wzięłam więc *roti* w palce, za przykładem Meny oderwałam kawałek, nabrałam trochę kurczaka i wsunęłam do ust.

Au! Miałam wrażenie, jakbym połknęła ogień. Cała buzia zaczęła mnie potwornie piec. Chciałam pozbyć się tego straszego smaku, ale ponieważ starałam się dobrze sprawować, nie wyplułam jedzenia. Zamachałam tylko desperacko rękami, a Mena zerwała się i zawołała:

– Przyniosę ci wody! – I wybiegła.

Zdołałam jakoś przełknąć ten kęs. Kiedy Mena wróciła z kubkiem, wyrwałam go z jej ręki i wychyliłam do dna.

– Fuj! – powiedziałam. – Co to jest? Nie mogę tego jeść.

Usłyszałam śmiech. To Tara i Hanif przyszły za Meną sprawdzić, o co chodzi, a teraz się ze mnie naśmiewały.

– To curry – wyjaśniła Mena.

Nigdy w życiu nic podobnego nie jadłam. Byłam przyzwyczajona do jedzenia, które dostawaliśmy w domu dziecka – na przykład do kiełbasek albo gulaszu. I do frytek, które uwielbiałam.

Hanif i Tara coś do siebie powiedziały i wróciły do kuchni.

– Co mówiły? – spytałam Menę. Nie znosiłam tego, że nic nie rozumiem. Wyobrażałam sobie, że to docinki pod moim adresem.

I miałam rację. Mena spuściła wzrok i odparła:

– Powiedziały, że nie mają pojęcia, co mogłyby dla ciebie ugotować, więc będziesz musiała się przyzwyczaić.

– Ale ja tego nie lubię! Nie ma nic innego? – Potwornie piekły mnie wargi, miałam wrażenie, że są całe poparzone. Dotknęłam ich ostrożnie.

– Nie, nic nie ma. Wiem, że ci nie smakowało – westchnęła. – Słuchaj, zjedz po prostu samo *roti*. Bez sosu.

Oderwałam kawałek placka, nieumazany w sosie, i nieśmiało wsunęłam do ust. Bez curry smakował dobrze – trochę jak suchy tost.

– W porządku, zjem – odparłam.

– Będziesz musiała przywyknąć do naszego jedzenia, Sam. Nie martw się, jak będzie ryż, znacznie łatwiej to przełknąć – dodała, kiedy zrobiłam nadąsaną minę. – Ale dzisiaj za ciebie dokończę, dobrze? – zaproponowała.

Wręczyłam jej swój talerz, a ona wylizała go do czysta. Byłam ciekawa, czemu nie ma więcej jedzenia. Jeśli w domu dziecka ktoś się nie najadł, zawsze

mógł sobie wziąć kromkę chleba z masłem. O deser nie pytałam, uznałam, że to nieuprzejme. Marzłam, a z głodu nie udawało mi się rozgrzać. Myślałam, że może potem będę mogła wziąć gorącą kąpiel – pomogłaby. Nie widziałam jednak łazienki. Wolałam nie dowiedzieć się, że i ona znajduje się na zewnątrz, a w środku nie ma światła. Kiedy Mena skończyła jeść, poszliśmy do kuchni odstawić naczynia do zlewu.

Z pokoju, w którym siedziały Tara z matką, dobiegł rozkazujący głos tej pierwszej:

– Pozmywaj!

– Dobrze – powiedziała Mena.

Ciocia Peggy nigdy nas o to nie prosiła, nie pozwalała też, byśmy tak niegrzecznie zwracały się do siebie. Mówiła, że to nieuprzejme. Mena pozmywała i odłożyła naczynia na suszarkę. Stałam obok i się przyglądałam. Chciałam, żeby mi tłumaczyła wszystko, co się dzieje wokół mnie. Liczyłam, że może wtedy nowe otoczenie przestanie wydawać się takie zniechęcające. Prócz tego wciąż popijałam wodę, żeby złagodzić pieczenie w ustach, które na szczęście powoli ustępowało. Mena skończyła zmywać, strząsnęła wodę z rąk i wytarła je o sukienkę.

W domu dziecka i na górze, i na dole stały zegary, nawykłam więc do tego, żeby na nie zerkać i sprawdzać, która jest godzina. Dzięki temu wiedziałam, co mam kiedy robić. Tu nigdzie nie widziałam zegara, spytałam o to Menę:

– Która godzina?

– Nie wiem – stwierdziła, wzruszając ramionami. – Ale jeszcze nie musimy się kłaść, bo Manz nie wrócił do domu.

– Nie macie zegara?

– Nie musimy wiedzieć, która godzina.

Chciałam ją zapytać dlaczego, ale w głowie kłębiły mi się inne pytania. Na przykład w ogóle nie poznałam jeszcze swojego brata Sabera. A dokąd poszedł Salim? Gdzie jadł? Dlaczego cała rodzina nie posilała się razem? Poszłam razem z Meną do tego samego pokoju, w którym jadłyśmy. Tam opowiedziała więcej na temat tego, co się dzieje w domu. Miałam do niej mnóstwo pytań, ale nie na wszystkie potrafiła odpowiedzieć.

Przede wszystkim interesowało mnie, dlaczego matka nie przyszła sprawdzić, czy ładnie zjadłyśmy – jak to robiła ciocia Peggy w domu dziecka. Ona przychodziła zawsze, by upewnić się, czy talerze zostały do czysta opróżnione.

Potem wrócił Manz. Hanif udała się do kuchni, gdzie nałożyła mu talerz jedzenia, a do nas powiedziała, że skoro Manz już jest, pora się kłaść.

– Gdzie będziemy myć zęby? – zapytałam. Byłam ciekawa, czy żeby skorzystać z łazienki, trzeba będzie wychodzić na dwór.

– Chodź ze mną – odparła Mena. Podeszła do zlewu w kuchni, wzięła solniczkę, zanurzyła w niej palec i zaczęła pocierać nim o zęby, po czym splunęła

i wypłukała usta wodą. Przyglądałam jej się oniemiała.

– Nie używasz szczoteczki? Ani pasty?

– Nie – odpowiedziała. – Nie ma. Rób to co ja.

Próbowałam, ale omal nie zwymiotowałam od słonego smaku w buzi. Potem poszliśmy na górę. Tara już leżała w łóżku, odwrócona do nas plecami. Mena weszła do łóżka i zaczęła owijać się kocem.

– Muszę się przebrać przed snem – szepnęłam, nie chcąc budzić Tary. – Gdzie moja walizka?

– Nie wiem. Śpij w ubraniu. Tak jak ja.

– Nie, chcę się przebrać w piżamę – nalegałam. – Kto zabrał moją walizkę?

Mena usiadła i powiedziała opryskliwie:

– Śpij w ubraniu, a jutro jej poszukamy, dobrze? – Znów się położyła i nakryła kocem po samą szyję.

Chciałam się przebrać. Zawsze to robiłam przed pójściem spać. Wiedziałam, że im więcej czynności będę robić tak samo jak w domu dziecka, tym lepiej będę się czuła. Było mi wszystko jedno, co o tym sądzi Mena. Musiałam znaleźć walizkę. Uznałam, że na pewno wciąż jest na dole.

– Muszę iść do ubikacji. Pójdiesz ze mną? – zapytałam Menę. W duchu postanowiłam, że kiedy znajdę się na dole, rozejrzę się za walizką.

– Zwariowałaś? – syknęła. – Jest ciemno! Ja nie wychodzę na dwór i tobie też nie radzę. Porwie cię zły duch!

Przypomniałam sobie, jak strasznie Mena się bała, kiedy z Amandą opowiadałyśmy sobie historie przed snem, więc powiedziałam po prostu:

– Złe duchy nie istnieją.

Mena milczała chwilę, po czym stwierdziła:

– Matka cię skrzyczy, jak będziesz hałasować.

– Ona śpi na dole?

– Tak. Już ci mówiłam. Jak wchodzi na górę, za bardzo się męczy.

– Och, Mena, błagam cię, chodź ze mną.

Odmówiła jednak, więc zebrałam się na odwagę i poszłam sama. W domu panowała cisza, ale światła wciąż się paliły, widziałam zatem, gdzie idę. Najciszej jak mogłam, zesłam na dół, a stamtąd przedostałam się do kuchni. Nigdzie nie znalazłam swojej walizki. Otworzyłam tylne drzwi. Na dworze było ciemno i cicho – tylko z ulicy dochodził odległy szum przejeżdżających samochodów. Teraz nie czułam się już taka odważna. Zostawiłam drzwi ubikacji otwarte i załatwiłam się jak najszybciej, a potem pomknęłam z powrotem do środka. Zamykając drzwi kuchenne, zadrżałam i prędko pobiegłam do łóżka.

– A więc zły duch cię nie zabrał – powiedziała Mena, kiedy weszłam pod koc.

Cieszyłam się, że mogę z nią spać tej nocy – miniony dzień był taki dziwny.

– Nie, mówiłam ci, że one nie istnieją – powtórzyłam z nadzieją, że sprawiam wrażenie odważniejszej niż w rzeczywistości.

Leżałam bez ruchu. Próbowałam nie myśleć o tym, jak wyglądał materac. Mena przewracała się z boku na bok, a ja modliłam się, by zasnąć. Pierwszy dzień z rodziną nie upłynął tak, jak oczekiwałam. Może jutro będzie lepiej. Pomyślałam o cioci Peggy i o tym, co mi powiedziała. Będę się dobrze sprawować. Może wtedy mnie pokochają.

Tej nocy miałam sen. Dziwny sen, w którym poszłam sama do Chase i zabłądziłam. Znalazłam się w podmokłej części lasu i, choć było widno, stałam i zastanawiałam się, którędy dojść do domu. Moje nozdrza cały czas wypełniał zapach gnijących liści. Potem poruszyła się śpiąca obok Mena i gwałtownie się obudziłam. Zapach nie zniknął, za to uświadomiłam sobie, że nie leżę w swoim miłym i wygodnym łóżku, a ze ścian nie przyglądają mi się uśmiechnięte twarze gwiazd muzycznych, ale że znajduję się w brudnym pokoju w tym dziwnym domu. Nie wiedziałam, która jest godzina, w każdym razie na zewnątrz już świtało. Leżałam przez jakiś czas bez ruchu. Ponieważ nie słyszałam, żeby gdzieś ktoś się krzątał, zamknęłam oczy i znowu zasnęłam.

Kiedy się ponownie obudziłam, przygniatała mnie Mena, która, zwinięta w kłębek, wciąż spała głębokim snem. Nie chciałam jej budzić. We wpadającym przez cienkie zasłony światło widziałam, jak okropne jest to łóżko i jakie brudne są ściany. Wciąż ogromnie się cieszyłam, że jestem z rodziną, tylko bardzo rozczarowałam się niechlujnym domem. Wyobrażałam sobie, że mieszkają w ładnym miejscu, a to, co zobaczyłam, popsło mi nastrój jeszcze bardziej niż wczorajsze powitanie.

Uświadomiłam sobie, jest niedziela. Byłam ciekawa, czy pójdziemy do kościoła. Raczej nic na to nie wskazywało, bo wszyscy ciągle spali. A w domach naprzeciwko? Ostrożnie, by nie zbudzić Meny, wyslizgnęłam się z łóżka i wyjrzałam przez szparę w zasłonach. Wszystkie okna w zasięgu wzroku wciąż były zasłonięte. Czy tu nikt nie chodził do kościoła? Usłyszałam za sobą jakiś dźwięk. To otworzyły się drzwi jednej z pozostałych sypialń. Nikt do nas nie zajrzał, nie kazał nam wstawać i iść się myć. Kroki oddaliły się ku schodom. Postanowiłam iść za nimi. Mena podniosła głowę z poduszki i zapytała:

– Gdzie idziesz?

– Na dół. Muszę do łazienki.

Jęknęła.

– Nie wstawaj tak wcześnie. Jak ty wstaniesz, to ja też będę musiała.

Dlaczego nie chciała wstawać? Kolejna tajemnica. Wgramoliłam się z powrotem do łóżka i położyłam obok niej.

– Która godzina?

– Nie mam pojęcia. Wcześnie jeszcze. Zresztą zobacz, ja wstaję, jak ktoś rozsunie zasłony w domu naprzeciwko. Już są rozsunięte?

– Nie.

– No to możemy spać.

– Nie mogę. – Usiadłam i właśnie miałam zapytać Menę, czemu nie można zejść na dół, kiedy Tara krzyknęła na nas spod kołdry:

– Zamknijcie się, próbuję spać!

Spojrzałam na Menę, która uniosła brwi, po czym przekręciła się na bok z zamiarem ponownego zaśnięcia.

Siedziałam znudzona na łóżku i przez szparę w naszych zasłonach obserwowałam, czy przypadkiem ktoś nie rozsunał tamtych.

Nagle podskoczyłam.

– Już! W końcu ktoś rozsunał zasłony, pora wstawać!

Mena znowu jęknęła, a Tara warknęła spod pierzyny:

– O co ci chodzi? Kładź się i śpij. Do czego ci się tak spieszy?

– Muszę do toalety. – Było mi wszystko jedno, jak zareagują, podeszłam więc do drzwi naszego pokoju. – Idę na dół.

Na dole, na sofie siedziała matka z Salimem. Podniosła na mnie wzrok, a ja powiedziałam jej „dzień dobry” najlepiej jak potrafiłam. Zupełnie to zignorowała, więc od razu wyszłam na dwór. Podłoga małej ubikacji była zimna. Zadrzałam. Kiedy w niej siedziałam, zobaczyłam, jak tam obrzydliwie – nawet za dnia. Miałam wielką nadzieję, że odnajdę walizkę i wyjmę z niej kapcie, by nie dotykać ohydnej podłogi. Otworzyłam drzwi i wróciłam do kuchni.

Tara zderzyła się ze mną w przejściu.

– No, wreszcie – powiedziała.

– Dopiero co weszłam – zaczęłam, ale zatrzasnęła mi drzwi przed nosem i nic nie odpowiedziała. Cicho, na paluszkach, weszłam do cieplej kuchni, gdzie wyczyściłam sobie stopy.

Przy piecu stała Hanif i piekła okrągłe placki. *Roti*, poprawiłam się. Przyglądałam się, jak przewraca je dłońmi obsypanymi mąką, jak szybko zabiera ręce, by się nie poparzyć. Zaburczało mi w brzuchu, ale nie wiedziałam, jak ją zapytać, czy mogę wziąć jeden. Nie widziałam też ani misek, ani płatków do mleka. Wiedziałam, że nawet jeśli zapytam naprawdę bardzo grzecznie, i tak mnie nie zrozumie, poczekałam więc, aż wróci Tara. Wtedy spytałam:

– Przepraszam bardzo, czy mogłabym dostać coś na śniadanie? Jestem naprawdę bardzo głodna.

– Co? – zapytała.

– Jestem głodna.

Hanif coś burknęła, Tara jej odpowiedziała, a potem zwróciła się do mnie:

– Chcesz tosta?

– Tak, poproszę.

– Tu jest chleb. – Tara wskazała na półkę. – Podaj mi go. – Leżała tam paczka białego pieczywa tostowego, którą posłusznie jej podałam. – Otwórz sobie. Nie mam zamiaru wszystkiego za ciebie robić – rzekła.

Nigdy przedtem nie odpakowywałam chleba, więc sobie z tym nie radziłam. Przez chwilę gmerałam przy torebce.

– Och, czy ty naprawdę niczego nie potrafisz zrobić? – warknęła Tara. – Daj mi to.

Hanif znów się odezwała, Tara uśmiechnęła się i oddała mi nieotwartą paczkę chleba, mówiąc:

– Powiedziała, że musisz się nauczyć robić różne rzeczy. Dopóki nie otworzysz, nic nie dostaniesz.

Wciąż nie wiedziałam, jak otworzyć tę paczkę. Z chwili na chwilę stawałam się coraz bardziej głodna i zdenerwowana. Rozdarłam więc plastik i wyciągnęłam kilka kromek.

– Po co to robisz, głupia dziewczyno! – zawołała Tara, wrywając mi chleb z rąk. – Teraz cały się zeschnie.

– Bo chcę coś zjeść.

– Lepiej się słuchaj. Teraz nie mam zamiaru nic dla ciebie robić.

Byłam głodna i miałam tego dość. Dlaczego Tara musiała tak wszystko utrudniać? Czy nie mogłam po prostu wziąć sobie kromki chleba?

– A teraz oddaj mi ten chleb – rozkazała, wskazując na kromki, które wciąż trzymałam w ręku.

Szybko wsunęłam sobie jedną z nich do buzi. Cokolwiek było lepsze niż nic.

Tara schwyciła moją rękę.

– Wypluj to!

Nie wyplułam. Wręcz przeciwnie, przełknęłam. Tara zaklęła i odepchnęła mnie, a ja odbiłam się od lodówki i przewróciłam na podłogę. Rozplakałam się, a wtedy weszła matka. Nie chciałam wpaść w tarapaty, więc od razu zaczęłam się tłumaczyć:

– Mamo, to nie moja wina, ona...

Matka nawet na mnie nie spojrzała. Powiedziała coś do Hanif, która podała jej talerz resztek z wczorajszej kolacji, popatrzyła na Tarę i wyszła. Przez cały czas byłam dla niej jak niewidzialna. Tara rzuciła mi wściekłe spojrzenie i powiedziała coś do Hanif, która wybuchnęła śmiechem. Tara odłożyła chleb na półkę, po czym obie poczęstowały się jedzeniem i w ślad za matką wycofały się z kuchni. Ja zostałam na podłodze. Płakałam. Jak ktokolwiek mógł się tak zachować, a co dopiero własna siostra?

Przyszła Mena. Ukłękła obok i otarła mi oczy rękawem.

– Co tu się dzieje? – zapytała takim samym głosem, jakim ja zwracałam się do Amandy, chcąc ją pocieszyć w sytuacji, gdy głupio się zachowałam.

– Tara nie chciała mi dać śniadania. Nie pozwoliła wziąć chleba. Rozdarłam torebkę, a ona ją wyrwała i mnie odepchnęła. Przyszła matka, ale nic nie powiedziała – szlochałam.

– Mówiłam ci, żebyś została na górze. Trzeba poczekać, aż wszyscy sobie pójda – odparła. – Ja tak robię. – Chciałam powiedzieć: cóż, szkoda, że mnie nie uprzedziłaś, ale milczałam. Pomogła mi wstać. – To co, zrobimy sobie tosty? – zapytała.

– Tak, poproszę.

Mena wyjaśniła, że zawsze mamy świeży chleb, ponieważ Manz, który pracuje w piekarni, co wieczór przynosi pieczywo. Pokazała mi, jak otworzyć paczkę, odwiązując torebkę, gdzie jest patelnia do grillowania i jak na niej podpiekać tosty. Kiedy to wszystko robiła, poczułam się trochę lepiej. Siedziałam na stołku i przyglądałam się, a ona kręciła się po kuchni z zachęcającym uśmiechem. Cieszyłam się, że jest i że choć ona jest dla mnie miła. Zdawało się, że nikt z pozostałych w ogóle się mną nie przejmuje, a z matką od czasu, kiedy przestąpiłyśmy próg domu dziecka, nie rozmawiałam ani razu.

Kiedy tosty były gotowe, Mena wyjęła z lodówki margarynę i trzonkiem łyżki rozsmarowała ją na chlebie.

– Zjedzmy w kuchni – powiedziała – bo jeśli pójdziemy do nich, matka od razu znajdzie nam coś do roboty.

Stałyśmy więc w kuchni i jadłyśmy.

Kiedy skończyłyśmy, poczułam się o wiele lepiej. Znow zainteresowałam się swoją walizką. Ciekawa jestem, co się z nią stało. Czy tam jej nie ma?

Przed tylną ścianą kuchni rozciągnięto zasłonę. Wstałam i zajrzałam za nią. Nacisnęłam przyczek na ścianie.

– Jest? – chciała wiedzieć Mena.

– Nie, walizki nie ma. A co to w ogóle jest?

Za zasłoną było pusto – tylko betonowa podłoga, gołe ściany, bojler, a na środku coś w rodzaju dużego blaszanego wiadra, które kojarzyło mi się z poidłem dla zwierząt, oraz parę niskich stołków.

– Tu się kąpiemy i pierzemy ubrania – wyjaśniła Mena.

– Żartujesz.

– Nie. Raz w tygodniu jest kąpiel. A ubrania pierzemy w każdą niedzielę.

Raz w tygodniu? Tylko? W domu dziecka co drugi dzień mogłam wylegiwać się w wannie pełnej pachnących bąbelków.

Po prostym śniadaniu poszłyśmy z powrotem na górę, do sypialni. Przez otwarte okno słyszałam, że cała okolica już nie śpi, a dzieci bawią się na dworze.

– Chodźmy się pobawić – zaproponowałam.

Mena odpowiedziała szybko:

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo nie chcę.

– Dlaczego nie chcesz?

– Bo ci chłopcy są okropni. Można od nich dostać kopniaka. A jeśli uda im się mnie przyłapać, jak idę do sklepu kupić mleko lub cokolwiek innego, zawsze zabierają mi pieniądze. Nie chcę już chodzić po zakupy.

– Dobrze – odparłam – ale w ogródku chyba możemy się pobawić?

Mena zastanawiała się chwilę, po czym odrzekła:

– Zgodna, możemy zapytać.

Pobiegłyśmy na dół, do kuchni. Zastałyśmy tam Hanif. Mena rozmawiała z nią przez chwilę, po czym Hanif poszła do pokoju, w którym siedziała matka. Mena oznajmiła:

– Mówi, że dobrze i że możemy też wziąć Salima.

Był piękny, słoneczny poranek. Słońce przyjemnie grzało. Wyszliśmy na dwór, do ogrodu równie dużego jak ten w domu dziecka, ale całkiem zaniedbanego. Pod sam płot ciągnął się zapuszczony trawnik. W niektórych miejscach trawa była nawet wyższa ode mnie. Znajdował się tam też niewielki placyk wyłożony płytami chodnikowymi, ale w szparach między nimi też rosła wysoka trawa. Pośrodku ogrodu stało duże drzewo. Z gałęzi zwisała lina, a na niej kiwała się opona.

– Huśtawka! – krzyknęłam, zadowolona, że wreszcie widzę coś znajomego.

– Saber ją zrobił – wyjaśniła Mena.

Zaczęłam się bujać. Tymczasem Salim znalazł gdzieś sflaczałą piłkę i zaczął się nią bawić. Kopnął ją w wysoką trawę i już miał rzucić się za nią w pogoń, kiedy Mena powiedziała:

– *Nahi Salim ider ow.*

Salim zatrzymał się, a Mena zanurkowała w trawę, by poszukać piłki. Rzuciła mu ją, mówiąc:

– *Ider ow.*

Następnie zaprowadziła Salima na wyłożony płytami chodnikowymi placyk.

– Co powiedziałaś? – spytałam, zaciekawiona, i zatrzymałam huśtawkę.

– Kiedy?

– No, przed chwilą. Słyszałam coś w rodzaju *ider ow*.

– Och, to znaczy „chodź tu”. *Ow* znaczy „chodź”, a *ider* – „tutaj”.

– *Ider ow*, Mena, *ider ow*! – powiedziałam, a ona się roześmiała. – A jak się mówi „nie”?

– *Nahi.*

– A „tak”?

– *Dzi.*

– *Dzi, nahi, ider ow, dzi, nahi, ider ow* – wyśpiewałam parę razy, wymachując rytmicznie nogami, by jej pokazać, jak wysoko potrafię się huścić.

Mena postąpiła maleńki krok w moją stronę.

– Nie huśtaj się tak wysoko, bo lina pęknie.

Jej strach zaczął mnie irytować.

– Jak się mówi „nie pęknie”?

– Powiedz po prostu *nahi*.

– *Nahi*, Mena, *nahi*! – zaśmiałam się.

Po chwili jednak przestałam, bo zdałam sobie sprawę, że Mena rzeczywiście bardzo się boi. Postanowiłam więc wejść na drzewo. W Cannock Chase zawsze łąziłam po drzewach, byłam w tym całkiem niezła. Moja siostra nie przestawała panikować.

– Sam! Schodź na dół! – krzyczała. – Proszę cię, bo zaraz spadniesz!

Chciałam odpowiedzieć, że wszystko w porządku i że nic się nie stanie, ale pomyślałam, że tego dnia będę się jej słuchać, a w przyszłości na pewno nie zabraknie okazji, by połączyć po drzewach.

Weszłam w trawę – tak wysoką, że mogłam się położyć i całkowicie ukryć. Było tu miło i przyjemnie, sucho i ciepło w słońcu. Rozłożyłam szeroko ręce i nogi, by wygnieść w trawie swój kształt. Przyszedł Salim i zrobił to samo. Oboje zaśmialiśmy się z tego, że mnie naśladuje. Trawa nas łaskotała.

– Za długo jesteśmy poza domem – odezwała się Mena, która cały czas nie opuszczała wyłożonego płytami kawałka ogrodu. – Musimy już wracać.

Jej nerwowość znów zaczęła mnie drażnić, ale nic nie powiedziałam. Zamiast tego podniosłam Salima i go połaskotałam, a potem goniłam aż do samego domu.

Znowu musiałam skorzystać z toalety. Już wcześniej zauważyłam, że nie ma papieru. Ponieważ nie mogłam wytrzymać, zapytałam Menę, gdzie go trzymają. Chciała wiedzieć, dlaczego pytam, więc jej powiedziałam. Odparła na to:

– My, muzułmanie, nie używamy papieru. Po prostu się myjemy. W ubikacji jest *lota*. – Nie wiedziałam, o co chodzi, więc Mena wyjaśniła mi, że to plastikowy dzbanek z dzióbkiem. – Napełnij *lota* wodą i zabierz ze sobą do ubikacji. – Zrobiłam tak, jak kazała, i wzięłam ze sobą, ale wciąż nie wiedziałam, jak się umyć, dlatego skorzystałam z leżących na parapecie kawałków gazety. Dopiero parę tygodni później odkryłam, jak domownicy korzystają z toalety. Pewnego dnia zobaczyłam, jak matka myje się przy użyciu *lota*. Zostawiła otwarte drzwi ubikacji, widziałam zatem, co robi. W ten sposób nauczyłam się myć po załatwieniu potrzeby.

Tymczasem zaczęłam uważniej rozglądać się po domu. Matka sprzeciwiała się rozsuwaniu zasłon, żyliśmy więc w półmroku. Musiało nam wystarczyć mdłe światełko wiszącej pod sufitem żarówki. Na początku nie rozumiałam dlaczego. Minęło sporo czasu, zanim się tego dowiedziałam.

Razem z Meną zwiedziłam pokój matki. Naprzeciwko kanapy stała w nim niewielka komoda, na niej telewizor i odtwarzacz wideo. Na tej samej ścianie znajdowały się drzwi do pokoju, w którym z Meną jadałyśmy posiłki. Ściany

pomalowano na brązowawy kolor, a podłogę pokryto czymś brudnym i szarym, chyba linoleum. Brud nie przeszkadzał Salimowi, który natychmiast na niej usiadł i zaczął się bawić czerwono-białym samochodzikiem.

Dziwne, jak mógł się bawić w takim hałasie. Matka i Hanif robiły coś przy drewnianym stole, który potem zaczęłam nazywać warsztatem. Podeszłam, by zobaczyć, czym się zajmują. Może przygotowują nam jakąś zabawkę lub grę. Tara siedziała obok nich na podłodze.

Matka powiedziała coś do Meny, wskazując na nas obie.

– Siadaj obok – rzekła Mena. Tara fuknęła na mnie i odwróciła głowę. Musiałam wcisnąć się między Menę a ścianę. – Musimy im pomagać – wyjaśniła moja siostra.

Przyglądałam się, jak Mena i Tara wyjmują coś ze stojących przed nimi toreb. W jednej były groźnie wyglądające kawałki metalu długości mniej więcej moich palców, z ostrymi, postrzępionymi brzegami, a w drugiej – śrubki. Rozpoznałam, że to śrubki, bo ciocia Peggy naprawiała raz przy mnie wtyczkę. Zafascynowana patrzyłam, jak mała metalowa śrubka znika w dziurce i chwytą drugą część wtyczki tak mocno, że nie można ich rozdzielić. Nie wiedziałam jednak, po co są te metalowe szczęki.

– Popatrz, co robimy – odezwała się Mena. Wzięła dwa kawałki metalu, przyłożyła je równo do siebie, po czym wsunęła śrubkę w otworek i mocno dokręciła. Kiedy już to zrobiła, odłożyła metalową część na warsztat. Stamtąd odebrała ją Hanif, umocowała w podstawie szczęk sprężynkę, a potem podała je matce. Ta z kolei umieściła całość w maszynie i nacisnęła długą wajchę. Maszyna wydała zgrzyt, matka podniosła wajchę, wyciągnęła włożoną przedtem część i schowała ją do torby stojącej po prawej stronie.

– Masz, spróbuj – odezwała się Tara, mierząc mnie wzrokiem.

Czułam, że tylko czeka, aż popełnię błąd. Będzie wtedy mogła szydzić i po raz kolejny udowodni matce, że jestem niezdarą. Okazało się, że mam rację.

– Popatrz, masz robić tak – warknęła. – Jesteś beznadziejna. Dlaczego nie robisz tak, jak ci pokazałam?

– Nie zdążyłam się temu dokładnie przyjrzeć – odparłam. – Pokaż mi jeszcze raz.

Jej palce znowu wykonały kilka błyskawicznych ruchów. Nie mogłam za nimi nadążyć, więc tylko patrzyłam. Potracona łokciem przez Menę, zamiast patrzeć na Tarę przeniosłam wzrok na nią. Choć Tara wciąż rzucała mi niecierpliwie spojrzenia, złożyłam jakoś jeden element, który cudem nie rozpadł się w rękach. Pracowałam znacznie wolniej od reszty, moje palce nie były przyzwyczajone do wykonywania tych dziwnych ruchów, więc zdążyłam złożyć ledwie dziesięć elementów, kiedy matka powiedziała coś do Meny. Ta spojrzała na mnie i rzekła:

– Skończymy tylko te, które robimy teraz, i idziemy podać kolację.

Byłam zdziwiona, że musimy to robić. W domu dziecka nie pomagaliśmy przy wieczornym posiłku. Milczałam jednak do chwili, kiedy obie posłusznie wstałyśmy z podłogi i poszłyśmy do kuchni. Cieszyłam się, że ktoś wreszcie wspomniął o jedzeniu, bo od rana bardzo zgłodniałam.

– Zawsze musisz pracować? – zapytałam Menę, kiedy wyszłyśmy z pokoju.
– Musisz też gotować?

– Nie, gotują głównie Hanif z Tarą, ale ja muszę podawać kolację matce i pozostałym. Cieszę się, że będę miała kogoś do pomocy – powiedziała z uśmiechem.

Rozmawiałyśmy sobie, a Mena wyjaśniała mi po kolei, co robi. Wyjęła z szafki talerze i nałożyła na nie ryżu z dużego garnka. Potem wzięła chochlę i polała każdą porcję tym okropnym, ostrym sosem z poprzedniego dnia.

– Co to było – to, co tam robiłyśmy? – zapytałam.

– To są części do czegoś, co się nazywa przewody rozruchowe. Każdy samochód ma akumulator, żeby mógł uruchomić silnik. Czasem akumulator się psuje. Wtedy zakłada się na niego te zaciski, podłącza się je do akumulatora w drugim samochodzie i można zapuścić silnik – wyjaśniła i dodała: – Choć nigdy nie widziałam, jak to się robi. Potem do tych zacisków, które my składamy, ktoś dołącza jeszcze przewody.

Zapytałam Menę, dlaczego robią je tutaj, w domu, a ona odpowiedziała, że matka dostaje pieniądze za każdą torbę szczęk i że wszyscy musimy jej pomagać.

– Musimy to robić codziennie? – Nie kryłam zdumienia.

Mena odparła, że nie – kiedy chodzimy do szkoły, to nie. I dodała, iż nie wolno mi nikomu mówić, że matka w ten sposób zarabia. To tajemnica.

Robienie szczęk stało się więc naszym codziennym zajęciem, moim i Meny. Razem składałyśmy zaciski, wkładałyśmy śrubkę w otworek i podawałyśmy matce. Z kolei ona i Hanif mocowały sprężynkę przy użyciu tej głośnej maszyny, po czym wrzucały zacisk do torby. Wkrótce dowiedziałam się, że co drugi dzień ktoś przychodzi i odbiera pełne torby. Tara siedziała obok mnie i Meny, ale nie pracowała, tylko cały czas mówiła nam, co źle robimy.

– Rób tak, a nie tak – instruowała, a my jej słuchałyśmy. Cieszyłyśmy się, że możemy pomóc matce. Nie traktowałam tej pracy jako ujemny honorarium, ale jako kolejne dziwactwo mojego rodzinnego domu. Zaciski, które źle działały, zostawiałyśmy dla siebie, a potem używałyśmy ich jako klamerek do bielizny.

Mena wytłumaczyła mi, dlaczego musimy mieć stale zaciągnięte zasłony w oknach. Matka zarabiała, składając te szczęki, a jednocześnie pobierała zasiłek na dzieci. To było nielegalne. Bała się nie tylko tego, że zostanie przyłapana i będzie musiała oddać pieniądze, ale przede wszystkim przerażała ją możliwość utraty statusu imigranta. Wtedy zostałaby odesłana do Pakistanu.

Kiedy Mena skończyła nakładać jedzenie, zostawiwszy w garnku dużo dla Manza, pomogłam jej w roznoszeniu talerzy wszystkim członkom rodziny. Same zjadłyśmy w kuchni. Znowu spróbowałam sosu, ale okazał się tak ostry, gorzki i palący, że musiałam popić go paroma szklankami wody tylko po to, by wciąż chłodzić usta. I znowu na obiad miałam jedynie suche *roti*. Nic innego nie zdołałam przełknąć.

Po jedzeniu poszliśmy do pokoju matki. Usiadłyśmy na brudnej, lepkiej podłodze i razem z Tarą, Hanif i matką oglądałyśmy telewizję. Miałam nadzieję, że pooglądamy któryś z moich ulubionych programów, ale niestety – był to jakiś film, gdzie dużo tańczono i śpiewano, a ja nie rozumiałam ani słowa. Poprosiłam Menę, by wytłumaczyła, o co chodzi, ale Tara z miejsca na mnie wrzasnęła, że mam nie przeszkadzać, zrezygnowałam więc i poprzestałam na obserwacji zmieniających się scen i słuchaniu muzyki. Ten film wcale mi się nie podobał, ale całej reszcie najwyraźniej tak.

Kiedy tak leżałyśmy na podłodze, nagle za plecami usłyszałam jakiś dziwny dźwięk. Okropne charknięcie. Choć Mena nie wykazała najmniejszego zainteresowania, ja szybko odwróciłam głowę, by sprawdzić, co się dzieje. To matka odwróciła się do ściany i czyściła sobie gardło. Z przerażeniem patrzyłam, jak jej zielonoszara flegma spływa po ścianie na listwę przypodłogową, pozostawiając po sobie ohydny smugę. Nagle dotarło do mnie, że zacieki na ścianie to właśnie ślady po odkrztuszaniu. Spojrzałam na innych, ale nikt nie wydawał się ani zdziwiony, ani zainteresowany. Chciałam zapytać matkę, czy aby się dobrze czuje, ale ona jak gdyby nigdy nic wróciła do oglądania filmu. Domyśliłam się, że dla nich to nic nadzwyczajnego. Po skończonym filmie przyglądałam się, jak matka wstaje i mówi coś do Tary. Nic nie rozumiałam, ale kiedy skończyła, Tara wysunęła siedzenie kanapy i wyciągnęła spod spodu kołdrę i poduszki. Następnie odchyliła oparcie i nagle kanapa zrobiła się płaska jak łóżko. Matka rozłożyła na niej pościel, a potem bez słowa komentarza położyła się spać. Pokój ten, choć stał w nim telewizor, należał do niej, i kiedy chciała iść spać, wszyscy musieli go opuścić. Nie było już nic do roboty – pozostawało tylko pójść do siebie i też się położyć. W domu nie widziałam żadnych książek. Nie miałyśmy piżam, nie musiałyśmy się martwić o czystą bieliznę na jutro, bo i tak żadnej nie nosiłyśmy.

Następny dzień wyglądał identycznie. Nie wychodziłyśmy poza dom – tylko do zapuszczonego ogrodu, i to pod warunkiem, że weźmiemy Salima. Potem musiałyśmy pomagać przy robieniu zacisków i podać jedzenie przygotowane wcześniej przez Tarę i Hanif. Tara wciąż okazywała swoją wyższość, a z Hanif w ogóle nie rozmawiałam, bo nie znała angielskiego. Matka zaś przeważnie mnie ignorowała. Poznałam w końcu swojego brata Sabera, ale nigdy nie było go w domu. Nie wiem, czym się zajmował. Manz wychodził rano, zanim wstałyśmy, a wracał bardzo późno, więc z nim nie rozmawiałam. A kiedy już kręcił się po

domu, należało uważać, żeby go nie rozzłościć – nie zakłócać mu odpoczynku i nie przeszkadzać w jedzeniu. Gdyby nie Mena i Salim, czułabym się tak samotna jak nigdy przedtem.

W innym śnie znów biegałam po Cannock Chase, tylko tym razem wyglądał jeszcze ładniej, niż zapamiętałam. Spałam na miękkiej, gęstej trawie pod osłoną drzew. Nagle uświadomiłam sobie, że pagórek, na którym leżę, wcale nie jest łagodny i porośnięty trawą, lecz stromy i urwisty, a ja za chwilę się z niego stoczę i spadnę na coś, co znajduje się w dole, nie wiem nawet na co. I wtem ktoś mną potrząsnął i zobaczyłam nad sobą uśmiechniętą twarz cioci Peggy. Powiedziała mi, że nie powinnam leżeć w tym miejscu, bo mogę mieć wypadek. Kiedy wyciągnęłam do niej rękę, poczułam szarpnięcie. Tym razem naprawdę się obudziłam. Znajdowałam się w małym, zatęchłym pokoiku w Walsall, a Mena kopnęła mnie przez sen w plecy.

Pewnego dnia, kiedy odniosłam po sobie talerz do kuchni, Tara warknęła:

– Pozmywaj!

Okazało się, że muszę posprzątać po jedzeniu. Mena, do której obowiązków należało podawanie posiłków, co od czasu mojego przybycia robiłyśmy razem, zaproponowała mi pomoc. Ja ledwie dosięgałam do szczotki i płynu, stojących za zlewem. Wkrótce jednak nauczyłam się zmywać i wycierać naczynia, sztucce i szklanki. Nienawidziłam tylko myć ciężkich garnków i patelni.

Nie rozumiałam, co się dzieje w tym dziwnym domu. Nikt na przykład nie wspominał o tacie. Nigdy u nas nie bywał, więc nie wiem, gdzie mieszkał. Pewnego dnia zapytałam o niego Menę, ale ona szybko rozejrzała się, czy nikogo nie ma, i uprzedziła, by nie wspominać o nim w obecności innych. Uwielbiałam czekoladę, której matka wcale nam nie dawała, i łudziłam się, że tata, kiedy przyjedzie z wizytą, przyniesie trochę słodyczy. Nie dziwiło mnie, że z nami nie mieszka, bo dawniej też widywałam go bardzo rzadko. Ale teraz odnosiłam wrażenie, że od naszego ostatniego spotkania upłynęło bardzo dużo czasu.

– Tata rzadko przyjeżdża – wyjaśniła Mena – bo matka na niego krzyczy.

Cóż, wiedziałam, jak to jest – sama bardzo nie lubiłam krzyków. Przestałam się więc dziwić. Jako dziecko nauczyłam się akceptować tyle rzeczy, które później, w dorosłym życiu, bardzo mnie dziwiły. Dlaczego nigdy ich nie kwestionowałam? Nie wiem – rozmyślałam o nich, ale przyjmowałam je jako pewnik, nie podawałam ich w wątpliwość.

Wciąż nie byłam w stanie przełknąć większości potraw stanowiących podstawę jadłospisu mojej rodziny, jadłam więc dużo chleba, w który zaopatrywał nas Manz. W ciągu następnych kilku tygodni bardzo schudłam i straciłam sporo siły. Na szczęście niedługo miała się zacząć szkoła, co dla mnie oznaczało przynajmniej jeden smaczny posiłek dziennie.

Wieczorem w przeddzień rozpoczęcia roku szkolnego, kiedy już miałam się

kłaść do łóżka, weszła Tara i powiedziała:

– Do szkoły musisz ubierać się inaczej. Mam tu trochę rzeczy, których już nie noszę. – I zaczęła grzebać w szafie. – Proszę, możesz to jutro włożyć. Na mnie są za małe.

– Dziękuję – odparłam, ale bardzo chciałam mieć własne ubrania, abym nie musiała się nimi z nikim dzielić i nosić używanych, z których wyrósł ktoś inny.

Wszyscy położyli się spać, ale ja nie mogłam zasnąć jeszcze długo po zapadnięciu ciemności. Miałam wielką nadzieję, że szkoła, do której jutro pójdę, okaże się przyjemnym miejscem i że znajdę w niej przyjaciół. Powoli przyzwyczajałam się do dziwnego nowego domu, gdzie panowały niezrozumiałe zasady, a nikt prócz Meny nie okazywał mi sympatii. Leżałam w ciemności i marzyłam, by obietnica, którą złożyłam cioci Peggy – że będę się dobrze sprawować – wreszcie przyniosła efekty i żeby ludzie – nowe koleżanki w szkole, rodzina i matka – polubili mnie.

Manz zawsze pierwszy wstawał do pracy, więc następnego dnia, wychodząc, zastukał w nasze drzwi i zawołał:

– Pora wstawać!

Od dawna nie mogłam doczekać się tego dnia, dlatego od razu poderwałam się na równe nogi i wyskoczyłam z łóżka. Tara leżała pod kocem, narzekając na hałasy i wczesną porę. Mena usiadła, zaczęła przeciągać się i ziewać, ale nie ruszyła się z miejsca. Nic jednak nie potrafiło zepsuć mi nastroju. Wybierałam się do szkoły, gdzie poznam nowe koleżanki i nauczycieli! Zeszłam na dół i otworzyłam tylne drzwi, by wyjść do toalety. Pogoda odzwierciedlała mój nastrój: powitał mnie ciepły, przyjemny wietrzyk. Matkę zastałam w kuchni, przemknęłam więc niezauważenie, jak najciszej, za jej plecami.

Tara minęła mnie na schodach, kiedy szłam na górę się przebrać. Mena już wstała i też poszła skorzystać z toalety. Ja tymczasem włożyłam salwar kamiz – tunikę i spodnie jakby od piżamy, strój, który nosiły wszystkie kobiety w domu.

Kiedy wróciła Mena, zapytałam:

– Kiedy wychodzimy?

– Czy Tara i Saber już poszli?

– Nie wiem. My wychodzimy dopiero po nich?

Mena pokazała ręką przez okno.

– Patrz, idą, są już koło sklepu.

Wyjrzałam i rzeczywiście zobaczyłam na ulicy moje starsze rodzeństwo.

– Tak, widzę.

– Dobrze. My wychodzimy dopiero, jak przyjedzie autobus.

Nie rozumiałam.

– Co?

– Widzisz przystanek, tam, na głównej drodze? – zapytała Mena, wskazując na róg, za którym właśnie znikali Saber i Tara. – A tego pana w czarnym garniturze? Jak przyjedzie po niego autobus, to my wychodzimy do szkoły.

Dlaczego, och, dlaczego nie było w tym domu zegarów jak wszędzie indziej?

– Co będziemy do tego czasu robić? Idziemy na śniadanie?

– Nie zamierzam się pokazywać w kuchni aż do samego wyjścia – stwierdziła zdecydowanym tonem Mena. – Matka nam każe, żebyśmy jej zrobiły śniadanie, i przez to spóźnimy się do szkoły.

Zostałyśmy więc na górze i wyglądałyśmy przez okno, dopóki pan w ciemnym garniturze nie wsiadł do autobusu. Wtedy ile sił w nogach zbiegłyśmy po schodach i zanim matka zdążyła nas zawołać, wypadłyśmy na ulicę.

Nie miałam zwyczaju wychodzić z domu bez pożegnania, a już z całą pewnością – chodzić do szkoły bez dorosłego opiekuna. Tymczasem okazało się, że musimy pokonać kilka ruchliwych skrzyżowań. Podczas przechodzenia przez ulicę ścisnęłam Menę mocno za rękę. Nagle zmieniła się w prawdziwą starszą siostrę, którą przecież była.

W szkole na placu zabaw zastałyśmy mnóstwo dzieci w różnym wieku. Niektóre przyszły z rodzicami, inne same, tak jak my. Jedno z miejsc budziło zdziwienie – w szkole w Cannock Chase uczyły się przede wszystkim białe dzieci. Tu natomiast roilo się od ciemnoskórych z czarnymi włosami, czyli podobnych do mnie.

– Chodź, znajdziemy kogoś do zabawy – zaproponowałam Menie z zapalem, ale odmówiła.

– Najpierw musimy iść poszukać twojej nauczycielki, żebyś wiedziała, co masz dzisiaj robić.

Weszłyśmy do szkoły i ruszyłyśmy długim korytarzem. Mijałyśmy sale lekcyjne o drzwiach z małymi okienkami, by mogli przez nie zaglądać dorośli. Zatrzymałyśmy się przed drzwiami, na których wisiała kartka z napisem: „Pani Young”, a pod spodem wykonany dziecięcą ręką rysunek przedstawiający grupę dzieci. Wszystkie dzieci na obrazku miały na sobie jaskrawe, kolorowe ubrania – takie jak moje.

Mena zapukała. Ze środka odpowiedział jej damski głos:

– Proszę!

Weszłyśmy. Za biurkiem siedziała elegancko ubrana kobieta. Kiedy zobaczyła, kto przyszedł, uśmiechnęła się.

– Witaj, Meno, udały się wakacje? – zapytała przyjemnym głosem.

Mena nic nie odpowiedziała, skinęła tylko głową, po czym wzięła mnie za łokieć i pociągnęła przed siebie.

– A ty musisz być siostrą Meny. Sameem, tak? – rozpromieniła się na mój widok. – Jestem twoją nauczycielką. Nazywam się pani Young.

Na korytarzu zadzwonił dzwonek i usłyszałam tupot wielu nóg. Dzieci spieszyły do klas, a niektóre zaczęły wchodzić do tej, w której właśnie byłyśmy. Pani Young zaczęła ustawiać krzesła dla nas wszystkich. Mena wycofała się do drzwi, pomachała mi i pokazała, żebym na przerwie czekała na nią przed klasą.

Pani Young wyjęła z szuflady w biurku dużą książkę i wyjaśniła, że będzie teraz odczytywać po kolei nasze nazwiska, a wyczytana osoba powinna grzecznie odpowiedzieć: „Jestem, pani Young”. Dzieci sprawiały wrażenie, że się znają, ale do mnie nikt się nie odzywał. Wszystkie z ciekawością odwróciły głowy, gdy pani Young wyczytała moje nazwisko, ale żadne się nie uśmiechnęło.

– Na pewno niedługo z kimś się zaprzyjaźnisz – stwierdziła i wróciła do sprawdzania listy.

Na pierwszej lekcji ćwiczyliśmy czytanie. Pani Young powiedziała:

– Podejdź do mnie, Sameem. Jesteś nowa, więc będziesz czytać pierwsza. Stań tutaj, żeby wszyscy dobrze cię widzieli.

Powoli wyszłam przed klasę. Uważałam, żeby nie potknąć się o ubranie lub w inny sposób nie ośmieszyć. Stałam obok krzesła pani, a ona wręczyła mi książkę – nie pamiętam tytułu, ale kiedy wzięłam ją do rąk, od razu wiedziałam, że nie będę miała żadnych problemów z czytaniem. Swobodnie przeczytałam kilka pierwszych stron.

– Wystarczy, Sameem – przerwała pani Young. – Weźmiemy teraz coś trudniejszego, bo widzę, że z tym świetnie dajesz sobie radę. – Wybrała ze stosu na biurku inną książkę i mi ją podała. Ta rzeczywiście była trudniejsza, ale również czytałam ją bez wysiłku. Potknęłam się tylko na paru słowach.

– Bardzo dobrze, dziękuję. – Pani Young wydawała się zadowolona. – Wracaj na miejsce, a książkę zabierz ze sobą.

Wróciłam do swojej ławki. Po drodze popatrywałam na twarze dzieci, ale nie widziałam żadnych miłych spojrzeń. Najwyraźniej musi minąć trochę czasu, zanim uda mi się z kimś zaprzyjaźnić.

Tak przeszedł poranek. Kiedy zadzwonił dzwonek na przerwę, pani Young kazała wszystkim się ustawić.

Ustawiliśmy się więc w rzędzie. Ponieważ siedziałam pod tylną ścianą, teraz stałam ostatnia. Gdy pozostałe dzieci opuściły salę, zobaczyłam czekającą pod drzwiami Menę. Nie spytała, jak minął poranek, w zasadzie nic nie powiedziała, tylko zaciągnęła na plac zabaw.

Tam dzieciaki już kłębiły się wokół drabinek, skakały na skakankach i szaleńczo biegały, pokrzykując na siebie. Aż się rwałam, żeby się do nich przyłączyć, ale Mena mocno trzymała mnie za ramię.

– Tu stoimy – zaordynowała. I stałyśmy przy drzwiach, tuż obok dyżurującego nauczyciela. Nie ruszyłyśmy się stamtąd przez całą przerwę. Wyglądało na to, że Mena nie ma ani koleżanek i kolegów, ani ochoty do zabawy. Stałyśmy więc i przyglądałyśmy się tym, którzy beztrudnie dokazywali.

Szkolny obiad bardzo mi smakował, choć wszyscy dookoła wybrzydali. Był to pierwszy posiłek od bardzo dawna, który w całości zjadłam, rozkoszowałam się każdym kęsem. Z przyjemnością pochłonęłam nawet kaszę mannę na deser i jeszcze poprosiłam o dokładkę. Jedno z dzieci siedzących przy moim stoliku powiedziało:

– Fuj, nie wiem, jak w ogóle możesz to jeść.

Popołudnie w szkole upłynęło bardzo podobnie do poranka. Z nikim nie zamieniłam ani słowa, a Mena czekała na mnie przed klasą.

– Do zobaczenia jutro, Sameem – pani Young pożegnała się ze mną z uśmiechem.

Poszliśmy do domu. Mena milczała. Wtedy uświadomiłam sobie, że ona nie lubi szkoły i nie cieszy się, że do niej chodzi. Ja uwielbiałam swoją dawną szkołę w Cannock Chase. Nie próbowałam więc jej opowiadać, jak mi minął dzień.

– Jutro Salim zaczyna chodzić do przedszkola – zakomunikowała – więc jego też będziemy musiały po drodze odprowadzić.

– Dobrze – odpowiedziałam.

W drodze powrotnej do domu milczałyśmy jak zakłete.

Spodziewałam się, że kiedy przyjdziemy, matka przywita nas w progu i zapyta, jak było, ale ona leżała.

– O, jesteście – powiedziała. – Zróbcie mi herbaty.

W zlewie piętrzyły się brudne naczynia po śniadaniu i obiedzie. Czekały, aż ktoś je zmyje. Mena rozchmurzyła się trochę, kiedy okazało się, że ma do wykonania jakąś pracę. Wspólnie posprzątałyśmy w kuchni.

Hanif przygotowała kolację. Ugotowała ryż i coś, co nazywało się *dhal* i wyglądało jak zupa, ale zupełnie nie przypominało jej w smaku. Jeśli już, to było nawet gorsze niż curry. Zjadłam więc po prostu trochę samego ryżu. Kiedy wieczorem kładłam się do łóżka, nadal czułam głód.

Następnego ranka do szkoły szedł z nami Salim. Miał na sobie nowe spodnie i koszulkę, które kupiła mu matka. Poczułam ukłucie zazdrości. Też bardzo chciałabym dostać nowe ubranie na pierwszy dzień szkoły. Salim był jednak tak podekscytowany, że z nami idzie, i tyle mówił, że nie dało się spokojnie tego roztrząsać.

Tego dnia na lekcjach poszło mi dobrze, ale na przerwach Mena znowu chciała stać pod ścianą i patrzeć, jak inni się bawią. Dzień nie udał się więc tak, jak bym sobie tego życzyła. Po lekcjach, kiedy wychodziłyśmy już ze szkoły, krzyknęłam nagle:

– Mena – a Salim?!

Zapomniałyśmy odebrać naszego braciszka. Śmiejąc się jak szalone, pobiegłyśmy do przedszkola, gdzie czekał na nas z nauczycielką. Był zachwycony pierwszym dniem spędzonym poza domem.

Po paru dniach odkryłam, że wcale nie muszę wystawać obok Meny podczas przerwy. Dzieci, które nie miały ochoty bawić się na dworze, mogły iść do biblioteki poczytać i właśnie tak zrobiłam. Wprawdzie nie nawiązałam w ten sposób żadnej przyjaźni, ale nie przejmowałam się tym, bo w książkach znalazłam tytuły przyjaciół, ilu dusza zapagnie. Za pierwszym razem Mena przyszła mnie szukać i zapytała, czy idę na dwór.

– Nie. Podoba mi się ta książka, więc zostanę i poczytam.

Szybko przekonałam się, że Mena nie ma w szkole żadnych koleżanek, i bez trudu odpowiedziałam sobie na pytanie, dlaczego dzieci są dla mnie niemiłe. Miałyśmy stare, zniszczone ubrania i przez to wszyscy wytykali nas palcami.

A ponieważ nie byłam już małą dziewczynką, która ze śmiechem ugania się po Cannock Chase, nie przydawałam się nikomu w zabawach. Co gorsza, bardzo łatwo dało się przedrzeć moje jąkanie, które, niestety, wróciło.

Zdarzyło się to wkrótce po naszym powrocie ze szkoły. Pozmywałam już naczynia z całego dnia i jadłyśmy kolację przygotowaną przez Hanif. Matka siedziała na swoim zwykłym miejscu, a Mena i ja – na podłodze, oparte plecami o kanapę. Hanif nałożyła jedzenie w kuchni i Mena przyniosła moją porcję. Normalnie udawało mi się zjeść tylko *roti*, a ostry sos zostawiać Menie, ale tym razem Hanif na *roti* nałożyła curry. Choć próbowałam odgryźć kawałek, danie było za ostre. Z miejsca łzy napłynęły mi do oczu i zaczęło palić mnie w ustach.

Odstawiłam talerz.

– Mena, nie mogę tego jeść, będziesz musiała zjeść moją porcję. – Tara rzuciła mi krytyczne spojrzenie i powiedziała coś do matki. Nagle ni z tego, ni z owego poczułam silne uderzenie w plecy i poleciałam naprzód, krzycząc ze strachu i zdziwienia.

Obejrzałam się. Matka patrzyła na mnie z wściekłością i mówiła coś ostrym tonem. To od niej – własnej matki – oberwałam przed chwilą. Nie rozumiałam dlaczego. Zaczęłam płakać i rozglądać się wokół siebie. Napotkałam nieprzyjazne spojrzenie Hanif i złośliwy uśmieszek Tary. Mena siedziała ze wzrokiem wbitym w talerz.

– Mena... co...? – zdołałam wychrypieć.

– Zjedz swoją porcję. Nie marnuj jedzenia – odparła, unikając mego wzroku.

Odwróciłam się w stronę matki, ale ona wróciła już do jedzenia. Ignorowała mnie. Chciałam jej wytłumaczyć, że nie marnuję jedzenia, lecz po prostu nie mogę go przełknąć, bo jest za ostre. Zaczęłam, jednakże z moich ust wydobyło się tylko:

– M... m... m...

Matka spojrzała na mnie ze zdziwieniem. Tara się roześmiała. Żadna z nich nie wiedziała, że się jąkam, ponieważ w domu dziecka nauczyłam się z tym sobie radzić. Niestety, szok spowodował, że jąkanie wróciło.

W końcu matka, Tara i Hanif wstały i poszły, a Mena dokończyła mojej porcji, ale tego, co zaszło, nie dało się odwrócić. Odtąd bałam się przy nich swobodnie rozmawiać. Jąkanie pojawiało się oczywiście w najbardziej stresujących chwilach, również w szkole. Nie działał na nie żaden ze sposobów, które opanowałam w domu dziecka. Gdy przebywałam tylko z Meną, nie było tak źle, ale mówienie w obecności innych stało się udręką.

Matka postanowiła na własną rękę zwalczyć tę przykrą dolegliwość, podcinając mi skórę pod językiem. Skóra ta jej zdaniem ciągnęła mój język w niewłaściwą stronę. Krzyknęła gniewnie na Hanif, by jej pomogła. We dwie położyły mnie na podłodze w kuchni i kazały otworzyć buzię. Nie wiedziałam, o co chodzi, ale zrobiłam, co kazały. Matka trzymała w ręku żyłkę, taką ze

staroświeckiej maszynki do golenia. Patrzyłam na nią z przerażeniem.

– Mamo, ale co – zaczęłam mówić, lecz Hanif pociągnęła mnie z powrotem na ziemię i przyparła do podłogi.

– A teraz nie ruszaj się, Sameem – powiedziała matka, a Tara przetłumaczyła to na mój użytek.

Hanif przygniotła mi ręce kolanami i siłą trzymała za buzię, bym jej nie zamykała. Matka nachyliła się nade mną z żyłką. Musiałam patrzeć, jak ostrze zbliża się do twarzy. Chciałam zamknąć buzię i oczy, ale nie mogłam. Próbowałam się wyrwać, lecz brudne palce matki siłą wdarły się do moich ust. Z trudem pohamowałam odruch wymiotny. Potem poczułam ostry, przeszywający ból pod językiem. To matka piłowała żyłką, nacinając kawałek skóry, który przytwierdza język do dolnego podniebienia. Chciałam krzyczeć, chciałam się wyrwać. Co ona robiła? Wciąż powtarzała:

– Nie ruszaj się, dziecko. Jeśli podetnę ten język, przestaniesz się jąkać i będziesz mogła normalnie mówić. Jak będziesz się tak rzucać, niechcący skaleczę cię w usta.

Ze wszystkich sił starałam się leżeć bez ruchu, ale moje nogi i tułów pod nią się wiły. Nie mogłam wytrzymać bólu i wstrętu wywołanego smakiem krwi, który czułam w ustach. Matka uszczypnęła mnie mocno, żebym przestała się wiercić, i w końcu się podniosła.

– Już po wszystkim – powiedziała, jakbym to ja poprosiła ją o wykonanie tego zabiegu, a ona po prostu spełniła życzenie.

Hanif puściła moją głowę. Odwróciłam się i wyplułam krew do miski.

Po dziś dzień czuję zgrubienie pod językiem. Dobrze widać miejsce, w którym matka go podcięła.

Matka sprawiała wrażenie zadowolonej z wykonanego zadania.

– Teraz będziesz mogła swobodnie ruszać językiem i przestaniesz się jąkać.

Siedziałam zszokowana na podłodze i płakałam, ale nie tylko z powodu dotkliwego bólu. Płakałam, bo matka nie dbała o mnie, traktowała jak coś, czym można zarządzać, z czego można drwić i czemu można zadawać ból. Nie wiem, czym dla niej byłam, ale na pewno nie córką. A ponieważ najbardziej na świecie pragnęłam być jej ukochaną córką, gotowa byłam zrobić wszystko, czego chciała, byle zasłużyć na jej miłość. Nawet położyć się i zgodzić się na okaleczenie. Jąkać się oczywiście nie przestałam.

Tata był jedynym dorosłym, przy którym czułam się bezpieczna. Kiedy składał nam – rzadkie już teraz – wizyty, szukałam u niego pocieszenia. Zabierał Menę i mnie do parku, ale kiedy wracaliśmy, matka robiła mu awantury o byle co, więc przestał nas zabierać. Na początku nie rozumiałam, o co chodzi, ale potem, kiedy trochę poznałam ich język, wszystko pojęłam. Matka domagała się pieniędzy, a kiedy mówił, że nie ma, wysyłała go do diabła. Odchodził więc.

Nie rozumiałam jednego, co czasem w nocy, po szczególnie przykrym dniu, nie dawało mi spokoju. Zadręczałam się pytaniem, dlaczego nie mogę iść z tatą. Na pewno wie, że jestem przez matkę rugana tak samo jak on. Dlaczego więc mnie z nią zostawia?

Oczywiście jego wizyty nie były dla nas łatwe. Po pierwsze, tata palił, czego matka ze względu na astmę nienawidziła. Wszystkim prócz mnie zdawało się to przeszkadzać. Tata też różnił się od całej reszty rodziny – spokojny, wydawało się, że niczym się nie przejmuję, w przeciwieństwie do matki, która wiecznie wyglądała na przygnębioną. Matka nigdy się nie uśmiechała, a tata, nawet gdy nic nie mówił, zawsze się miło uśmiechał. I wiedziałam, że uśmiech ten przeznaczony był tylko dla mnie.

Kiedy pojawiałam się w domu, przyrządzaniem posiłków zajmowała się przeważnie Hanif. Prawie po roku odbyłam pierwszą lekcję gotowania. Oczywiście podeszłam do tego z zapałem, chętna, by pomóc, i z nadzieją, że jeśli zacznę pichcić, automatycznie będę miała coś więcej do jedzenia, bo curry wciąż mi nie smakowało. Nie zwróciłam jednak uwagi na to, że Hanif nie uczyła gotować ani Tary, ani Meny.

Musiałam nauczyć się języka, którym posługiwały się matka i Tara, aby mnie wykluczyć. Pomagała mi Mena, ucząc w kuchni różnych słów.

– Co to jest? – pytała, unosząc garnek, talerz albo łyżkę, a ja musiałam odpowiedzieć jej w języku pendzabskim. Najlepiej jednak uczyło mi się przed telewizorem, kiedy wszystkie razem oglądałyśmy filmy w telewizji.

Nigdy nie oglądałyśmy normalnej telewizji. Wiezorami Tara przeważnie puszczała z kaset filmy o takich tytułach, jak *Songs from Indian Music*. Kładłam się na podłodze z brodą opartą na dłoniach i z tęsknotą przyglądałam się życiu tych radosnych, szczęśliwych rodzin. Zawsze się śmiały (oraz tańczyły i śpiewały, co uważałam za głupie) i wszystko robiły razem. Tak jak w naszej rodzinie dziewczyna, którą poślubił syn, mieszkała razem z nimi, ale na tym podobieństwa się kończyły. Hanif nie troszczyła się o swoją teściową niczym kobiety na filmie, a poza tym gotowanie, sprzątanie i pomoc przy praniu – to wszystko stało się moim obowiązkiem. Po co Hanif miała się wysilać, skoro znalazła sobie niewolnicę, która mogła we wszystkim ją wyręczać?

Kiedy matki akurat nie było, zakradałam się do jej pokoju, puszczałam sobie te filmy i oglądałam je wciąż od nowa. Powtarzałam nieznanne słowa tak długo, aż zaczęłam rozumieć, co się wokół dzieje i co kiedy odpowiedzieć. Jedyne, czego nie nauczyłam się właśnie z nich, to przekleństwa, którymi matka dzień w dzień mnie obrzucała. W filmowym świecie ich nie używano.

Ze wszystkich domowników tylko Hanif kategorycznie odmówiła nauki angielskiego. Matka posługiwała się nim, gdy musiała, lecz Hanif po prostu nie chciała się uczyć. Kiedy potrzebowała mojej pomocy, mówiła o tym Menie, a ta

tłumaczyła. A gdy ja w miarę opanowałam pendżabski, pocieszała mnie, kiedy zostałam pobita przez matkę, choć przeważnie poprzestawała na:

– Próbuj jej tak bardzo nie denerwować, Sameem, wiesz przecież, że tego nie lubi.

Jakby zdenerwowanie matki było czymś gorszym niż moje rany i siniaki.

(Później zdałam sobie sprawę, dlaczego Hanif jest dla mnie taka miła – chciała, żebym poślubiła jej kuzyna, aby ten mógł przyjechać do Anglii. To oznaczałoby, że do końca życia mieszkałabym z nią pod jednym dachem i wyręczała w obowiązkach gospodyni. Matka na szczęście temu zapobiegła, ponieważ wybuchła jakaś kłótnia na temat własności ziemi w Pakistanie. W rezultacie na jakiś czas przestały ze sobą rozmawiać).

W kuchni Hanif odznaczała się wielką cierpliwością, ponieważ tam matka nie patrzyła jej na ręce. Łatwiej ją było o coś zapytać, nie dostawałam bury, że mówię za dużo albo bez sensu lub zadaję głupie pytania.

Przyglądałam się, jak Hanif obiera cebulę, więc dała mi jedną, żebym też spróbowała. Zaczęłam zdejmować z niej łupinę, ale ciężko westchnęła i wyciągnęła rękę, chcąc pomóc:

– Odłóż ją i pokrój. Tu masz nóż.

Widziałam już, jak Hanif sieka różne rzeczy, jak ostrze jej noża wrzyna się w warzywa leżące na desce, ale nie spodziewałam się, że będzie to takie trudne. Próbowałam wbić nóż w miąższ cebuli, lecz nie dałam rady przekroić jej na pół. Hanif stała obok mnie i się przyglądała. Po chwili wzięła moją rękę i przytrzymała nią cebulę.

– Spróbuj za każdym razem odkroić mały kawałek – poinstruowała. – A teraz odwróć cebulę na tę stronę i krój dalej.

Łzy napłynęły mi do oczu, lecz otarłam je i siekałam dalej. Po chwili szło już znacznie lepiej.

– Pokrój teraz duże kawałki na mniejsze i wrzuć je do garnka.

Kiedy skończyłam, podniosłam na nią oczy i ze zdziwieniem stwierdziłam, że się uśmiecha.

– Widzisz? Potrafisz pokroić cebulę. To dopiero sukces.

Miłe słowo sprawiło, że natychmiast miałam ochotę pokroić drugą cebulę, a nawet ugotować curry – by znowu zobaczyć uśmiech, poczuć, że jest zadowolona. Nauka w ogóle sprawiała mi przyjemność. Dzięki niej ktoś zwrócił na mnie uwagę i chwalił. Potem Hanif pokazała, jak się robi *roti*. Kiedy je piekłam, poparzyłam sobie palce. Jeszcze później zademonstrowała, jak usmażyć cebulę, ile dodać chili i innych przypraw, żeby jedzenie było dobre.

Po tygodniu czy dwóch sama ugotowałam całą kolację, a po pół roku przygotowywałam już wszystkie posiłki dla całej rodziny. Byłam z siebie bardzo dumna i cieszyłam się, że gotuję dla wszystkich – nie przeszkadzało mi, że muszę

to robić po powrocie ze szkoły. Nie zauważałam nawet, że nigdy nie okazywali wdzięczności. Nauczyłam się przygotowywać ostre potrawy, które wszyscy lubili, podawać w pierwszej kolejności innym, a sobie na końcu i zawsze zostawiać dużą porcję dla Manza, który wracał późno. Choć miałam nadzieję, że dzięki gotowaniu zacznę więcej i lepiej jadać, wcale się tak nie stało.

Kiedy w czymś się myliłam, Mena za każdym razem przychodziła mi z pomocą.

– Pamiętasz, ile łyżek chili trzeba wsypać do curry z warzyw? Ile wody trzeba wlać do ryżu?

Mena znała właściwe odpowiedzi, choć to ja gotowałam. Nie wiem, co bym bez niej zrobiła. Zawsze byliśmy nierozłączne – ja gotowałam, ona się przyglądała, ja zmywałam naczynia, ona odstawiała je do szafki, ja zmiatałam, ona trzymała szufelkę, ja wieszałam pranie, ona podawała klamerki.

Podczas gotowania lub prania lubiliśmy bawić się w gry słowne. Jedna z nich polegała na tym, że należało sprawić, by druga osoba, choć to było zakazane, odpowiedziała konkretnym, ustalonym wcześniej słowem, na przykład „tak”.

– Musisz szybko odpowiadać – rzekła Mena.

– Dobrze.

– Co gotujesz?

– Warzywa.

– Lubisz je?

– Nie.

– Lubisz mnie?

Skinęłam głową.

– Nie wolno kiwać głową, to jakbyś powiedziała „tak”! – krzyknęła.

– Nie, wcale nie!

Uwielbiałam bawić się w gry słowne z Meną, ale brak mi było zwyczajnych zabawek – kredki i ołówków, książeczek do kolorowania, książek z rebusami i różnymi zadaniami do rozwiązania.

Kiedy pewnego dnia wracałyśmy ze szkoły, Mena uczyła mnie gwizdać. Próbowałam i próbowałam, ale mi się nie udawało. Zwijałam usta w trąbkę i dmuchałam, ale na zewnątrz wydostawało się samo powietrze, nie żaden dźwięk.

Próbowałam całą drogę do domu – przez całe dwadzieścia minut. Próbowałam podczas gotowania i pod kołdrą, kiedy już poszłyśmy spać. A potem następnego dnia rano w drodze do szkoły. I właśnie wtedy pod sam koniec dmuchania usłyszałam cichy świst.

– Udało ci się! – ucieszyła się Mena.

Znowu spróbowałam, tym razem bez sukcesu.

– Nie mogę, jak się uśmiecham – rzekłam. Przybrałam poważny wyraz

twarzy i spróbowałam po raz kolejny. Tym razem wyszło mi prawidłowe gwizdnięcie – długie i przeciągłe. – Umiem gwizdać, umiem gwizdać! – Byłam tak szczęśliwa, że gwizdałam przez resztę drogi do szkoły. Pogwizdywałam w każdej wolnej chwili. Gwizdałam w domu, podczas zmywania. Nagle za plecami usłyszałam jakiś szmer. Obejrzałam się. Mena poszła do toalety, a na jej miejscu stała Hanif.

– Kto cię tego nauczył?

– Nikt.

– Nauczyłaś się gwizdać w szkole?

– Nie, tak po prostu się nauczyłam.

– Mężczyźni gwizdzą na dziewczyny. Jeśli jeszcze raz to usłyszę, powiem twojemu bratu, jasne?

Skinęłam głową, a ona wyszła z kuchni.

Kiedy wróciła Mena, podzieliłam się tym, co mówiła Hanif.

– Jest zazdrosna, bo sama nie umie gwizdać – skomentowała.

Uśmiechnęłyśmy się do siebie.

Nie gwizdałam więcej w domu ani w żadnym miejscu, gdzie mogliby mnie usłyszeć Hanif lub Manz, ale poza domem folgowałam sobie do woli.

Najbardziej nienawidziłam sprzątanania. W domu zawsze panował brud, a odkurzaczka nie mieliśmy. Musiałam najpierw zamiatać, a potem zmywać podłogę, by nie wzbijał się kurz. Najgorsze jednak było mycie ściany obok miejsca, gdzie stale siadywała matka. Widziałam już, jak odkrztuszała flegmę i wypluwała ją na ścianę, po której spływała w dół. Teraz to ja musiałam wycierać ścianę szmatą, a podłogę pod nią – mopem. Nigdy nie udawało mi się przy tym nie umazać flegmą. Siłą powstrzymywałam mdłości, bo gdybym zwymiotowała przy matce, zamiast jej pomagać, na pewno zarobiłabym w głowę. Ohyda. Matka twierdziła, że charczy tak z powodu astmy, a ponieważ wszędzie w powietrzu wisiał kurz, rzeczywiście było to możliwe. Dlaczego na ścianę? Nie do wiaderka, nie do jakiegoś naczynia, które łatwo utrzymać w czystości? Budziło to we mnie odrazę. Małemu Salimowi kazano się trzymać z daleka, a ja oczywiście musiałam wszystko szorować. Menie już na sam widok zbierało się na wymioty.

Jeszcze gorzej było wtedy, kiedy matka robiła siku. I znów twierdziła, że musi się załatwić tu, w pokoju, przy nas, bo jest za słaba, żeby zdążyć na czas do ubikacji. Trzymała więc nocnik pod kanapą. My, dzieci – ale nie Saber i Manz, bo przy nich nigdy tego nie robiła, tylko dziewczynki i Salim – oglądaliśmy telewizję, a ona bez uprzedzenia wyciągała nocnik, owijała się w pasie kocem i przykucała. Próbowaliśmy nie słyszeć tego odgłosu, ale potem zawsze wołała:

– Sam! Sam!

Musiałam wynieść nocnik do ubikacji i go opróżnić. Mena nie potrafiła przy tym nie zwymiotować, więc zadanie to zawsze spadało na mnie, choć i ja z trudem

się powstrzymywałam.

Z czasem Tara zaczęła dokuczać mi jeszcze bardziej. Traktowała jak niewolnicę. Oczekiwała, że będę za nią robić wszystko – przynosić jej wodę, jedzenie, ścielić za nią łóżko, po praniu zdejmować jej ubranie ze sznurka, odnosić po niej naczynia do kuchni – a sama nigdy nawet nie kiwnęła palcem. Nie wiem, jak sobie radziła przed moim przyjazdem. W mojej obecności mówiła tylko po pendżabsku, choć wiedziała, że jeszcze niewiele rozumiem. Dorośli śmiali się wtedy i przyglądali mi się z rozbawieniem.

Tara nie kryła zadowolenia, kiedy udało jej się ośmieszyć mnie przed innymi. Zaczęłam myśleć, że jest rozpieszczoną księżniczką. Ale nadeszła chwila zemsty – rozłożyłam jej ubrania tak, jak mi kazała, ale nie podniosłam wcześniej z krzesła leżącej tam książki szkolnej. Kiedy nie mogła jej znaleźć, wpadła w panikę.

Pewnego dnia Tara zawołała:

– Sameem, przejdź się do sklepu po mleko!

Mena poszła ze mną. Nagle drogę zastąpili nam dwaj chłopcy: Carl i Luke, którzy już wcześniej zabrali Mene pieniądze. Podeszli blisko. Ja wycofałam się pod ścianę, a Mena wślizgnęła się za moje plecy.

– Co tu robicie? – zapytał Carl.

– Macie pieniądze? – chciał wiedzieć Luke.

Przysunęli się do nas tak, że czułam na skórze ich oddechy. Mena trzęsła się ze strachu, co i we mnie wzbudziło obawę.

– Zostawcie nas w spokoju – powiedziałam.

Carl się zaśmiał.

– Dawajcie pieniądze – rozkazał.

– Niby dlaczego? – Miałam nadzieję, że wyglądam na mniej przerażoną, niż byłam naprawdę.

– Jak nie dacie, stłuczemy was.

Luke uśmiechnął się złośliwie.

– Sam, daj im pieniądze – odezwała się błagalnie Mena.

Ten chłopak przypominał mi innego, który mieszkał ze mną przez ścianę w domu dziecka. Nie zamierzałam się poddać. Miałam serdecznie dość zastraszania.

– Nie! – odparłam.

Podniósł rękę, żeby mnie uderzyć, jednocześnie odwracając głowę w moją stronę. Szybko wyciągnęłam rękę i chwyciłam go za włosy – za te krótkie nad uchem. Pociągnęłam z całej siły. Wcześniej zawsze działało – teraz też.

– Auuu! – wrzasnął.

Nie rozumiałam, dlaczego mam się bać tych dwóch okropnych chłopaków. Pociągnęłam więc mocniej – tym razem wrzasnął głośniej. Luke przestraszył się

i wycofał.

Ośmielona Mena wychynęła zza moich pleców i dopingowała mnie:

– Mocniej, mocniej, ciągnij mocniej!

– Nie! Nie, już! Przestań! – wołał Carl. Łzy płynęły mu po twarzy.

Nie puszczałam jednak – przeciwnie, przysunęłam się bliżej.

– Od tej pory macie nas zostawić w spokoju, rozumiesz?

– Tak, zostawimy was w spokoju, tylko już puść – błagał.

Dla pewności pociągnęłam raz jeszcze, na co rozpląkał się, po czym odepchnęłam go od siebie. Odskoczył, nie odrywając dłoni od ucha. Luke też ustąpił.

Mena podskakiwała z podniecenia.

– Szkoda, że mocniej nie ciągnęłaś!

– Nie, tyle wystarczyło – odparłam. – Chodź, idziemy po to mleko. – Czułam się wspaniale, jakbym dokonała jakiegoś bohaterkiego czynu. Dałam łobuzowi posmakować, jak to jest być napastowanym. Teraz przynajmniej wiedziałam, że jeśli trzeba, potrafię stanąć we własnej obronie.

Kiedy zaczęła się szkoła, Tara przeniosła się na dół. Pod schodami było miejsce akurat na jedno łóżko i Tara urządziła tam sobie sypialnię. Ja zajęłam jej łóżko, dzięki czemu znowu dysponowałam własnym kącikiem. Kiedy Tara wyprowadziła się z pokoju, mogłyśmy z Meną gadać do woli, a gdy wypełniłam wszystkie codzienne obowiązki, pokój stawał się naszym schronieniem przed resztą świata. Oczywiście, zanim nastaly chłody, bo nie miałyśmy ogrzewania. Matka nigdy nie wchodziła na górę, więc przeważnie czułyśmy się bezpiecznie. Czasem jednak, kiedy jej łóżko było brudne (choć na ogół nie wpuszczała do niego Salima, któremu zdarzało się moczyć w nocy i na którego krzyczała, zanim weszła na piętro), meldowała się u nas Tara. Wtedy wyrzucała mnie z łóżka i musiałam przenosić się do Meny.

Kochałam czytać. Ponieważ byłam bardzo zamknięta w sobie, w szkole nie nawiązałam żadnych przyjaźni ani nawet bliższych znajomości. Dzień w dzień zaszywałam się w bibliotece i czytałam pasjonujące historie o dzieciach, które wspólnymi siłami starały się udowodnić, że dorośli nie mają racji. Wszystkie tomy *The Famous Five*, cykl o dziewczynie detektyw Nancy Drew, pełne zagadek przygody Hardy Boys i siódemka dzieciaków z *The Secret Seven* – po prostu ich uwielbiałam. Przeczytałam o nich wszystko, co udało się znaleźć. Czasem rozwiązywałam zagadkę na długo przed końcem opowiadania i szeptałam sama do siebie – „no właśnie, od razu wiedziałam”. Pochłaniając książki, uciekałam od okropnego świata, w którym żyłam. Nie czułam związku ani z domem, ani ze szkołą. Ani tu, ani tu nikt życzliwie mnie nie przyjął, nikt nie zadbał, bym się zadomowiła. Mogłam przetrwać tylko dzięki temu, że nauczyłam się nie mieć żadnych oczekiwań. Nie wiem jednak, jak bym sobie poradziła bez książek.

Pewnego dnia w szkole Mena powiedziała, że będziemy musiały zacząć chodzić do miejscowego meczetu. Cieszyłam się na to – sądziłam, że będzie podobnie jak w szkole niedzielnej, bo Mena wspominała, że chodzi o studiowanie księgi religijnej. Okazało się jednak, że się myliłam. Meczet przypominał dom, a nawet mieścił się w domu.

Kiedy wróciliśmy ze szkoły, poszliśmy na górę po szale, które wisiały na haczykach za drzwiami. Mena pokazała mi, jak obwiązać sobie szczelnie głowę. Matka pożegnała nas słowami:

– Macie potem wrócić prosto do domu.

Meczet znajdował się mniej więcej w tej samej odległości od domu co szkoła, tylko w przeciwną stronę. Po drodze mijałyśmy wolne, pagórkowate tereny. Mena powiedziała, że mówią na nie „małpie wzgórze”.

– Dlaczego?

– Nie wiem, Saber tak je nazywa. – Mena sprawiała wrażenie trochę nadąsanej. – Powinien iść z nami do meczetu, ale zamiast tego włóczy się po nich z kolegami.

Szliśmy dalej, a ja wciąż oglądałam się przez ramię z nadzieją, że zobaczę gdzieś Sabera. Nigdzie go jednak nie było.

Meczet mieścił się w dużym domu. Około trzydziestu dzieci zbierało się tam, by studiować Koran. Dziewczynki, niemal identyczne w białych chustach, zaprowadzono do jednego dużego pokoju, a chłopców – do drugiego. Wszyscy siedzieliśmy na zimnej podłodze i czekaliśmy na przybycie nauczyciela religii – *molwi*. Niektóre dziewczynki poprawiały sobie chusty, wsuwały pod nie wystające kosmyki włosów. Nie rozumiałam, dlaczego mają na tym punkcie taką obsesję.

Nadszedł *molwi*. Wszyscy siedzieli w ciszy, oczekując na rozpoczęcie nauki, a on przechadzał się pośród nas. Zatrzymał się dokładnie za mną. Nagle poczułam silne uderzenie w ramię.

Krzyknąwszy z bólu i zdziwienia, podniosłam wzrok. Dlaczego uderzył? Nie powiedział ani słowa, wskazał tylko ręką na moje włosy. Mena nachyliła się i wetknęła za chustę kilka pasem, które się spod niej wysmyknęły. Nie rozumiałam, dlaczego *molwi* bije, zamiast zwyczajnie poprosić, żebym poprawiła włosy. Rozpłakałam się – i z bólu, i z gniewu, i poczucia niesprawiedliwości. Inne dziewczynki spuściły głowy i wbiły wzrok w Koran. Za wszelką cenę starały się na mnie nie patrzeć.

Kiedy spotkanie się skończyło, zapytałam Menę, jak często będziemy musiały przychodzić do tego okropnego domu. Odparła, że przez czytanie Koranu

uczmy się islamu. W ten sposób religię tę poznaje większość ludzi. Miałyśmy więc chodzić tam codziennie po szkole. Zaczynałyśmy od trzydziestostronicowej broszury pod tytułem *Ka'ida*. Na pierwszej stronie znajdował się arabski alfabet. Poznawałyśmy jedną linijkę dziennie (na stronie mieściło się około sześciu linijek). Potem dowiadywałyśmy się, jak brzmiałyby każda litera, gdyby pod nią lub nad nią znajdowała się kreseczka lub inny symbol, jak brzmiałyby poszczególne litery, gdyby je połączyć. Pierwsza strona zawierała słowa składające się z czterech znaków, następna – z sześciu i tak dalej.

Przez cały czas, kiedy uczyłyśmy się czytania Koranu, *molwi* powtarzał:

– Już jesteście prawie gotowe, by czytać Koran.

Wszystkie dziewczynki w sali, słysząc to, uśmiechały się od ucha do ucha. Nauczyciel umiał sprawić, że nauka Koranu wydawała nam się tajemnicza i fascynująca. Chciałam jak najszybciej zacząć samodzielnie czytać, podobnie jak wszyscy inni. Nie rozumiałyśmy tekstu, kazano nam po prostu czytać – tak, a nie inaczej. Siedziałyśmy i w kółko powtarzałyśmy werset na dany dzień, ucząc się go na pamięć. Jeśli nie pamiętałyśmy wersetu z poprzedniego spotkania, nauczyciel krzyczał na nas lub nawet bił.

Kiedy potrafiłam odczytać dziewięć połączonych ze sobą znaków, *molwi* oznajmił, że jestem gotowa czytać Koran. Zajęło mi to rok, a może nawet dłużej. Miałam dziewięć lat i odtąd nie musiałam już chodzić do meczetu. Na szczęście nie musiałam się też uczyć pisania po arabsku, najwyraźniej umiejętność czytania Koranu wystarczała, by dowiedzieć się o islamie wszystkiego, co trzeba.

Lato powoli przechodziło w jesień. Podczas codziennej wędrowki przez „małpie wzgórze” patrzyłam na nie z tęsknotą i wyobrażałam sobie, że biegam po nich swobodnie. Pewnego razu w drodze do meczetu stwierdziłam:

– Nie idę dziś do meczetu. Poszukam Sabera.

– Coś ty, Sam? – Mena jak zwykle bała się, co powie i zrobi matka, kiedy się dowie, że opuściłyśmy zajęcia.

– Matka się nie dowie, Mena, to tylko przez tydzień – odparłam i wyrwałam naprzód.

Po chwili wahania podążyła za mną.

Nie powiedziałam jej, dlaczego idę na wzgórze. Chciałam się oczywiście przekonać, jak tam jest, to przede wszystkim, ale korciło mnie również, by sprawdzić, co robi Saber. Starszy brat stanowił całkowitą zagadkę – prawie nie przesiadywał w domu, a kiedy już przychodził, nie miał żadnych obowiązków. Nie zachowywał się ani nieprzyjaźnie jak Tara czy Manz, ani miło jak Mena. Był tajemniczy. Prócz tego cały czas pragnęłam, by ktoś się mną zaopiekował. Liczyłam, że może tym kimś okaże się Saber – jak starszy brat w książkach, które czytałam.

Wyruszyłyśmy z Meną pod pierwsze wzgórze, a kiedy dotarłyśmy na

wierzchołek, naszym oczom ukazała się grupka chłopców w dole. Wysilałam wzrok, by zobaczyć, czy jest wśród nich Saber. Mena zapytała:

– Widzisz Sabera? Bo ja nie mogę ich rozróżnić.

– Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać – rzekłam. I zawołałam: – Saber! Saber!

Jeden z chłopców podniósł głowę, oddzielił się od reszty i zaczął podążać w naszą stronę.

– To musi być on, chodźmy na dół – powiedziałam i ruszyłam pierwsza.

Saber nie krył niezadowolenia na nasz widok.

– Co wy tu robicie? Po co przyszłyście? Dlaczego nie jesteście w meczecie?

Przez chwilę patrzył na mnie ze złością, ale potem zwiesił głowę i uśmiechnął się jak skarcony winowajca.

– Tak, macie rację. Nie lubię tam chodzić, bo się nie uczę, a potem obrywam za to, że nie znam słów.

– Ja też oberwałam – oświadczyłam, ale jeśli miałam nadzieję na współczucie, to się przeliczyłam.

– Ale wy musicie iść, obydwie, bo jeśli was nie będzie, matka się dowie i wszyscy będziemy mieć kłopoty.

Chciałam zapytać: „W takim razie czemu sam nie idziesz? Dlaczego my musimy?”. Jednakże myślałam już wtedy tak samo jak wszyscy w mojej rodzinie – że mężczyźni trzeba zostawić w spokoju i pozwolić im robić, co chcą. Zamiast tego odparłam:

– Jasne, ale nie w tym tygodniu. Teraz jesteśmy już tutaj, a do meczetu pójdziemy dopiero za tydzień. Więc pozwólcie nam zostać.

Saber namyślał się przez chwilę.

– Dobra, to zostańcie. Naprawiamy sobie rower, zatem nie przeszkadzajcie ani nie gadajcie jakichś głupot.

Usiadłyśmy w pobliżu chłopców i patrzyłyśmy, jak majstrują coś przy łańcuchu i biegach. Byli usmarowani od stóp do głów, żaden jednak się tym nie przejmował. Zastanawiałam się, jak też Saber zamierza doprowadzić się do porządku przed powrotem do domu.

Po chwili zaczęło mi się nudzić. Tęsknie spojrzałam na kolejne wzgórze.

– Ciekawe, co jest dalej.

Mena, która jak dotąd siedziała cicho, jakby milczenie równało się nieobecności, odparła:

– Nie mam pojęcia, nigdy tam nie byłam.

Wstałam. Saber też się wyprostował.

– Dokąd się wybierasz? – zapytał.

– Zamierzam wejść na następne wzgórze i przekonać się, co stamtąd widać – odparłam. – Mena, idziesz ze mną?

Mena też wstała.

– Tak, pójdę.

Saber zerknął na kolegów, po czym krzyknął do nas:

– Tylko nie odchodźcie za daleko! Za pół godziny musicie być w domu. Inaczej matka się kapnie.

– Dobrze! – zawołałyśmy, odwracając się do niego przez ramię. Ruszyliśmy pod drugie wzgórze. Menę niespodziewanie ogarnęło wielkie podniecenie.

– Nigdy tak daleko nie byłam. Jak myślisz, Sam, dokąd ciągną się te wzgórza?

Doszliśmy na szczyt. Obie dyszałyśmy z wysiłku i rozglądałyśmy się po okolicy. Naszym oczom ukazało się kolejne wzgórze, i drugie, i trzecie. Rozciągał się stąd wspaniały widok na miasto. Stałyśmy wysoko, oświetlone popołudniowym słońcem.

– Nie chcę wracać do domu – jęknęłam.

– Ja też nie – potwierdziła Mena, po czym westchnęła: – Ale musimy, i to zaraz. Jeśli nie pokażemy się w domu na czas, będziemy miały kłopoty.

– Zostańmy jeszcze chwileczkę.

Posiedziałyśmy więc parę minut na trawie, oparte o siebie plecami, chłonąc wieczorną ciszę i spokój. Było tu prawie jak w Chase – otwarta przestrzeń, nad głową szerokie, przepastne niebo pełne ptaków unoszących się w nagrzanym powietrzu i wołających prosto do mnie. Pragnęłam wolności, jaką one się cieszyły, swobody, która pozwalała im zostawić wszystkie ważne sprawy i przylecieć tutaj, na ptasi plac zabaw.

Słońce opuszczało się na niebie, cienie się wydłużały. Mena wstała i otrzepała ubranie.

– Chodźmy już – rzekła. – Pora wracać.

Zeszliśmy ze wzgórza do Sabera, który nie krył złości.

– Nie przychodźcie tu więcej, dobra? Wrócę do domu, jak mi się zechce – rzekł, odwrócił się do nas plecami i poszedł do kolegów.

Dlaczego tak nagle się zmienił? Może i on, przychodząc na wzgórze, uciekał w świat marzeń, a nasze pojawienie się brutalnie sprowadziło go na ziemię?

Nigdy więcej nie włóczyłam się po tamtych wzgórzach, choć zawsze uwielbiałam patrzeć w niebo, na ptaki i wyobrażać sobie, gdzie przysiadą, żeby chwilę odpocząć. Nie tylko dlatego, że lubiłam otwartą przestrzeń i świeże powietrze, ale przede wszystkim dlatego, że kochałam się ruszać. Po całym dniu w szkole lub w domu, spędzonym w tłoku i na małej powierzchni, czułam się zmęczona i ospała. Spacer po wzgórzach pozwolił mi na chwilę cofnąć się do czasów, kiedy całymi dniami biegałam z Amandą po Chase.

Dopiero gdy gdzieś wychodziłam – w drodze do szkoły, do meczetu lub do sklepiku na rogu – mogłam zebrać myśli i zastanowić się nad moim zadziwiającym

i niepokojącym domem. Wszystko w nim zdawało się jakieś inne. Choć posłusznie wykonywałam to, o co mnie proszono, a właściwie czego ode mnie oczekiwano, nie wyjaśniając powodów, miałam wrażenie, że nic mi się nie udaje. Bardzo pragnęłam sprostać oczekiwaniom i nie przestawałam się starać. Zaczęłam nawet lubić nasze domowe jedzenie, bo innego nie dostawałam. Ponad wszystko chciałam być akceptowana, wkraść się w łaski rodzeństwa. Ponieważ instynktownie potrzebowałam miłości matki, to kiedy zrobiłam coś nie tak, a ona krzyczała lub biła, czułam, że to moja wina, że ją sprowokowałam. Robiłam co w mojej mocy i kochałam swoją rodzinę, a w zamian otrzymywałam tylko razy i gorzkie słowa. Nie rozumiałam dlaczego.

Zwłaszcza matka w niczym nie przypominała matki, jakiej się spodziewałam i jaką sobie wyobrażałam. Nigdy wcześniej nie znałam nikogo takiego jak ona. Wszyscy ludzie, którzy stanęli dotąd na mojej drodze, na przykład ciocia Peggy, mój ojciec, ksiądz z kościoła, kucharka, która piekła dla nas ciastka i pozwalała mi wylizywać miskę, byli mili i troskliwi. Nikt na mnie nigdy nie krzyczał i nie dawał lania. Matka pachniała masalą i, jeśli akurat nie leżała, siedziała po turecku na kanapie. Miała życzliwe spojrzenie i piękne, czarne włosy, ściągnięte w koński ogon lub splecione w warkocz. Jej wygląd nie budził strachu.

Mimo to już od pierwszego dnia uznałam dom za straszne miejsce. Matka prawie do nikogo z nas się nie odzywała, za to dużo krzyczała. Jej usta potrafiły robić jedynie dwie rzeczy – wrzeszczeć i spluwać ohydną flegmą na ścianę. Nigdy nie chciałam pocałować matki i być całowaną przez nią. Jej pocałunek nie przypominałby miękkiego, słodkiego buziaka, którego ciocia Peggy codziennie dawała mi na dobranoc. Ręce matki nie były miłe w dotyku jak ręce cioci Peggy. Ciocia zawsze trzymała mnie za rękę, kiedy musiała włożyć termometr do mojej buzi, na pocieszenie, a także kiedy byłam mała i nie mogłam sama iść do szkoły. Odkąd opuściłam dom dziecka, nie zaznałam dotyku matczynej ręki. Chyba że dostawałam wycisk. Myślałam sobie, że gdyby kiedykolwiek wzięła mnie za rękę, ścisnęłaby ją aż do bólu.

Prawie zawsze, kiedy byłam z nią w domu, czułam nie tyle strach, ile zupełne niezrozumienie. W czym zawiniłam? Co złego uczyniłam? Czym tak bardzo ją drażniłam? Dlaczego to na mnie najbardziej się denerwowała? Och, jakże chciałabym wiedzieć.

Nie dawałam po sobie poznać, jak bardzo się bałam powrotów ze szkoły. Matka jak zwykle siedziała na kanapie. Na jej widok drętwiałam ze strachu – wyczuwałam, że gdy tylko przestąpię próg, zaraz zacznie wrzeszczeć.

– Najwyższy czas! Gdzieś ty się podziewała po drodze ze szkoły, ty próżna dziewucho? Umyj podłogę! – krzyczała.

Bałam się otworzyć usta, bo gdyby nie udało mi się wydusić ani słowa, zaraz bym oberwała, kiwałam więc tylko głową i robiłam, co kazała.

Czasem padała komenda: „Sprzątnij ze stołu” albo „Zrób mi herbaty”, ale dzień w dzień było coś do zrobienia właśnie w chwili, w której przestępowałam próg domu. „Sam, zrób to” lub „Sam, zrób tamto”. Mój umysł potrzebował paru miesięcy, żeby przystosować się do nowego życia.

Nie miałam pojęcia, dlaczego matka zachowuje się inaczej niż mamy, o których czytałam w książkach i które dobrze traktowały swoje dzieci. Z książek dowiedziałam się, że matka jest osobą miłą, zachęcającą, ciepłą i hojną, bezpieczną ostoją, która tuli i pociesza. Moja wymarzona matka śpiewała mi do snu i jednocześnie delikatnie kołysała moją głowę na dłoni. W bajkach występowały jednak również złe matki i macochy, które wysyłały swoje dzieci lub pasierbów do lasu na niechybną śmierć. Myślałam sobie czasem, że jestem właśnie w takiej bajce. Prawdziwa matka w najlepszym razie okazywała zupełną obojętność, a w najgorszym – wciąż nie wiedziałam dlaczego – podnosiła rękę i mnie biła. Do tego stopnia mocno, że zostawały siniaki.

Czy w ten sposób właśnie zachowują się normalne rodziny? Nie wiedziałam, bo nigdy nie miałam rodziny. Dlatego nauczyłam się akceptować zachowanie matki i rodzeństwa. W ciągu kilku krótkich tygodni stałam się niezwykle mądrą siedmiolatką. Wiedziałam, że mój dom nie jest miejscem bezpiecznym, radosnym, czyli odpowiadającym wyobrażeniom, jakie snułam w swej naiwnej dziecięcej główce. Pojęłam, że przebywanie z braćmi i siostrami wcale mnie nie uszczęśliwia. A matki się bałam.

(Znacznie później dowiedziałam się, że poznanie czegoś i zrozumienie unieszkodliwia strach. Spróbujcie to jednak wytłumaczyć siedmioletniej dziewczynce, która w każdej chwili spodziewa się ciosu zadanego przez matkę, brata czy siostrę. Spróbujcie jej to wytłumaczyć).

Zaczęło się w kuchni.

– Sameem, *haramdi*, co to ma znaczyć? Czy ci o tym nie wspominałam w zeszłym tygodniu?

W czasie gdy się odwracałam, by sprawdzić, co złego znów zrobiłam, poczułam nagły ból w plecach. Upadłam do przodu – częściowo z bólu, częściowo z powodu siły uderzenia. Usłyszałam śmiech Tary. Rozejrzałam się wokoło. Co się stało? Spodziewałam się, że matka będzie równie zaskoczona jak ja. Zastanawiałam się, kto mnie popchnął.

Matka nachyliła się tylko nade mną i wcisnęła mi palec prosto w twarz.

– Jeśli nie zaczniesz się bardziej starać, następnym razem dostaniesz mocniej. Wszystko zależy od ciebie. – I znów odwróciła się w stronę talerza.

Kiedy schodami wchodziliśmy na górę, Mena szepnęła mi do ucha:

– Lepiej uważaj. Mnie zawsze mówi, że jeśli nie zrobię, o co prosi, pożałuję, ale ciebie nawet nie ostrzega. Lepiej jej nie prowokuj.

Patrzyłam na nią zdumiona. Czym sprowokowałam matkę do bicia? Co

złego zrobiłam? Nic prócz tego, że jak co wieczór usługiwałam do stołu. Wiedziałam, że więcej mnie nie uderzy. To musiała być jakaś pomyłka.

Myślałam się co do matki. Ale również co do siostry i brata. Miałam wrażenie, że Tara i Manz tylko czekają, aż oberwę. Tara nie kryła wtedy radości. Ale to nie wszystko. Wyczuwałam coś jeszcze gorszego. Chyba odczuwali ulgę.

Długo trwało, zanim zdałam sobie z tego sprawę, a w pełni zrozumiałam dopiero parę lat temu – otóż moje starsze rodzeństwo, niezależnie od okrucieństwa, jakie mi okazywało, żyło w wiecznym strachu przed matką, jej gniewem i nastrojami. Wszyscy byli więc zadowoleni, że ja przejęłam rolę głównego celu ataków. Kiedy pewnego wieczoru leżałam w łóżku, przytulona plecami do pleców Meny, przypominałam sobie, jak kiedyś w domu dziecka zostałam użądłona przez pszczołę. Ciocia Peggy tłumaczyła wtedy, że pszczoła nie zrobiła nic ponad to, co kazała jej natura, i że była to zwyczajna reakcja, bo stanowiłam dla niej przeszkodę. Pszczoła nie wiedziała, co robi – w jedyny znany sobie sposób stanęła w swojej obronie. Nie wiedziała, jakie skutki pociąga to za sobą. Wyobraziłam sobie, że członkowie mojej rodziny zachowują się jak ta pszczoła. Bronią swego, instynktownie przeciwstawiają się obcemu, intruzowi. A krzywda, jaką mi wyrządzają, nie ma dla nich żadnego znaczenia. Dlaczego w ich oczach byłam obca, nie należałam do rodziny – tego nie rozumiałam. I nigdy nie rozumiałam.

Ale nie moje zachowanie było przyczyną agresji, lecz nastroj matki. To, czy coś zrobiłam lub nie, miało o wiele mniejsze znaczenie niż jej samopoczucie w danej chwili. Jedzenie podane trochę inaczej, niż sobie wyobrażała, nawet jeśli ostatnim razem jej to nie przeszkadzało, hałas w niewłaściwym momencie, jakikolwiek bałagan – byle co potrafiło nagle wyprowadzić ją z równowagi. Ale niekiedy wystarczyła sama moja obecność w pokoju – to, że leżałam na podłodze i oglądałam filmy Bollywood, które cieszyły się u nas w domu wielkim uznaniem. Początkowo, widząc, jak przytula Salima, marzyłam, by i mnie tak przytuliła, i wyciągałam do niej rękę.

– *Ami* – błagałam – proszę... – Ale nigdy nie dopięłam swego. Zawsze odpychała moją rękę i odwracała się plecami.

Bicie stawało się coraz bardziej dotkliwe. Uderzenie otwartą dłonią w tył głowy, pięścią w bark, uszczygnięcie w ramię, kopniak w nogę, ciągłe besztanie. „Mówiłam, żebyś tego nie robiła”, „Nie zwracaj się tak do mnie”, „Czy nie mówiłam, że ci nie wolno?”. A potem doszedł jeszcze jej but – zawsze miała go pod ręką, więc zsuwała sandał – płaski i cienki – i lała. A kiedy bardzo się gniewała, uderzała obcasem, żeby bardziej bolało.

Nie potrafię powiedzieć, dlaczego nie uciekałam na górę, daleko od niej, gdzie ze względu na astmę nie miała dostępu. Przypominałam sobie jedno wyjaśnienie – zawsze myślałam, że ma powód i że jeśli zrobię, czego żąda, da mi spokój. Że jeśli w końcu będę „dobrą” córką, matce zabraknie powodów do bicia,

a jej gniew wygaśnie tak szybko i niepostrzeżenie, jak wybuchł, i wyłoni się spod niego słodka, kochająca istota, o jakiej marzyłam. Trwałam w tej zwodniczej iluzji nawet w dniu, kiedy posunęła się do tego, by chwycić za kij.

Mówiła na ten przedmiot *pika*. Nawet nie wiem, co dokładnie oznaczało to słowo. Leżał pod jej łóżkiem. Służył tylko do karcenia mnie, reszty rodzeństwa nim nie tykała. Ponad półmetrowy kij grubości mojego kciuka spadał mi na ramiona, plecy i nogi. Krzyczałam i kuliłam się pod jego razami.

Mena niosła mi pociechę dopiero, kiedy już było bezpiecznie – to znaczy, kiedy wiedziała, że jej się nie dostanie. Nikt inny nawet się do mnie nie zbliżał, nie przemywał ani nie opatrywał mi ran, bo w naszym domu nie stosowano plastrów na rozcięcia ani maści na siniaki. Szlochałam cichutko ze strachu przed matką, nie pojmując, za jakie przewiny byłam traktowana gorzej od psa. Za każdym razem działało się jednak tak samo – matka zachowywała się jak gdyby nigdy nic, reszta rodzeństwa okazywała lekceważenie, a ja zostawałam sama z lękiem i bólem.

Obrywałam prawie codziennie. Przeważnie popychano mnie lub uderzano w plecy, żebym szybciej wykonała jakieś zadanie. Jeśli na przykład za długo zmywałam, matka krzyczała, bym się pospieszyła, a Hanif, która rzadko podnosiła rękę, ograniczając się do lekkich klapsów, za to często podnosiła głos. A jeżeli przed wyjściem do szkoły nie odłożyłam ubrania na miejsce, po powrocie matka łoła mi skórę podeszwą swojego sandała. Narzędzie, którym wymierzała karę, zależało od rodzaju przewinienia.

Trochę to trwało, zanim znowu nauczyłam się być „dzielną dziewczynką” cioci Peggy. Parę miesięcy znoszenia bicia i agresji – tyle wystarczyło memu ciału, by przywykło do bólu. Choć sprawcą moich cierpień był nie kto inny jak matka (kiedy mnie uderzyła, stwierdzała: „Przecież ona już do tego przywykła”), to ja wciąż starałam się za wszelką cenę ją zadowolić. Chyba liczyłam, że da mi ciasteczko w czekoladzie, jak to robiła ciocia Peggy, kiedy byłam dzielna.

Pewnego razu zapomniałam posolić curry. Miałam wtedy dziesięć lat. Skończyłam już gotować sos i czekałam tylko na ryż. Matka, która siedziała po turecku na sofie, wrzasnęła, że chce jeść. Wzięłam więc chochlę, nałożyłam na talerz porcję samego sosu i zaniósłam jej, po czym wróciłam do kuchni, żeby podać jej jeszcze szklankę wody. Stawiałam ją właśnie na podłodze, kiedy chwyciła mnie za włosy i ciągnąc, podniosła moją głowę.

– A curry to niby kto ma za ciebie posolić? Może babcia podniesie się z grobu i to zrobi?! – krzyknęła, jednocześnie mocno mnie odpychając. Kazała mi doprawić jedzenie przed powrotem Manza i zagroziła, że jeśli tego nie zrobię, on zbije mnie kijem – usłyszałam słowo *pika*.

W zasadzie częściej mi nią grozono, niż bito. Po pewnym czasie bicie wywarło dziwny skutek. Zaczynałam wierzyć, że na nie zasługuję. Że ze mną jest coś nie tak, że to moja wina, że matka mnie nie kocha. Wiedziałam – już wtedy

wiedziałam – że to jakieś szaleństwo, ale nie mogłam przestać czuć tego, co czułam. Dlatego też pewnego dnia, kiedy zostałam pobita do krwi, nie przeleżałam się tego widoku, ale powitałam go z zadowoleniem. Cios matki spadł prosto na wewnętrzną stronę nadgarstka, a jej bransoletka rozcięła mi skórę. Widok płynącej krwi mnie zahipnotyzował. Przemoc, jakiej doświadczałam, wywołała konkretny efekt fizyczny, będący znakiem mojego ukrytego dotąd, niewidocznego na zewnątrz bólu. Nie tylko czułam, że cierpię, ale również widziałam. To nie było nic złego. Przyniosło mi ulgę. Odmieniłam się dzięki temu doznaniu. Znalazłam potłuczoną szklaną bransoletkę Hanif i ukryłam ją pod swoim łóżkiem.

Pewnego dnia w uszach dzwoniło mi od obelg i uderzeń. Czułam do siebie nienawiść, że znowu nie zdołałam zadowolić rodziny. Wyjęłam więc spod łóżka bransoletkę, schowałam się w ubikacji i pociągnęłam ostrym, złamanym końcem po przedramieniu od łokcia w dół. Towarzyszące temu uczucie nie przypominało niczego, czego dotąd zaznałam – powinno boleć, ale nie bolało, choć krew ściekała po skórze. Jakby wyciekał ze mnie jakiś mroczny sekret, a w miarę jak wyciekał, poprawiało się moje samopoczucie. Chodziło o to, by coś sobie samej udowodnić. Zjawisko było rzeczywiste, namacalne, przynajmniej mogłam je widzieć. Przyłożyłam chusteczkę do cienkich czerwonych strużek. Łatwo dały się zetrzeć, a kiedy krew przestała lecieć, szybko obciągnęłam rękaw, by zasłonić ranę, i wróciłam do kuchni. Nikt nie miał pojęcia, co przed chwilą zrobiłam. Byłam podekscytowana swoją tajemnicą.

Potem często sama się kaleczyłam – drapałam skórę do krwi, ale jej nie rozcinałam. Miałam to pod kontrolą. Decydowałam, kiedy zacząć i kiedy przestać. Czasem robiłam delikatne nacięcia żyłką Manza, ale najbardziej lubiłam używać skradzionej Hanif uszkodzonej bransoletki. W jakiś dziwny sposób to dzięki niej cały proces wydawał mi się właściwy. Krwiste kwiaty nie wykwiwały na moim przedramieniu bez przyczyny. Kaleczyłam się, a strużki krwi zmywały ciosy, które na mnie spadały.

Nie nacinałam skóry głęboko, by krew nie leciała zbyt mocno, lecz spływała wąską strużką, którą byłam w stanie łatwo wytrzeć. Nie robiłam tego, by zadać sobie ból. Chodziło jedynie o pewne doznanie. Tak bardzo przyzwyczałam się, że jestem bita, że po prostu chciałam odczuwać ból. Pragnęłam tego. Przypominało mi wyzwolenie. Moment, kiedy wyciska się ropną krostę. Jednocześnie odczuwa się ból i ulgę.

Jedyny kontakt fizyczny z rodziną miałam wtedy, kiedy mnie bito. To, że sama się okaleczałam, nie znaczyło wcale, że robię sobie krzywdę. Przeciwnie – było okazywaniem miłości. Kalecząc własną skórę, pokazywałam, że kocham samą siebie.

Zrobiłam to może dziesięć, dwanaście razy na przestrzeni półtora roku. Zaczęłam w wieku jedenastu lat. Posuwałam się do tego tylko w chwilach, kiedy

było mi naprawdę bardzo źle. Na przykład oberwałam, ale uważałam, że niewystarczająco. Albo robiłam coś nie tak, a oni bez wytłumaczenia brali się do bicia. Musiałam więc się ponacinać, by sobie udowodnić, że jedynie dla mojego dobra biją mnie za popełnione wykroczenia. Robiłam to zawsze w milczeniu. Mówienie nic nie znaczyło. Ale towarzyszące temu uczucie było przyjemne. Zaczęłam pyskować, bo chciałam być bita, pragnęłam fizycznego kontaktu z rodziną. Później jeszcze bardziej pyskowałam, a kiedy to nie skutkowało, zamykałam się w ubikacji i kaleczyłam. Tam nie byłam narażona na zaczepki. Nacinałam sobie skórę i płakałam. Litowałam się nad sobą, byłam samotna i opuszczona. Chciałam, by ktoś ulżył mojemu cierpieniu. Czułam, że jestem bezradna, nic niewarta, nie należę do tej rodziny i nie mam dokąd pójść, choć równocześnie znajduję się w potrzasku. Jedynym sposobem, by dać upust tym wszystkim emocjom, okazało się nacięcie ręki czy nogi, a potem patrzenie, jak skóra zmienia kolor i wylewa się na nią cienka strużka krwi.

Tak oto wołałam o pomoc – ale czy ktoś mnie słyszał?

Jako dziecko byłam w stanie dużo zaakceptować – taką mam rodzinę, mówiłam sobie, więc muszę się do niej dostosować. Mimo nienawiści do stosowanej w domu przemocy, klapsów, uderzeń i kopniaków, mimo że tęskniłam za wygodami, jakie pamiętałam z domu dziecka, mimo że marzyłam, by ktoś po prostu pozwolił się do siebie przytulić albo wypełnił niezliczone obowiązki, które zawsze czekały wyłącznie na mnie, wciąż budziłam się co rano – i co popołudnie wracałam ze szkoły – pełna chęci i zapału, by ten dzień był lepszy od poprzedniego. Mówiłam też sobie, że tego dnia lepiej pójdzie mi mówienie po pendzabsku, że kiedy przygotuję jedzenie, matka weźmie do ust pierwszy kęs, popatrzy mi w oczy, uśmiechnie się i powie: ale dobre, świetnie sobie poradziłaś. Oczywiście nigdy do tego nie doszło. Lecz wciąż próbowałam.

Nie miałam zresztą innego wyboru. Tylko Mena stała po mojej stronie. Wieczorem w pokoju lub w kuchni po tym, kiedy znowu oberwałam, zawsze pytała, jak się czuję... Nigdy się nie przyznawałam, nawet wtedy, kiedy bolało przy najmniejszym ruchu – nigdy nie zdradzałam, jak bardzo cierpię. Czasem, gdy siadałam, bolały mnie plecy. Krzywiłam się, ale nigdy nie narzekałam. Jedynym ujściem dla bólu był płacz, ale rzadko miałam możliwość się wypłakać – nie chciałam tego robić w obecności Meny. Czasem płakałam w ubikacji na podwórku, czasami bezgłośnie, kiedy szłyśmy do szkoły, a wiatr chłodził mi twarz. Moje oczy wilgotniały, a ja otwierałam je coraz szerzej, by mogło wypłynąć więcej łez. Pragnęłam dać upust smutkowi i strachowi, ale tak, żeby Mena nie wiedziała. Sądzę, że chciałam ją ustrzec, choć nie potrafiłam chronić samej siebie.

Tyle miałam dobrych chęci. Chciałam pomagać w domu, sprzątać, gotować, nawet wynosić nocnik matki do ubikacji, bo myślałam, że robiąc to, zadowolam innych. Myślałam, że na tym to wszystko polega. Nie czułam się jak moje siostry

i bracia – czułam się inaczej. Staralam się, próbowałam ze wszystkich sił, ale wciąż w sobie wątpiłam. Tłumaczyłam sobie, że przecież nie wiem wszystkiego. Kazali mi przyzwyczać się do jedzenia, bo sami je jadali. Kazali nosić dziwne ubrania, bo też je nosili. Za pierwszym razem pokazywali, jak coś zrobić, i chwalili, kiedy się udało, ale potem oczekiwali, że następnym razem też zrobię to bezbłędnie, a jeśli się pomyliłam, krzyczeli lub nawet bili. Wszystko to akceptowałam, a nawet przyjmowałam ze swego rodzaju zadowoleniem. Bo pragnęłam należeć do tej rodziny. Chciałam być traktowana jak siostra i uważałam, że jedynym sposobem, by to osiągnąć, jest ich zadowalać. Tak bardzo, bardzo, bardzo pragnęłam być kochana i ceniona przez matkę. Chciałam, aby na mnie patrzyła i w ogóle dostrzegała, a nie jak zawsze siedziała ze wzrokiem wbitym w dal. Wszystko, co robiłam, robiłam dla niej. Niestety, nigdy niewystarczająco dobrze.

Potrafiłam normalnie myśleć tylko nocą, kiedy w codziennym ubraniu leżałam w łóżku, albo gdy byłam poza domem. Przez cały dzień ktoś ciągle mi coś kazał, bałam się, że powiem lub zrobię nie tak jak trzeba. Dopiero w nocy mogłam puścić wodze wyobraźni. Marzyłam, że mieszkam na wolności, na przykład w Chase, w parku lub na „małpich wzgórzach” niedaleko naszego domu. Zawsze przebywałam z innymi dziećmi, ale dzieci te nie należały do naszej rodziny ani nie chodziły do mojej szkoły. W tych marzeniach przyjaźniłam się z nimi, a one wszystkim się ze mną dzieliły.

Bardzo lubiłam się bawić, ale przy matce nigdy nie było ani chwili na zabawę. A nawet gdybym mogła się bawić, to i tak nie miałam czym – walizka, którą przywiozłam z domu dziecka, nigdy się nie odnalazła. Menie i mnie nie dawano zabawek ani strojów, w które mogłybyśmy się przebierać. Po domu płątały się tylko zabawki Salima.

Jedyny wyjątek stanowiły sobotnie poranki, kiedy matka i Hanif wybierały się na zakupy. Oglądałyśmy wtedy z Meną telewizję, śmiałyśmy się z Chrisa Tarranta, Sally James i Lenny’ego Henry’ego, prowadzących poranek dla dzieci. Potem zmieniałymy kanał i oglądałyśmy kreskówki. Leżąc na podłodze przed telewizorem, czułam się prawie tak, jakbym na powrót stała się małą dziewczynką i w jadalni domu dziecka czekała na obiad. Oczywiście małą dziewczynką byłam – tylko małą dziewczynką – o czym skutecznie przypominała mi Tara. Wchodziła, oświadczała, że wyłącza telewizor, i groziła, że powie matce, ale ignorowałyśmy ją, wiedząc, że siądzie z nami i też zacznie oglądać. Przecież sama była jeszcze nieduża.

Jeśli miałyśmy szczęście, to pod nieobecność matki czasem obejrzałyśmy coś innego, jak choćby *Aniolki Charliego*. Uwielbiałyśmy ten serial i niekiedy udawałyśmy z Meną, że jesteśmy jego bohaterkami – zdarzało się, że i Tara przyłączała się do zabawy. Z czasem to się oczywiście skończyło, ale na początku łatwo ją było namówić, żeby wyszła z nami na dwór. Mówiłam im na przykład, że ukryłam coś w ogrodzie – powiedzmy, szczotkę do włosów – i udawałam, że to broń, a one musiały jej szukać. Zawsze chciałam być Sabriną – tą z długimi, czarnymi włosami. Kiedy Tara trochę podrosła, chowałam jej podręcznik gdzieś w ogrodzie, a ona nie miała innego wyjścia jak szukać go przy pomocy Meny – jeśli oczywiście zamierzała odrobić lekcje.

Ale kiedy tylko słyszałyśmy głosy matki i Hanif przed drzwiami wejściowymi, pospiesznie wyłączałyśmy telewizor i uciekałyśmy do kuchni. Ja stawałam przy zlewie i udawałam, że od samego rana przygotowuję dla nich obiad.

Sobotnie poranki zwykle bywały wesołe, ale za to niedzielne – zupełnie odwrotnie. Hanif wypędzała mnie z łóżka i musiałam pomagać jej w praniu.

– Sam, zbierz wszystkie ubrania, dzisiaj pranie – mówiła, potrząsając mną, żebym się obudziła. Musiałam stukać do wszystkich pokojów – „Idź sobie!”, krzyczał Saber – i zebrać brudne ubrania, po czym znieść je na dół i położyć przy blaszanej balii w małym pokoiku przy kuchni.

W tym czasie Hanif napełniała balię wodą, prała w ręku każdą rzecz z osobna, a później mi podawała. Musiałam ją wypłukać pod kranem z zimną wodą (woda w balii była gorąca), a potem wysuszyć. To oznaczało długotrwałe wyżymanie, od którego strasznie bolały ręce, aż rzeczy stawały się na tyle suche, by rozwiesić je na sznurze. A ponieważ woda była lodowata, po skończonej pracy miałam zdrętwiałe, sztywne ręce. Z zimna bolały mnie nawet ramiona. Przy ładnej pogodzie wywieszałam ubrania w ogrodzie, a jeśli padało – na sznurku rozpiętym wokół bojlera, by tam wyschły.

Z każdym tygodniem i miesiącem nie opuszczała mnie nadzieja, że ktoś wreszcie zauważy, jak ciężko pracuję i jak dobrze się sprawuję. Oczywiście miałam do wszystkich żal, że nikt nie okazuje mi ani odrobiny sympatii, ale wciąż najbardziej pragnęłam akceptacji.

Czułam się w domu jak intruz również dlatego, że nie miałam swoich ubrań – zawsze nosiłam coś po Tarze. Nie wolno mi też było wieszać ich ładnie na ramiączkach – musiałam wrzucać je byle jak na dno szafy. Aby znaleźć pasującą do spodni bluzę, należało wszystko wyjąć, a potem włożyć z powrotem. Chodziłam w starych, zdartych butach, które mnie uwierały.

Czasem mówiłam sama do siebie – udawałam, że mam koleżankę. Ona mnie przytulała, kiedy znów dostałam lanie, i całowała w siniaki, i wtedy znacznie mniej bolało.

Pewnego zimowego dnia wracaliśmy z Meną i Saberem z meczetu przez „małpie wzgórze” i rozmawialiśmy o tym, czego każde z nas najbardziej pragnęło. Mnie doskwierał brak słodczy – żałowałam, że nie mogę tak po prostu iść do sklepu i kupić sobie cukierków czy czekolady. Powiedziałam więc:

– Tak, właśnie o tym teraz marzę. Szczerze mówiąc... – zaczęłam i nagle odwróciłam się i spojrzałam na nich w olśnieniu. – A właściwie dlaczego nie moglibyśmy przejść się po domach, pośpiewać kolędy i w ten sposób zarobić sobie na słodczy? – Oboje popatrzyli na mnie, jakbym postradała rozum. Wyjaśniłam więc: – Chrześcijańskie dzieci o tej porze roku chodzą po domach, śpiewają piosenki, które nazywają się kolędy, i ludzie dają im za to pieniądze.

Kolędowaliśmy w domu dziecka, ale pieniądze nie trafiały do nas, tylko na cel dobroczynny. Saber uznał, że pomysł jest świetny, ale Mena jak zwykle nie kryła przerażenia. Oboje mieli jednak ten sam argument: „Nie znamy kolęd, to jak mamy je śpiewać?”. Ćwiczyliśmy po drodze do nowej, eleganckiej dzielnicy,

niezamieszkaną przez Azjatów (żeby matka się nie dowiedziała). Zaśpiewaliśmy – a raczej ja zaśpiewałam – *Away In a Manger* przed sześcioma czy siedmioma domami. Efekt musiał być okropny, ale i tak udało nam się zdobyć po dziesięć pensów. Ja kupiłam sobie paczkę chipsów, dużo gum anyżkowych i owocowych po pensie za cztery sztuki. Jedliśmy je w drodze powrotnej do domu. Wspólnie uznaliśmy, że to rekompensata za brak tegorocznego prezentu urodzinowego. Rozkoszowaliśmy się słodyczami, które smakowały tym lepiej, że zarobiliśmy na nie sami, bez wiedzy matki.

W szkole chodziłam już do następnej klasy, a mój wychowawca, pan Rowe, był odpowiedzialny za organizację szkolnego przedstawienia z okazji Bożego Narodzenia. Bardzo się w nie angażował, nawet sam malował dekoracje. Mieliśmy wystawić sztukę o arce Noego. Cieszyłam się, bo zostałam wybrana do roli jednego ze zwierząt, które prowadzi Noe, podczas gdy wszyscy śpiewają: „Zwierzęta szły parami, hura, hura!”.

Przekazałam matce list z zaproszeniem na przedstawienie. Nie przeczytała go – nigdy nie czytała listów po angielsku – więc musiałam odczytać jej na głos. Ponieważ list miał być podpisany przez któreś z rodziców, złożyła swój podpis. Nadszedł dzień szkolnego przedstawienia. Wyszliśmy na scenę. Sala była pełna rozpromienionych rodziców, którzy uśmiechali się do swoich dzieci. Choć pan Rowe nie pozwalał nam tego robić, wszystkie dzieci z mojej klasy wypatrywały swoich mam i tatusiów, a potem jak szalone machały do nich ze sceny. Błyskały flesze aparatów, wszyscy byli szczęśliwi.

Wszyscy prócz mnie. Choć matka ani słowem nie wspomniała, że przyjdzie, byłam zdruzgotana, nie widząc na widowni nikogo z mojej rodziny. Myślałam, że jestem jedynym dzieckiem w całej szkole, którego bliscy nie przyszli na przedstawienie. Co gorsza, do gorzkiego upokorzenia dołączył paskudny, narastający strach, że matka zapomniała, że z powodu przedstawienia wrócę później ze szkoły, i dostanę za to w skórę.

Moje dziesiąte urodziny minęły jak każdy zwyczajny dzień. Musiałam gotować i sprzątać, a nikt z rodziny nawet słowem nie wspomniął o moim święcie. Kiedy wieczorem myłam podłogę w kuchni, myślałam ze smutkiem, jak wyglądałby ten dzień w domu dziecka. Tam dzień urodzin oznaczał przywilej słodkiego nicnierobienia. Dziś wieczór nie miałam ochoty na curry i *roti*. Marzyłam o wielkim torcie ze świeczkami, które mogłabym zdmuchnąć, w duchu wypowiadając życzenie.

Mena weszła do kuchni i usiadła na stołku.

– Dziś moje urodziny – poinformowałam po chwili milczenia. Bardzo chciałam, aby ktoś złożył mi życzenia.

Mena uśmiechnęła się smutno.

– Wszystkiego najlepszego – powiedziała. – Wiesz, co robię w moje

urodziny?

Przerwałam czynność, którą akurat wykonywałam, i spojrzałam na nią. Dopiero teraz dotarło do mnie, że Mena też musiała mieć urodziny, a ja nawet nie wiedziałam kiedy. Nigdy ją o to nie zapytałam.

– Nie, a co?

– Kiedy już leżę w łóżku, mocno zaciskam oczy i myślę sobie życzenie. Nikomu go nie zdradzam, inaczej się nie spełni. Też tak zrób.

Zapewne w dniu swoich urodzin Mena leżała obok mnie w łóżku i myślała swoje życzenie, a ja nic o tym nie wiedziałam. Zrobiło mi się jeszcze smutniej. Spojrzałyśmy po sobie. Żadna z nas nie potrzebowała słów, by odgadnąć myśli tej drugiej.

Po paru miesiącach od mojego powrotu w rodzinne progi przestaliśmy robić zaciski do kabli akumulatorowych. Za to matka i Hanif poszły do pracy. Miało to swoje dobre i złe strony. W domu było trochę więcej spokoju, ale po powrocie z pracy padały z nóg i natychmiast domagały się jedzenia.

– Czy jedzenie gotowe? Podajcie kolację. Mam nadzieję, że kolacja gotowa, jesteśmy bardzo głodne po całym dniu pracy.

Niczego więcej nigdy od nich nie usłyszałam. Ani dziękuję, ani poproszę.

Potem przestały chodzić do pracy. Opieka społeczna wstrzymała im wypłaty zasiłku, co oznaczało, że ktoś je nakrył. Odtąd musiały nam wystarczyć pieniądze, które zarabiał Manz. Moje obowiązki się nie zmieniły – wciąż należało do nich gotowanie. Tak właśnie było w naszym domu – miałam wrażenie, że wszyscy żyją na innych zasadach niż ja. Muzułmańskie święto Id, które przypada raz w roku, było dla mnie kolejnym dniem ciężkiej pracy. Wszyscy inni dostali nowe ubrania, natomiast ja te, które rok wcześniej otrzymała Tara. Musiałam uważać, żeby nie pochłapać ich podczas gotowania. Mogłam za to oberwać.

Odpoczywałam wyłącznie w czasie ramadanu, kiedy muzułmanie od wschodu do zachodu słońca poszczą. Oznaczało to brak konieczności gotowania. Odbierałam ten dzień jak prawdziwe święto. Matka kupowała też wtedy jedzenie, którego normalnie nie jadaliśmy, na przykład owoce i sałatkę. Może dlatego, że przez cały dzień nie wolno nam było również pić? Jedliśmy więc garściami jabłka, banany i pomarańcze. Wydawało się, że ramadan uspokajał też matkę. Tylko wtedy nie krzyczała na mnie, że czegoś nie robię. Oczywiście trudno przestrzegać postu, zwłaszcza w lecie, kiedy od trzeciej nad ranem do dziesiątej wieczór jest widno.

Kiedyś podczas ramadanu – miałam wtedy dziesięć lat – po drodze do szkoły znalazłam na chodniku pensa. Tak się ucieszyłam, że od razu poszłam do sklepu ze słodyczami i kupiłam sobie coś dobrego. Przyszłam do szkoły z gumą do żucia w buzi, a wtedy jedna z dziewczynek zwróciła mi uwagę:

– Czy ty przypadkiem nie powinnaś pościć?

Od razu wyplułam gumę.

Tara wyrosła już z dziecinnych zabaw, ale czasem zdarzały się chwile, kiedy dobrze się razem bawiłyśmy. Pewnego dnia w kuchni Tara uderzyła się w duży palec o nogę stołu. Zakląła głośno, a Mena i ja się roześmiałyśmy. Zakląła jeszcze raz, a potem obrzuciła nas wyzwiskami – tym razem z przymrużeniem oka. Mena odpowiedziała jej przekleństwem, a po chwili do zabawy dołączyłam i ja. Wszystkie trzy używałyśmy najgorszych słów, jakie przychodziły nam do głowy. W końcu ja wygrałam – dziewczyny uznały, że znam najwięcej brzydkich wyrazów. Tymczasem powtarzałam tylko te, które słyszałam od matki.

Kiedy matki nie było w domu, Tara wyraźnie się rozluźniała. Siedziałyśmy kiedyś razem przy stole, a ona zaplotła mi warkocz, a potem z wielką cierpliwością wyjaśniła, jak mam to robić sama. Miałam dość długie włosy, sięgały mi poniżej ramion, ale wciąż znacznie krótsze niż włosy Meny lub Tary. Już myślałam, że lody między nami pękły, ale kiedy wróciła matka, Tara znów zaczęła się rządzić. Saber zachowywał się zupełnie inaczej. Po pierwsze, głównie go nie było, pojawiał się właściwie po to, żeby zjeść i się przespać. Poza tym godzinami przebywał poza domem, a matka nigdy nie pytała, gdzie się podziewał. Saber nie pozwalał, by matka mu dokuczała. Pewnego wieczora słyszałyśmy, jak wrócił – żeby zejść rodzinie z drogi, siedziałyśmy na górze – a matka krzyknęła:

– Tylko nie narób bałaganu! Po co ci to?

– Po nic, to do szkoły! – odkrzyknął, a jego kroki rozległy się na schodach. Uśmiechnięty, stanął w drzwiach naszego pokoju. W ręku trzymał kartonowe pudełko.

– Po co ci to? – zapytałam.

– Chcecie w coś pograć?

Spojrzałam na niego. Nigdy nie zaproponował wspólnej zabawy. Słyszałam od niego tylko: „Pomóż mi umyć rower” albo „Daj coś do jedzenia”. Byłam więc nastawiona podejrzliwie.

– W co pograć?

– W jedną fajną grę. Nazywa się warcaby. Kto ma coś do pisania?

– Ja mam – odparłam, coraz bardziej zaciekawiona. Kusila mnie perspektywa nauczenia się czegoś nowego. W szafie pod ubraniami trzymałam wszystkie swoje długopisy i ołówki. Wyjęłam jeden i mu podałam.

Saber zaczął rozdzierać karton. Szło mu ciężko, ale w końcu oderwał jeden bok i podzielił go na dwa kwadraty. Podał jeden mnie, a drugi Menie i kazał każdej z nas podzielić swoją część na dwanaście małych kawałków.

– Potem je zamalujecie, każda na inny kolor. – Następnie wziął kawałek kartonu o równej krawędzi, który posłużył mu za linijkę, i narysował szachownicę na innym boku rozdartego kartonowego pudła. – Plansza wygląda tak samo jak szachownica – powiedział i się do mnie uśmiechnął. – No co, skończyłaś już?

Bardzo chciałam zagrać. Saber położył planszę na łóżku i wyciągnął przed

siebie obie ręce, a my oddałyśmy mu przygotowane kartoniki.

– Która chce grać pierwsza? – zapytał.

– Ja! – krzyknęłam z entuzjazmem.

– Ciszej, nie krzycz tak – odezwało się równocześnie moje rodzeństwo. – Bo jeszcze matka usłyszy.

– Przepraszam.

Saber rozłożył pionki na planszy, pomijając co drugie pole. Po jednej stronie stały jego pionki, po drugiej – moje.

– Muszę dojść swoimi pionkami ze swojego końca planszy na twój koniec. Ty musisz mnie zatrzymać i też dojść pionkami na mój koniec. Możesz ruszać się tylko na ukos, a jeśli twój pionek znajdzie się obok mojego, na przykład tak, mogę cię „zbić”. Wygrywa ten, kto zbije wszystkie pionki przeciwnika. Rozumiesz?

– Hm, zrozumieć podczas gry – odparłam.

Przyglądałam się uważnie, jak Saber swoimi pionkami pokonywał szachownicę, by dojść na moją stronę. Ja po prostu przesuwając swoje, dokąd chciałam. Nie wiedziałam, że należy stosować jakąś strategię, więc Saber oczywiście wygrał.

– Och, zapomniałem ci powiedzieć, że kiedy dojdiesz swoim pionkiem na mój koniec planszy, stawiasz mój pionek na swoim i to jest damka. To znaczy, że możesz się poruszać, jak chcesz, po liniach prostych.

Odwróciłam się do siostry, która w milczeniu przyglądała się grze. Wyglądała na zaniepokojoną.

– Mena, teraz ty.

– Nie, nie chcę – odparła. – Nie rozumiem, o co w tym chodzi.

– Dobra, w takim razie ja gram jeszcze raz.

Po raz drugi bacznie przyglądałam się ruchom Sabera. Odkryłam, że nie rusza pionków z dolnego szeregu, dopóki nie dojdzie do końca planszy pozostałymi. W czasie czwartej rundy zastosowałam tę samą technikę, ale znów wygrał, choć tym razem jego przewaga była niewielka.

Słyszeliśmy, że Manz idzie na górę się położyć. Nie wiedzieć czemu, tym razem nie wsunął głowy w drzwi i nie kazał nam się kłaść, bo już późno.

Saber uznał w końcu, że wystarczy.

– Coraz lepiej sobie radzisz. Idę spać. Gra może zostać u ciebie. Jutro znów zagramy – powiedział i poszedł.

Następnego dnia znów zagraliśmy i tym razem omal nie wygrałam. Podobała mi się gra w warcaby. Trzeciego wieczoru zwyciężyłam.

– Nie mogę w to uwierzyć – rzekł zniechęcony.

– Wygrałam, wygrałam! – wołałam ze śmiechem. – Ograłam cię w twoją grę!

Tej nocy obudziły mnie jakieś hałasy za drzwiami. Leżałam przez chwilę

i zastanawiałam się, o co chodzi, ale słyszałam tylko czyjeś kroki na schodach. Wyciągnęłam rękę w stronę łóżka Meny i szturchałam ją, dopóki się nie obudziła.

– Co jest, Sam? – zapytała półprzytomnie.

– Coś się dzieje – wyjaśniłam. – Ktoś chodzi po domu.

Myślałam, że słysząc to, rozbudzi się na dobre, zważywszy, że od dawna bała się złego ducha. Mena odwróciła się jednak na drugi bok i wymamrotała:

– I co z tego?

Leżałam jeszcze trochę, ale w końcu nie mogłam dłużej wytrzymać. Kroki na schodach nie ustawały, a z dołu dobiegał głos matki. Nagle rozległo się stukanie w drzwi wejściowe.

Po cichutku wyszłam z łóżka i uchyliłam drzwi. Teraz dobrze słyszałam głos matki, która stała na dole schodów i wołała, że karetka już jest.

Minęła mnie Hanif. Szła powoli, prawą ręką trzymając się za brzuch.

– Wszystko w porządku? – zapytałam.

– Tak – odparła, choć po jej głosie poznałam, że mówienie sprawia jej trudność. Skrzywiła się. – Jadę do szpitala. Będę miała dziecko.

– Naprawdę? Dziecko?

– Wracaj do łóżka, Sam – odezwał się Manz, który szedł teraz na górę z płaszczem Hanif w rękę.

Obserwowałam ich przez uchylone drzwi, dopóki nie znikli na dole schodów, a potem wyslizgnęłam się z pokoju i poszłam za nimi. Nie chciałam schodzić zbyt nisko, tylko przykucnęłam, by widzieć, co się dzieje na dole. Jakiś człowiek w zielonym fartuchu czekał na Hanif, a kiedy zeszła, wyjął jej rękę z dłoni Manza i pomógł wsiąść do karetki.

Matka wyszła na dwór, by pomachać im na pożegnanie. Kiedy tylko karetka odjechała, błyskawicznie wróciłam do pokoju. Nie chciałam, aby zobaczyła mnie wracająca do środka matka. Z całą pewnością natychmiast zażądałaby, żebym zrobiła jej herbaty, masaż głowy i tak dalej.

Ledwie zdążyłam wrócić do łóżka, usłyszałam skrzypnięcie podłogi w korytarzu, po czym drzwi do naszego pokoju uchyliły się i stanął w nich Saber.

– Nie śpisz, Sid? – Saber czasem zwracał się do mnie imieniem bohatera programu telewizyjnego Kenny’ego Everetta – Sida Snota[2], któremu, tak jak mnie, ciągle leciało z nosa. Odbierałam to jako dowód sympatii i zawsze kwitowałam uśmiechem.

– Nie – szepnęłam.

Podszedł i usiadł na moim łóżku.

– Co się dzieje? – zapytał.

– Hanif pojechała do szpitala, będzie miała dziecko – odparłam.

– Aha – rzekł, jakby w końcu wyjaśniła się jakaś tajemnica. – Wydawało mi się, że jest coraz grubsza, ale myślałem, że to dlatego, że wyleguje się, podczas gdy

ty za nią harujesz.

Nie wiedziałam, co miały ze sobą wspólnego tycie, szpital i dzieci, ale nie zamierzałam zdradzać tego Saberowi.

Mena poruszyła się pod kocem.

– Będzie miała dziecko?

– Tak mówiła – rzekłam. – *Padzi* z nią pojechał.

– Dobra, jeśli tylko o to chodzi, to idę spać – oznajmił Saber.

Następnego ranka wciąż jeszcze spałam – była niedziela, więc nie trzeba wstawać do szkoły ani do pracy – kiedy matka zaczęła nawoływać mnie z dołu.

– Sam! Sam! – krzyczała. – Chodź tu, w tej chwili!

Naciągnęłam na siebie koc. Matka nigdy nie wchodziła na górę, mogłam jeszcze chwilę udawać, że śpię.

Nagle drzwi naszego pokoju otworzyły się i wszedł Salim. Podeszedł do mojego łóżka i dźgnął mnie palcem. Leżałam bez ruchu, obserwując, co robi dalej. Nagle schylił się i podniósł jeden z moich butów, które leżały przy łóżku.

– Hej – odezwałam się, podnosząc się gwałtownie. – Co ty robisz?

– Mama powiedziała, że masz zejść i jej pomóc. Powiedziała też, że jeśli nie będziesz chciała, mam cię zbić. – Mówił to z uśmiechem, więc wiedziałam, że tego by nie zrobił.

– Dobrze, dobrze – odparłam. – Już wstaję.

Zeszłam na dół. Usłyszałam matkę w kuchni, poszłam tam, by sprawdzić, o co jej chodzi.

Kiedy to zobaczyłam, zamarłam. W kuchni panował potworny bałagan. Tak działo się zawsze, kiedy matka brała się do jakiejś roboty. Nie zważała na to, co otwiera, rozlewa czy upuszcza, bo przecież był ktoś – czyli ja – kto po niej sprzątał.

– O, jesteś, leniwa dziewczyno. Cały dzień się wylegujesz, a tu tyle roboty! – Mówiąc to, nawet na mnie nie spojrzała. Cóż, żadna niespodzianka... – Najpierw weź ten duży garnek – zaordynowała – i włóż do niego cztery kostki masła, a potem postaw to na kuchni, niech się roztopi. Potem idź po moździerz i zacznij ucierać, o to.

To, co musiałam ucierać, było okropne – twarde i białe. Wyglądało jak fasola. Już po chwili bardzo bolała mnie ręka, ale wiedziałam, że matka i tak nie pozwoli na odpoczynek, więc nie mogłam się sprzeciwić. Za każdym razem, kiedy w moździerzu pozostawał drobny proszek i myślałam, że to wreszcie koniec, matka wsypywała jego zawartość do rondla, a moździerz napełniała kolejnymi ziarnami podobnymi do fasoli. Podczas tej pracy obie milczałyśmy. Matka wydawała wyłącznie komendy i polecenia, a ja byłam na tyle mądra, by nie zadawać żadnych pytań, tylko pracować.

W końcu zmieliłam wszystko. Matka powiedziała:

– Teraz idź się umyć i zjedz śniadanie, a potem będziesz mi znowu pomagać.

Poszłam na dwór, do ubikacji, wróciłam, ochlapałam twarz zimną wodą i zjadłam tosta. Dopiero wtedy zdecydowałam się zapytać:

– Co my w ogóle robimy, mamó?

– To dla Hanif. Ta mikstura pomoże jej odzyskać siły po urodzeniu dziecka.

Nie pytałam, dlaczego Hanif musiała odzyskiwać siły, skoro i tak to ja wykonywałam wszystkie prace w domu. Wyślizgnęłam się z kuchni i poszłam obudzić Menę.

Manz wrócił znacznie później. Przyszedł nam powiedzieć, że Hanif ma małego chłopca, którego nazwali Frazand. Przyniósł ze sobą łóżeczko. Poprosił mnie, abym poszła na górę pomóc mu je złożyć.

Nigdy dotąd nie przebywałam w pokoju Hanif i Manza. W przeciwieństwie do naszego ten był czysty i kolorowy, miał przyjemne, jasne tapety na ścianach, a nawet oddzielny telewizor i wideo. Większość powierzchni zajmowało podwójne łóżko, ale pod ścianą znalazło się miejsce na łóżeczko. Manz wydawał mi polecenia typu „Weź to” albo „Przytrzymaj tamto, dopóki nie przykręcę tego”, ale poza tym nie rozmawialiśmy. Za bardzo się go bałam – nie dało się przewidzieć, kiedy wpadnie w gniew. Gdy tylko łóżeczko zostało złożone, wróciłam do swojego pokoju, do Meny.

Parę dni później ze szpitala wróciła Hanif z małym Frazandem owiniętym w kocyk. Bardzo uważnie się jej przyglądałam. Chciałam sprawdzić, czy wygląda na szczególnie zmęczoną, jakby naprawdę ciężko pracowała, o czym wspominała matka. Zauważyłam tylko, że sporo zeszczupłała. Przypomniało mi się to, co wcześniej powiedział Saber.

Matka chciała, żeby Hanif usiadła z nią na kanapie, ale Hanif ruszyła prosto na górę, mówiąc:

– Jestem zmęczona, chcę się od razu położyć.

Matka natychmiast wskazała na schody i machnęła ręką, jakby chciała odprawić Hanif na górę. Powiedziała przy tym:

– No tak, oczywiście. Idź na górę i odpocznij. Sam przyniesie ci coś do jedzenia.

Te słowa wcale mnie nie zdziwiły. Od razu po powrocie ze szkoły zostałam wysłana do kuchni, żeby przygotować posiłek dla księżniczki, jak w myślach zaczęłam nazywać Hanif. Mena była już w kuchni. Jadła.

– Mena, musisz mi pomóc. Jestem zmęczona, a jeszcze nie odrobiłam lekcji.

– Co mam zrobić?

– Idę na górę zanieść jedzenie Hanif. Czy mogłabyś w tym czasie pozmywać?

Nałożyłam ryżu i curry na talerze, postawiłam je na tacy i ruszyłam do Hanif. W jej pokoju czekała niespodzianka. Otóż zastałam w nim matkę – matkę, która nigdy nie wchodziła na górę. A wszystkie nasze książki szkolne leżały na

łóżku w pokoju obok, ponieważ wiedziałyśmy z Meną, że nikt tam nie wchodzi, by sprawdzić porządek. Matka je wyrzuci, bo wyrzucała wszystko, co tylko było po angielsku. I zbije mnie, a może nawet nas obie, jeśli odkryje podręczniki. Zareagowałam natychmiast.

– Ojej! Zapomniałam soli i pieprzu! – zawołałam. Odstawiłam tacę, wycofałam się z pokoju i pobiegłam do naszej sypialni. Szybciutko pozbierałam książki i wepchnęłam je pod łóżko, a dopiero potem zeszłam do kuchni.

Mena stała już przy zlewie.

– Zapomniałaś schować książki! – syknęłam.

– I co z tego? – zapytała. – Przecież matka nigdy... – zaczęła, ale nagle na jej twarzy pojawiło się przerażenie.

– W porządku, na razie schowałam je pod łóżko – uspokoiłam ją.

Wtedy z góry dobiegł krzyk matki.

– Sam, co się z tobą dzieje? Ktoś cię zabił po drodze? Cały czas czekamy na sól!

Wzięłam solniczkę i uśmiechnęłam się do Meny.

– O mały włos, ale się udało, prawda?

Kiedy z powrotem pojawiłam się w pokoju, Hanif gniewnie wyrwała mi solniczkę, jakby długie oczekiwanie w jakiś sposób ją uraziło.

– Przepraszam, nie mogłam znaleźć – powiedziałam niewinnym głosem.

Matka siedziała odwrócona do mnie plecami. Nie potrafiłam się powstrzymać i kiedy nikt nie patrzył, pokazałam jej dwa palce. Jednocześnie poczułam przyływ czysto zwierzęcej przyjemności.

Pewnego popołudnia Hanif była w kuchni. Wróciła właśnie z zakupów i wysłała mnie na górę, abym uspiła jej synka, którego nazywała Franz. Od niedawna i to wchodziło w zakres moich obowiązków. Jej płaszcz wisiał na kołku pod schodami. Potrąciłam go, przechodząc, i usłyszałam brzęk drobnych w kieszeni. Natychmiast przypomniało mi się, że tego dnia na szkolnym placu zabaw widziałam dzieci jedzące chipsy i że sama miałam na nie wielką ochotę. Zanurzyłam więc rękę w kieszeni płaszcza Hanif i wyciągnęłam tyle drobnych, ile zdołałam zagarnąć. Potem pobiegłam na górę do Franza. Położyłam go na łóżku i zaczęłam opowiadać mu bajkę.

– Pewnego razu były sobie trzy misie – mama miś, tata miś i dziecko miś...

Nigdy nie mogłam skończyć bajki na dobranoc, bo mały niezmiennie po paru minutach zasypiał. Teraz było podobnie. Otworzyłam dłoń i sprawdziłam, ile pieniędzy udało mi się zaczerpnąć. Trzy dziesięciocentówki, pięć dwupensówek i jedna pięćdziesięciopensówka. Pomyślałam, że tej ostatniej nie chcę, bo to za dużo, i Hanif z pewnością zauważy jej brak. Resztę jednak postanowiłam zatrzymać.

Wracając na dół, wrzuciłam pięćdziesięciopensówkę z powrotem do kieszeni

Hanif.

Następnego ranka po drodze do szkoły schyliłam się, by zawiązać sznurówkę.

– O, popatrz – powiedziałam do Mena. – Patrz, co znalazłam! – I pokazałam jej jedną z dziesięciopensówek, cały czas trzymaną w ręku. – Ciekawe, kto ją zgubił. Szybko, wstawaj, bo ten ktoś może wciąż tu być.

Mena dała się nabrać.

– Co sobie kupimy? Patrz, obok jest sklep.

Znalazłam pieniądze w najbardziej odpowiednim momencie.

Słodycze leżały na ladzie. Żelki, gumy rozpuszczalne i pyszne owocowe gumy do żucia. Mój wzrok przyciągnęły jednak owocowe oranżady w proszku. Och, jak tęskniłam za uczuciem, kiedy zanurzam lukrecjową laseczkę w kwaśnym proszku, a potem, kiedy wkładam ją do buzi i oblizuję, wszystko mnie łaskocze i wykręca od kwasu. Jak dawno nie kosztowałam tego smaku!

– Ja poproszę oranżadę w proszku z laseczką lukrecji A ty, co chcesz?

– Nie wiem. To samo co ty.

Sprzedawca podał nam słodycze i powiedział:

– Razem sześć pensów.

Ponownie rozejrzałam się po półkach.

– Poproszę jeszcze osiem gum rozpuszczalnych, dobrze?

Wrzucił je do małej papierowej torby i wyciągnął rękę po pieniądze. Mena patrzyła z ciekawym wzrokiem, jak wręczam mu całe dziesięć pensów, jakby sądziła, że kiedy pieniądze opuszczą moją dłoń, zdradzą tajemnicę, z czyjej kieszeni wypadły.

Rozerwałam opakowanie, kiedy tylko wyszliśmy ze sklepu, odszukałam lukrecjową laseczkę, zanurzyłam ją w proszku i włożyłam do ust. Zacisnęłam oczy, a w ustach poczułam rozkoszne łaskotanie. Mena zrobiła dokładnie to co ja. Roześmiałam się, widząc jej wykrzywioną twarz.

– Co to jest? – Zatrzymała się na chwilę.

– Oranżada w proszku! Pycha. Nie smakuje ci?

– Nigdy w życiu nic podobnego nie jadłam.

– No to właśnie jesz. Ja zostawiam sobie resztę na później. – Złożyłam opakowanie i wsunęłam przysmak do kieszeni. Potem, w czasie przerwy, Mena czekała na mnie i razem poszliśmy na plac zabaw. Obydwie otworzyliśmy torebki z oranżadą i zlizywałyśmy kwaśny proszek z lukrecjowych laseczek.

– Och, jakie to było dobre – powiedziałam i wręczyłam Menie parę gum rozpuszczalnych.

– Też mi smakowało.

Przez kilka następnych tygodni codziennie „znajdowałam” pieniądze, za które kupowałyśmy słodycze, chipsy i ciastka. Przy każdej okazji podkradałam

drobne z kieszeni Hanif i kiedy wieczorem czytałyśmy w łóżku, zawsze wcinałyśmy słodycze.

Oczywiście nie mogło to trwać wiecznie. Pewnego popołudnia wróciłam ze szkoły i zastałam Hanif siedzącą obok matki, która obejmowała głowę rękami. Kiedy stanęłam w drzwiach, podniosła wzrok.

– Podejdź tu, Sam – odezwała się, sięgnęła ręką do podłogi i zdjęła but.

Wiedziałam, co to znaczy. Stałam jak wmurowana, nie byłam w stanie drgnąć, a Mena obok mnie.

Matka wrzasnęła:

– Powiedziałam, podejdź.

Podeszłam do niej powoli. Kiedy tylko znalazłam się w jej zasięgu, chwyciła mocno moją rękę i wielokrotnie uderzyła butem w głowę, pociągnęła za włosy i przewróciła na podłogę. Upadłam z impetem. Przewracając się, miałam wrażenie, że wykręca mi się nadgarstek.

– Ukradłeś pieniądze z kieszeni Hanif?! – wrzasnęła matka.

– Nie, znalazłam je.

Łup! Kolejny cios, tym razem w twarz. Poczułam w ustach krew. Znowu szarpnęła za włosy. Kątem oka spostrzegłam, że Mena cofa się w stronę schodów i idzie na górę.

Wiedziałam już, że nie uda mi się wykręcić. Tym razem matka uderzyła butem w moją nogę. Rozplakałam się.

– Tak, wzięłam pieniądze – wyszeptałam. – Wzięłam pieniądze, przepraszam, więcej tego nie zrobię.

Matka uszczypnęła mnie w ramię z całej siły. Krzyknęłam z bólu, po czym usiadłam na podłodze, łkając i czekając na rozkaz, czekając, aż ktoś pozwoli mi wstać i iść.

– Wstań i zejdź z moich oczu!

Nie musiałam czekać na powtórny komendę. Położyłam się do łóżka i płakałam, płakałam, płakałam. Nie wiem, jak długo – nie wiem, kiedy przestałam lub zasnęłam. Obudziłam się w środku nocy. Bolało mnie ramię i nadgarstek, tak samo zresztą głowa. Leżałam i dalej płakałam, wpatrując się w pomarańczową poświatę sączącą się przez okno. Marzyłam i modliłam się, by nastał dzień, kiedy ten koszmar wreszcie się skończy.

Następnego dnia włożyłam buty i chwyciłam kurtkę. Nadgarstek wciąż bolał, w dodatku trochę napuchł. Każdy ruch ręki wywoływał ból. W głowie też łupało. Siniaki były tak dotkliwe i bolesne, że nie dałam rady się uczesać, związałam więc tylko włosy w koński ogon.

– Jesteś gotowa? – zapytała Mena, która od wczoraj nie odezwała się do mnie ani słowem.

– Tak.

Wyszliśmy z domu w milczeniu. W połowie drogi Mena wreszcie przemówiła.

– Dobrze się czujesz?

– Niech mnie po prostu zabiją. Wezmą nóż i zadźgają, żeby to wszystko już się skończyło – wypaliłam i znów zaczęłam płakać. – Biją bez powodu. Chciałabym wreszcie dostać od matki tak mocno, żebym umarła.

Nienawidziłam tego, że żyję. Nienawidziłam bicia. Byłam zmęczona bólem.

W ostatniej klasie szkoły podstawowej moim wychowawcą był pan Hastings. Niezwykle surowy nauczyciel, który krzyczał na każdego, kto rozmawiał w czasie lekcji. Pewnego dnia przyłapał mnie na szeptaniu z dwoma innymi dziewczynkami: Lisą i Mandy. Wyprowadziło go to z równowagi.

– Proszę wyjść z klasy. Wszystkie trzy. Zanieście to do dyrektora – już on będzie wiedział, co z wami zrobić – powiedział, wręczając nam notatkę.

W szkole wszyscy najbardziej bali się rzemienia. Za naprawdę złe zachowanie szło się do dyrektora i tam dostawało rzemieniem. Nawet te dzieci – dziewczynki i chłopcy – które normalnie wykazywały się odwagą, wychodziły z jego gabinetu z płaczem. Niektóre rozpaczały tak bardzo, że trzeba było je odesłać do domu. Nie płakali tylko najodważniejsi.

Oczekiwanie przed gabinetem, aż dyrektor, którego sekretarce wręczyliśmy notatkę od wychowawcy, otworzy drzwi, jest chyba moim najgorszym wspomnieniem ze szkoły. Wszystkie trzy nie kryłyśmy przerażenia. Jak wygląda ten sławny rzemień? I czy bardzo boli? Nie śmiałyśmy nawet spoglądać jedna na drugą – wiedziałyśmy, że kiedy to zrobimy, rozpłaczemy się, jeszcze zanim wejdziemy do gabinetu.

Czekanie ciągnęło się w nieskończoność. Wreszcie drzwi się otworzyły. Nigdy przedtem nie rozmawiałam z dyrektorem, panem Marsdenem. W czasie spotkań w auli przemawiał wprawdzie z mównicy, ale nigdy nie przychodził do klas – dotąd nie widziałam go więc z tak bliska. Sprawiał wrażenie zmęczonego. Omiótlszy nas nieuważnym spojrzeniem, powiedział zdecydowanym tonem:

– Wejdźcie. Dostałem notatkę od waszego nauczyciela. Co macie na ten temat do powiedzenia?

Żadna się nie odezwała. Tylko ja pisnęłam:

– Przepraszamy, proszę pana.

Na chwilę zatrzymał na mnie wzrok, po czym otworzył szufladę biurka i wyjął cienki skórzany pasek – mniej więcej wielkości dużej linijki, której używaliśmy na matematyce.

A więc tak wyglądał ów rzemień. Nie bałam się. Dostawałam znacznie gorszymi rzeczami. Kiedy dyrektor powiedział: „Wystawcie lewe ręce do przodu”, zrobiłam to bez wahania. Nie spodziewałam się niczego strasznego i rzeczywiście – kiedy rzemień uderzył w moją dłoń, poczułam tylko swędzenie. Doznanie było

znacznie słabsze niż pieczenie policzka po uderzeniu matki.

Pan Marsden minął mnie i podczas gdy zastanawiałam się, czemu wszyscy tyle mówili o tym strasznym narzędziu, usłyszałam plask rzemienia o skórę Lisy, która natychmiast wybuchnęła płaczem. Potem dyrektor przesunął się do Mandy. Ta z kolei schowała rękę za siebie. Dyrektor powtórzył:

– Powiedziałem, wyciągnij rękę.

Ręka Mandy drżała, nawet ja to widziałam. Chciałam go zapytać, czemu to robi. Chciałam powiedzieć: niech pan ją zostawi, przecież i tak się strasznie boi. Ale on podniósł rękę i – plask! – Mandy zawyła z bólu.

Dyrektor odwrócił się i odprowadził nas, po czym zawołał przez ramię:

– Wracajcie do klasy. Nie chcę was tu więcej widzieć!

Pozostałe dziewczynki jęczały i trzymały się za dłonie, odpowiedziałam więc głośno za wszystkie trzy:

– Tak jest, proszę pana.

W czasie przerwy obstała nas cała klasa.

– I jak było? Jak wygląda rzemień? Czy bardzo bolało?

Lisa i Mandy pokazywały wszystkim czerwone pręgi na rękach, aż nagle Lisa spojrzała na mnie.

– Sam nie bolało. Nie płakała nic a nic.

Zapadła cisza. Wszyscy mi się przyglądali. Stawałam się dla ludzi widzialna tylko wtedy, kiedy żartowali sobie ze mnie lub wytykali palcem. Ale tym razem było inaczej – patrzyli z podziwem! Nie zdarzyło się, by ktoś, kto dostał dyrektorskim rzemieniem, nie płakał. Nawet najwięksi, najodważniejsi chłopcy.

Do końca semestru nikt ani razu nie naśmiewał się z mojego jękania ani z moich ubrań.

Miałam już prawie jedenaście lat i zaczęłam chodzić do tej samej szkoły co Mena – Forest Comprehensive School w Hawbush, w Walsall. Przed końcem wakacji matka wzięła mnie na bazar, żeby na straganie z używanymi ciuchami kupić mi szkolny mundurek. Nienawidziłam go, ponieważ śmierdział stęchlizną. Zwłaszcza jeśli porównało się go z zapachem unoszącym się ze stoiska obok, na którym można było kupić ślicznie pachnące mydła i różne inne środki czystości. Żałowałam, że nie kupujemy ich zamiast tego wstrętnego mundurka.

Nowa szkoła znajdowała się dalej od domu, więc żeby się nie spóźnić, musieliśmy – ja, Mena, Tara i Saber – wychodzić już o ósmej. Oznaczało to, że przed szkołą i po lekcjach spędzałam w domu mniej czasu. Długi spacer sprawiał mi przyjemność. Ale ponieważ większość dzieci nie chodziła przedtem do mojej szkoły, straciłam cały szacunek zyskany po aferze z rzemieniem. Znowu stałam się pośmiewiskiem klasy i przedmiotem złośliwych uwag.

Już w szkole podstawowej nauczyłam się z tym sobie radzić. Wiedziałam, że nikt z rodziny nie stanie w mojej obronie. Mena nadal starała się wtopić w tło i nie

zwracać na siebie uwagi zarówno w domu, jak w szkole. Wobec tego przyjąłem zasadę, że zamiast sprzeczać się z agresorami przytakiwałem im. Mówiłem: „Zgadza się, prawda, mam okropne ubrania”. To ich skutecznie zniechęcało. Szybko znudzili się docinkami...

Należałem do ścisłej czołówki z większości przedmiotów. Uczyłem się bez trudu. Byłem dobra z przyrody, matematyki, geografii. Wciąż czytałem wszystko, co tylko wpadło mi w ręce. Na przerwie obiadowej chodziłem do biblioteki i pochłaniałem książki przygodowe – od cyklu przygód dziewczynki detektywa Nancy Drew po *Wyspę Skarbów*. Przeczytałem też wszystkie książki z serii *My Naughty Little Sister*. Ogromnie je lubiłem. Wyobrażałem sobie, że jestem główną bohaterką, którą ciągle przytulała mama. Wciąż żyłem nadzieją, że i mnie spotka taka nagroda, ale nigdy do tego nie doszło. Lecz radość z tego, że mogę doczytać książkę do końca, i poczucie pewnego sukcesu, jaki osiągnęłam, sprawiły, że przestałam już myśleć, iż matka powinna się zachowywać jak książkowy wzór. Pragnienie to ukryłam głęboko pod przyjemnością, jaką czerpałam z samego czytania.

W szkole nikt się nigdy nie dziwił, dlaczego matka nie przychodzi na żadne popołudniowe imprezy i dni otwarte, dlaczego nie pisze zwolnień z wuefu, dlaczego nie zgłasza się na rozmowy z nauczycielami. Unikałam wuefu, bo matka mówiła, że mam krzywe nogi, i nie chciałam, żeby wszyscy gapili się na nie w przebieralni. Nie ćwiczyłam więc – za każdym razem sama pisałam sobie zwolnienie, na którym podrabiałam podpis matki. Jeśli mieliśmy zastępstwo, co zdarzało się parę razy w semestrze, nauczyciele pytali, dlaczego zwolnienie jest napisane moim charakterem pisma. Wtedy odpowiadałam, że matka nie potrafi pisać po angielsku. Tara i Mena notorycznie robiły to samo, dlatego kiedy ja przyszłam do szkoły, nikt się już nie dziwił ani nie zadawał mi pytań. Z dnia na dzień traciłam wiarę i pewność siebie. Próby nierzucania się w oczy zarówno na boisku, jak i w klasie przynosiły efekt. Nigdy nie przeszkadzałam nauczycielom, więc przestali mnie zauważać. Prześlizgnęłam się przez te lata niepostrzeżenie.

2 *Snot* (ang.) – gil z nosa (przyp. tłum.).

Było zwyczajne popołudnie. Oberwałam od matki, bo *roti*, które przygotowałam dla niej na obiad, przypaliłam. Wymierzyła mi policzek i dała kuksańca w plecy.

– I co? Myślisz, że będę to jadła?! – krzyknęła.

Przyniosłam jej drugie *roti*, po czym poszłam do kuchni, gdzie sama zjadłam to przypalone. Chciałam dać sobie samej nauczki.

Tego wieczoru, kiedy kładłam się spać, bolały mnie plecy i głowa. Czułam się zmęczona, o wiele bardziej niż zwykle. Powinnam była się cieszyć, bo za dwa dni przypadały moje jedenaste urodziny. Leżałam w łóżku i zastanawiałam się, o czym marzę. Wyobrażałam sobie, jak mocno zacisnę oczy i jak bardzo się postaram, by nikomu nie zdradzić swojego marzenia, byle tylko się spełniło.

Następnego ranka obudziłam się późno. Była niedziela. Bolały mnie plecy, a podczas poruszania czułam wyraźny dyskomfort. Mena wstała przede mną, co właściwie nigdy się nie zdarzało.

– Wszystko w porządku? – zapytała.

– Plecy mnie bolą – odparłam. Po nocy cała zeszywniałam i wszystko mnie bolało.

Tara też się obudziła. Siedziała teraz w łóżku i tarła oczy. Kiedy wieczorem chciała położyć się u siebie pod schodami, odkryła, że Salim nasiusił do jej łóżka. Najpierw obrzuciła go obelgami, wykrzykując:

– Nigdy więcej nie waż się siadać na moim łóżku, słyszysz?! Zostawię tu złego ducha, żeby cię zabrał, jeśli kiedykolwiek jeszcze tutaj wejdiesz!

Mały był przerażony. Oznaczało to, że musiałam przejść do łóżka Meny, przepchnąć ją na bok i zrobić sobie miejsce. Ponieważ Tara obudziła mnie w typowy dla niej, nieprzyjemny, brutalny sposób, rano czułam się niewyspana. Zdołałam jednak podnieść się i spuścić nogi na podłogę.

– Coś niedobrze wyglądasz – rzekła Mena.

Spojrzałam na nią i wzruszyłam ramionami. Wstałam i odwróciłam się plecami do niej, by pościelić łóżko. Odchyliłam koc i moim oczom ukazała się duża czerwona plama na materacu. W tej samej chwili Mena dramatycznie zaczerpnęła powietrza i krzyknęła:

– Sam, krwawisz! Krew ci leci z pleców.

Zamarłam z przerażenia. Nie wiedziałam, skąd ta krew. Myślałam, że jeśli tylko się poruszę, zaraz polecą jej więcej.

– Chodź tu – powiedziała Tara i ostrożnie uniosła moją tunikę. – Fuj!

– Co to? – spytałam, przestraszona ich reakcją na niedostępny dla moich

oczu widok.

– Masz problem. Dostałaś okres. Idę powiedzieć matce i Hanif – odparła Tara mściwie jak zwykle.

– Nie, błagam cię, tylko im nie mów – wyszeptałam, ale już jej nie było.

– Bardzo cię boli? – zapytała Mena.

– Nie – odparłam, próbując zataić przed nią ból pleców. – Mena, musisz mi pomóc. Przyniosę wody i upiorę materac, ale najpierw muszę się przebrać.

Za późno. Już słyszałam kroki Tary na schodach. Triumfalnie wtargnęła do pokoju, promieniejąc zadowoleniem z mojego nieszczęścia. Cieszyła się, bo miała poczucie misji.

– Hanif mówi, żebyś zeszła na dół.

– Ale nic mi nie jest. Wypiorę materac i zmienię ubranie.

– Chce, żebyś zeszła od razu.

Spojrzałam na nią, a ona uniosła brwi, jakby chciała zapytać: „To co, mam iść jej powiedzieć, że nie przyjdiesz?”.

– Mam bardzo brudne ubranie? – zapytałam Menę.

– Tak.

– Teraz nie ma czasu na przebieranie. Po prostu idź – rzekła Tara.

Czułam się paskudnie, schodząc po schodach w zakrwawionej tunice. Wyczuwałam też od siebie nieprzyjemny zapach. Byłam przerażona, ale nie wiedziałam, co złego zrobiłam.

Hanif i matka siedziały na rozłożonej kanapie. Zawstydzona, spojrzałam na nie, a potem spuściłam wzrok na podłogę.

– Odwróć się! – krzyknęła matka.

Zrobiłam, jak kazała.

– Podejdź tu – zażądała. Podeszłam, a ona uniosła mi tunikę i opuściła szarawary. Stałam przed nią w bezruchu, struchlała, że jeśli zapytam, dlaczego krwawię, to mnie uderzy.

– Ty suko, za wcześnie zaczęłaś okres. Ty głupia suko. – Nie miałam pojęcia, co oznacza słowo „okres”. Po pendzabsku to *ganda kapra*, co oznacza „czas brudnych ubrań”. Z tych wszystkich słów najbardziej utkwiło mi w pamięci jedno – „brudny”.

– Idź się umyć, a potem przyjdę zrobić z tobą porządek – oznajmiła Hanif. Choć nie mówiła miłszym niż zwykle tonem, odczułam ogromną ulgę, że będę mogła się umyć. Szybko naciągnęłam szarawary i pobiegłam do kuchni.

– Przypadkiem nie waź się prać tych ubrań w łazience! Idź z tym na podwórze! – zawołała za mną matka.

Weszłam do łazienki, gdzie na sznurze suszyło się kilka moich ubrań. Cieszyłam się, że aby się przebrać, nie muszę iść na górę.

Hanif poszła za mną do kuchni, wręczyła mi majtki i szmatkę złożoną na

kształt prostokąta.

– Włóż to, a jak będziesz potrzebowała więcej szmatek, to powiedz. Włóż ją sobie między nogi, o tak – zademonstrowała.

Wróciłam do łazienki. Cały czas zastanawiałam się, o co chodzi i po co Hanif dała mi te majtki. Napełniłam wannę ciepłą wodą i się wykapałam. Strasznie się wstydziłam – na pewno, gdybym czegoś nie przeszkrobała, do niczego by nie doszło. Odwróciłam głowę jak najdalej, by zobaczyć, skąd dokładnie krwawię, ale nic nie dojrzałam. I wtedy zorientowałam się, skąd leci ta krew. Szybko wyszłam z wanny, wytarłam się, włożyłam szmatkę między nogi i wciągnęłam na siebie majtki wręczone przez Hanif. Zapewne kiedyś należały do niej, bo dla mnie były o wiele za duże. Musiałam je związać na górze, żeby nie spadały. Już zapomniałam, jak to jest nosić bieliznę. Kiedy zdawało się, że wszystko jest na swoim miejscu, włożyłam szarawary i je podciągnęłam.

– Gotowa? – Hanif wsadziła głowę w szparę w drzwiach.

Skinęłam głową.

– Teraz będzie tak co miesiąc. Szmatki są w torbie w komodzie pod schodami, a obok nich – majtki. Wkładaj je, żeby przytrzymały szmatkę.

Znowu skinęłam głową, choć szczerze mówiąc, nic z tego wszystkiego nie rozumiałam. Chciałam przede wszystkim wyjść na dwór, uprać swoje rzeczy i zostać sama.

Otworzyłam drzwi do ogródka i położyłam ubranie na ziemi. Wzięłam miskę, zniosłam ją do łazienki, napełniłam wodą, znowu wyniosłam i namoczyłam ubrania. Właśnie przykucnęłam, żeby je wyprać, kiedy pojawiła się Mena.

– Dobrze się czujesz?

– Tak. Hanif mi powiedziała, że będę to miała co miesiąc.

– Wiem. Ja mam szczęście, bo u mnie się jeszcze nie zaczęło. Wracam do środka, zimno jest.

I poszła, a ja pozostałam w szoku. Co miała na myśli, mówiąc, że u niej się jeszcze nie zaczęło? W szkole Mena była o klasę wyżej, co oznaczało, że rozpoczęła już lekcje wychowania seksualnego.

Niedługo potem w mojej klasie też zaczęły się te lekcje. Powiedziałam kilku dziewczynkom, że już mam okres. Wieść szybko rozeszła się po klasie. Jedna z najbardziej lubianych dziewczynek, która normalnie nigdy ze mną nie rozmawiała, podeszła na przerwie i zapytała, jak to jest.

– Okropnie – odparłam. – Jakby cię brzuch bolał.

Z upływem czasu przekonałam się, że co miesiąc krwawię niezależnie od tego, czy ktoś mnie zbił, czy nie. Dopiero po wielu, wielu latach przestałam czuć się „brudna” i obwiniać się za to, że zaczęłam mieć okres.

Aby nie rzucać się za bardzo w oczy, ile się dało przesiadywałyśmy z Meną

w naszym pokoju. Wtedy nikt od nas niczego nie chciał. Pewnego wieczora, kiedy tam siedziałam, nadbiegła podekscytowana Mena.

– Tara wychodzi za męża! – krzyknęła.

– Co? – To dopiero niespodzianka. Tara skończyła osiemnaście lat i była już za stara, żeby się z nami bawić. W ogóle nie miałyśmy ze sobą nic wspólnego – oczywiście pomijając jej żądania, bym za nią coś zrobiła. – Za kogo?

– Za Baszira.

– Tego, który parę miesięcy temu przyjechał z Pakistanu?

Mena skinęła głową. Baszir to nasz kuzyn – syn jednej z siostr matki. Wydawał się w porządku, choć nie mówił po angielsku, tylko po pendżabsku. Był wysoki i wąsaty – z tego powodu śmiałyśmy się, że wygląda jak aktor Tom Selleck. Mieszkał o parę domów dalej w wynajętym mieszkaniu.

– Kiedy ślub? – zapytałam. Ślub oznaczał przyjęcie, więc byłam równie podekscytowana jak Mena.

– Wszystko wskazuje na to, że bardzo szybko. Matka chce, żeby pobrali się natychmiast.

– Czy Tara go chociaż lubi? – spytałam, bo jeszcze nigdy nie widziałam ich razem.

– Lubi? To nie ma znaczenia. Wychodzi za niego, bo matka jej każe.

– To niesprawiedliwe – powiedziałam, ale z filmów wiedziałam już, że w tradycyjnych rodzinach – a do takich należała nasza – małżeństwa planuje się, kiedy dzieci są jeszcze małe, czasem naprawdę malutkie, a zawiera – gdy dorosną. Nikt nie spodziewał się innego obrotu wydarzeń, dlatego Mena nawet tego nie skomentowała.

– Bawiłyśmy się z Amandą w małżeństwo – rzekłam do Meny. – Owijałyśmy się w białe ręczniki i maszerowałyśmy przez cały pokój na spotkanie naszych księżąt. – Wstałam, by pokazać jej, jak to wyglądało. Rolę księżąt odgrywały pluszowe misie.

Mena zaczęła chichotać.

– Bierzesz tego księcia za męża? – pytała mnie Amanda, ja odpowiadałam „tak”, a wtedy ona odwracała się do misia i mówiła: – Teraz możesz pocałować pannę młodą.

Mena przyłożyła poduszkę do ust, by stłumić śmiech. Nie chciałyśmy, żeby matka usłyszała, jak dobrze się bawimy – to nie miało sensu.

Z filmów wiedziałyśmy, że nie możemy zakochać się w kimkolwiek, tylko musimy poślubić człowieka wybranego dla nas przez rodziców. Odmowa oznaczałaby hańbę dla rodziny. Obydwie z Meną zdawałyśmy sobie sprawę, że to najgorszy z możliwych scenariuszy. Jeśli ktoś postępował wbrew woli rodziny i uciekał, by w tajemnicy wyjść za innego, musiał potem jak najdalej trzymać się od swoich bliskich. Zawsze jednak udawało się go wytropić, nawet przy pomocy

specjalnie najętych ludzi, po to, by go zabić i tym samym pokazać wszem wobec, że honor rodziny został ocalony.

Okazało się, że moje wyobrażenia na temat ślubu zupełnie nie pokrywały się z rzeczywistością. Tara w paru słowach opisała swoje oczekiwania. Zgodnie z tradycją córki z obu rodzin rywalizują między sobą w tańcu przed gośćmi. Tara życzyła sobie, żebym wzięła w tym udział. Postanowiła, że sama nauczy mnie tańczyć. Puściła film i kazała mi w kółko oglądać jedną piosenkę, żebym nauczyła się ruchów, ale ja nie miałam żadnego doświadczenia w tańcu i choć bardzo się starałam, ciągle się myliłam.

To oczywiście podsycalo wściekłość mojej starszej siostry.

– Nie możesz się bardziej postarać? Przecież ona przesuwa ręce w lewo, nie w prawo!

– Staram się – mówiłam i kręciłam się po całym pokoju, próbując naśladować to, co widziałam na ekranie. Czułam się jednak jak niezdar.

– Jesteś do niczego! Małpa z zoo lepiej by to zatańczyła.

Stała za mną i mocno chwyciła za moje nadgarstki, by unieść mi ręce i zademonstrować, jak wykonywać prawidłowe obroty. Kiedy po raz trzeci nastąpiłam jej na stopę, puściła mnie jednak i mocno odepchnęła.

– Nie będziesz tańczyć na moim ślubie, jeśli nie potrafisz się tego nauczyć! – krzyknęła i wypadła z pokoju.

Wtedy wpadłam na pewien pomysł – przecież i tak nie chciałam tańczyć.

Kiedy wróciła, wciąż powtarzałam te same błędy, potykałam się i machałam rękami nie do rytmu. Tara zawyła w końcu z wściekłości, wyłączyła telewizor i ryknęła na mnie:

– Dostyc! Nic z tego nie będzie! Nie pozwolę, abyś popsuła mi ślub, nie ma mowy! A teraz wynocha stąd!

Stłumiłam śmiech i wycofałam się do kuchni, gdzie zastałam Menę. Pytająco uniosła brwi, a ja puściłam do niej oko.

Na zbliżającą się uroczystość matka kupiła nam wszystkim nowe ubrania. Saber wszedł do naszego pokoju w eleganckim białym salwar-kamizie. Nie krył niezadowolenia.

– Czemu nie możemy się normalnie ubrać? – pytał, wydymając wargi.

Uważałam, że dobrze wygląda.

– Jak chcesz, możesz się ubrać w moje – zaproponowałam, pokazując mu piękny niebieski strój ze złotym haftem po bokach sukni i na końcach szala. Było to pierwsze nowe ubranie, jakie dostałam od dnia, kiedy matka przywiozła mi do domu dziecka pomarańczowy salwar-kamiz. Wciąż go nosiłam, choć prawie z niego wyrosłam. Lubiłam go, bo sprawiał, że czułam się wyróżniona. Tylko ten jeden prezent dostałam od matki.

Saber uśmiechnął się do mnie sarkastycznie.

– Nie, dzięki – odparł i poszedł sobie.

– Nienawidzę różowego – westchnęła Mena, spoglądając na nowy strój rozłożony na łóżku.

– Jak chcesz, możemy się zamienić. Ja lubię.

– Naprawdę? To chcę.

Wymieniłyśmy się więc strojami. Różowy salwar-kamiz miał hafty w tych samych miejscach, gdzie niebieski. Kiedy się obie ubrałyśmy, okazało się, że Mena wygląda prześlicznie.

– Mena, wyglądasz jak prawdziwa księżniczka! – zawołałam. Miałam nadzieję, że zareaguje tak samo na mój widok. Stała przez chwilę przed lustrem, podziwiając swe odbicie i układając długie czarne włosy. Potem odsunęła się i pozwoliła mi spojrzeć.

W lustrze na drzwiach zobaczyłam odbicie obcej osoby. Ładny strój nie mógł ukryć prawdy o mnie, a w rzeczywistości jeszcze ją podkreślał. Zamiast księżniczki zobaczyłam zabiedzoną małą dziewczynkę o smutnej twarzy i potarganych włosach, zagubioną i samotną. Ta dziewczynka chciała komuś powiedzieć, jak bardzo cierpi. Chciała mieć przyjaciół. Nie była zachłanna – wystarczyłaby jej jedna przyjaciółka. Jedna najlepsza przyjaciółka, której mogłaby opowiedzieć, jak bardzo jest zmęczona – obowiązkami w domu, biciem, tym, że nikt jej nie docenia. Że nienawidzi, jak wszyscy się z niej wyśmiewają, i chce, aby to się wreszcie skończyło. Że chce uciec, ale nie ma dokąd – tylko w głąb siebie. Że chce zrozumieć, dlaczego musi mieć takie życie.

Odwróciłam się od lustra. Nie mogłam dłużej patrzeć.

– Pięknie wyglądasz – powiedziała Mena. Wiedziałam, że mówi to na pociechę. – No, dobra – dodała, widząc mój wyraz twarzy.

Nie mogłam mówić. Czułam, że gdzieś we mnie gromadzi się smutek. Nie potrzebowałam lustra, by wiedzieć, jak wyglądałam, bo przestałam już być tą samą małą dziewczynką, która tu przyjechała. Byłam kimś innym. Kimś, kogo sama nie znałam.

Na dole wszystko wyglądało inaczej. Wyniesiono z domu szare i brudne rzeczy, a na podłogach rozłożono białe prześcieradła. Na oknach i ścianach rozpięto kolorowe tkaniny i porozwieszano błyszczące dekoracje, w których odbijało się światło. Trzeba przyznać, że to wszystko ładnie się prezentowało.

Poszłyśmy z Meną do kuchni. Na szczęście nie musiałam gotować potraw na wesele. Matka uznała, że potrzeba bardzo dużo jedzenia, i zamówiła je u kogoś zwanego „wujkiem”. Teraz robiła herbatę, a Hanif zmywała.

– Sam, idź porozstawiać papierowe kubki. A potem stań przy drzwiach i witaj gości.

Wzięłam więc stos papierowych kubków i ustawiłam je obok butelek soku i coli na stole w salonie. Przyjemnie witało się gości. Wszyscy byli elegancko

ubrani, kobiety w połyskujące salwar-kamizy. Nasz obskurny dom jeszcze nigdy nie widział tyle światła i koloru, nie słyszał takiego hałasu. Jak ci ludzie w ogóle mogli ze sobą rozmawiać?

Posyłano mnie z pokoju do pokoju z różnymi zadaniami: „Idź policz talerze”, „Idź przynieś miski z jedzeniem”, „Idź napełnij solniczki”, „Przynieś jogurt z lodówki”. „Pokrój ogórki”. Przez cały czas starałam się nie ubrudzić nowego ubrania. Matka i Hanif miały fartuchy, a ja nie.

Matka wydała następne polecenie:

– Idź, zobacz, czy Tara już gotowa. *Molwi* będzie tu lada moment.

– Gdzie jest Tara? – zapytałam, bo zupełnie o niej zapomniałam. Nie widziałam jej od rana.

– W pokoju Hanif – odparła matka, spoglądając na mnie przez ramię. – Siedzi tam od rana, koleżanki pomagają jej się szykować. *Molwi* ma przyjść o pierwszej. Powiedz, żeby sama nie schodziła. Ja po nią wejdę.

Pobiegłam na górę i zapukałam do pokoju Hanif.

– Proszę! – doleciało ze środka.

W pokoju kręciły się rozchichotane przyjaciółki Tary. Ona sama stała plecami do mnie.

– Mama powiedziała, że masz się pospieszyć – poinformowałam – bo *molwi* niedługo tu będzie. Powiedziała też, że po ciebie przyjdzie, więc masz na nią czekać.

Wtedy Tara odwróciła się twarzą do mnie. Miała na sobie długą, czerwoną spódnicę i identyczną tunikę ze złotym haftem, do tego złote buty. Jej szyję ozdobił wielki, trójrzędowy złoty naszyjnik stanowiący komplet z kolczykami. Usta pomalowała na czerwono, a makijaż oczu doskonale komponował się z zaróżowionymi z podniecenia policzkami. Wyglądała jak gwiazda filmowa, która właśnie zeszła z planu. Głośno wciągnęłam powietrze.

– Ach, Taro! – wyszeptałam. – Ale pięknie wyglądasz.

Wtedy moja starsza siostra po raz pierwszy w życiu z uśmiechem zwróciła się do mnie.

– Powiedz mamie, że jestem prawie gotowa – odparła. – Och, i zrób mi przysługę, proszę. Leć na dół i przynieś szklankę coli.

Pobiegłam do kuchni po picie dla niej.

– No, wreszcie jesteś. Pokrój tę cebulę, Sam – warknęła Hanif, kiedy weszłam.

– Ale Tara mnie prosiła, żebym jej zaniósła coli. A tak w ogóle, to jest już gotowa.

– W takim razie musisz się pospieszyć i najpierw pokroić cebulę.

Do pokoju Tary wróciłam z kubkiem coli w ręku dopiero po piętnastu minutach.

– Co tak długo? – Wyrwała mi kubek z ręki, a jej idealny wizerunek w moich oczach rozsypał się w drobny mak. – Umieram z pragnienia! I dlaczego w papierowym kubku? Nie mogłaś wziąć normalnej szklanki?

Wzdrygnęłam się, gdy nagle za moimi plecami rozległ się głos matki:

– Jesteś już gotowa, żeby zejść? – Musiała wdrapać się na górę zaraz za mną. Przyjaciółki Tary natychmiast zamilkły, a ona sama odpowiedziała potulnie:

– Tak. – I podeszła do matki.

Ta ułożyła szkarłatną chustę wokół twarzy Tary i sprowadziła ją na dół. My wszystkie ruszyłyśmy za nimi. Zauważyłam, że kiedy Tara zeszła ze schodów, goście zamilkli, a grupki zaczęły rozstępować się, by zrobić dla niej przejście. Wydawało mi się, że to wszystko czary.

Obok okna stało przygotowane krzesło. Usiadła na nim matka, starannie układając wokół siebie tunikę. Zebrane kobiety nie spuszczały z niej wzroku. Słyszałam, jak szepczą między sobą:

– Przepięknie wygląda. Ciekawe, ile złota dali jej rodzice. Och, to dobrze, że wychodzi za kuzyna. Jego rodzice są w Pakistanie, więc nie będą dla niej ciężarem.

Matka gestem kazała Menie podejść i usiąść na podłodze obok Tary. Zaproszone kobiety zaczęły podchodzić do Tary i dawać jej pieniądze, które przyjmowała i wręczała Menie, a ta chowała je do torby. Zadaniem kobiet było przekupienie Tary, by zdjęła z twarzy zasłonę. W pokoju rozlegały się stłumione okrzyki podziwu i głosy:

– Czyż nie wygląda pięknie? Ach, co za cudowna dziewczyna. Niech Allah pobłogosławi cię wszystkimi skarbami tego świata.

Zdawało się, że Tara promienieje. Sprawiała wrażenie innej, jakby odmienionej, choć cały czas patrzyła w dół – nie odrywała wzroku od podłogi, na pozór nie przyjmując do wiadomości tych wszystkich pochwał.

Stałam z boku i przyglądałam się siostrze z takim samym podnieceniem jak pozostali goście, z tym że ja wiedziałam, że robi to, co jej kazała matka.

Parę dni wcześniej, gdy sprzątałam kuchnię po kolacji, słyszałam, jak Hanif i matka instruują ją, co i jak należy robić.

– Kiedy sprowadzimy cię na dół, nie wolno ci podnosić wzroku ani się uśmiechać – rzekła matka.

– Goście nie mogą pomyśleć, że cieszysz się, opuszczając rodzinny dom – dodała Hanif.

– A kiedy nadejdzie czas pożegnania, masz płakać i nas ścisnąć – przypominała jej matka – bo inaczej goście gotowi są pomyśleć, że byłaś tu źle traktowana i odchodzisz z radością.

– Przybył *molwi*! – krzyknął Manz od drzwi wejściowych, a Hanif odwróciła się do mnie.

– Przynieś krzesło z kuchni, szybko! – zażądała. – Prędzej!

Podaliśmy jej przyniesione krzesło, które postawiła obok krzesła Tary. Usiadł na nim starszy mężczyzna w białym salwar-kamizie i czarnej kamizelce. Pochylił się nad nią i zaczął coś mówić – zbyt cicho, by ktokolwiek mógł go słyszeć. Tara powtórzyła uważnie wszystko, co powiedział. Wtedy wstał i udał się do pokoju bliżej wejścia, a krzesło trafiło znów w moje ręce. Miałam je podać Manzowi, który czekał przy drzwiach do tamtego pokoju.

Kiedy *molwi* zniknął w drugim pomieszczeniu, ostrożnie wyjrzałam zza rogu. Zobaczyłam zdenerwowanego Baszira w zielonym garniturze. Teraz on przysłuchiwał się stłumionym słowom *molwiego*. Chciałam zobaczyć coś więcej, ale matka warknęła na mnie z kuchni. Miałam pomóc w podawaniu jedzenia.

Matka wręczyła mi papierowe talerze.

– Idź je rozdać. A potem widelce. O, tu masz torbę z widelcami.

Kobiety siedziały na podłodze. Obeszłam cały pokój. Liczyłam widelce i talerze, które rozdawałam. Nie mogłam uwierzyć, że w pokoju mieści się dwadzieścia siedem kobiet i dziesięcioro dzieci, a przecież było nam ciasno nawet wtedy, kiedy siedziałyśmy tam we trzy z matką.

Wróciłam do kuchni. Na blacie zastałam miski parującego ryżu.

– Na co czekasz? Bierz ryż i częstuj gości!

Kiedy rozdałam ryż, przyszła pora na misy pełne pachnącego curry z mięsem i sałatki. Ślinka mi ciekła, kiedy patrzyłam, jak wszyscy nakładają sobie jedzenie.

Wróciwszy do kuchni, zastałam matkę i Hanif przy posiłku. Dobrze, pomyślałam, bo już burczało mi w brzuchu.

– Weź teraz talerze i jedzenie i zanieś mężczyznom do drugiego pokoju – rozkazała Hanif, wskazując na drugą górę misek i talerzy.

Odbyłam więc kilka kolejnych rund z kuchni do pokoju i z powrotem. Nikt nie zaoferował się z pomocą. Kiedy wracałam z ostatniej już kolejki, Tara zażądała:

– Przynies mi coś do jedzenia. Umieram z głodu.

Nałożyłam więc porcję dla niej, po czym wróciłam do kuchni, przekonana, że znowu odprawia mnie z jakimś nowym zadaniem. Byłam zdumiona, gdy Hanif powiedziała:

– A teraz zjedz sama, tylko szybko, bo zaraz trzeba zebrać brudne talerze.

Nałożyłam sobie porcję jedzenia i rozejrzałam się za miejscem, gdzie mogłabym usiąść. Jedyne dwa krzesła, które zostały w kuchni, zajmowały matka i Hanif, przycupnęłam więc w kącie na podłodze. Wzięłam do ust pierwszy widelec curry i zamarłam. Smakowało cudownie. Pewnie dlatego, że nie ja je gotowałam. Nie pamiętałam już, kiedy ostatnio jadłam potrawę przygotowaną przez kogoś innego. Szybko pochłonęłam swoją porcję, a po niej dokładkę.

Ledwie zdążyłam przełknąć ostatni kęs, Hanif wręczyła mi torbę i papierowe miseczki.

– Zbierz brudne naczynia – poinstruowała – a potem rozdaj te miseczki. To na ryż na słodko.

Wysłałam do gości i zaczęłam zbierać talerze.

– Czy będzie deser? – zapytała jakaś kobieta.

– Za chwilę podam – odparłam. – Czy mogłaby pani rozdać te miseczki, podczas gdy ja pozbiieram talerze?

Kobieta uśmiechnęła się życzliwie i wzięła miseczki. Ja posprzątałam, a potem poszłam po łyżki i słodki ryż. Kiedy wróciłam, wyjęła z moich rąk miskę i postawiła ją na rozłożonym na podłodze białym prześcieradle, a następnie miło pogładziła mnie po policzku.

– O, jak bym chciała, aby moje córki tak pracowały – powiedziała.

Pierwszy raz poczułam się doceniona. Uśmiechnęłam się do niej promiennie.

Ruszyłam z powrotem do kuchni, gdzie matka i Hanif zastanawiały się, co zrobić z resztkami.

– Chcesz słodkiego ryżu? – spytała matka. Skinęłam głową. – To weź miskę i sobie nałóż.

Jadłam prędko z nadzieją, że niedługo będę mogła iść do łóżka. Byłam wykończona zarówno psychicznie, z powodu panującego od rana podniecenia i ożywienia, jak fizycznie – po nieustającej pracy. Okazało się jednak, że moje marzenie się nie spełni.

– Jak zjesz – odezwała się matka – to idź pozbieraj brudne naczynia ze wszystkich pokoiów.

Kończyłam już zbierać miseczki, kiedy do pokoju wszedł Baszir i usiadł na krześle obok Tary. Oboje popatrywali po sobie wstydliwie. Potem do środka przybyli inni mężczyźni.

– Niechaj Allah wam pobłogosławi – mówili po kolei, klepiąc pannę młodą po głowie, po czym żegnali się i wychodzili.

Następnie kobiety zaczęły śpiewać jakąś monotonną pieśń. Zrozumiałam z niej tylko: „Nasza córka nas opuszcza, nasza córka opuszcza nas już”. Mniej więcej w połowie tej pieśni Tara i Baszir wstali. Hanif i matka uściskały ich i zaczęły zawodzić. Wydawało się, że im głośniej śpiewają kobiety, tym głośniej płaczą matka i Hanif. Ich szloch nasilił się jeszcze, kiedy Tara ruszyła w stronę drzwi.

Hanif wyprowadziła ją, a za nimi wyszły na zewnątrz wszystkie kobiety. Razem z Meną zatrzymałyśmy się przy furtce, podczas gdy cały pochód ruszył w stronę oddalonego o pięćdziesiąt metrów domu Baszira. Kobiety stanęły przy wejściu na jego podwórko, a Hanif zaprowadziła państwa młodych do środka i zamknęła drzwi. Mena i ja szybko pobiegłyśmy do domu.

– Tara będzie teraz z nim mieszkać? – zapytała Mena, kiedy wchodziłyśmy na górę do naszego pokoju.

– Nie wiem. – Wzruszyłam ramionami. Szczerze mówiąc, było mi wszystko jedno, padałam ze zmęczenia. Prócz tego nieobecność Tary oznaczała, że jedna osoba mniej będzie wydawać polecenia i źle mnie traktować.

– Jestem starsza, więc zajmuję jej łóżko! – krzyknęła Mena radośnie, po czym przeciągle ziewnęła i skuliła się na łóżku Tary.

Nie miałam nic przeciwko. Dzięki temu dostałam łóżko bliżej okna. Mogłam rozsuwać zasłony, kiedy chciałam, i czytać przy świetle dziennym.

Po wyprowadzce Tary tata zostawał czasem na noc. Gnieździł się wtedy w pokoju Sabera, czego ten szczerze nienawidził. Tata nigdy nie wspominał o domu dziecka, o swoich odwiedzinach, o słodyczach w kieszeniach i tym podobne. Zachowywał się tak, jakby tamte czasy w ogóle nie istniały. Zawsze jednak kładł rękę na mojej głowie i czochrał mi włosy. Ten gest dużo dla mnie znaczył, bo dotyk innych oznaczał tylko bicie. Wiedziałam, że jestem ważna dla taty i że zabrałby mnie, gdyby tylko mógł. Wyobrażałam sobie, że pracuje gdzieś daleko, a dzieciom nie wolno tam wchodzić. Na przykład jako prywatny detektyw rozwiązuje zagadki i ściga przestępców. O, właśnie – z całą pewnością czymś podobnym zajmował się mój tata. A ponieważ nikt nigdy mi o niczym nie mówił, a zachowałam tyle rozsądku, żeby o nic nie pytać, nie widziałam powodu, by nie wierzyć w to, co sobie wyobrażałam. Matka nie pozwalała nam wychodzić w towarzystwie ojca. Tłumaczyła to częstymi zmianami jego nastroju, choć ja nigdy nie byłam świadkiem sytuacji, w której straciłby panowanie nad sobą. Matka tak bardzo nas wystraszyła, że nie odważyłabym się wyjść z nim nawet za próg. Ojciec mówił nam, że matka się zgadza, ale, jak się potem okazało, często kłamał.

Późnym latem 1980 roku mieliśmy w szkole zajęcia na temat przemocy wobec dzieci. Prowadzący mówił, że jeśli ktoś jest źle traktowany w domu, musi koniecznie dać znać nauczycielom. Na początku się wahałam, ale mniej więcej po tygodniu, kiedy dostałam lanie za to, że nie doprałam Manzowi kołnierzyków – podjęłam wreszcie decyzję, że powiem naszemu wychowawcy, panu Pritchardowi.

Nie było to łatwe. Nie dlatego, że nie potrafiłam znaleźć słów, które oddałyby wszystko, przez co przechodzę w domu. Nie. Chodziło też o moje jąkanie, które utrudniało mi mówienie do tego stopnia, że prawie nie potrafiłam się wypowiedzieć. W oczach nauczyciela widziałam współczucie i wreszcie wydusiłam, że oberwałam od matki poprzedniego dnia, przedtem też była wiele razy i chcę, aby to się skończyło. Kiedy to powiedziałam, rozpłakałam się, a on delikatnie poklepał mnie po ramieniu i podał chusteczkę.

– Porozmawiam z kim trzeba, Sameem, i dopilnujemy, aby się to więcej nie powtórzyło.

Przez całą drogę powrotną do domu przepełniały mnie dwa uczucia: radosne uniesienie, że moja udręka wreszcie się skończy, oraz strach, co będzie, kiedy matka się dowie. Nie miałam pojęcia, jak można zmienić sytuację w naszym domu. Dlatego nie przewidziałam dalszego rozwoju wydarzeń.

Parę dni później, kiedy przyszłyśmy ze szkoły, zastałyśmy w domu nieznanego. Obie z Meną spojrzałyśmy na niego, potem na matkę, i od razu

wiedziałyśmy, że kroi się coś niedobrego. Mena bez słowa pobiegła na górę. Nie chciała patrzeć na to, co się stanie.

– Dzień dobry, Sameem, nie obawiaj się, jestem z ośrodka opieki społecznej – powiedział gość i się przedstawił. – Zostałem tu przysłany w związku z tym, co opowiedziałas nauczycielowi w szkole. Właśnie rozmawiałem na ten temat z twoją mamą.

Skierowałam wzrok na matkę. W oczekiwaniu na jej wybuch gniewu ścisnęło mnie w żołądku. Już po jej oczach widziałam, jaka jest wściekła.

Odezwała się po pendżabsku:

– Co ty mu nagadałaś? – I jednocześnie zaczęła kaszleć, pozorując atak astmy.

Pracownik opieki społecznej zapytał mnie:

– Jak się miewasz, Sameem, wszystko w porządku?

Matka kaszlnęła natychmiast:

– Mów, że tak, albo cię zabiję.

Przytaknęłam więc.

– Dlaczego powiedziałaś nauczycielowi, że matka cię bije? – zapytał.

Wzruszyłam ramionami.

– Twoja matka jest bardzo chora i żałuje, że cię wtedy popchnęła.

Matka dodała po angielsku:

– Sorry, sorry. – I zaczęła płakać. – Idź na górę, *kuti* – dodała.

Nie potrzebowałam zachęty, by trzymać się od niej z daleka, więc czym prędzej się wycofałam.

Mena czekała na mnie na górze.

– O co chodzi? Kto to jest? O czym rozmawiają? Co ci matka powiedziała?

– Ciiicho – syknęłam, bo próbowałam podsłuchać, o czym jest mowa na dole. Przez zamknięte drzwi nie rozróżniałam słów, ale pracownik opieki wkrótce sobie poszedł.

– Sameem! Sameem! – zawołała mnie matka.

– Już idę! – odkrzyknęłam, ale nie ruszyłam się z miejsca. Stałam przy drzwiach mojego pokoju i się trzęsłam. Nie chciałam tam iść. Wiedziałam, co nastąpi.

– Musisz iść, błagam, idź, bo rozzłości się jeszcze bardziej i mocniej cię zbije – lamentowała Mena. – Jeśli teraz nie zejdziesz, po prostu cię zabije.

Zwlekłam się na dół. Matka jak zwykle siedziała na kanapie. Czekałam na dole schodów, wczepiona w balustradę w nadziei, że drewniana barierka da mi schronienie przed jej wybuchem.

– Podejź tu – odezwała się. Ręce trzymała płasko na kanapie po obu stronach ciała.

– Nie, *Ami* – odparłam – ponieważ mnie zbijesz.

Nagle zaczęła wrzeszczeć, ciskać wszelkimi najohydniejszymi słowami, a potem zerwała się i przemknęła przez pokój tak szybko, że nawet nie zdążyłam się zorientować. Chwyciła moje włosy i odciągnęła od schodów. Piszczalam i wrzeszczałam, kiedy jedną ręką mocno szarpała mnie za włosy, a drugą z całej siły okładała po głowie i ramionach. Zdołałam się jakoś wywinąć i upadłam na podłogę z nadzieją, że znajdę się poza jej zasięgiem. Przez cały czas nie przestawałam jej błagać, żeby przestała.

Odsunęła się i pomyślałam z nadzieją, że może to już koniec, ale nagle odwróciła się i ze zgrozą stwierdziłam, że trzyma w ręku *pika*. Zaczęła mnie tym okładać po plecach. Robiła to z całej siły, nie przestając ciskać wyzwiskami. Ciosy, które otrzymywałam do tej pory, były niczym w porównaniu z tymi, które zadawała teraz. Czułam ostry, przeszywający ból, chłosta rozgrzewała mi ciało do czerwoności, więc skomlałam jak ranne zwierzę. Bolało tak strasznie, że nie mogłam złapać tchu na tyle szybko, by móc ją błagać: „już, już, już”. Podniosłam ręce, by ochronić głowę, i w nie też parę razy trafiła, ale potem celowała tylko w plecy i w nogi. Nie przestawała i myślałam, że to się nigdy nie skończy. Cios za ciosem, raz za razem. Byłam już pewna, że nie ustanie, dopóki nie zakatuje na śmierć.

Hanif, która przez cały czas siedziała na kanapie i się temu przyglądała, wreszcie zainterweniowała:

– Dość już – osądziła. – Pobiłaś ją do krwi.

Nie wiedziałam o tym, dopóki tego nie powiedziała. Z rozcięć na plecach, rękach i nogach sączyła się krew. Matka rozkazała, żebym zeszła jej z oczu, więc ledwie żywa wczołgałam się na górę. W czasie kiedy to robiłam, matka wrzeszczała, że jak wróci Manz, to poprosi go, aby dołożył coś od siebie.

Wyciągnęłam się na łóżku i płakałam. Szlochałam i szlochałam. Mena nic nie powiedziała, ale otarła mi krew i pomogła się przebrać, kiedy byłam w stanie usiąść. Nie chciałam już nigdy w życiu wychodzić z pokoju. Nie chciałam już nigdy w życiu nic robić. Chciałam tylko, aby moja udręka się skończyła.

Wydarzenie to wcale nie okazało się przełomem. Wciąż czułam, że jestem dla matki ogromnym rozczarowaniem, że wszystko robię źle. Nie znosiłam bicia, ale sądziłam, że matka zadaje razy, bo musi, bo jest przeze mnie prowokowana. Wiem, że to głupie, ale byłam wtedy tak stłamszona, że wierzyłam we wszystko, co mówiła matka. Że to wszystko moja wina.

Manz nie zbił mnie tamtego wieczora, kiedy wrócił do domu, co uznałam za dziwne. Nie dostałam tylko kolacji, bo nie zeszłam na dół. Mimo złowieszczych pogroźek matki Manz ograniczył się do nawrzeszczenia. Tak jak wtedy, gdy nie doprałam mu kołnierzyków. Matka narzekała na jego charakter. Robiła to przy nas, ale stale za jego plecami. Mówiła, że jest *kad damak*, czyli beznadziejny, innymi słowy – psychicznie chory. Pewnego dnia dostałam lanie za pyskowanie Hanif.

Najpierw uderzył pięścią, a potem pchnął na podłogę. Upadając, uderzyłam się w głowę. Ale ja musiałam udowodnić, że jestem lepsza, więc tego wieczora, kiedy położyłam się spać, odsunęłam nieco zasłonę, by przy resztkach światła dokończyć odrabianie lekcji. Zrobienie im czegoś na złość zawsze poprawiało mi nastrój.

Moje dwunaste urodziny minęły jak każde inne – przez nikogo niezauważone. Cieszyłam się, że nikt nie wspomniał o nich w szkole, bo inaczej musiałabym skłamać. „Dostałam domek dla lalek”, odpowiedziałabym pewnie, ale nienawidziłam tego i nie chciałam zmyślać. Prawda oczywiście też nie byłaby dobrym rozwiązaniem. Nie potrafiłabym nikomu wyjaśnić, dlaczego w naszej rodzinie nie obchodzi się urodzin.

Kiedy dwa–trzy razy w miesiącu odwiedzał nas tata, siedział i godzinami rozmawiał spokojnie z matką. Przyzwyczajaliśmy się już do tego, aż tu nagle, pewnej soboty, pojawił się w ciągu dnia. Akurat skończyliśmy jeść obiad i sprzątałam w kuchni. Tata wszedł i jak gdyby nigdy nic zapytał:

– Chciałybyście z Meną trochę się ze mną przejść?

– Matka się nie zgodzi – odparłam. Dobrze wiedziałam, co by się stało, gdybym zapytała.

– Właśnie się zgodziła – rzekł z uśmiechem. – Powiedziała, że dobrze.

Kiedy tata kłamał, zawsze mówił „serio”, jakby próbował przekonać nie tylko mnie, ale także samego siebie. Tym razem nie użył tego słowa. Omal nie krzyknęłam z podniecenia.

– Naprawdę? Już wychodzimy? Och, poczekaj, pójdę po Menę.

Tata się zaśmiał.

Mena leżała na łóżku obrócona plecami do drzwi.

– Tata chce nas dokądś zabrać. Matka się zgadza – wydyszałam. Wbiegłam po schodach, więc brakowało mi tchu z wysiłku i podniecenia.

– Kłamie – odparła obojętnie Mena, nawet się nie odwracając.

– Nie, Mena, szczerze. Możemy iść.

Wstała i spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

Skinęłam głową.

– Naprawdę.

Zerwała się na równe nogi i wygładziła ręką ubranie.

– To chodźmy!

Kiedy zeszliśmy po schodach, tata powiedział do matki:

– Odprowadzę je za dwie godziny.

Wyszliśmy za nim z domu, nie ośmielając się nawet spojrzeć na matkę, bo gdyby zobaczyła, jak się cieszymy, na pewno natychmiast zmieniłaby zdanie. Uwierzyliśmy, że naprawdę wychodzimy, dopiero gdy drzwi się za nami zamknęły.

– Dokąd idziemy? Co będziemy robić? – trajkotałyśmy jedna przez drugą,

oddalając się od domu.

– A dokąd chcielibyście pójść? – zapytał tata z uśmiechem.

Mena wzruszyła ramionami. Już tak dawno z nim nie wychodziłyśmy, że nie miałyśmy pojęcia, co moglibyśmy razem robić.

– Hej, lećmy na księżyc! – zawołałam i wszyscy się zaśmiali.

– Niestety, nie mam rakiety. A może do zoo? – zaproponował tata.

Spojrzałyśmy po sobie z Meną. Wydawało nam się, że na zoo jesteśmy już trochę za duże, więc powiedziałam:

– Nie, do zoo nie. Ale może byśmy tak poszli do biblioteki?

– Biblioteka jest chyba w centrum. Idziemy sprawdzić?

Wystarczyło spojrzeć na nasze twarze, by przekonać się, że tego chcemy. Tata znów się uśmiechnął i rzekł:

– Dobrze, w takim razie do biblioteki. – I ruszyliśmy zgodnie w kierunku centrum.

Przebywanie w towarzystwie taty stanowiło cudowną odmianę. Słuchał nas i nie wydawał poleceń. Najlepsze zaś było to, że się do nas uśmiechał, a nie cały czas spoglądał w dal i przeklinał pod nosem. Będąc z matką, zawsze starałam się ją zadowolić; za każdym razem wykonać jakieś zadanie jeszcze lepiej, dokładniej, by tym razem bardziej ją zadowolić. Przy tacie wcale nie musiałam się starać, bo wydawał się równie zadowolony z naszego towarzystwa, jak my z jego.

W bibliotece, kiedy wreszcie do niej dotarliśmy, ogarnęło mnie poczucie spokoju. Gdy tylko przestąpiliśmy próg, zanurzyłam się w ciszy, bezruchu i bezpieczeństwie. W tym miejscu niepodzielnie panowały wiedza i przygoda. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo brakowało mi takiej atmosfery.

Tata pokazał nam dział z literaturą dziecięcą. Rozeszłyśmy się w różne strony; Mena natknęła się na jakąś dużą ilustrowaną książkę i podeszła do krzesła, by ją przejrzeć, a ja wałęsałam się między półkami, czytając nazwy działów, aż wreszcie znalazłam to, czego szukałam: „Zagadki i tajemnice”. Pociągnęłam ręką po grzbietach książek. Ich tytuły przywodziły na myśl przygody w dalekich, nieznanych krainach, w których dzielne dzieci dostawały nagrody.

Właśnie zaczęłam wyciągać jedną z półki, kiedy obok mnie pojawił się tata.

– Rozmawiałem z bibliotekarką i wypełniłem formularz – powiedział. – Możecie wypożyczyć po trzy książki, ale musicie je zwrócić do dnia na stemplu, który pani w nich postawi.

Zaniemówiłam. Czy to możliwe, że będę mogła poczytać sobie w łóżku?

– Możemy wziąć książki do domu?

– Oczywiście – odparł tata. – Ale nie zastanawiajcie się zbyt długo, bo zaraz musimy wracać.

W końcu wybrałam sobie książkę przygodową z serii *Famous Five*, jedną o mojej ulubionej Nancy Drew i jedną z serii *Hardy Boys*. Mena wzięła dużą

książkę z bajkami.

– Możesz wziąć jeszcze dwie – przypomniałam jej.

– Chcę tylko tę.

Szybko odwróciłam się do taty.

– Tato, skoro Mena chce jedną, to czy ja mogę wziąć dwie dodatkowe?

– Oczywiście. O ile dasz radę donieść je do domu.

Pobiegłam z powrotem i chwyciłam z półki parę książek z serii *Famous Five*, po czym ruszyliśmy w stronę wyjścia.

– Sam! Mena! – zawołał tata, który stał przy ladzie. – Nie możecie tak po prostu wyjść! Podejdźcie tu, pani musi podstemplować książki. I pamiętajcie, żeby je oddać w wyznaczonym terminie.

Pani bibliotekarka podstemplowała specjalną kartkę przyklepioną do wewnętrznej strony okładki każdej z książek, po czym machnęła ręką, by tusz prędeży wysechł. Spojrzała na mnie, a potem na książki, które jej podałam, i spytała:

– Zapakować ci je do torby?

Skinęłam głową. Torba z książkami okazała się bardzo ciężka. Kiedy zachwiałam się, próbując otworzyć drzwi jedną ręką, a drugą podtrzymując torbę na ramieniu, tata westchnął:

– Daj tę torbę. – I niósł ją aż do samego domu. Podał mi ją tylko na chwilę, kiedy kupował dla nas słodycze i czekoladę. Postanowiłyśmy z Meną zjeść je w łóżku, podczas czytania.

Ledwie przestąpiliśmy próg domu, matka natychmiast zapytała:

– I gdzie byliście?

– W bibliotece – odparł tata, a my tymczasem prześlizgnęłyśmy się schodami do pokoju, by niepostrzeżenie ukryć książki pod łózkami. – Wypożyczyły sobie książki. Muszą je za miesiąc oddać.

– Pozwoliłeś im wziąć do domu książki? Angielskie?! – krzyknęła matka po pendzabsku tak głośno, że słyszałyśmy aż na górze. – W szkole mają dość angielskiego! Po co im jeszcze książki?

Matka nienawidziła wszystkiego, co angielskie. Wyrzucała wszystkie listy prosto do śmieci, bez otwierania, a rachunki płaciła tylko wtedy, gdy inkasent przychodził do domu i groził, że odetnie prąd lub gaz.

Wysłam do holu na górze i stanęłam przy schodach, by lepiej słyszeć. Mena czekała w pokoju. Kryła się przed gniewem matki jak zawsze. Tata spokojnym i opanowanym tonem próbował złagodzić jej złość:

– Wypożyczyły tylko książki z obrazkami, o zwierzętach. Jak chcesz, mogę ci pokazać.

Nie słyszałam dokładnie odpowiedzi matki. Po chwili tata podszedł do schodów, a ja szybko schowałam się do pokoju, by nie zorientował się, że

podśluchiwałam.

Zawołał do nas:

– Mena, Sam! Wychodzę!

Zbiegłyśmy na dół się pożegnać.

– Tato, dziękujemy, że zabrałeś nas do biblioteki – powiedziałyśmy obie, ściskając go jednocześnie.

Delikatnie pogładził nas po twarzach i rzekł:

– Do zobaczenia.

Matka nie wspomniała o książkach ani słowem. Przez cały wieczór radowałam się w duchu, choć nie mogłam się doczekać, kiedy się położę i wreszcie będę mogła poczytać. Nawet obowiązki tym razem nie popsuły mi nastroju. Z entuzjazmem pozmywałam, zamiotłam podłogę, wyszorowałam kuchenkę i zrobiłam matce masaż głowy, która ją bolała. To zadanie zwykle mnie przypadało w udziale. Musiałam masować i ugniatać jej czaszkę przez jakieś dwadzieścia minut tak mocno, że aż bolały palce. Czasem robiła to Mena – wtedy matka kładła się, a ja musiałam chodzić w tę i z powrotem po jej nogach, omijając kolana, a także po plecach oraz rozciągać jej ramiona. Masowanie głowy było znacznie trudniejsze, ponieważ gdy matka leżała, plecy bolały od schylania się nad nią jeszcze bardziej niż palce od ugniataania.

W końcu na szczęście wszystkie obowiązki zostały wypełnione. Mogłyśmy z Meną iść na górę czytać. I dokładnie w tej chwili wrócił z pracy Manz. Już w progu zwrócił uwagę, że nie uprałam mu ubrań.

Ostatnio zaczęłam coraz więcej pyskować. Ktoś mi kazał coś zrobić, a ja mamrotałam pod nosem jakąś ciętą ripostę. Lecz jeśli ta osoba spytała, co właściwie powiedziałam, mówiłam:

– Przecież słyszałeś. – I odchodziłam. Bicie w zasadzie niewiele już zmieniało. Oswoiłam się z przemocą, sama się okaleczając. I choć wcale dużo nie pyskowałam, to uparta odmowa wykonywania poleceń ściągała na mnie uwagę matki. Bo o to oczywiście chodziło.

Tego dnia cały wieczór ciężko pracowałam. Dom był wysprzątnany, naczynia umyte i odstawione na miejsce, kolacja dla Manza czekała na podgrzanie. Ale on nie cenił wykonanej przeze mnie pracy i dostrzegał jedynie to, czego nie zrobiłam. Ja zaś myślałam tylko o jednym – żeby wreszcie iść na górę i zacząć czytać. A przed oczami cały czas miałam Hanif, która odpoczywała na kanapie, podczas gdy ja harowałam. Zanim zdążyłam się zastanowić, wypaliłam:

– Poproś swoją żonę, żeby ci wyprała ciuchy. – I ruszyłam po schodach.

– Coś ty powiedziała? – Manz wyciągnął rękę i chwycił moje włosy, żeby mnie zatrzymać.

Wiedziałam, co będzie dalej. Czułam się dokładnie tak, jakbym wystąpiła ze swojego ciała, stanęła obok i się przyglądała. Zauważyłam stojącą u schytku

schodów Menę i choć zaczęłam już czuć jego ciężkie ciosy, to wciąż jakbym z zewnątrz obserwowała to, co się dzieje. Mena skuliła się pod ścianą, ciekawe dlaczego, przecież Manz nie bił jej, tylko mnie. To musi być prawda, że gorzej jest patrzeć, jak krzywdzą kogoś, kogo kochasz, niż samemu doznawać krzywdy.

Uderzył mnie w twarz i pociągnął za włosy, a potem przyłożył pięścią w bok głowy tak, że upadłam na podłogę. Wtedy wymierzył kopniaka i celowo podeptał mi stopy. Potem znów chwycił za włosy i podciągnął w górę, stawiając na nogi, dzięki czemu łatwiej mógł uderzyć pięścią w brzuch. Osunęłam się na kolana. Jakbym była balonem, z którego uszło powietrze.

Unikał okładania po twarzy. Nie chciał zostawiać śladów, które rzucałyby się w oczy. Za to jeszcze bardziej go nienawidziłam. Za przebiegłość i wyrachowanie, jakim się kierował, zadając ból. Nie płakałam, nie krzyczałam. Nie chciałam dawać mu satysfakcji, że słyszy moje jęki. Przygryzłam wargę, aż zaczęła krwawić. Czułam cieknące po twarzy łzy. Znowu pchnął mnie na podłogę, a potem kopnął po raz ostatni. Podczas całego zajścia nie odezwał się ani słowem w przeciwieństwie do matki, która bijąc, nieustannie przeklinała i wrzeszczała. Dopiero teraz przerwał ciszę i rzekł:

– Następnym razem nie zapomnisz zrobić prania. A teraz rusz się i przynieś mi coś do jedzenia, bo umieram z głodu. – Powiedziawszy to, odszedł, jakby przed chwilą nic się nie wydarzyło, nic bardziej istotnego od odgarnięcia butem liści z progu.

Cóż, mniej więcej tyle dla niego znaczyłam.

Na czworakach powlekłam się do kuchni, a tam, opierając się o krzesło, stanęłam przy zlewie. Chciałam umyć twarz, zanim oszacuję straty. Głośno wydmuchałam nos, mrużąc wyzwiska pod adresem Manza. Wymyślałam najgorsze obelgi, jakie przychodziły mi do głowy. Dzięki temu czułam się trochę lepiej.

Kiedy tak stałam, do kuchni cichutko weszła Mena.

– I po co to mówiłaś?

– Co takiego? – zapytałam. – Przecież to prawda, tak czy nie? To ona powinna przyjść do kuchni podać mu kolację, a nie siedzieć na kanapie. – Zakasłałam. Bolały mnie boki, ale kiedy dotknęłam ich niepewnie lewą ręką, wyczułam, że żadne żebro nie jest złamane. – Mena, czy mogłabyś nałożyć jedzenie? Podam mu, tylko nałóż.

Zaniosłam Manzowi posiłek.

– Potrzebujemy jutro chleba? – zapytał jak gdyby nigdy nic, jakby przed chwilą nie sprawił mi najgorszego w życiu lania. Albo jakby nie przyjmował do wiadomości, że to zrobił.

– Nie, mamy dużo chleba. Czy coś jeszcze przynieść? – zapytałam. Chciałam jak najszybciej znaleźć się daleko od niego. Teraz bardziej niż przedtem

pragnęłam schronić się w bezpiecznej przystani, jaką stanowiły dla mnie książki.

Pokręcił głową i włożył porcję jedzenia do ust. Wobec tego szybko wycofałam się na górę, gdzie czekała już Mena.

– Wyjąć książki? – zapytała.

– Nie, jeszcze nie, poczekajmy chwilę. Jak Manz będzie przechodził, i tak każe nam zgasić światło.

Rzeczywiście, położył się niedługo po nas. Słyszałyśmy, jak idzie po schodach. Po drodze do swojego pokoju uchylił nasze drzwi i nie wchodząc, wsunął rękę, żeby wyłączyć światło.

– Śpijcie już – powiedział. – I nie zapalajcie więcej światła.

Nie kryłam zdumienia. Nigdy dotąd tego nie mówił. Czyżby matka wspomniała mu o wizycie w bibliotece i o przyniesionych do domu książkach?

Gdy wokół nas wszystko ucichło, Mena wyszeptała:

– I co teraz? Jest za ciemno na czytanie.

Myślałam o tym już od dawna, ale jak dotąd nie miałam powodu, by to zrobić.

– Patrz – powiedziałam, wyciągnęłam rękę, odsunęłam zasłonę, a pokój zalał blask ulicznej latarni. Światło miało pomarańczowy odcień, ale wystarczało do czytania. – Widzisz? Możemy czytać, nie robiąc przy tym nic, czego nam zabronił Manz.

Wychyliłam się za krawędź łóżka i wysunęłam książki z torby. Wręczyłam Menie jej dużą książkę z obrazkami i wybrałam jedną dla siebie. Na okładce była dziewczynka świecąca latarką do dziupli w drzewie. Leżałam, rozkoszując się chwilą, na podstawie ilustracji wyobrażając sobie własną historię, zanim zanurzę się w tę stworzoną przez autora. Wychylając się poza brzeg łóżka, łapałam więcej światła, więc w tej pozycji zostałam.

Po około dziesięciu minutach czytania Mena wyszeptała:

– O czym jest twoja książka?

– O dziewczynce, która rozwiązuje pewną zagadkę. Idzie za tropem.

– A ja czytam *Jasia i Małgosię*. To o dwojgu dzieciach, które znajdują domek zrobiony ze wszystkich słodczy, jakie tylko możesz sobie wymarzyć, ale nie wiedzą, że mieszka w nim czarownica...

Wiele razy czytałam tę bajkę, kiedy byłam o wiele, wiele młodsza, jeszcze w domu dziecka, ale nie wspomniałam o tym Menie, bo wiedziałam, że ona nie miała tyle szczęścia. Jakiś czas później moja siostra zasnęła. Książka leżała na poduszce obok niej. Zapamiętałam stronę, zamknęłam obie książki – jej i swoją, i położyłam je przy łóżku, abyśmy mogły sięgnąć po nie z samego rana. Zasnęłam. Sny o tym, że mam własną latarkę i rozwiązuję zagadki, przyćmiewały tępy ból ran i siniaków.

Tata co jakiś czas odwiedzał nas i zabierał mnie i Menę w różne miejsca, ale starał się składać wizyty wtedy, kiedy matki nie było akurat w domu. W innym przypadku mogłaby nam zabronić. Jeśli matka wiedziała, że jej nie będzie, prosiła, by Tara przyszła nas popilnować. Nasza najstarsza siostra próbowała przekonać tatę, że nie może nas zabrać. Mówiła:

– Nie ma matki.

Na co on odpowiadał:

– Nie ma więc kogo zapytać. W takim razie chodźcie, wytłumaczę się, jak wrócimy. No, już.

Kiedy szykowaaliśmy się do wyjścia, tata pytał Tarę:

– Masz ochotę iść z nami?

Ona zawsze kręciła głową, że nie, ale nigdy nie próbowała nas zatrzymać. Tata zabierał nas do parku, gdzie kupował lody albo coś równie pysznego, a my uganiałyśmy się wokół niego jak małe dzieci, albo do arboretum, gdzie wędrowaliśmy pod drzewami, trzymając się za ręce, lub wsiadaliśmy do miniaturowego pociągu. Nigdy nie chciałyśmy wracać do domu, ale ostatecznie musiałyśmy.

Z ojcem stawałam się kimś zupełnie innym: zwyczajnym, najzwyczajniejszym w świecie dzieckiem, takim, jakim właśnie powinnam być. W domu nie miałam czym się bawić i nigdy nie wolno mi było hałasować, bo mogłoby to wywołać kolejną migrenę matki. W parku mogłam krzyczeć do woli i radośnie hasać. Być wolna. Wydawało się, że tata nie obchodzi nikogo z domowników, dlatego miałam wrażenie, że jestem do niego podobna – ja też nikogo nie obchodziłam. Uwielbiałam jego łagodność, podczas gdy w domu mogłam liczyć tylko na gniew i agresję. Lubiłam patrzeć, jak po prostu odchodzi, kiedy matka przeklina go i obrzuca wyzwiskami. Jakby go to nie dotyczyło. Ja też udawałam odważną. Starałam się ignorować lanie i obelgi, ale cierpiałam. Kiedy wieczorem tata szedł do siebie, najbardziej na świecie marzyłam, by zabrał mnie ze sobą.

Wiedziałam jednak, że jest chory. Nie orientowałam się, na co konkretnie, wiedziałam tylko, że raz w miesiącu dostaje zastrzyk na uspokojenie. Pojawiał się wtedy u nas w domu, a po chwili przybywała pielęgniarka. Parę minut nakłaniała go, żeby zgodził się na zastrzyk, a ojciec protestował, twierdząc, że po tych zastrzykach trzęsą mu się ręce. Matka mówiła:

– Zaszkodzi ci, jak nie weźmiesz zastrzyku, a wtedy wcale nie pozwolę ci tu bywać.

Wtedy się zgadzał i pielęgniarka robiła mu ten zastrzyk. Podglądałam przez uchylone drzwi, jak opuszczał nieco spodnie, a ona wbijała mu igłę w pośladek. W tym momencie zawsze się wzdrygałam. To było okropne – patrzeć, jak mojego tatę zmuszają do czegoś nieprzyjemnego.

Mieszkaliśmy w Walsall mniej więcej do czasu moich dwunastych urodzin. Jedynym wytchnieniem od okropności domowego życia oraz związanych z nim lęków i stresów były pobyty w szpitalu. Miałam problemy ze stopami, które wymagały leczenia, a z czasem operacji. Palce stóp podwijały mi się pod siebie i sztywniały tak, że nie mogłam ich wyprostować.

W szpitalu było jak w raju. Mogłam tam spokojnie wypocząć. Nie musiałam pracować i dostawałam jedzenie, które przypominało mi posiłki w domu dziecka, gdzie się wychowałam. Nikt mnie nie bił.

Kiedy po raz pierwszy pojawiłam się w domu rodzinnym, matka powiedziała coś na mój temat i wskazała na moje stopy. Dopiero po sześciu miesiącach dowiedziałam się, co miała na myśli. Mówiła, że mam krzywe nogi lub że jestem kaleką. Wielokrotnie próbowała sama je wyprostować, wałać w nie młotkiem lub grożąc, że dostanę lanie, jeśli czegoś z nimi nie zrobię. Sądziła, że celowo je tak wykrzywiam. Zawsze uważałam, by nie zaprzyjaźnić się z kimś w szpitalu, by nie sprowokować tej osoby do zadawania krępujących pytań. Próbowałam więc jak najwięcej spać, oczywiście z wyjątkiem pór posiłków. Leżałam sobie, a uśmiechnięte pielęgniarki przynosiły do łóżka pyszne jedzenie – frytki i paluszki rybne, ciastka i desery, które po prostu uwielbiałam. W domu najbardziej brakowało mi właśnie słodczy: ciasta z kremem budyniowym, słodkiego, złocistego syropu, tarty z nadzieniem z dżemu truskawkowego i zapiekanych na słodko płatków kukurydzianych. Po jakimś czasie przyzwyczałam się do ostrych przypraw i wymyślnych smaków, ale wciąż odczuwałam brak słodczy, stale obecnych w jadłospisie mojego wczesnego dzieciństwa. Mena również miała operowane stopy. Nikt nie odwiedzał nas w szpitalu. Matka pojawiała się tylko w dniu, kiedy trzeba było nas zabrać do domu.

Zawsze chciałam zostać w szpitalu dłużej, ale wiedziałam, że muszę wrócić do domu – tak samo jak wtedy, kiedy musiałam odejść z domu dziecka. Po dwóch tygodniach błęgiego obijania się zostałam odesłana do domu z nogą w gipsie, w którym miałam pozostać jeszcze przez pięć tygodni. Z ciężką, usztywnioną nogą kuśtykałam wokół domowych obowiązków, które spiętrzyły się podczas mojej nieobecności, bo oczywiście nikt ich za mnie nie wykonywał. Co z tego, że gips był ciężki, a zalecenia lekarza oczywiste – nie forsować nogi. Chciało mi się krzyczeć: „Mamo, patrz, robię wszystko, o co prosisz, mimo że mam nogę w gipsie. Powiedz chociaż, że dobrze sobie radzę, że jestem wspaniałą córką!”. Niestety. Nigdy nie doczekałam się pochwały.

Kiedy trzeba było zdjąć gips, razem z matką wyprawiałam się z powrotem

do szpitala. Brałyśmy taksówkę, a potem w szpitalu matka domagała się zwrotu pieniędzy za kurs. Ale kiedy je otrzymywała, nie brała taksówki do domu – pieniądze trafiały do jej kieszeni, a my wracałyśmy pieszo. Lekarz z dezaprobatą spoglądał na spękany, poobijany koniec gipsu i pomstował, że za bardzo forsowałam nogę, ale matka nie zwracała najmniejszej uwagi na jego słowa. W takiej sytuacji bałam się cokolwiek powiedzieć.

Zakres moich obowiązków powiększył się wraz z pojawieniem się na świecie, Frazanda, synka Hanif. Ponieważ Hanif ciągle musiała się nim zajmować, o wiele mniej pomagała mi w domu. Tylko Mena pojawiała się w kuchni, by trochę pozmywać lub posprzątać. Ale ścieranie blatów, stołu i podłóg, odkurzanie i zamiatanie, jak również pranie ubrań i gotowanie pozostawały całkowicie na mojej głowie.

Nieustannie byłam zmęczona. Usiłowałam pogodzić wszystkie obowiązki w domu z odrabianiem lekcji. W takim stanie bardziej niż dotąd pyskowałałam Hanif, zwłaszcza gdy żądała, bym natychmiast coś zrobiła, kiedy byłam w połowie robienia czegoś zupełnie innego. Poza tym Hanif znowu zaczęła wyraźnie tyć i pewnego wieczora, kiedy z Meną sprzątałyśmy w kuchni, doszłyśmy do wniosku, że najwyraźniej przygotowuje się na kolejne dziecko. Nie mogłam sobie tego wyobrazić. I tak tonęłam w morzu obowiązków. Kolejne dziecko oznaczało, że przybędzie mi pracy i pogrązę się w niej po sam czubek głowy.

Kiedy więc pewnego dnia matka przywołała mnie do siebie, nie spodziewałam się niczego więcej, jak bury lub uderzenia. Pewnie słyszała, że znów pyskowałałam Hanif, lub odkryła, że robiłam coś inaczej, niż chciała. Był rok 1982. Miałam już prawie trzynaście lat. Trochę urosłam, lecz w porównaniu z dobrze odżywionymi rówieśnikami ze szkoły wciąż byłam niska i drobna.

Matka skinęła, bym podeszła bliżej, lecz instynkt kazał mi trzymać się od niej jak najdalej. Kiedy przemogłam się i podeszłam, ona nagle przyciągnęła mnie do siebie, oplótła ramionami i przytuliła. W tym czasie szeptała:

– Sam, takie dobre z ciebie dziecko, jesteś wspaniałą córką, ciężko pracujesz dla całej rodziny i dla mnie. Bardzo ładnie.

Nie mogłam w to uwierzyć! Od tak dawna pracowałam naprawdę ciężko, wkładałam tyle wysiłku, by wszystkich zadowolić, i w końcu mi się udało!

– Ponieważ tak ciężko pracujesz, robisz wszystko, o co tylko poprosimy, mam zamiar zabrać cię ze sobą do Pakistanu, żebyś zobaczyła moje rodzinne strony. I poznała moją tamtejszą rodzinę. – Odsunęła się o krok, wzięła moją twarz w dłoń i powiedziała, patrząc mi prosto w oczy:

– Biorę jedynie ciebie, Sam. Pojedziemy tylko we dwie.

Wreszcie się doczekałam! Mimo woli do oczu napłynęły mi łzy wdzięczności. Uśmiechnęłam się, odpowiedziałam coś, nie pamiętam co – tak byłam oszołomiona tym nieznanym uczuciem, wewnętrznym blaskiem, który

zaczął się we mnie rozlewać, docierając do każdego zakątka duszy i skrawka ciała. Wszystkie moje dotychczasowe wysiłki miały jeden nadrzędny cel: zadowolić matkę. Od dawna już się nie łudziłam, że kiedykolwiek nadejdzie dzień, w którym doceni mój wysiłek. Ale oto okazało się, że nadszedł, a w nagrodę jechałam na wakacje. Tylko ja i ona.

Kompletnie nic nie wiedziałam o Pakistanie. Ludzie, którzy podróżowali do tego kraju, nigdy o tym nie rozmawiali, a matka jak dotąd nie opowiadała mi o swojej ojczyźnie. Ale kiedy jeszcze przebywałam w domu dziecka, wyjeżdżaliśmy w czasie wakacji nad morze. Byłam więc przekonana, że w Pakistanie będzie jak nad morzem: sklepy, plaża i inne dzieci, z którymi można się bawić. A może nie? Zresztą wszystko jedno, bo wakacje oznaczały brak obowiązków, odpoczynek od gotowania i sprzątania i towarzystwo szczęśliwej matki przez całe dnie.

Następnego dnia, kiedy wróciłam ze szkoły, zastałam w domu gościa. Przedstawiono mi ją jako „ciocię”, choć matka zwracała się do niej po imieniu, Fatima. Nie łączyły jej z matką więzy krwi, ta ciocia weszła do naszej rodziny dzięki małżeństwu. Była mniej więcej w tym samym wieku co matka, lecz różniły się usposobieniem, to znaczy ciocia przejawiała dobre cechy tam, gdzie matka złe. Natychmiast ją polubiłam. Sympatia ta pogłębiła się, kiedy następnego dnia, zbierając brudne naczynia po kolacji, usłyszałam, jak mówi do matki:

– Moje córki nie robią nawet połowy tego, co twoja Sam. Dlaczego każecie tej małej tak pracować? Nie mógłby jej ktoś pomóc?

Tego wieczora, a potem kolejnego, Tara, która przyszła do nas na kolację, oraz Hanif przygotowały i podały posiłek, a kiedy przyszło do sprzątania, nawet matka odstawiła po sobie talerz do zlewu, zamiast krzyczeć na mnie, że tego nie zrobiłam. Mimo że po nieoczekiwanej deklaracji matki zaczęłam niemal ją adorować, nie mogłam obojętnie przyjąć tego, że w czasie pobytu cioci, kiedy wszyscy po trochu pomagali mi w obowiązkach, żyło się o wiele przyjemniej.

I nie chodziło tylko o domowe obowiązki, bo ciocia wniosła też zmiany w inne sfery naszego życia. Na przykład zabierała mnie i Menę do pobliskiego parku, tego samego, gdzie chodziliśmy z tatą, lecz w przeciwieństwie do niego oczekiwała, że będziemy biegać, bawić się z innymi dziećmi, swobodnie wędrować po całym terenie, odkrywając jego tajemnice.

W parku rosło mnóstwo drzew i kwiatów. Były też trawniki i plac zabaw, ale najlepsze znajdowało się w samym środku – jezioro, po którym pływało się łódką. Nad wodą szybowały ptaki. Bardzo lubiliśmy siedzieć i się im przyglądać. Najpiękniejsze były łabędzie. Tata, najprawdopodobniej w strachu przed reakcją matki, nie pozwalał nam zbliżyć się do wody, ale teraz, kiedy podeszłam do samego brzegu, widziałam, jakie to wielkie ptaki i jak białe mają pióra. Wydawały się lśnić w słońcu, a poruszały się tak dostojnie, że nie mogłam oderwać od nich

wzroku. Nie chciałam wracać do domu, wolałabym tu zostać i patrzeć na nie godzinami.

W tym momencie przypomniałam sobie Cannock Chase, rozległe tereny wokół domu dziecka i bajki, które czytała mi ciocia Peggy. Zwłaszcza ta o brzydkim kaczątku, przez nikogo nielubianym, które potem zamieniło się w łabędzia, czyli najpiękniejszego ptaka pod słońcem. Myślałam sobie, że może tak samo jest i ze mną. Czy gdy pojedę do Pakistanu, to niezdarna Sam, która wszystko źle robi i trzeba ją wiecznie łajać, dozna tam przemiany? Może w tamtejszym słońcu zabłyśnie ukryta w moim ciele prawdziwa dziewczynka? A kiedy wrócę do domu, Tara, Hanif i cała reszta mnie nie poznają, wszystko będzie inaczej i już nigdy nie będę nieszczęśliwa.

– Sam! Sam! Chodź, ciocia mówi, że wracamy. – Mena szarpała mnie za rękaw, przerywając mi sen na jawie.

– Co, już? – zapytałam.

Mena skinęła głową.

Wstałam i bardzo powoli ruszyłam. Z niechęcią opuszczałam ten skrawek raj.

Ciocia szła wąską ścieżką wijącą się między drzewami w stronę bramy parku. Tuż obok znajdował się plac zabaw. Wciąż zatopiona w marzeniach, nie odzywałam się do Meny.

– Spójrz – powiedziała nagle moja siostra – są huśtawki. – I uśmiechnęła się do mnie.

Wtedy zdałam sobie sprawę, że nie ja jedna nie tęsknię za domem.

Ciocia spędziła u nas trzy dni. Och, jaka byłam szczęśliwa przy tej łagodnej i miłej kobiecie! Kiedy nadszedł czas jej odjazdu i objęła mnie na pożegnanie, mocno się do niej przytuliłam. Była wysoka, więc w jej objęciach czułam się jak w bezpiecznej przystani. Nie chciałam, by wyjeżdżała, ale w obecności matki nie mogłam zaprotestować. Nie chciałam oberwać. Wiedziałam, że gdy ciocia pojedzie, znowu zostanę sama z garnkami, szczotką i mopem.

W końcu ciocia ze śmiechem uwolniła się z mojego uścisku. Ujęła mnie pod brodę, uniosła nieco i przez chwilę wpatrywała się w moją twarz w zamyśleniu, a potem zwróciła się do matki:

– Patrz, jaka jest do ciebie podobna.

Matka odparła:

– Też mi się tak wydaje.

Zdziwiłam się i zarazem ucieszyłam.

Nawet Tara się z nimi zgodziła.

– Jesteś najładniejsza z nas wszystkich. – Oczywiście powiedziała to złośliwie.

Wkrótce po wizycie cioci musiałam iść do szpitala na kolejną operację stóp.

Jak zwykle wyszłam stamtąd z nogą w gipsie. W sobotę rano Mena jako pierwsza zeszła na dół, do ubikacji. Słyszałam, jak co sił pędzi z powrotem. Wpadła do pokoju i krzyknęła:

– Sam, przeprowadzamy się! Chodź na dół, to zobaczysz!

Wyprowadzamy się? Nie miałam o tym zielonego pojęcia. Dokąd? Zwlokłam się z łóżka i pokuśtykałam w ślad za Meną na dół, ciekawa, co się dzieje. W kuchni zastałam już Hanif i matkę, które wkładały wszystko do kartonowych pudeł.

– O, wreszcie wstałyście, to dobrze. Możecie trochę pomóc.

– Macie tu pudło, spakujcie do niego wszystkie garnki i patelnie – poinstruowała nas Hanif i wręczyła nam karton.

Zaczęłam zdejmować garnki z półek, wkładać mniejsze do większych, a potem umieszczać je w pudle. Wciąż jednak nie rozumiałam dlaczego. Byłam dezorientowana. Postanowiłam nie pytać matki, która akurat dyskutowała o czymś z Hanif, wskazując na salon.

– Jedziemy do Pakistanu? – zapytałam szeptem Menę. – Przeprowadzamy się tam?

– Nie wiem. Nikt mi nic nie mówił.

W tej samej chwili do kuchni wróciła Hanif i ucichłyśmy. Już dawno przekonałam się na własnej skórze, że bezpieczniej jest o nic nie pytać. Ale matka wspominała, że do Pakistanu wybieramy się dopiero za trzy miesiące. Więc po co ten cały rejwach? Czy ostatecznie ktoś prócz mnie też jedzie do Pakistanu? Czy do tego czasu cały nasz dobytek będzie czekał spakowany? W takim razie jak będę gotować bez garnków?

W końcu skończyłyśmy pakowanie kuchni. Staralam się wszystkim pomagać, ale z nogą w gipsie szło mi dość niezdarnie. Nie mogłam dosięgnąć do wyższych półek. Kiedy w kuchni nic nie zostało, Hanif powiedziała:

– Dobrze, a teraz idźcie do swojego pokoju. Tu macie kartony, spakujcie się.

– Wręczyła nam kilka pudeł. Miałyśmy w nie spakować swoje ubrania i skromny dobytek.

Ponieważ posiadałyśmy tak niewiele, pakowanie nie trwało długo. Ubrania, poduszki, kołdry i koce. Na samym dnie kartonu z kocami ukryłam wypożyczone książki, których w końcu nie oddałyśmy do biblioteki. Nie chciałam ich oddawać. Myślałam, że jeśli to zrobię, już nigdy w życiu nie będę miała na własność żadnej książki.

Wciąż byłam bardzo ciekawa, co się dzieje. Mena cierpliwie klarowała mi, że zaraz się dowiemy. Ja jednak nie mogłam wytrzymać. Wsadziłam głowę do pokoju chłopców z nadzieją, że może Saber lub Salim coś wiedzą.

Saber właśnie kończył się pakować. Podniósł na mnie wzrok i zapytał:

– Zabieramy łóżka? Nie wiesz przypadkiem?

– Nie wiem. – Wzruszyłam ramionami. – Nikt nie powiedział, co z nimi, więc pewnie zostają. Wiesz może, dokąd jedziemy?

– Nie mam pojęcia. Nikt mi nic nie mówił. Znieś moje kartony, Sid, bo ja muszę na chwilę wyjść. – I zbiegł po schodach, zanim zdążyłam zaprotestować.

Matka zaczęła nawoływać z dołu, że potrzebuje pomocy w pakowaniu swoich rzeczy. Pokuśtykałam więc po schodach, by wysłuchać dalszych rozkazów.

Wkrótce potem pod drzwi wejściowe podjechała furgonetka. Zza kierownicy wyskoczył Manz. Hanif natychmiast zajęła miejsce obok kierowcy, a Manz wszedł do domu i rozejrzał się po pokojach, w których piętrzyły się pudła i pakunki.

– Dobra. Zaczynamy pakować samochód. Dziś wieczorem chcę być w Glasgow.

Glasgow? Gdzie było Glasgow? Spojrzałyśmy z Meną po sobie. Dalej nie wiedziałyśmy, co jest grane. Poza tym od rana nie miałyśmy nic w ustach. Wierzyłam, że będzie na to czas przed podróżą, ale po chwili stwierdziłam, iż nie ma na co liczyć. Manz dyrygował nami, wciąż nawołując do pośpiechu.

W końcu furgonetka została załadowana. Matka usiadła z przodu razem z Hanif, jej dzieckiem i Salimem. Nieobecny dotąd Saber zniemacka pojawił się tuż po zapakowaniu ostatniego pudła. Manz rozłożył koc w części bagażowej między kartonami, po czym gestem zaprosił mnie, Menę i Sabera do środka.

Kiedy zrobiliśmy, co kazał, zatrzasnął tylne drzwi. Nagle zrobiło się ciemno i duszno. Choć wiedziałam, że rodzeństwo jest tuż obok, i tak było mi trochę straszno. W tej samej chwili Saber zaczął przeciągle krzyczeć:

– Uhuuu! Uuu!

– Zamknij się, Saber, bo cię walnę – rzuciłam. – Pamiętaj, że mam gips, więc będzie bolało.

– Najpierw będziesz musiała mnie znaleźć!

Nagle do furgonetki wpadła wąska smuga światła. To Manz wsiadł za kierownicę i otworzył małe okienko dzielące część bagażową od pasażerskiej. Teraz ich słyszeliśmy, widzieliśmy się nawzajem, a nawet mieliśmy czym oddychać. Spojrzałam na Sabera opartego o stos kartonów tuż przy tylnych drzwiach. Uśmiechnęłam się do niego złośliwie.

– Ha, teraz cię widzę – rzekłam.

Manz zapuścił silnik i ruszyliśmy.

Rozluźniłam się natychmiast, kiedy do wnętrza furgonetki wpadło światło i powietrze. W ciemności czułam ogromne napięcie. Zaczęliśmy rozmawiać. Okazało się, że żadne z nas nie ma pojęcia, gdzie leży Glasgow, więc, zamiast dalej się nad tym zastanawiać, zagraliśmy sobie w grę słowną. A przynajmniej próbowaliśmy, bo Saber cały czas wszystko psuł.

– Widzę to coś przed sobą, a zaczyna się na „m” – zaczynał, po czym od razu kończył: – No tak, znowu meble. Wygrałem, jak zawsze. – Potem przestał

mówić i zasnął.

– O rety, on potrafi być taki męczący, prawda, Mena? – zapytałam cicho. – Niekiedy jest całkiem miły, ale czasem... nie do zniesienia.

– Właśnie. Patrz. Lepiej zrobmy to, co on, wtedy ten okropny dzień prędej minie. – Powiedziawszy to, zamknęła oczy i zaczęła drzemać.

Ja jeszcze trochę czuwałam. Nie mogłam usnąć – budziłam się na każdym wyboju. Tak mi się przynajmniej wydawało, ale nagle okazało się, że furgonetka zatrzymuje się, a silnik gaśnie.

– Już jesteśmy? – zapytała Mena.

Saber obudził się i ziewnął. W tej samej chwili Manz otworzył tylne drzwi.

– Wszyscy wysiadać! – zarządził.

Saber wyskoczył pierwszy, a ja jako druga zbliżyłam się do wyjścia. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Otóż przed domem, przy którym się zatrzymaliśmy, zobaczyłam uśmiechniętą, okrągłą twarz cioci. Kiedy napotkała moje spojrzenie, rozpromieniła się.

– Ciocia Fatima!

– Witaj, Sam! Witaj w Glasgow! – zawołała. – Dziś rano odebrałam klucze do waszego domu – dodała i podała klucze Manzowi, po czym podeszła do mnie, wyciągając ręce, by pomóc mi wydostać się z samochodu.

Uśmiechnięta od ucha do ucha, wpadłam w jej mocne, ciepłe objęcia i wtuliłam się w nie z całej siły, nie zważając na nieznośne mrowienie nogi zdrętwiałej po długiej podróży.

Ciocia uściskała też Menę, po czym odwróciła się w stronę domu.

– Wspaniały, prawda? Jest większy niż tamten, będzie wam wygodniej. Chodźcie, to was oprowadzę. – I zabrała mnie i Menę, zostawiając Sabera do pomocy Manzowi.

Dom okazał się duży, parterowy. Miał trzy sypialnie, kuchnię, salon, łazienkę i przestronną piwnicę. Pokoje były duże i wysokie.

Weszliśmy do pierwszej sypialni.

– Tu będziecie spać, razem z matką – oznajmiła ciocia z uśmiechem.

Poczułam, jak stojąca obok mnie Mena sztywnieje. Wiedziałam, o czym myśli, bo sama pomyślałam dokładnie to samo. Już po spokojnych wieczorach z książką – cały czas będziemy na celowniku. Żadna z nas nie pisnęła jednak ani słowa. Rozejrzałyśmy się wokół. Ściany były brudnożółte, wykładzina wyswiechtana i poszarpana po bokach, ale ogólnie nie wyglądało to najgorzej. Podobnie jak w domu w Walsall, i tu śmierdziało stęchlizną, ale doszłam do wniosku, że jeśli co jakiś czas otworzy się okno, da się wytrzymać.

Nie mieściło się w głowie, aby którakolwiek z nas mogła zakwestionować decyzję dorosłych, jeśli chodzi o zakwaterowanie w pokojach. Dobrze wiedziałam, że czegokolwiek by dotyczyła dyskusja, mój głos zawsze liczy się jako ostatni.

Kolejny pokój był większy od tego pierwszego, a przez wielkie okna wpadało do niego mnóstwo światła. Ciocia powiedziała, że właśnie tu stanie telewizor. Oznaczało to, że matka nie będzie miała nad nim stałej kontroli, czyli będziemy mogły oglądać, co chcemy.

Przez kolejne lata opracowałyśmy z Meną parę trików, które zapewniały nam dostęp do telewizora. Kiedy do pokoju wchodziła matka, wymyślałyśmy rozmaite powody, by ją stamtąd wywabić: „Mamo, wyglądasz na zmęczoną, może zrobić ci masaż?”. Wtedy jedna z nas poświęcała chwilę na to nieprzyjemne zajęcie, matkę ogarniała senność, więc się kładła, a my mogłyśmy do woli oglądać telewizję.

– A tu jest piwnica – rzekła ciocia.

Razem z Meną zajrzałyśmy za drzwi, za którymi w mroku niknęły rachityczne schodki. Postanowiłyśmy nie sprawdzać, dokąd prowadzą. Odważyłam się to zrobić dopiero po paru tygodniach.

Drugą sypialnię dostali Manz i Hanif, trzecią Saber – tylko dla siebie. Z zadowoleniem stwierdziłam, że w domu jest normalna ubikacja i łazienka. W głębi znajdował się jeszcze jeden mały pokój kotłownia, który objął w posiadanie Salim. Matka protestowała, twierdząc, że będzie mu tam za gorąco, ale Salim się uparł, a ponieważ był najmłodszy i rozpieszczony, matka szybko mu uległa.

– No i wreszcie kuchnia. Chodźcie, przy okazji zobaczycie ogród – powiedziała ciocia, a my posłuchałyśmy.

Przechodząc przez kuchnię do ogrodu, nie mogłam nie zauważyć, że jest pusta i brzydka, a blaty poczerniały od brudu. Zostało jednak sporo miejsca na stół i coś do siedzenia, więc kiedy kupimy krzesła albo kanapę, będzie można tu posiedzieć. No i ogród. Wydawał się ogromny. Oczywiście zarosnięty i zaniedbany, ale z potencjałem.

– Słuchajcie, przyniosłam wam trochę jedzenia, bo przypuszczałam, że po długiej podróży wszyscy będziecie głodni – powiedziała ciocia, rozstawiła talerze i nałożyła nam porcje *roti* i jajek z curry.

Na szczęście ugotowała bardzo dużo. Jadłam, aż mi się uszy trzęsły, przecież od rana nic nie miałam w ustach.

Ciocia mieszkała po sąsiedzku. Jej najstarszy syn był już żonaty, a najstarsza, dwudziestoletnia córka, miła i życzliwa. Czasem chodziliśmy do cioci. Zawsze nas pytała, czy nie jesteśmy głodni, i częstowała jedzeniem. Patrzyliśmy wtedy na matkę. Jeśli skinęła głową, to znaczyło, że możemy jeść.

Uwielbiałam nasz przestronny, nowy dom, ale na początku byłam dezorientowana. Czy przeprowadzka oznaczała ucieczkę z Walsall? Przynajmniej ja tak się czułam. Dla mnie stanowiła ucieczkę od tamtejszego życia, od szkoły i od całego otoczenia. Może przeprowadziliśmy się dlatego, że Manz dostał w Glasgow

pracę, ale skąd mogłam wiedzieć, skoro nikt o niczym nie mówił? W każdym razie w Glasgow bardzo mi się podobało. Żyliśmy tam normalniej, takie odnosiłam wrażenie. Mogliśmy oglądać w telewizji serial o dwóch policjantach *Starsky and Hutch*, a nawet chodzić do miasta. W naszej dzielnicy mieszkało dużo Azjatów, w związku z tym matka sądziła, że jeśli Mena i ja coś narozrabiamy, zaraz się o tym dowie.

Saber zaanektował piwnicę. Urządził sobie w niej pokój i spędzał w nim całe godziny, odcięty od reszty świata. Opowiadał nam mrożące krew w żyłach historie o tym, co czaiło się w mrocznych kątach. Mena słuchała ich z oczami szeroko otwartymi ze zgrozy. Opowieści Sabera przypominały mi historie, które wymyślałyśmy z Amandą w domu dziecka. Nie wierzyłam więc w ani jedno słowo brata i zawsze śmiałam się, kiedy skończył opowiadać.

– Co, nie wierzysz mi, Sid?

– Oczywiście, że nie. Duchy nie istnieją.

– Nie byłbym taki pewien – rzekł, a potem zająrzył mi w oczy. – Jeśli ty jesteś, to może chciałabyś się przekonać? Wpadnij dziś w nocy do piwnicy. Ośmielisz się?

– Jasne, że zejść. Tylko nie dziś wieczorem. Muszę najpierw pozmywać te wszystkie gary – wypaliłam bez namysłu.

– Ha, boisz się – powiedział triumfalnie. – Patrz, Mena, ona się boi. – Oparł się o krzesło, przekonany, że udowodnił mi tchórzostwo.

– Wcale nie. Po prostu nie mam czasu. Muszę wyszorować gary. Inaczej mi się dostanie.

Jego uśmiech zbladł.

– Dobrze, w takim razie później, jak wszyscy pójdą spać. Zabiorę ciebie i Menę na dół. Obiecuję, że nie będzie historii o duchach. Trochę posiedzimy i pogadamy.

Zastanowiłam się chwilę nad jego propozycją. Miło będzie dla odmiany zrobić coś innego, bo życie w nowym miejscu zaczynało mnie już nużyć.

– Dobra, zejdziemy – odparłam. Nie chciałam jednak zbudzić matki ani Manza, którzy uznaliby naszą wizytę u Sabera za głupią zachciankę. – Ale będziemy musieli być bardzo cicho, dobrze?

Kiedy położyłam się spać, myślałam, że Saber zrezygnował. Robiło się coraz później. W domu panowała zupełna cisza. Byłam przekonana, że każdy, nawet najmniejszy hałas zbudzi matkę. Nagle drzwi skrzypnęły i pojawiła się w nich głowa Sabera. Kiedy stwierdził, że nie śpię, ale patrzę na niego, gestem nakazał mi, żebym wstała i szła za nim. Zerknęłam na Menę. Widziałam po oddechu, że nie śpi, leżała jednak szczelnie otulona kocami, jakby chciała powiedzieć: „zostawcie mnie w spokoju”. Wygramoliłam się więc z łóżka i szepnęłam do Sabera:

– Mena nie idzie. Obiecujesz, że nie będziesz straszyl?

Skinął głową i razem ruszyliśmy korytarzem w stronę drzwi do piwnicy. Saber szedł przodem. Włączył światło i ostrożnie pokonał schody. W połowie drogi zatrzymał się i obejrzał za siebie.

– No, chodź – syknął.

Wciąż stałam tuż za drzwiami, u szczytu schodów. Panujące w domu kompletna cisza i ciemność sprawiły, że zabrakło mi odwagi. To samo czułam, kiedy w starym domu, w Walsall, musiałam w nocy iść do ubikacji. Wyobrażnia tak pracowała, że straszyla samą siebie.

– Chodź wreszcie – ponaglił.

Niepewnie postawiłam pierwszy, potem drugi krok na schodach. Nic nie skrzypnęło, nie jęknęło, więc nabrałam odwagi. Saber gestem nakazał zamknąć za sobą drzwi, by nikt nas nie słyszał. Zrobiłam to, choć poczułam się tak, jakbym odcinała sobie drogę ucieczki.

Na dole schodów wydawało się jeszcze ciemniej. Małe smużka światła spod drzwi nie docierała do przejścia, w którym się teraz znajdowaliśmy. W mroku połyskiwały tylko oczy Sabera.

– Włącz światło – szepnęłam.

– Tu nie ma światła – odparł. – Ale mam świece, zaraz zapalę. – I ruszył w ciemność.

Słyszałam trzask zapalanej zapalniczki i pomieszczenie, w którym się znajdowaliśmy, zaczęło powoli nabierać kształtów. Saber wynurzył się z mroku. Trzymał w ręku świecę, której płomień chwiał się i migotał, ale jako tako oświetlał ceglane ściany pokryte grubymi pajęczynami i kurzem.

– No chodź, Sam. Zobacz, tutaj często przesiaduję – rzekł Saber.

Poszłam za nim i stwierdziłam, że całkiem miło się urządził. Znalazł materac i nakrył go prześcieradłem, a na podłodze poustawiał dużo świeczek, które właśnie zapalał. Przy posłaniu leżał stos komiksów.

Usiadłam, wzięłam komiks do ręki i zaczęłam go przeglądać.

– Czasem tu sobie przychodzę i czytam. Jak nie mam ochoty na niczyje towarzystwo. – Saber przykucnął pod ścianą i mi się przyglądał. Odłożyłam komiks. – Kiedy tam, na górze, robi się okropnie. – Przerwał i zapadła cisza. Poczulałam gulę w gardle. – No, jak cię biją i wyzywają. Naprawdę tego nienawidzę – dodał.

Nie mogłam mówić.

Saber podniósł się i rozejrzał po ścianach.

– Mam dziurę w ścianie, trzymam tam ciastka. Jak będziesz miała ochotę, możesz sobie tu zawsze zejść i się poczęstować, poczytać komiksy. Jak będziesz chciała na trochę wyrwać się stamtąd.

Łzy napłynęły mi do oczu, a gula w gardle nagle znikła.

– Dziękuję, Saber – wychrypiałam. Zapadła nieco krępująca cisza, więc

znowu wzięłam komiks do ręki. – Skąd bierzesz na to pieniądze? – zapytałam.

– Dostawałem od taty – odparł. – Co tydzień dawał mi kieszonkowe. Kupowałem sobie komiksy i po szkole chodziłem do taty je poczytać. Jestem wściekły, że się przeprowadziliśmy. Teraz nie będzie nas odwiedzał. Ma za daleko.

– Chodziłeś do domu taty?

– Ciii, Sam, nie krzycz. Jasne, że tak – wzruszył ramionami.

– A więc to tam byłeś, jak znikales – domyśliłam się.

– Co?

– Nic.

Siedzieliśmy chwilę w milczeniu, aż w końcu zaczęłam marznąć.

– Chyba wrócę do łóżka, Saber – powiedziałam w końcu, a on skinął głową.

– To chodźmy – rzekł i zaczął zdmuchiwać świece.

Zaczekałam, aż skończy, i razem weszliśmy po schodach. Kiedy już ze zmarzniętymi stopami leżałam w łóżku, uśmiechnęłam się w ciemnościach.

Rosłam coraz szybciej. Pewnego dnia w kuchni Hanif spojrzała na mnie jakoś dziwnie i powiedziała coś do matki, która odwróciła się w moją stronę i też zmierzyła mnie wzrokiem. O, nie, pomyślałam sobie, o co znowu chodzi? Matka wyszła, a po chwili wróciła z czymś białym w ręku.

– Najwyższa pora, żebyś zaczęła to nosić. Hanif ci pokaże, co i jak.

Zdumiona patrzyłam na kawałek zgniecionej białej szmatki, którą wcisnęła w moją dłoń. Po rozłożeniu rozpoznałam w niej stary biustonosz Tary. Hanif pokazała, jak go włożyć, po czym wysłała mnie do łazienki z poleceniem, że mam zdjąć tunikę i się w niego ubrać. Podobnie jak majtki, które nosiłyśmy przez kilka określonych dni w miesiącu, nie leżał tak, jak powinien, lecz przyzwyczyłam się i przestało mi to przeszkadzać.

Tara już z nami nie mieszkała. Po naszej wyprawie do Glasgow przyjechała wraz z mężem, który pracował jako kelner, jedynie na parę dni w odwiedziny. Potem też przenieśli się do Glasgow i zamieszkali w domu oddalonym o jakieś dwa kilometry od naszego. Wtedy poszliśmy z Meną i Saberem obejrzeć jej mieszkanie. Na bocznym stoliku stało zdjęcie matki w srebrnej ramce. Saber wziął je do ręki i powiedział:

– Przyszedłem tu, żeby od ciebie uciec, a ty i tak się na mnie gapisz. – I odstawił zdjęcie na miejsce, obracając twarz matki do ściany.

Wszyscy się roześmialiśmy. Zauważyłam, że Tara śmiała się równie głośno jak my.

W Glasgow mieliśmy trochę więcej swobody. Uwielbiałam tamtejsze świeże powietrze i długie, widne letnie wieczory. Ale kiedy nadeszła jesień i po ulicach zaczęły kręcić się dziewczynki w szkolnych mundurkach, ogarnął mnie dziwny niepokój. Jak na razie nie padło ani jedno słowo na temat szkoły i nie zanosilo się, by ktoś zamierzał go podjąć.

Pewnego wieczora poruszyłam go więc z Meną. Ja stałam przy zlewku i zmywałam, ona wycierała naczynia. Jej, podobnie jak mnie, też nikt słowem nie wspominał o szkole.

– No to czemu nie zrobisz matce masażu i jej nie zapytasz? Przecież wiesz, że wtedy na ciebie nie nakrzyczy – zaproponowała.

Kiedy skończyłyśmy, udałam się do matki i zrobiłam jej masaż głowy. Często uskarżała się na migreny, więc lubiła te masaże, bo przynosiły jej ulgę. Wiedziałam, że mogę w ten sposób sprawić, by szybko stała się senna, ponieważ nauczyłam się, którą stronę głowy uciskać, by się szybko rozluźniła. Masowałam przez dobre dziesięć minut, aż prawie usnęła. Wtedy spytałam cicho:

– Mamo, czy nie będziemy tu chodzić do szkoły? Już i tak straciłam parę tygodni. Potem będzie mi trudno to nadrobić.

– Co? – wymamrotała. – Przecież w październiku jedziemy do Pakistanu. Po co ci szkoła?

Skończyłam masaż, a ona natychmiast zasnęła. Wpatrywałam się w jej głowę i kipiałam ze złości, ale nie wiedziałam, jak wyładować rozpiekającą mnie wściekłość. Pomaszerowałam więc z powrotem do kuchni i powiedziałam Menie.

Lecz ona niespecjalnie się przejęła.

– I tak nie lubię szkoły. Nie przeszkadza mi to.

– A mnie owszem! – o mało nie krzyknęłam. – Mam dobre oceny ze wszystkich przedmiotów, jestem w czołówce! Co będę całymi dniami robić w domu?

Mena zrobiła dziwną minę i wyszła z kuchni. Dobrze się uczyłam, ale ona nie, dlatego ani jej się śniło chodzić do szkoły. Nie miałam się komu zwierzyć, nie miałam do kogo pójść.

Zdawało się, że dni mijają tu bardzo powoli. Może dlatego, że tak długo było widno, lub dlatego, że cały czas siedziałam w domu. Wyrobiłam sobie własne przyzwyczajenia. Na przykład w każdy poniedziałek czekałam, aż sąsiad z góry wyrzuci gazety z zeszłego tygodnia, bo wtedy mogłam szybko pobiec do śmietnika, wziąć je i mieć co czytać przez następne dni. W Walsall rozpoznawaliśmy godzinę po tym, co robili inni, na przykład mężczyzna w garniturze, który codziennie o tej samej porze, o ósmej trzydzieści, odjeżdżał do pracy. Tu, w Glasgow, na naszej ulicy stał kościół, a zegar na wieży wybijał godziny. Wszyscy narzekali na hałas, ale ja byłam szczęśliwa. Przynajmniej wiedziałam, która godzina. Jedyne zegarek w całym domu należał do Hanif. Oznaczało to, że ona dokładnie się orientowała, co kiedy powinnam zrobić.

Minął miesiąc. Pewnego dnia matka przyszła do domu z ubraniami, które specjalnie dla mnie kupiła.

– Patrz, Sam – rzekła. – Już niedługo jedziemy.

Usiadła i zaczęła opowiadać o Pakistanie. Coraz bardziej nie mogłam się

doczekać wyjazdu. Mówiła, że jej rodzina ma dużo ziemi, że cały czas jest ciepło i ładnie, że nie będę musiała zmywać ani sprzątać, bo od tego są służące. Po każdej z takich opowieści moja niecierpliwość rosła. Matka kreśliła przede mną obraz miejsca, w którym trwa wieczna muzyka, śpiew i taniec, niczym w filmach, które wciąż oglądała. Spodziewałam się więc wszelkiej obfitości i ogólnej życzliwości, a przede wszystkim tego, że matka będzie dla mnie dobra i miła. Już teraz zachowywała się znacznie milej niż kiedyś, ale musiałam na to ciężko pracować, mówiła jednak, że w Pakistanie koniec z pracą, no i ciągle będziemy razem. Nie wiedzieć jak i kiedy, uznałam Pakistan za nagrodę, prezent za lata pracy i cierpień, symbol długo wyczekiwanego szczęścia. Przekonana, że je tam znajdę, z zapalem słuchałam opowieści matki.

Problem był tylko jeden – Mena nie jechała. Siostra, z którą dzieliłam prawie każdą myśl i która znała każde moje marzenie.

– Och, strasznie bym chciała, żebyś i ty mogła jechać – powiedziałam do niej pewnego wieczora.

– Ja też – odparła Mena po chwili milczenia. – Nie dam rady sama wykonywać wszystkich twoich obowiązków.

– Na pewno Hanif ci pomoże – stwierdziłam i obie zachichotałyśmy. – Przecież będzie musiała, jeśli nie będzie nikogo innego, kto mógłby ją wyręczyć, prawda?

Nareszcie nadszedł dzień odjazdu. Matka spakowała nasze walizki, a Manz włożył je do samochodu. Uściskałam Menę, a ona mnie jeszcze mocniej.

– Będę za tobą tęskniła – powiedziała. – Kiedy wracasz?

– Nie wiem – odparłam i dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że ani razu o tym nie pomyślałam. Teraz nie było jednak czasu, by o cokolwiek pytać.

– Chodź już, pospiesz się. Muszę wracać do pracy – ponaglił mnie Manz.

Ucałowałam więc Menę w oba policzki, wsiadłam do samochodu i ruszyliśmy.

W drodze na dworzec autobusowy w samochodzie panowała cisza. Nikt się nie odzywał. Gdy przybyliśmy, Manz pospiesznie wystawił walizki z bagażnika, pocałował matkę na do widzenia i odjechał, nie odezwawszy się do mnie ani słowem. Nasz bagaż trafił do luku bagażowego autobusu. Wsiadliśmy i zajęliśmy miejsca. Ponieważ przez całą podróż nie miałam nic do roboty, zasnęłam. Obudziłam się dopiero na lotnisku.

Matka znowu zaczęła wydawać mi polecenia.

– Idź przyprowadź coś takiego – powiedziała, wskazując na rząd wózków bagażowych. – Trzymaj się blisko mnie. I pchaj – rzuciła, ruszając przodem, a ja ledwie nadążałam za nią z wyładowanym wózkiem.

W terminalu panował wielki ruch, trzymałam się więc jak najbliżej matki. Stałyśmy najpierw w jednej kolejce, potem w drugiej, uśmiechały się do nas

urzędniczki o jaskrawo wymalowanych ustach, nasze walizki zniknęły na taśmie, więc nie musiałam już niczego pchać. Potem urzędnik sprawdził paszport matki i usiadłyśmy w ogromnej poczekalni, oczekując na właściwy lot. Matka w ogóle się do mnie nie odzywała. Ja oczywiście o nic nie pytałam. Nie wstałam też, aby obejrzeć wystawy jasno oświetlonych sklepów. Żałowałam, że nie mam nic do czytania.

W końcu wpuszczono nas do samolotu. Na szczęście dostałam miejsce przy oknie i cały czas przez nie wyglądałam – i podczas kołowania, i podczas startu. Bałam się wibracji samolotu i mocno ścisnęłam podłokietnik. Spojrzałam na matkę, szukając pociechy, ale miała zamknięte oczy.

Zawyły silniki i samolot przyspieszył tak gwałtownie, że wgniotło mnie w fotel. Nagle poczułam się bardzo ciężka i okazało się, że już jesteśmy w powietrzu. Zaczęło dzwonić mi w uszach, więc przełknęłam ślinę, żeby się odetkały. Nauczyłam się tego od Meny jeszcze w domu, przed odjazdem. Potem samolot wyrównał lot i wszystko się uspokoiło.

Miasta i miasteczka w dole przypominały mi zabawki. Wznosiliśmy się coraz bardziej, a ja przyglądałam się samochodom, które poruszały się w tę i z powrotem niczym kreślone na papierze linie. Potem wlecieliśmy między chmury. Przez chwilę trochę trzęsło i wynurzyliśmy się w pełnym świetle słońca. Rozbrzmiał głośny sygnał i ludzie zaczęli rozpinąć pasy, kręcić się na fotelach, a nawet chodzić po samolocie.

Przez jakiś czas czytałam czasopismo, które znalazłam na półeczce przed fotelem, ale większość czasu przespałam, tak jak matka. Obudziły mnie jej poszturchiwania. Okazało się, że jesteśmy już w Pakistanie.

Wysłałam na schodki prowadzące z samolotu na płytę lotniska i natychmiast zostałam uderzona falą gorąca. Czułam się słaba, chora i przelewało mi się w brzuchu. Już w terminalu podszedł do nas tragarz i matka zaczęła się z nim targować. Patrząc na nią, odniosłam wrażenie, że czuje się jak ryba w wodzie. Ja zaś kiepsko, więc świadomość, że matka wspaniale sobie z czymś radzi, była dla mnie zaskoczeniem. Dobili targu, mężczyzna wziął nasze bagaże i wyprowadził nas z terminalu.

Znowu znaleźliśmy się na dworze i jeszcze raz obezwładnił mnie nieznośny upał. Zatrzymałam się przy samych drzwiach i zwymiotowałam. Choć przyniosło mi to ogromną ulgę, byłam bardzo skrępowana. Rozejrzałam się za matką, ale nigdzie jej nie widziałam. Musiała już odejść. Wpadłam w panikę. Nagle pojawiły się jakieś dzieci mniej więcej w moim wieku. Prosiły o pieniądze, mówiąc:

– Daj nam pieniędzy. Jesteśmy głodni. Od dawna nic nie jedliśmy.

Żal mi ich było, wyglądały na zagłodzone i obszarpane. Kudły na głowach, umorusane twarze. Sama nie miałam jednak ani grosza. Podeszły bliżej, a wtedy poczułam, jak brudne są ich ubrania. Nagle dostrzegłam matkę stojącą przy postoju taksówek. Machała na mnie niecierpliwie, krzycząc:

– No chodź wreszcie! Co ty tam robisz? Pospiesz się!

Miejsce, w którym się znalazłam, w niczym nie przypominało szarego nieba i ciemnych budynków Glasgow. Dziwnie było pomyśleć, że zaledwie dwanaście godzin wcześniej przebywałam w innym świecie.

Wszyscy ludzie idący drogą, którą jechałyśmy, ubrani byli tak samo jak my w domu, ale na tym podobieństwo się kończyło. Dzieci nosiły tace z herbatą i nawoływały:

– Herbata za dwie rupie, herbata za dwie rupie, kto kupi herbatę?!

Napierały na samochód, jakby chciały wepchnąć się do środka, ale nie rozlały ani kropli. Kobiety szły poboczem i sprzedawały towary z koszyków, głośno wykrzykując ceny. Mężczyźni gotowali coś na otwartych paleniskach przy drodze, a do samochodu mimo zamkniętych okien wdzierał się silny aromat ostrych przypraw. Autobusy i ciężarówki były pomalowane na wszystkie kolory tęczy, a między większymi pojazdami przeciskały się wszędobylskie rowery.

Potem wyjechaliśmy z ruchliwego miasta i posuwaliśmy się dalej wiejską drogą, zwalniając w ruchliwych miasteczkach. Wszystko wydawało się bardzo brudne. Panował niemiłosierny skwar.

Kiedy się wreszcie zatrzymaliśmy, wydawało się, że w szczerym polu, było już po zmroku. Panowała całkowita ciemność, nie rozpraszały jej żadne latarnie.

Tylko gdzieś w oddali migotało słabe światełko.

Nagle usłyszałam zbliżające się stukanie końskich kopyt. Klik-klak, klik-klak. Ku memu zdumieniu z mroku wynurzył się koń zaprzężony do wozu. Woźnica zeskoczył z kozła i uściskał matkę na powitanie, po czym pomógł kierowcy przenieść nasze walizki. Podniósł mnie, ucałował i podsadził na wóz. Przedstawił się jako wujek Ghani. Myślałam, że powiedział Ghandi, a ponieważ było ciemno i niedokładnie go widziałam, wyobraziłam sobie starszego człowieka w okrągłych okularach. Głos zresztą brzmiał jak osoby starej.

Usiadłam na twardej drewnianej ławeczce obok matki. Wujek cmoknął na konia, wozem szarpnęło, a ja omal nie spadłam. Choć ławeczka była niewygodna, a droga wyboista, pierwszy raz jechałam wozem ciągnionym przez konia. Mimowolnie się uśmiechałam.

Powietrze wokół mnie wypełniały dziwne odgłosy i zapachy. W oddali czekały psy, gdzieś przy drodze szumiała woda – zapewne jechaliśmy wzdłuż rzeki. Matka i wujek gawędzili. Mdłe światełko, które przedtem widziałam w oddali, coraz bardziej jaśniało, aż w końcu znaleźliśmy się całkiem blisko niego. Wujek zatrzymał konia i oznajmił, że jesteśmy na miejscu. Zeskoczyłam z wozu. Byłam już bardzo zmęczona i marzyłam jedynie o tym, żeby jak najszybciej wejść do ciepłego łóżka i zasnąć. Matka, nie odzywając się ani słowem, ruszyła przodem, a ja, jak przystało na posłuszną córkę, za nią. Czułam się niczym jej wybranka.

Pod dużym łukiem weszliśmy do czegoś, co można by porównać do średniowiecznej wioski. Wśród mroku jaśniały otwarte paleniska, a powietrze wypełniał zapach palonego drewna. W tle ledwie dawały się odróżnić zarysy niskich domów, a właściwie chat. Cienie, które dotąd czerniały tuż przy ziemi, teraz podniosły się na nogi i zmieniły w ludzi, którzy ruszyli biegiem w naszą stronę, wołając:

– Ciocia przyjechała, ciocia przyjechała!

Wyciskali i wycałowali matkę, a potem mnie. To było cudowne uczucie – doświadczyć tak ciepłego powitania. Wciąż jednak nie wiedziałam, co się ze mną dzieje. Kim byli ci wszyscy ludzie? W domu nikt nigdy mi o niczym nie mówił i zanosilo się na to, że tu będzie podobnie – pożyjemy, zobaczymy.

Przeszliśmy przez otwarty teren, a ludzie wrócili do swoich ognisk i obsiedli je dokoła. My zaś minęliśmy kolejny łuk, prowadzący na słabo oświetlone podwórko. Matka weszła przez drzwi na prawo do pokoju oświetlonego gołą żarówką wiszącą u sufitu. A więc jednak mieli tu elektryczność, bo już myślałam, że nie. Pokój wyposażono w dwa łóżka stojące pod przeciwległymi ścianami i wielki wiatrak w rogu. Wreszcie całkiem zabrakło mi energii. Przysiadłam na jednym z łóżek.

Do pokoju weszła wysoka, szczupła kobieta. Uściskała matkę, a potem mnie. Przedstawiła się jako ciocia Kara.

– Jesteś głodna? – zapytała.

Pokręciłam głową.

– Ale strasznie chce mi się pić – dodałam cicho. Czułam się bardzo niepewnie.

Ciocia wyszła, by po chwili powrócić z dwiema szklankami wody. Wzięłam jedną i wychyliłam do dna. Do chwili, zanim odświeżająca woda dotknęła mojego języka, nie zdawałam sobie nawet sprawy, jak bardzo byłam spragniona.

Kara wyjęła mi szklankę z dłoni i powiedziała:

– Musisz być naprawdę zmęczona.

Pomogła mi zdjąć buty, a kiedy się położyłam, nakryła mnie kocem. Choć łóżko wcale nie było miękkie ani ciepłe, nawet nie wiem, kiedy zasnęłam.

Potrzebowałam tygodnia, by przyzwycząć się do zmiany czasu, otoczenia i jedzenia. Matka i Kara odwiedzały znajomych, zostawiając mnie samą. Matka nie pozwalała mi wychodzić za bramę wioski, dopóki nie wróci, co często zdarzało się nawet późnym wieczorem. Czasem Kara przynosiła parę *roti* na obiad. Innym razem, jeśli kuchnia była pusta, kuzynki: Amina, Nena i Sonia – dziewczynki w moim wieku, przychodząc się pobawić, zabierały ze sobą coś do jedzenia.

Kiedy matka i Kara wracały wieczorem, chodziłyśmy z Neną i Aminą na bardzo długie spacerunki po otaczających wioskę polach. Co chwila zatrzymywałyśmy się, by zerwać sobie trzciny cukrowej i żuć jej cudowny, słodki miąższ, albo też zrywałyśmy małe, zielone owoce *bir*, które po prostu uwielbiałam, a potem siadałyśmy i godzinami gadałyśmy.

Lubiłam siedzieć między drzewami i z odległości nie większej niż metr obserwować ptaki wlatujące do swoich gniazd. Lubiłam też długie przechadzki wokół wioski i świeży smak zrywanych przy drodze owoców. Lubiłam to, że tutaj wszyscy pomagali sobie nawzajem w swoich obowiązkach. Nie musiałam tu pracować choćby w połowie tak ciężko jak w domu. A jeśli akurat nie było nic do jedzenia, to zawsze ktoś z sąsiadów miał coś ciepłego na kuchni i chętnie dzielił się posiłkiem. Najważniejsze jednak, że nikt mnie nie bił.

Nie minął jednak miesiąc, a wszystko się zmieniło. Chociaż jak zwykle nie mogłam niczego się dowiedzieć, wyczuwałam jakąś inną atmosferę. Matka przestała chodzić w odwiedziny do znajomych, a zamiast tego goście masowo napływali do naszego domu. Zwłaszcza jedna rodzina przychodziła codziennie, przynosząc w podarunku kosze owoców i ubrania, a wszystko dla mnie. Kara podawała wszystkim herbatę, ale kiedy odwiedzała nas ta konkretna rodzina, starała się bardziej niż zwykle i częstowała ich posiłkiem. Uznałam więc, że ci ludzie muszą dla niej być szczególnie ważni. Pewnego dnia matka mi ich przedstawiła.

– To wujek Akbar i jego dwaj synowie: Afzal i Hatif, oraz jego córka Fozija.

Akbar był mały i chudy, nie wyższy ode mnie, choć skończyłam zaledwie

trzydzieści lat, a on koło sześćdziesięciu. Jeśli chodzi o Afzala i Hatifa, dobijali do dwudziestki i wyglądali prawie identycznie, tylko ich nosy i włosy się różniły. Afzal miał bardziej spiczasty nos i nieco dłuższe włosy, które sięgały mu za uszy. Ich siostra Fozija wydawała się trochę starsza, ale też była do nich bardzo podobna. Witając się ze mną, uśmiechnęła się.

– Chodź, usiądź z nami – powiedziała i wzięła mnie za rękę.

Wstydziłam się bardzo, kiedy musiałam usiąść z nimi na krześle pod drzewem na podwórku, a wszyscy z bliska mi się przyglądali. Nie miałam pojęcia, co robić i mówić. Z doświadczenia wiedziałam już, że przesiadują tam godzinami, gawędząc z matką. Posiedziałam więc z nimi chwilę, starając się nie okazywać znudzenia. Nagle do furtki podbiegła Nena i zapytała, czy wyjdę się bawić. Wyczekująco patrzyłam, czy matka skinie głową, a kiedy to zrobiła, szybko wstałam i wyszłam.

Tego samego dnia po południu matka zapytała, który chłopiec bardziej mi się podobał – Afzal czy Hatif.

Zmarszczyłam czoło. Chłopiec? Dla mnie byli dorosłymi mężczyznami i prawie wcale nie zwróciłam na nich uwagi. Po co miałabym się zastanawiać, który bardziej mi się podoba? Wzruszyłam ramionami i odpowiedziałam:

– Nie wiem. A co?

– Nic – odparła szybko. – Tak tylko pytałam.

Więcej nie poruszała tego tematu.

Wieczorem wyszłam na spacer z dziećmi z wioski. Zaprzyjaźniłam się zwłaszcza z Neną. Usiadłyśmy na brzegu rzeki i gadałyśmy o tym, czym się różni życie w Wielkiej Brytanii i w Pakistanie.

– Podoba mi się tutaj – powiedziałam. – Nie muszę tyle sprzątać ani gotować.

– Ale tu w ogóle nie ma co robić! – zaprotestowała.

Roześmiałam się.

– I właśnie to mi się podoba. Byłam bardzo często bita, a tutaj, odkąd przyjechałam, nikt mnie nie uderzył. – Położyłam się na plecach na trawie. Szmer płynącej rzeki uspokajał, podobnie jak widok sunących po niebie chmur.

– Matka zadała mi dzisiaj dziwne pytanie. – Streściłam Nenie swoją rozmowę z matką.

Nena się zaśmiała.

– Wygląda na to, że chcą cię wydać za męża! To naprawdę miła rodzina.

Zamarłam z przerażenia, ale Nena nic nie zauważyła. Opowiedziała mi, że żona wujka Akbara jakiś czas temu zmarła, a wujek sam wychował synów i córkę Foziję, która teraz miała już dwoje dzieci. Nena trajkotała dalej, jakby fakt, że w moim wieku wychodzi się za męża, był dla niej oczywisty.

Przecież to niemożliwe! Nie mogę wyjść za męża, rozmyślałam, wracając do

domu. Mam dopiero trzynaście lat!

Okazało się jednak, że to prawda.

Matka oświadczyła, że spodobałam się Afzalowi, który chce się ze mną ożenić. Początkowo myślałam, że żartuje. Byłam przecież za mała. Wtedy jednak zaczęła mi tłumaczyć, że nie wiadomo, kiedy znów przyjedziemy do Pakistanu, więc równie dobrze mogę wyjść za niego teraz. Echo tych słów przeszło mnie do szpiku kości. Teraz?

Następnego dnia rano wyszłam z domu i wspięłam się na moje ulubione drzewo. Weszłam dość wysoko – na sam środek korony. Usiadłam na gałęzi, oparta plecami o pień. Tkwiałam tam godzinami, oszołomiona, jakby zahipnotyzowana. Biłam się z myślami. Chciałam uciekać, ale nie mogłam, bo nie wiedziałam, gdzie jestem. Nigdy nie byłam poza wioską, nie miałam pojęcia, co znajduje się za drzewami i polami, po których codziennie spacerowałam. Dokąd mogłam pójść? Siedziałam więc i żałowałam, że nie jestem w Szkocji. Chciało mi się krzyczeć: dlaczego mnie to spotkało, dlaczego? Co takiego zrobiłam, żeby na to zasłużyć? Spojrzałam z mojej gałęzi w dół. Do ziemi było daleko.

Nagle usłyszałam wołanie Neny.

– Sam! Będziesz miała kłopoty! – Przyjaciółka stanęła pod drzewem i nie przestawała krzyczeć: – Gdzie ty się podziewasz? Od rana wszyscy cię szukają!

– Rozmyślałam. Nic więcej.

– No to lepiej wracaj do domu. Wszyscy się o ciebie martwią.

Zeszłam z drzewa i w milczeniu powlokłam się za Neną do domu. Tam matka najpierw obrzuciła mnie złowrogim spojrzeniem, a potem zaczęła okładać przy wtórze przekleństw. Od dnia, kiedy przyjechałyśmy do Pakistanu, nie podniosła ręki i być może właśnie dlatego, że nie byłam tu bita, uznałam to miejsce za swego rodzaju sanktuarium. Uderzenia matki bolały dotkliwie.

– Jeżeli kiedykolwiek znowu przyłapię cię poza podwórkiem, natychmiast zatłukę! Rozumiesz?

– Tak – szepnęłam i skinęłam głową.

– W przyszłym tygodniu wychodzisz za mąż – powiedziała.

Usiadłam na podwórku pod drzewem o nisko zwisających gałęziach i się poryczałam. Siniaki bardzo bolały, ale płakałam nie dlatego.

– Przestań już się mazać i chodź spać! – zawołała Kara. – Znowu zdenerwujesz matkę i cię zleje.

Tej nocy prawie nie spałam. A już zaczęłam myśleć, że moje życie powoli zmienia się na lepsze. Och, jaka byłam głupia. Powinnam wiedzieć, że to tylko ktoś drwi ze mnie, mówiąc: „Ha, zobaczymy, czy uda ci się wywinąć z tego koszmaru”.

Kiedy wreszcie zasnęłam, przyśnił mi się ślub. Wielkie przyjęcie, a pośrodku siedzi uśmiechnięta dziewczyna. Równie piękna jak Tara w dniu swego wesela. Gapię się na nią, a ona nagle spogląda na mnie i konspiracyjnie puszcza oko.

Odpowiadam jej tym samym. Wtedy zasłaniają ją tancerki i... obudziłam się.

Przez kilka następnych dni nikt nie wspomniał mi o ślubie ani słowem. Ja również nie poruszałam tego tematu. Zaczęłam już mieć nadzieję, że wszyscy o tym zapomnieli lub że był to tylko ponury żart. Życie toczyło się jak zwykle, dokładnie tak samo jak w dniu, kiedy przyjechałyśmy do wioski.

Parę dni później, tuż po śniadaniu, na podwórko wkroczył Akbar w towarzystwie całej swojej rodziny i jeszcze innych, nieznanymi mi ludzi. Wszyscy mieli na sobie eleganckie stroje, jakby wybierali się na uroczystość. Doszłam do wniosku, że musieli przyjść po matkę, bo u nas w domu żadnych przygotowań do przyjęcia nie zauważyłam. Pięknie wystrojona matka stanęła w progu i kazała Karze wziąć mnie do środka i ubrać.

Ubrać? Dziwiłam się. Dlaczego ubrać? Zapytałam o to Karę, kiedy weszłyśmy do środka.

– Przecież dziś twój ślub, głuptasie – odparła ciotka i uśmiechnęła się do mnie figlarnie, jakby to wszystko było tylko niewinną grą.

Ślub? Dzisiaj? Przygotowania do zamążpójścia Tary trwały bardzo długo: gromadzono piękne stroje, dekorowano dom, rodzina i znajomi przychodzili, śpiewali, grali i tańczyli. To wszystko było bardzo ekscytujące. Wieczorem w przeddzień ślubu kobiety i dziewczęta usiadły w kręgu i malowały sobie henną wzory na rękach. Tymczasem tutaj przez sześć dni nikt się nie pojawił, by śpiewać, ozdabiać mi ręce, układać włosy, grać, czy choćby szyć dla mnie ubrania.

Kara stwierdziła, że ma czerwony kostium, który powinien na mnie pasować. Przed oczami stanął mi strój ślubny Tary – piękny, szkarłatny salwar-kamiz i identyczny szal, wszystko wyszywane złotą nicią – oraz jej cudnie umalowana twarz i karminowa szminka w identycznym odcieniu jak ubranie. A także złote naszyjniki i bransolety, połyskujące w świetle. Cóż, każda dziewczyna marzyła o podobnym stroju.

Tymczasem Kara wyciągnęła spod łóżka wielką walizkę, wyjęła z niej zwykły czerwony komplet – tunikę i szarawary – po czym go wyprasowała. Sprawiał wrażenie starego i w niczym nie przypominał zapierających dech w piersiach nowych ubrań Tary. Kara powiedziała, że strój należał do jej córki.

– Był bardzo drogi – oznajmiła. – Kupiła go parę lat temu, parę razy założyła, ale po ciąży zrobił się za mały. – Kara wręczyła mi komplet i kazała się przebrać, twierdząc, że niedługo przyjdzie *molwi*.

Niechętnie wzięłam od niej strój i go przymierzyłam. Wisiał na mnie, a rękawy sięgały sporo za nadgarstki. Kara uznała jednak, że wyglądam w sam raz.

Wtedy pojawiła się Nena.

– Daj, to cię uczeszę – poprosiła i wzięła szczotkę. Odrętwiała i całkowicie oszołomiona posłusznie osunęłam się na łóżko, a ona stanęła za mną, rozczesła moje włosy i związała je do tyłu. Potem się przesunęła i uważnie mi się przyjrzała.

– Ładnie wyglądasz – stwierdziła z uśmiechem i skinęła głową. – Ciociu, mamy jakąś biżuterię?

– Nie – odparła ciocia. – Tak jest dobrze.

Uznałam, że to tylko próba. Nie mogłam wychodzić za mąż, na pewno nie dziś. Żadnego makijażu, biżuterii ani stroju – jedynie stary, pożyczony i za duży. Nie potrzebowałam lustra, by wiedzieć, że nie wyglądam jak wystrojona, wykwinna Tara. Mdlilo mnie ze strachu, gardło miałam całkiem zaciśnięte. Kara podała mi czerwony szal. Naciągnęłam go na głowę, a ona udrapowała go wokół mojej twarzy, po czym wyszła z pokoju. Zaczęłam płakać.

Nena poklepała mnie po ramieniu.

– Sam, nie płacz. Wiem, że smutno jest opuszczać rodzinny dom, ale zobaczysz, wszystko będzie dobrze.

Nie dlatego płakałam, ale nie byłam w stanie wyjaśnić tego Nenie.

Potem wróciła Kara, prowadząc za sobą molwiego.

– Witaj, córko – rzekł mężczyzna cicho i niewyraźnie. – Powtarzaj teraz wszystko, co powiem. – I zaczął mówić po arabsku tak niskim szeptem, że ledwie go słyszałam.

Powtórzyłam parę słów, które udało mi się wylapać i zrozumieć, a resztę wymamrotałam pod nosem. Parę minut później *molwi* w towarzystwie Kary wyszedł z pokoju.

Nena mnie uściskała.

– Niedługo stąd wyjedziesz, ale jestem pewna, że za parę dni będziesz mogła wpaść z wizytą.

Do pokoju weszła matka.

– Pora na ciebie. Pojedziesz z mężem do swojego nowego domu – rzekła.

Z mężem? Próbowałam wstać, ale tak trzęsły mi się nogi, że musiałam natychmiast usiąść. Inaczej od razu bym się przewróciła. Podniosłam wzrok na matkę i znowu zaczęłam płakać.

Lecz ona złapała mnie za rękę i pociągnęła w stronę drzwi, wskazując na wujka Akbara.

– To jest teraz twój ojciec, a oto twój mąż. – Pokazała na jednego z synów, który stał obok niego i się uśmiechał.

Nie, nie, myślałam. To nie może być prawda! To jakiś koszmarny sen!

– Idź już – powtórzyła matka i pchnęła mnie w stronę obu mężczyzn, tych zupełnie obcych ludzi.

Próbowałam zaprotestować, ale nie mogłam wydusić z siebie ani słowa. Wycofałam się w kierunku przeciwnym niż drzwi wejściowe.

Matka podeszła bliżej. Kiedy stanęła obok, górowała nade mną, wydawała się olbrzymia.

– Tylko mi się nie waź robić scen, Sameem. W tej chwili wstawaj i marsz do

meża!

Podniosłam na nią oczy z nadzieją, że zobaczy w nich łzy i zrozumie moje przerażenie, ale ona szybko odwróciła wzrok.

Nie miałam innego wyboru, musiałam podejść do drzwi. Było mi słabo i cała się trzęsłam. Zabierali mnie ludzie, których nawet nie znałam. Prowadzona do bramy, co chwila się odwracałam, ale na progę nikogo nie zobaczyłam. Nikt nawet nie zaczekał, żeby pomachać na pożegnanie.

Wyjechaliśmy z wioski, minęliśmy most i znaleźliśmy się na głównej szosie. Afzal siedział obok. Coś mówił, ale denerwowałam się do tego stopnia, że nie rozróżniałam słów. Wszystko, co miałam przed oczami, było zamazane. Po około dwudziestu minutach wjechaliśmy do innej wioski. Mój tak zwany mąż nachylił się do mnie i powiedział:

– To twój nowy dom.

Przez masywną bramę weszliśmy na podwórko. Wyglądało bardzo podobnie jak podwórze matki – miało część kuchenną z otwartym paleniskiem, a w rogu ręczną pompę. W ślad za Akbarem poszłam do sypialni, gdzie kazał mi usiąść na łóżku, a potem wycofał się, zostawiając sam na sam z Afzalem. Usłyszałam odgłos zasuwanego skobla i głośny zgrzyt zamka.

Chciałam wstać, otworzyć drzwi i rzucić się do ucieczki – biec, biec, biec jak najszybciej w dowolnym kierunku. Przeczuwałam, że zaraz stanie się coś złego, bo zjeżyły mi się włoski na szyi. Ze strachu moje serce łomotało jak szalone. Spuściłam wzrok i dostrzegłam mrówkę idącą po podłodze i kierującą się w moją stronę. Skupiłam na niej uwagę. Kiedy zniknęła pod łóżkiem, żalowałam, że to nie ja. Też chciałam zniknąć pod łóżkiem.

Podszedł Afzal. Usiadł obok i pogładził mnie po twarzy. Odruchowo się skuliłam. Powiedział coś, a potem nachylił się, by pocałować. Nigdy nie byłam całowana w taki sposób. Ciocia Peggy cmokała czasem w czoło, zwłaszcza na pocieszenie, kiedy coś sobie robiłam, ale w rodzinnym domu wcale. Afzal śmierdział i miał kłujący zarost. Chciałam go odepchnąć, ale nagle, ku memu przerażeniu, wepchnął mi do buzi swój język i zaczął nim poruszać. Odsunęłam się gwałtownie, byle dalej od niego. Poczułam mdłości, przestałam oddychać – co on robił? Wiedziałam, że muszę być posłuszna, inaczej oberwę tak jak w domu, ale w tamtej chwili nie miałam zielonego pojęcia, jak się zachować. To, co się działo, napawało mnie odrazą i przerażeniem.

Znowu rzucił się do całowania. Tym razem głośno powiedziałam „nie” – nie chciałam, aby zrobił to po raz drugi. Przez jego twarz przebiegła jakaś iskra. Odwróciłam wzrok. Czułam jednak, że się na mnie gapi, i słyszałam jego głośny oddech. Skupiłam się znów na mrówce wędrującej po podłodze, spieszącej się gdzieś, w nikomu nieznanym celu. Tak bardzo pragnęłam nią być – móc odejść i schować się. Chciałam krzyknąć: „pomocy, chcę do domu!”, ale nikt by mojego

wołania nie usłyszał. Byliśmy zamknięci w pokoju z dala od reszty rodziny, a pozostali ludzie w tej wiosce nie wiedzieli, kim jestem. Kto więc mógłby przyjść mi z pomocą?

Afzal ujął moją brodę i uniośł głowę. Nachylił się nade mną, by jeszcze raz pocałować. Szarpnęłam się do tyłu, on jednak przewidział mój ruch i popchnął tak, że upadłam plecami na łóżko. Przysunął twarz do mojej. Odwróciłam głowę na bok, krzycząc w duchu: „Nie, nie, przestań!”. W pokoju panowała zupełna cisza. W końcu, ciężko dysząc, odsunął się, ale wciąż mocno trzymał. W panice zachłysnęłam się powietrzem. Afzal przygwoździł mnie swoim ciałem do łóżka i zaczął rozbierać. Nie byłam w stanie zareagować – leżałam jak sparaliżowana. Chciałam wrzeszczeć i kazać mu przestać, ale nie potrafiłam słowa z siebie wykrztusić. W końcu, kiedy wydawał się zadowolony z efektu swoich działań, zaczął gmerać coś przy swoim salwar-kamizie, po czym wcisnął się między moje biodra. Nie miałam pojęcia, co się zaraz zdarzy, więc jego niespodziewane wtargnięcie w miejsce, z którego istnienia nie zdawałam sobie nawet sprawy, wiedziałam jedynie, że jest moje i tylko moje – spowodowało, że wydałam wreszcie okrzyk bólu. Poruszając się szybko i konsekwentnie zadając mi cierpienie, Afzal zdawał się oczekiwać, że będzie bolało, bo co rusz posykiwał i próbował mnie uspokoić. Nie przeszkadzało mu to krzywdzić mnie dalej. Mogłam jedynie ukryć twarz w dłoniach i udawać, że to wszystko wcale się nie dzieje. Zacisnęłam oczy tak mocno, że po policzkach pociekły łzy. Dlaczego to robił? Targał mną bezgłośny płacz. Dlaczego mi to robisz? Proszę, błagam, przestań!

I nagle przestał. Zadrżał, zamarł na chwilę, stoczył się ze mnie, poprawił ubranie i się podniósł. Odjęłam ręce od twarzy, skuliłam się i odwróciłam na bok. W środku odczuwałam straszny ból. Afzal zniknął w drzwiach po przeciwnej stronie pokoju. Kiedy tylko drzwi się za nim zamknęły, porwałam porzuconą przy łóżku tunikę i szybko naciągnęłam ją przez głowę. Rozejrzałam się za spodniami. Wisiały w nogach łóżka. Wstałam, spuściłam nogi na posadzkę i zadrżałam – była lodowata, podobnie jak ja. Stałęm przy łóżku. Trzęsłam się tak bardzo, że ledwie trzymałam się na nogach. Nie wiedziałam, co robić. Nie wiedziałam, co czuć. Nie rozumiałam, co się stało.

Nagle drzwi się otworzyły i z drugiego pomieszczenia wyszedł Afzal. Spuściłam wzrok na podłogę, po której znów wędrowały trzy mrówki. Afzal zatrzymał się przy mnie, ale widziałam tylko jego stopy.

– Dobrze się czujesz? – spytał.

Skinęłam głową. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Bałam się zaprzeczyć. Gdybym to zrobiła, może zaczęłyby od nowa.

– Tu jest łazienka – oznajmił.

Ledwie podniosłam wzrok, by móc spojrzeć w tamtą stronę – na pomieszczenie, skąd właśnie wyszedł. Odsunął zasuwę na drugich drzwiach i do

pokoju wlał się strumień światła. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że do tej pory było w sypialni tak ciemno. Afzal się oddalił.

Nie wiedząc nawet jak i kiedy, znalazłam się w łazience. Stałam pod prysznicem i odkręciłam kran. Woda spotęgowała doznanie mojego umęczonego ciała. Bolało mnie między nogami, a na udach zauważyłam krew, którą od razu zmyłam. Ból nie ustąpił jednak równie łatwo. Nie przestając płakać, osunęłam się na podłogę.

Po chwili ktoś zapukał do drzwi i kobiecy głos zapytał, czy wszystko w porządku. Nie odpowiedziałam. Kobieta zapukała znowu.

– Wszystko w porządku? – Tym razem w jej głosie usłyszałam troskliwą nutę.

Ostatnie, czego bym sobie życzyła, było jej wtargnięcie do łazienki, odkrzyknęłam więc, że za chwilę wychodzę.

Ubrałam się szybko, otworzyłam drzwi i wróciłam do sypialni. Wzięłam głęboki oddech i powiedziałam:

– Chcę wracać do domu.

Kobieta spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

– Tutaj teraz jest twój dom – odparła.

– Ale ja nie chcę tu być. Chcę do matki.

Wtedy wszedł Afzal.

– Mówi, że chce do domu – przekazała mu kobieta.

– Nie możesz jechać do domu. Musisz czekać, aż matka po ciebie przyjedzie – oznajmił Afzal.

– Proszę – wyszeptalam. Nabrałam powietrza w nadziei, że mój głos zabrzmie mocniej. – Zawieźcie mnie do domu. Chcę do domu. Po prostu chcę do domu. – I rozpłakałam się.

– Zawieź ją do domu – poleciła Afzalowi kobieta.

– Nie teraz – sprzeciwił się. – Zabiorę ją rano. Gdybym przyjechał z nią dzisiaj, jej matka mogłaby się dziwić.

Położył mi rękę na ramieniu i powiedział, że rano odwiezie do domu. Oznaczało to jednak, że będę musiała zostać z nim na noc w tamtym łóżku, gdzie najpewniej znowu zechce zrobić to samo. Bardzo się tego obawiałam.

– Jesteś głodna? – spytała kobieta i nie czekając na odpowiedź, wstała. – Przyniosę ci coś do jedzenia.

Dokąd szła? Nie chciałam, żeby znowu zostawiała mnie sam na sam z Afzałem. Wstałam, żeby iść za nią, ale Afzal wyciągnął rękę i ustawił ją w poprzek przejścia.

– Kocham cię – powiedział.

Tuż zza ściany dochodziło brzękanie naczyń, usiadłam więc na łóżku z nadzieją, że nic nie będzie mi robił w obecności drugiej osoby.

Kiedy zdenerwowana czekałam na powrót kobiety, zastanawiałam się, dlaczego wszyscy, którzy powinni kochać, krzywdzą mnie i zadają mi cierpienia. Najpierw matka, która okazywała „miłość”, bijąc mnie latami, potem Manz zadający ciosy w głowę, po których pozostały trwałe guzy na mojej czaszce. A teraz – to. Cóż. Na moim ciele nie było już ani jednego nietkniętego miejsca, więc może wdarcie się teraz do jego środka oznaczało naturalną kolej rzeczy? Zrozumiałam, że żadna część mojego ciała nie należy wyłącznie do mnie ani nie pozostaje niedostępna dla „miłości” innych. Czułam się otepiała, złamana, nic niewarta, pokonana.

Tym razem, kiedy kobieta pojawiła się z jedzeniem, które przygotowała, podniosłam na nią wzrok. Była to siostra Afzala, Fozija. Miała na sobie piękny różowy salwar-kamiz, a luźno związane włosy opadały jej na ramiona. Uśmiechnęła się do mnie i ustawiła tacę z jedzeniem na stoliku przy stojącej w kącie dwuosobowej kanapie.

– Zjedz coś – odezwał się Afzal.

Nie chciałam, żeby wrzeszczał lub znów zaczął krzywdzić, więc posłusznie ruszyłam w stronę kanapy. Spojrzałam na ładnie pachnące jedzenie. Była tam miska ryżu, do tego dwa różne sosy, jeden z kurczakiem, drugi z cielęciną, a także placki *roti*, sałatka i sos jogurtowy.

– Co ci podać? – zapytał Afzal, wręczając mi talerz, na którym leżało *roti*. Próbował być miły i uprzejmy, ale po tym, co zrobił, już mu nie ufałam. – U nas nigdy nie brakuje jedzenia. Kupuję je hurtowo, a potem sprzedaję ulicznym handlarzom. Będę się tobą dobrze opiekował.

Pokazałam na curry z cielęciną i dostałam od niego łyżkę. Nałożyłam sobie trochę na talerz, przełamałam *roti* na pół, a potem usiadłam i zaczęłam jeść. Afzal usiadł obok i też się poczęstował. Chciałam się odsunąć jak najdalej, ale zamiast tego nadgryzłam tylko *roti*.

– Chcecie coś jeszcze? – zapytała Fozija.

– Nie, dziękujemy – odparł Afzal. – Usiądź z nami. Przygotowałaś o wiele za dużo jedzenia.

– Ja już jadłam – odpowiedziała, ale nie odeszła.

Byłam jej za to wdzięczna.

Podczas jedzenia patrzyłam przez uchylone drzwi prosto na kuchnię. Podobnie jak nasza w Anglii ta wyposażona była w zlew i szafki. Nie przypominała kuchni w tutejszym domu matki, gdzie gotowało się na otwartym ogniu, a zmywało na dworze przy pompie. Za kuchnią widziałam jakieś schody prowadzące najwyraźniej na dach domu.

Skończyliśmy jedzenie i Fozija pobierała naczynia, lecz zamiast zanieść je do zlewu wyszła z nimi na dwór, pod pompę. Zastanawiałam się, czemu nie korzysta ze zlewu w kuchni.

Na samą myśl o pompie zachciało mi się odetchnąć świeżym powietrzem.

– Muszę umyć ręce – zdołałam wykrztusić.

– Proszę, skorzystaj z łazienki – zaproponował mi Afzal.

Czułam się bardziej zagubiona niż kiedykolwiek dotąd. Mimo że przez całe życie, nie wliczając ostatnich paru miesięcy, myłam ręce w umywalce, spodziewałam się, że teraz wyjdę na dwór umyć je pod pompą. Zdążyłam się już odzwyczaić od umywalek.

Westchnęłam, weszłam do łazienki i zamknęłam za sobą drzwi. Kiedy brałam prysznic, zupełnie nie zwracałam uwagi na jej wyposażenie. Dopiero teraz zorientowałam się, że wszystkie cztery ściany po sam sufit wyłożono płytkami i że w rogu znajduje się coś, co przypomina sedes – co prawda wbudowane w ziemię, więc musiałabym przykucnąć, ale przynajmniej ze spłuczka. Umyłam szybko ręce i wytarłam je w ręcznik, który wisiał na kołku obok umywalki.

Kiedy z powrotem pojawiałam się w sypialni, nikogo w niej nie zastałam. Wysłałam więc na dwór, gdzie znalazłam Afzala rozmawiającego z Foziją.

Odwrócił się i spojrzał na mnie.

– Chcesz tu trochę posiedzieć?

Skinęłam głową.

Poszedł na przeciwną stronę podwórza i przyniósł stamtąd krzesło. Usiadłam na nim, a on wrócił po drugie krzesło i po chwili usadowił się obok. Zapadał zmrok. Nie mogłam się zmusić, by rozejrzeć się dookoła, skupiłam się więc na zmywającej naczynia Foziji. Kącikiem oka widziałam, że Afzal mi się przygląda. Czułam się tym skrępowana. Potem zza muru dobiegł czyjś głos i furka wolno się otworzyła.

– *Ami*, Abu pyta, kiedy przyjdiesz do domu – powiedziała mała dziewczynka. Na mój widok się zatrzymała. Nie spuszczałyśmy z siebie wzroku. Miała może sześć lat i piękny czerwony salwar-kamiz, o wiele ładniejszy od mojego, choć przecież brałam dziś ślub.

– Za parę minut wracam – odparła Fozija i zaniósła naczynia do domu.

Dziewczynka nadal na mnie się gapiła.

– Powiedz cioci *salam* – poinstruował ją Afzal.

Mała wyciągnęła rękę i odezwała się prawie szeptem:

– *Salam*, ciociu.

Uśmiechnęłam się do niej i ujęłam jej dłoń.

– Jak masz na imię? – zapytałam.

– Szabnam.

Z domu wychynęła Fozija.

– Chodź, Szabnam, wracamy – powiedziała, po czym zwróciła się do Afzala:

– Potrzebujesz czegoś jeszcze? Bo chcę iść do domu.

– Nie – odparł szybko Afzal.

Fozija wzięła więc dziewczynkę za rękę i obie odeszły. Znowu zostałam sama z Afzalem.

Musiałam spędzić z nim całą noc. Bałam się tego. Modliłam się o siłę. Pokrzepiałam się tylko myślą, że już jutro będę przy matce. Bezpieczna.

Następnego ranka obudziło mnie znajome pianie kogutów. Co za koszmarny sen, pomyślałam. Nagle usłyszałam odgłos wody lejącej się z prysznic, gwałtownie zaczerpnęłam powietrza i poderwałam się z łóżka. To nie był koszmarny sen. To coś gorszego – koszmar na jawie.

Wzięłam prysznic i zjadłam śniadanie, które przyniosła Fozija. Wtedy Afzal zapytał, czy nadal chcę wracać do domu. Bez namysłu przytaknęłam. Oczywiście, że chciałam wracać. Nie chciałam tu być.

– Przeprowadzę samochód – powiedział.

Odetchnęłam z ulgą.

Po paru minutach wrócił. Wsiadłam do samochodu. Afzal wyjechał z wioski, a potem długo – zdawałoby się, wieczność – jechał główną szosą. Serce omal nie wyskoczyło mi z piersi, kiedy wreszcie skręciliśmy w polną drogę wiodącą wzdłuż rzeki. Tak! Jechałam do domu.

Otworzyłam drzwiczki i wyskoczyłam z samochodu w tej samej chwili, kiedy się zatrzymał. Ruszyłam do domu. Zaraz nadbiegła Nena, lecz zamiast rzucić mi się na szyję złapała mnie za ramię i spytała:

– Co ty tu robisz?

W jej wzroku widziałam potępienie, jakbym zrobiła coś złego.

Myślałam, że chociaż matka ucieszy się na mój widok. Uśmiechnęłam się więc, kiedy zobaczyłam, jak wychodzi z domu.

– Czemu wróciłaś?! – zawołała z pretensją. – Dlaczego nie zaczekałaś, aż po ciebie przyjadę?

Oniemiałam. Nawet nie spytała, jak się czuję. Po prostu odeszła, mówiąc, że wybiera się z Karą do miasta i niedługo wróci. Jakby nie zdawała sobie sprawy, przez co przesłam. A może było jej wszystko jedno.

Stałam więc ze wzrokiem wbitym w stopy, które, jak mi się zdawało, wrosły w ziemię. Nie mogłam się ruszyć.

– Mówiłem ci – rzekł Afzal, który usiadł w tym czasie na krześle pod drzewem. – Powinnaś była poczekać, aż ona po ciebie przyjedzie.

Triumf w jego głosie pomógł mi w podjęciu ostatecznej decyzji. Wzięłam głęboki oddech i, chwiejąc się, weszłam do domu. Zamknęłam za sobą drzwi i oparłam się o nie plecami. Nikogo nie obchodziłam. Nikt nawet nie spytał, jak się miewam.

W głowie kłębiły mi się najprzeróżniejsze myśli. Od przyjazdu z domu dziecka posłusznie wykonywałam wszystko, o co tylko poproszono. Sprzątałam, gotowałam, zawsze uważałam na słowa, nie pyskowałam – a mimo to mnie bili.

Obrzucali wyzwiskami i przedrzeźniali moje jękanie. Tak bardzo ranili. A teraz jeszcze to.

Tu nie było moje miejsce. Zresztą nigdzie go nie miałam. Nikt mnie nie kochał. Nikomu na mnie nie zależało. Choć słyszałam zapewnienia, że zależy, wcale się nie liczyłam. Oto co mi zgotowali – oddali zupełnie obcemu człowiekowi, jakbym była przedmiotem stanowiącym ich własność, i zostawili na jego pastwę. Nikomu nie mogłam ufać. Doświadczyłam tego, co najgorsze.

Miałam już dość bycia krzywdzoną. Jakoś znosiłam bicie, wyzwiska i przekleństwa. Trudno: pracowałam i byłam wiecznie zmęczona. Jakoś sobie z tym radziłam. Ale to, co przeżyłam w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, nie mogło się równać z niczym, co zdarzyło się do tej pory. Myślałam, że przyjechałam tu z matką, która chciała dowieść swojej miłości, na wakacje. Teraz wiedziałam, że kłamała. Dopuściła się zdrady. Oddała komuś, kto wyrządził mi krzywdę znacznie bardziej niż ona, a kiedy do niej wróciłam, kompletnie mnie zignorowała. Czy potem przekaże komuś następnemu, kto potraktuje jeszcze gorzej?

Ta myśl obezwładniła mój umysł niczym cios w głowę. Drżąc, osunęłam się na ziemię. A jeśli to nie wszystko? Jeśli będzie coraz gorzej? Jak mogę być pewna, że to już koniec udręki? Co było ze mną nie tak? Dlaczego nikt nie chciał mnie pokochać? Istniała tylko jedna odpowiedź – musiałam być okropną osobą. Niechby jednak ktoś powiedział dlaczego. Gdybym wiedziała, może bym się zmieniła. Czy miałam zbyt wielkie oczekiwania, pragnąc jedynie miłości?

Te wszystkie myśli zupełnie mnie ogłuszyły. Podniosłam wzrok z podłogi i zatrzymałam go na dolnej półce, na której stała mała brązowa butelka. Świata było wszystko jedno, co się ze mną dzieje, ba, czy w ogóle istnieję. Nikt za mną nie zatęskni. Nie miałam sił dalej walczyć. Śmierć wydawała się jedynym wyjściem. Bez wątplenia. Sięgnęłam na półkę i zdjęłam butelkę. Gruchotały w niej jakieś białe pigułki. Otworzyłam ją i wysypałam całą zawartość na rękę, która nawet mi nie drżała. Połknęłam jakieś piętnaście tabletek. Oczekałam chwilę, ale ponieważ nic się nie działo, wrzuciłam sobie do ust jeszcze kilka. Myślałam, że od razu zemdleję lub stanie się coś podobnego.

Dlaczego to tak długo trwało? Czemu nic nie czułam? Nagle drzwi się otworzyły i wszedł Afzal. Szybkim ruchem odstawiłam pustą buteleczkę z powrotem na półkę. Miałam nadzieję, że tego nie zauważył, bo w pokoju panował półmrok.

Podszedł do miejsca, w którym siedziałam, i wyciągnął rękę.

– Chodź, wracamy do domu – powiedział.

Czułam się pokonana i zmęczona, odrzucona nawet przez śmierć, której pragnęłam, a która nie chciała do mnie przyjść. Wybuchłam płaczem i, odpychając jego rękę, wstałam o własnych siłach. Podeszliśmy do drzwi i dopiero tam nogi się

pode mną ugięły. Myślałam, że zaraz zemdleję. Chwiejnie dotarłam do jednego z łóżek i padłam. Świat zawirował mi przed oczami, zamknęłam je więc i zaczęłam modlić się o szybki koniec.

Obudziłam się. Na krawędzi łóżka siedział nieznany mi mężczyzna ze stetoskopem na szyi, uznałam więc, że musi być lekarzem. Spojrzał na mnie z uśmiechem i rzekł:

– Ale nas wszystkich wystraszyłaś.

– Chcę umrzeć – mruknęłam, wciąż bardzo oszołomiona. – Dlaczego nie pozwoliliście mi umrzeć?

– Nie bądź głupia – rozległ się w pobliżu głos Afzala. – Wcale nie chcesz umrzeć. – Jego twarz zamajaczyła w tle za twarzą lekarza.

Przez otwarte drzwi wlewało się światło słoneczne. Było ciepło, lecz ja się trzęsłam. Chciałam stamtąd jak najszybciej uciekać. Próbowałam unieść głowę, ale nie mogłam, bo zdawała się wypełniona cegłami. W ustach miałam tak sucho, jakby nasypano w nie trocin. Usłyszałam jakieś zamieszanie i udało mi się przekręcić głowę na tyle, by spostrzec Karę, moją matkę i kilkoro dzieci w szkolnych mundurkach.

Lekarz wstał i wyszedł, podkreślając, że powinnam bardzo dużo pić. Matka ruszyła za nim. Miejsce lekarza zajął Afzal.

– Pić – zdołałam wykrztusić pomimo potwornego bólu wysuszonego gardła. – Dasz mi wody?

Nena wyszła i wróciła z pełną szklanką. Chciałam podnieść się z poduszki, by się napić, ale nie dałam rady.

Afzal ukląkł przy łóżku, jedną ręką uniósł mi głowę, a drugą przysunął szklankę do moich ust. Upiłam łyk wody. Była cudownie odświeżająca. Wypiłam wszystko.

– Chcesz jeszcze? – zapytał łagodnie.

– Nie – odparłam.

– Cieszę się, że się obudziłaś – rzekła Nena, poklepując mnie po ramieniu. – Wpadnę do ciebie po południu, jak wrócę ze szkoły.

– Ze szkoły? – zapytałam zdezorientowana. – Przecież w piątki nie chodzisz do szkoły.

Uśmiechnęła się do mnie dziwnie i odparła:

– Dziś jest poniedziałek, głuptasie. Spałaś ponad dwa dni. – I wyszła w otoczeniu innych dzieci, które zgodnie powiedziały „do widzenia”.

– Będę się tobą zajmował – oznajmił Afzal. – Powiedz tylko, czego chcesz, a zaraz będziesz to miała. – Wstał powoli i odstawił pustą szklankę na podłogę. – A jak poczujesz się lepiej, zabiorę cię do domu.

Przeraziłam się na samą myśl. Może tym razem śmierć przegrała walkę

i mnie odrzuciła, ale nie miałam zamiaru poddać się tak łatwo. Wcale nie planowałam poczuć się lepiej. Kiedy tylko zdołam podnieść się z łóżka, połknę więcej tabletek, myślałam. Nie było mowy, abym wróciła z nim do domu.

– Lekarz mówi, że możesz być *hamila* – ciągnął Afzal. – I może dlatego zemdlłaś. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego przez dwa dni się nie obudziłaś, ale powiedział, że ciało może doznać szoku, jeśli ktoś w tak młodym wieku jest w stanie błogosławionym – dodał z uśmiechem. – A ty, kiedy tylko będziesz, zaraz wrócisz do Szkocji.

Co? Do Szkocji? To wszystko zmieniało. Na samą myśl o powrocie do Glasgow poczułam się lepiej. Nie miałam pojęcia, co znaczy „stan błogosławiony”, choć wiedziałam, że nie z tego powodu spałam przez dwa dni. Byłam jednak zdeterminowana, by jak najszybciej ten stan osiągnąć.

Wreszcie przestałam mieć nadzieję, że matka kiedykolwiek mnie pokocha. Próbowalam się zabić i skończyło się to fiaskiem, wiedziałam teraz, że zadawanie cierpienia sobie samej nie ma sensu. Nie przynosiło ulgi, więc zaprzestałam. Nie byłam już tą Sam, która myliła się, wszystko robiła źle i wciąż zasługiwała na karę. Nie byłam już dziewczynką, która nic nie robi źle, a i tak dostaje w skórę. Największy szok przeżyłam, kiedy uświadomiłam sobie, że cel, który przez lata pomagał mi znosić tyle okrutnych słów, razów i popchnięć, a którym była miłość matki – stracił znaczenie, rozmył się i przepadł. Stał się zupełnie obojętny. Wszystko straciło znaczenie.

Następnego dnia wciąż kręciło mi się w głowie, ale byłam w stanie usiąść, opierając głowę o poduszkę.

W porze obiadu Kara zapytała, czy chciałabym posiedzieć na dworze. Skinęłam głową, więc pomogła mi wstać z łóżka. Pokój zawirował mi przed oczami. Wyszłam na dwór. Obrałam sobie za punkt odniesienia rosnące na podwórzu drzewo, ale wciąż się kiwało – raz na prawo, potem na lewo, potem znów na prawo. Kurczowo uczepliłam się ramienia Kary, dzięki czemu utrzymałam równowagę.

– Oprzyj się o ścianę, a ja szybko polecę po krzesło i ustawię je pod drzewem – rzekła.

Oparłam się plecami o ścianę, ale ona też wydawała się przesuwac. Nie było się czego przytrzymać, poczułam więc, że osuwam się na ziemię, lecz nagle, nie wiadomo skąd, znalazła się przy mnie Kara i okazało się, że nadal stoję. Chwyciła za moje ramię i pomogła podejść do krzesła. Usiadłam i przyglądałam się porannemu światłu przefiltrowanemu przez liście i gałęzie. W głowie mi szumiało, zamknęłam zatem oczy i marzyłam, żeby wszystko choć na chwilę przestało poruszać się i wirować.

– Co byś zjadła? – zapytała Kara.

Zdziwiona, otworzyłam oczy. Od dawna nie słyszałam tego pytania. Jadłam

po prostu to, co było. W wyobraźni natychmiast zobaczyłam talerz frytek z ketchupem. Od wieków nie jadłam frytek.

– Och, zjadłabym frytki.

– Frytki? Co to?

Wytłumaczyłam jej, jak się robi frytki.

– Dobrze, spróbuję – odparła.

Wkrótce potem doleciał do mnie cudowny zapach smażonych ziemniaków. Nie mogłam się doczekać, aż poczuję w ustach ten smak.

– Mam nadzieję, że o to ci chodziło – rzekła Kara i wręczyła mi talerz z czymś, co wyglądem przypominało frytki i pachniało jak frytki. Nie smakowały wprawdzie idealnie, a przecież wiedziałam, jaki mają smak, ale to pewnie z braku ketchupu. Frytki były tak pyszne, że poprosiłam o więcej, jednakże Kara odmówiła. Lekarz nakazał, żebym za dużo nie jadła, zwłaszcza pierwszego dnia. Kara podała więc szklankę wody i kazała odpoczywać. Przespałam większość dnia, a pod wieczór obudził mnie Afzal.

– Chłodno się robi – powiedział. – Chodźmy do środka.

Zawroty głowy się zmniejszyły. Zmarzłam i bez niczyjej pomocy weszłam do domu.

Afzal pojechał do siebie, ale obiecał, że następnego dnia po mnie wróci. Co też uczynił.

– Dziś zabieram cię do domu.

Już mnie to nie przerażało. Matka powiedziała, że za parę tygodni wracamy do Szkocji. Z tą świadomością gotowa byłam wszystko przetrzymać.

Tego wieczora wróciłam z Afzałem do domu. Kiedy dojechaliśmy, stwierdziłam, że podczas mojej nieobecności zaszły tam zmiany, zrobiło się jakoś jaśniej i czysiej. Od progu poczułam zapach frytek i ledwie zdążyłam usiąść, dziewczynka w wieku około dziesięciu lat podała mi cały talerz mojego przysmaku. Pokój nie sprawiał wrażenia ponurego jak przedtem. Teraz na podłodze leżał czerwony dywan, a w powietrzu pachniało kadzidłem.

Na krzesłach i łóżku rozsiadł się tłum gapiów. Kilkoro rozpoznałam, na przykład Hatifa i jego siostrę, nie miałam jednak pojęcia, kim jest reszta. Większość stanowiły kobiety. Wszyscy kłaniali się uprzejmie, ale było to bardzo krępujące.

Wszedł Akbar, wręczył mi szklankę wody, po czym rzekł:

– Gdybyś czegoś potrzebowała, powiedz Afzalowi.

Talerz frytek usmażonych specjalnie dla mnie? Picie i jedzenie podane na moje życzenie? Brak sprzątanania? Och, jakoś przeżyję, to ledwie parę tygodni. Wkrótce będę w drodze do Szkocji. Dręczyłam się tylko myślami o Afzalu i o tym, co będzie się działo nocą w sypialni.

Przez następne dni ustaliłam sobie stały porządek dnia. Budziłam się rano,

szłam pod prysznic, a potem czekałam, aż Fozija, która mieszkała obok, przyniesie śniadanie. Afzal codziennie powtarzał, że mnie kocha, i co noc wyrządzał mi krzywdę.

Nienawidziłam tych nocy. O zmierzchu modliłam się, by słońce nieco dłużej zostało nad horyzontem, żeby cykady nie zaczęły dzwonić, obwieszczając nadejście wieczoru. Bo wtedy zostawałam sam na sam z Afzałem. Dotykał mnie tam, gdzie nie chciałam być dotykana, a potem wpełzał na moje ciało i krzywdził. Podejrzywałam, że to kara za coś, co źle zrobiłam, bo dawno przywykłam do tego, że jestem karana bez powodu. Kiedy się zmęczył, staczał się na bok i zapadał w sen, a ja odwracałam się do niego plecami i płakałam.

Trzymałam się wyłącznie dzięki perspektywie powrotu do Szkocji. Cztery dni po tym, jak Afzal ponownie zabrał mnie do siebie, w odwiedziny przyjechała matka. Przywiozła wieści z domu – Hanif urodziła dziecko, dziewczynkę. Matka przekazała też Manzowi wiadomość o moim ślubie. Była u nas wszystkiego dziesięć minut. Kazała mi się spakować i zakomunikowała, że do niej wracam i że mniej więcej za tydzień wyjeżdżamy do Glasgow.

W drodze do domu matki ledwie mogłam usiedzieć z podniecenia. W tym tygodniu miała zarezerwować nam bilety powrotne. Planowałyśmy wrócić bez uprzedzenia, zrobić wszystkim niespodziankę. Matka powiedziała mi nawet, co spakować.

Chwilę po przyjeździe do domu matki poszłam do toalety, gdzie okazało się, że właśnie dostałam okres. Poprosiłam ją więc o podpaszkę.

Ku memu zdziwieniu zaczęła głośno kląć i pomstować. Potem powiedziała:

– A zatem wciąż nie jesteś w stanie błogosławionym! Nie wrócisz do Glasgow, dopóki nie będziesz, nawet jeśli trzeba będzie cię tu zostawić na dłużej!

Do oczu napłynęły mi łzy.

– Ccc...co masz na myśli?

Matka z wściekłością wypadła z pokoju. Zostałam sama. Byłam przerażona. Nie mogłam tutaj zostać – chciałam do domu! Płacząc, wybiegłam na pola i wspierałam się na swoje ulubione drzewo.

– Modliłam się do Ciebie – zwróciłam się do Boga – i tak bardzo prosiłam. Nie wiem, jak sobie z tym poradzić, więc prosiłam Cię o pomoc. Błagam Cię, błagam, pomóż mi. – Spoglądałam w niebo, nie mogąc powstrzymać szlochu.

Nena, jak się okazało, poszła moim śladem, a teraz stała pod drzewem.

– Co się stało?! – krzyknęła. – Czemu płaczesz? Sam, proszę cię, odezwij się.

– Wynoś się! Zostaw mnie w spokoju!

– Idę do ciebie na górę – zapowiedziała, po czym wdrapała się po pniu i usiadła na gałęzi obok. – No i? Czemu płaczesz, co się stało?

– Bo nie jestem w stanie błogosławionym, a to oznacza, że nie wracam do

Szkocji.

– Mówiłaś, że ci się tu podoba.

– Podobało mi się, dopóki nie wyszłam za męża. Ale teraz chcę już wracać.

Nienawidzę tego miejsca.

– Och, Sam, daj spokój. Na pewno wkrótce będziesz w stanie błogosławionym. Dalej, złazimy i idziemy do domu. Nie ma sensu, żebyś tutaj siedziała i tak strasznie rozpaczała. To nic nie da.

Zeszliśmy z drzewa i w milczeniu powoli wróciliśmy do domu.

Zostałam przez tydzień u matki, po czym wróciłam do Afzala. Zastanawiałam się, czy znów nie spróbować popełnić samobójstwa. Ale ponieważ gdzieś na horyzoncie majaczyła szansa powrotu do Szkocji, postanowiłam trzymać się jej jak koła ratunkowego, nawet gdyby oznaczało to koszmarną codzienność przez kilka najbliższych miesięcy. Robiłam, co kazano, siadałam, gdzie kazano, i chodziłam, dokąd mi kazano.

Afzal, z wyjątkiem nocy, kiedy systematycznie i konsekwentnie mnie krzywdził, traktował mnie znacznie lepiej niż kiedykolwiek własna matka. Nie pozwalał tknąć żadnej pracy, dbał, żebym jadła do syta, i codziennie pytał, czy czegoś nie potrzebuję. Podarował też wiele pięknych, nowych ubrań we wszystkich kolorach tęczy. Żaden prezent nie mógł jednak sprawić, bym przestała czuć się jak więzień.

Nie pozwalano mi opuszczać wioski, więc najwięcej czasu spędzałam u Foziji, która mieszkała po sąsiedzku. Afzal, Hatif, Akbar i mąż Foziji razem wychodzili do pracy i dopiero po ich wyjściu Fozija robiła śniadanie dla nas i dla dzieci.

Jej dom bardzo przypominał ten, w którym mieszkałam z Afzalem – miał małą kuchnię oraz łazienkę, a także schody na piętro, gdzie mieściły się dwa pokoje – podobnie jak kuchnia – prawie nieużywane.

– Czemu nie korzystasz z normalnej kuchni? – zapytałam raz Foziję. Nie rozumiałam, dlaczego wychodzi na dwór gotować, zamiast robić to wewnątrz.

– W lecie jest na to za gorąco – odparła. – Gotuję w kuchni tylko w zimie lub kiedy pada.

Miała życzliwy, cierpliwy głos, zapytałam więc ją o coś, co od dawna chodziło mi po głowie.

– A kiedy będzie padać? – Byłam tu już parę miesięcy, a do tej pory nie spadła kropla deszczu.

– Myślę, że za parę tygodni.

– Za parę tygodni?! – krzyknęłam zdumiona. – Skąd wiesz?

– Co roku jest tak samo. Deszcz przyjdzie wraz ze zmianą pogody.

Gawędziłyśmy sobie cały dzień, a ja przyglądałam się, jak krząta się po kuchni. Po śniadaniu dzieci zniknęły w domu kuzynki i wróciły dopiero na obiad.

Fozija dorabiała sobie, szyjąc ubrania na zamówienie ludzi z wioski, i codziennie przychodził do niej co najmniej jeden klient. Częstowała go herbatą, rozmawiała, a przed wyjściem otrzymywała od niego duży kawał materiału. Potem patrzyłam, jak w ciągu paru godzin zmienia go w nowy, piękny salwar-kamiz. Następnie gotowała obiad, bo niebawem wszyscy wracali z pracy. Co drugi dzień przychodziła do niej dziewczyna, by posprzątać łazienkę i pozamiatać dom oraz podwórze. Sprawiała ona wrażenie brudnej i obdartej i gapiła się na mnie podczas zmiatania, ale z wyrazu jej twarzy nigdy nie dawało się nic wyczytać.

– Przyszłaś tu sprzątać, a nie się gapić – skarciła ją raz Fozija, kiedy zorientowała się, że dziewczyna wciąż ukradkiem na mnie patrzy.

Dziewczyna szybko odwróciła wzrok i z większym zapałem zabrała się do zmiatania.

Zrobiło mi się jej żal. Cóż, dobrze wiedziałam, jak to jest – pracować i nigdy nie być chwalonym. Poszłam więc do łazienki, a kiedy z niej wychodziłam, powiedziałam:

– Ach, jak pięknie posprzątałaś łazienkę. Aż lśni. – I uśmiechnęłam się do niej przyjaźnie.

Dziewczyna przerwała pracę i podniosła na mnie wzrok znad miotły.

– Co?

– Łazienka. Pięknie posprząтана.

Na twarzy dziewczyny zakwitł uśmiech. Schyliła głowę. Domyśliłam się, że nigdy dotąd nikt jej nie pochwalił. Od tamtej pory zawsze zmiatała uśmiechnięta, a ja chwaliłam ją tak często, jak tylko mogłam.

– Przecież jej płacę za zmiatanie – rzekła pewnego dnia Fozija.

– Wiem, ale to, co mówię, jest dla niej bezcenne.

Miesiąc później zawieźli mnie na spotkanie z matką. Pierwsze pytanie, jakie mi zadała, to czy miałam w tym miesiącu okres.

Żałośnie skinęłam głową – wiedziałam, że oczekiwała innej odpowiedzi i że przez to nie pojedziemy do Szkocji. I znowu trafiłam pod dach Afzala.

Parę tygodni później ktoś mi powiedział, że matka za trzy tygodnie wraca do Szkocji. Zamarłam. Tej nocy postanowiłam, że jeśli mnie tu zostawi, zabiję się, tym razem skutecznie. Bo sama sobie nie poradzę. Owszem, dla matki się nie liczę, ale jest moim jedynym łącznikiem ze Szkocją. Gdyby nie ona, nie miałabym tutaj nikogo. Gdybym została sama, nawet nie wiedziałabym, jak się stąd wydostać.

Dwa tygodnie później ponownie odwiedziłam matkę. Tym razem znowu spytała, czy miałam okres. Pokręciłam głową. Nie wiedziałam, dlaczego wciąż zadaje mi to pytanie. Zdawałam sobie natomiast sprawę, że wiąże się to jakoś z tym, czy jestem w stanie błogosławionym i czy mogę wrócić do Glasgow, ale nie orientowałam się, o co konkretnie chodzi.

– Jesteś pewna?

– Tak.

Weszła Kara i mnie uściskała.

– Nie forsuj się za bardzo – poinstruowała. – Nie chcemy, abyś się znowu rozchorowała.

Tym razem zostałam u matki. Przez kilka następnych dni Afzal bardzo mi nadskakiwał. Co dzień przynosił świeże owoce i warzywa i wciąż pytał, czy coś jeszcze może dla mnie zrobić – a wszystko dlatego, że byłam w stanie błogosławionym. Nie rozumiałam, po co to całe zamieszanie. Nie wiedziałam nawet, co oznacza słowo *hamila*, które wciąż powtarzali. Wiedziałam jedno: wreszcie będę mogła pojechać do Szkocji. To wystarczało. Zauważyłam też, że matka stała się jakby miłsza, a Afzal zaprzestał swych nocnych czynności. Cóż, sama nie byłam pewna jak, ale wreszcie ich usatysfakcjonowałam.

Matka kupiła bilety na samolot. Przez ostatni tydzień mieszkałam u Afzala, gdzie Fozija traktowała mnie jak królową. Zawsze zachowywała się miło, ale teraz przechodziła samą siebie – podawała mi śniadanie do łóżka i kazała cały czas odpoczywać. Nic z tego nie rozumiałam. Przecież nie byłam chora, więc dlaczego tak się ze mną cackali?

Na ostatnią noc przed wyjazdem wróciłam do matki. W pewnej chwili Afzal odwołał mnie na stronę i powiedział:

– Tylko o mnie nie zapomnij. Spotkamy się, kiedy wystąpisz o pozwolenie na mój przyjazd do Wielkiej Brytanii i otrzymam wizę imigracyjną.

Zastanawiałam się, o co mu chodzi, ale nie wnikałam w to, lecz po prostu skinęłam głową.

– Uważaj na siebie i daj mi znać, gdybyś czegokolwiek potrzebowała.

Znów skinęłam głową, ale szczerze mówiąc, nie zwracałam większej uwagi na jego słowa. Myślam byłam już w Szkocji. Cieszyłam się, że wracam do domu, ale nie chciałam tego okazywać. W głębi duszy obawiałam się, że mogę jeszcze dostać okres i matka mimo wszystko mnie tu zostawi.

Później pakowałyśmy walizki. Uważnie składałam nowe, piękne stroje, które dostałam w prezencie. Cieszyłam się, że już niedługo z dumą pokażę je wszystkim Menie.

Tego wieczora w domu było pełno gości. Prawie cała wioska zeszła się, by mnie pożegnać. Poszliśmy spać dopiero o drugiej nad ranem.

Afzal z ojcem spędzili tę noc w sąsiednim pokoju, a do mojego łóżka wcisnęła się Nena. Gadałyśmy tak, że buzie nam się nie zamykały.

– Będę za tobą tęsknić – mówiła. – Bardzo fajnie mi z tobą było. Mam nadzieję, że kiedyś jeszcze przyjedziesz.

Tak, na pewno, pomyślałam. O ile będę miała w tej sprawie coś do powiedzenia, nigdy w życiu tu nie wrócę. Nie powiedziałam tego jednak na głos, żeby jej nie zranić. Skinęłam więc tylko głową i zasnęłam.

Następnego ranka obudziliśmy się wcześniej. Na dworze świeciło słońce i wiał ożywczy, chłodny wiaterek. Szybko umyłam się i zjadłam śniadanie pod drzewem na podwórku. Przysiadła się do mnie Nena.

– O której jedziesz?

– Nie wiem.

– O której Sam wyjeżdża?! – wrzasnęła do Kary, która wybierała jajka z kurnika w rogu podwórza.

– Po obiedzie! – odkrzyknęła Kara.

Nena uśmiechnęła się do mnie i powiedziała:

– A więc jest czas na spacer. Chcesz się przejść po śniadaniu?

– Z chęcią.

Kiedy tylko skończyliśmy jeść, wyszliśmy z podwórza i ruszyliśmy przez wioskę na pola.

– Chodź, wdrapiemy się na twoje drzewo, a potem pójdziemy ostatni raz nad rzekę – zaproponowała Nena.

– Dobrze – zgodziłam się znowu.

Usiadliśmy na naszym drzewie i patrzyliśmy na pola otaczające wioskę. Był upalny majowy dzień. Przyzwyczaiałam się już do pogody i jedzenia, a tutejsi ludzie byli mili i życzliwi. Z jednej strony bardzo mi się tu podobało – panowała taka cisza, a ja uwielbiałam siedzieć w słońcu. Gdyby tylko spokój ten nie został zakłócony przez moje nieszczęsne małżeństwo. Gdyby nie to, chętnie bym została. Wcale nie ciągnęłoby mnie z powrotem do Szkocji.

Z drugiej strony brakowało mi Glasgow. Gdyby rok temu ktoś powiedział, że nie będę mogła się doczekać, kiedy tam wrócę, uznałabym, że postradał rozum. Ale okazało się, że tęsknię za obowiązkami domowymi, opieką nad braćmi, a przede wszystkim za Meną. A poza tym w Szkocji miałam pełną kontrolę nad własnym ciałem. Owszem, poszturchiwano mnie, popychano i nabijano siniaki, ale rany z czasem się goiły. A te, które zadał mi Afzal, krzywdząc od środka, naruszając moją prywatność, nigdy się nie zagoją – byłam o tym przekonana. Podobnie jak to, czego doświadczyłam od matki, która ostatecznie udowodniła, że nic dla niej nie znaczę. Wiedziałam już, że nigdy, przenigdy nie postąpię zgodnie z jej życzeniem.

Wróciliśmy do domu. Afzal i wujek Ghani pakowali bagaże na zaprzężony w konia wóz, którym miałyśmy dojechać do centrum miasteczka, gdzie czekała na nas taksówka na lotnisko. Usiadłam pośrodku, a Kara i matka po bokach. Afzal zaś z wujkiem Ghanim zajęli miejsca na koźle. Jechaliśmy przez wioskę, a Nena, Amina i inne dzieci szły za wozem. Zatrzymały się na granicy wioski, a my minęliśmy je, machając im na pożegnanie.

– Do widzenia, ciociu! Będziemy za wami tęsknić! Do widzenia!

Machałam do dzieci, uśmiechałam się do nich, lecz z ulgą przyjmowałam

fakt, że wyjeżdżam. Czułam się nieco winna, że wcale nie będzie mi ich brakowało.

Było południe. Słońce mocno prażyło, ale chłodny wiaterek od rzeki, wzdłuż której jechaliśmy, przynosił przyjemne ukojenie. Dopiero na głównej drodze, którą musieliśmy jechać jeszcze dziesięć minut, otoczył nas dokuczliwy upał i kurz.

To właśnie wtedy po raz pierwszy dokładnie przyjrzałam się Afzalowi. Dotychczas ledwie na niego zerkałam, zapewne dlatego, że nie chciałam, aby każda twarz kojarzyła mi się z moim krzywdzicielem. Wiedziałam, jak wygląda jego drobne ciało, ale twarz – nie. Teraz stwierdziłam, że jest wąska, rozmiarem dostosowana do maleńkich oczu. Nie nosił ani brody, ani wąsów. Kiedy stwierdził, że na niego patrzę, jego szerokie usta wygięły się w uśmiechu. Równocześnie uśmiechnęły się jego oczy. To wtedy zdałam sobie sprawę, że mieszkam z nim od paru miesięcy, a wcale go nie znam. To, że ludzie nazywają go moim mężem, nie miało dla mnie znaczenia. Nie myślałam o nim w ten sposób. Był po prostu mężczyzną, i to wszystko. Pożegnałam się z nimi i odwróciłam plecami.

Tym razem w czasie drogi powrotnej na lotnisko nic nie wydawało mi się takie samo jak za pierwszym razem. Mijane miasteczka wyglądały identycznie – wszędzie tacy sami, brudni ludzi sprzedawali coś na narożnych straganach, woń ostrych przypraw mieszała się z odorem niemytych ciał, a parterowe domki odsunięte daleko od szosy wtapiały się w monotony, pokryty pyłem krajobraz. Z całą pewnością nie będę za tym wszystkim tęsknić, pomyślałam.

Godzinę później dojechaliśmy do Lahaur. Wzdłuż drogi na lotnisko pyszniły się okazałe domy z wielkimi ogrodami, a przed ich bramami wjazdowymi czuwali strażnicy. Drogi nie były tu zakurzone i nie śmierdziało śmieciami, jak w tamtych małych miasteczkach, przez które przejeżdżaliśmy. Wzdłuż ulic rosły drzewa. Minęliśmy piękny budynek uniwersytetu. Nie wiedziałam, czy wciąż jesteśmy w Pakistanie. To miejsce w niczym nie przypominało kraju, w którym mieszkałam przez ostatnich osiem miesięcy.

Kierowca zatrzymał się przed wejściem na lotnisko. Upał nieco zelżał, ale wciąż było tak gorąco, że obficie się pociałam. Przeszliśmy przez pierwszą kontrolę, Kara uściskała nas i życzyła szczęśliwej podróży. Kiedy szliśmy w stronę hali odlotów, obejrzałam się. Kara wciąż za nami patrzyła. Pomachałam do niej ostatni raz.

W poczekali było mnóstwo wolnych miejsc. Usiadłyśmy w cudownym chłodzie klimatyzowanego wnętrza. Ogarnęło mnie zmęczenie i prawie od razu zasnęłam. Przebudziłam się dopiero, gdy matka powiedziała:

– Chodź, już wsiadamy do samolotu.

Przespałam całą drogę do Londynu. Ulga, że nareszcie ziścił się sen o powrocie do domu, sprawiła, że się rozluźniłam. W końcu mogłam odpocząć bez męczącego towarzystwa Afzala, który nocami nie dawał mi spokoju. Obudziłam

się dopiero, gdy podchodziliśmy do lądowania w Londynie, gdzie miałyśmy przesiadkę do Glasgow. W trakcie półtoragodzinnego lotu krajowego już nie zasnęłam. Podawali herbatę i przekąski, a ja od śniadania w Pakistanie niczego nie jadłam.

Glasgow wywarło na mnie niesamowite wrażenie – wszędzie było czysto i pachniało świeżością. Czułam się wspaniale! Ach, jak dobrze, że wróciłam! Chciało mi się krzyknąć na całe gardło: „Hej, wszyscy, wróciłam do domu!”.

Kiedy zapukałyśmy do naszych drzwi, domownicy jeszcze spali. Musiałyśmy długo czekać, zanim rozspana i rozziwiana Mena otworzyła wreszcie drzwi. Na nasz widok otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. Rzuciła mi się w ramiona, krzycząc:

– Wróciłaś, wróciłaś, hura!

Rozradowana, uściskałam ją z całej siły.

Mena pomogła mi wtaszczyć do środka walizki. Matka, skarżąc się na ból głowy, poszła prosto do łóżka. Oznajmiła, że idzie spać i nikt ma jej nie przeszkadzać.

Ruszyłam za Meną do kuchni. Zrobiłyśmy sobie tosty. Mena powiedziała, że kiedy nas nie było, codziennie jedli, jak to nazwała, „angielskie” jedzenie, na przykład frytki – tak samo jak ja. Zazdrościłam im swobody, życia bez srogich zasad i ograniczeń narzuconych przez matkę. Mena zadawała mi dziesiątki pytań o Pakistan.

– Jak tam jest? Bardzo gorąco? Jaki jest twój mąż?

Odpowiadałam cierpliwie i miło.

– Okropnie. Tak, gorąco. Okropny.

– Manz wszystko mi opowiadał. Wiesz, że Hanif ma teraz małą dziewczynkę?

– Wiem. Od matki.

Rozejrzałam się wokoło i stwierdziłam, że w kuchni panuje porządek – umyte naczynia stoją na suszarce. Z pozostałych pokoi nie dochodził nawet najłżejszy szmerek. Spytałam Menę o godzinę.

– Jest dopiero ósma. Nikt jeszcze nie wstał.

– W Pakistanie trzeba wstawać o szóstej – powiedziałam. – I musiałam pomagać w obowiązkach nawet w niedzielę. Nie przeszkadzało mi to do czasu, kiedy wyszłam za mąż – westchnęłam, a potem uśmiechnęłam się do niej. – Ale tak bardzo się cieszę, że wróciłam. Już nigdy w życiu nie pojedę do Pakistanu. Żadne z dzieci Hanif jeszcze nie wstało?

– Och, to ty nic nie wiesz? Natychmiast po wyjeździe matki wszyscy się wprowadzili. Mieszkają teraz w Govanhill w mieszkaniu komunalnym. A wiesz, że Saber też się ożenił zaraz po twoim wyjeździe?

Rzeczywiście, przypomniało mi się, że matka coś wspominała, ale potem

wydarzyło się tyle rzeczy, że o tym zapomniałam.

– Jaka ona jest? – zaciekałam się. – Opowiadaj.

– Ma na imię Tanvir. Przyjechała z Pakistanu dosłownie parę dni po waszym wyjeździe. Jest jakąś naszą daleką kuzynką. Ich małżeństwo zaplanował *padzi*, ale nie mieli aż tak hucznego wesela jak Tara. Tanvir przez większość dnia siedzi w swoim pokoju. Wychodzi tylko po to, żeby przygotować Saberowi jedzenie lub zrobić pranie. Jest w porządku. – Mena wzruszyła ramionami. – Dobrze dba o Sabera, a on ją uwielbia. O, i patrz! Kupił jej pralkę! I kuchenkę mikrofalową! – Pokazała mi nowe urządzenia.

– To Saber już pracuje? – zapytałam, nie wiedząc, skąd mógłby wziąć pieniądze na te rzeczy.

– Tak, jako kelner w restauracji w centrum. I wkrótce znowu będziemy mieli w domu dzieci. Saber mi mówił, że Tanvir jest w stanie błogosławionym.

– Ja też – odparłam szybko.

Mena zamarła. Przez chwilę nie spuszczała ze mnie wzroku.

– Jak to? Nie możesz! Masz dopiero czternaście lat! Nie wolno mieć dzieci, dopóki nie skończy się szesnastu!

Dzieci? Czyli to oznaczało słowo *hamila*? Będę miała dziecko? Nagle wszystkie kawałki układanki złożyły się w jeden obraz i zaczęło mnie ścisnąć w żołądku. Wybuchłam płaczem.

Mena wzięła mnie w ramiona.

– Nie płacz, Sam.

– Powiedzieli mi tylko tyle, że jestem w stanie błogosławionym. Nie wiedziałam, że to oznacza, że będę miała dziecko.

Mena nie wypuszczała mnie z objęć.

– Wszystko będzie dobrze. Nie martw się. – Potem odsunęła się i otarła mi łzę. – Pomyśl tylko – będziesz miała kogoś, kto będzie cię kochał i z kim będziesz mogła się bawić.

Cokolwiek by jednak mówiła, ta sytuacja mnie przerażała i miałam mętlik w głowie. Był maj 1983 roku. W wieku czternastu lat i dwóch miesięcy spodziewałam się dziecka.

Mijały tygodnie. Wróciłam do swych stałych domowych obowiązków. Gotowałam i sprzątałam, ale dzięki nowym urządzeniom, które kupił Saber, moje życie było o wiele łatwiejsze. Nie miałam typowych dla ciąży nudności, za to Tanvir cierpiała na mdłości rano, po południu i wieczorem oraz o każdej innej porze dnia.

– Nie jedz tego – mówili jej wszyscy. – Nie jedz tego i tamtego, pij dużo wody. Kupcie jej soku. Niczego ci nie trzeba? Połóż się z nogami do góry i odpoczywaj.

Wszyscy jej dogadzali. Cieszyłam się, że nie mam mdłości, ale pragnęłam, żeby i mnie poświęcano tyle uwagi, ile Tanvir. Ja też oczekiwałam dziecka, więc czemu wciąż musiałam wykonywać wszystkie obowiązki? Czy nie powinnam przypadkiem więcej odpoczywać?

Po wyprowadzce Hanif i jej dzieci w domu było trochę mniej roboty. Odkryłam jednak, że w czasie mojej nieobecności Hanif zrobiła przegląd moich rzeczy i część wyrzuciła. Zniknął na przykład stary pomarańczowy salwar-kamiz, który dostałam od matki. Choć już z niego wyrosłam, miał dla mnie znaczenie sentymentalne – to jedyna ładna rzecz, jaką matka mi podarowała. Przez pewien czas nie mogłam odżałować tej straty. Matki oczywiście zupełnie nie obchodziło, jak się czuję.

Myślę, że matka sądziła, iż małżeństwo przytemperuje trochę mój upór. Ale po przejściach w Pakistanie – po pierwsze, po ślubie, po drugim, po dniu, kiedy przerażona wróciłam od Afzala, a matka odesłała mnie z powrotem – wszystko się zmieniło. Nastąpił punkt zwrotny, kiedy to definitywnie uświadomiłam sobie, że nigdy nie otoczy mnie troską. Że muszę sama nauczyć się dbać o siebie. Kiedy więc wróciliśmy do domu, do Glasgow, matka zachowywała się jak zawsze, ale ja się zmieniłam. Nie wiedziała, co sobie postanowiłam. Żyła w przekonaniu, że dalej będzie mną dyrygować, jak innymi wokół. Wciąż rozmawiała przez telefon z Pakistanem, wydawała polecenia rodzinie Afzala, groziła, że jeśli nie będą robić, co każe, zerwie małżeństwo. Próbowała wszystko kontrolować. Wszystko i przez cały czas. Afzal nie mógł otrzymać wizy imigracyjnej, dopóki nie osiągnę pełnoletności, więc matka wykorzystywała to jako kartę przetargową, by osiągnąć swoje cele.

Otrzymałam list od Afzala. Pisał, że bardzo kocha i że nie może się doczekać, aż do mnie przyjedzie. Co dziwne, ani razu nie wspomniał o ciąży, nie spytał też, jak się czuję. Rozmyślałam o nim od czasu do czasu. O tym, co mi zrobił. Wybaczyłam mu. Myślałam, jak by to było, gdyby tu przyjechał i zajmował

się mną i dzieckiem. Sądziłam, że przyjedzie za kilka miesięcy, jeszcze przed narodzinami dziecka, ale tak się nie stało. Matka powiedziała:

– Mógł ci coś wysłać w tym liście.

Zastanawiałam się, co miała na myśli. Co mógł mi przysłać? Matka podała ten list – zapewne ze względu na moją niepełnoletność, ale też dlatego, że chciała zachować pełną kontrolę nade mną. Byłam tylko narzędziem w jej rękach. Wyręczała się mną we wszystkim, jeśli jej tak pasowało, a jeśli nie – zostawiała w spokoju. Nigdy nie pomyślała: „Czy to w porządku wobec Sam?”. Zawsze uważała, że jeśli jej coś odpowiada, to ja nie mam nic do gadania.

Wydawało się, że życie w Glasgow służy matce. Sporo czasu spędzała poza domem – wychodziła do ciotki Fatimy i do innych, prowadziła znacznie bujniejsze życie towarzyskie niż w Walsall. Zaczęła regularnie uczęszczać na spotkania modlitewne i w ten sposób poznała cztery czy pięć koleżanek, które lubiła odwiedzać, podobnie jak one ją. Wcześniej nigdy nie wykazywała zainteresowania religią, nawet w Pakistanie. Mena i ja na szczęście nie musiałyśmy brać w tym udziału. Wymagała jedynie naszej obecności na najważniejszych spotkaniach modlitewnych dwa razy do roku, więc nie stanowiło to dla nas obciążenia. Stała się bardzo surowa, jeśli chodzi o sprawy religii, ale nie przejawiało się to w życiu domowym. Wydawało nam się, że uczęszcza na te spotkania przede wszystkim ze względu na ciotkę Fatimę i swój krąg znajomych. Nie narzekałyśmy jednak, bo tu, w Glasgow, miała więcej koleżanek niż w Walsall i zdawała się znacznie szczęśliwsza.

Tara mieszkała około dziesięciu minut drogi od nas, ale miałyśmy wrażenie, że wcale się nie wyprowadziła, ponieważ większość czasu i tak spędzała u matki. Razem z nią oraz Hanif siadały i plotkowały o tym, co się dzieje w Pakistanie, a potem Tara narzekała na męża i pytała, co zrobić, żeby przestał wracać pijany. Matka odpowiadała:

– Wyrzucić go z domu, daj mu nauczkę.

Mój szwagier, podobnie jak mój ojciec, często był więc wyrzucany za próg.

Trzy miesiące po naszym powrocie z Pakistanu matka stwierdziła, że tego dnia mam wizytę u lekarza. Jak zwykle nie zapytałam dlaczego. Nigdy nie kwestionowałam ani jednego jej słowa, ale teraz już jej nie ufałam. Zastanawiałam się, czy wizyta jest po to, by stwierdzić, czy rzeczywiście jestem w ciąży, czy nie. A gdybym nie była, to czy matka każe mi wracać do Pakistanu?

W poczekalni u lekarza poinstruowała mnie:

– Kiedy lekarz zapyta cię o dziecko, nic nie mów. Ja wszystko wyjaśnię.

Doktor Walters, nasz lekarz rodzinny, był starszym panem o miłym głosie. Po zakończonym badaniu spojrzał na mnie i spytał:

– No i co teraz zrobisz? Jak chcesz wychować dziecko, skoro sama jesteś jeszcze dzieckiem?

Matka położyła mi rękę na nodze – „milcz”, oznaczał ten gest – i odezwała się do lekarza:

– Wzięłam ją do Pakistanu, wyszła z domu i się z kimś przespała. Dlatego jest w ciąży, panie doktorze.

Wstrzymałam oddech i przygryzłam dolną wargę. Nie śmiałam sprzeciwić się kłamstwu. Chciałam, ale nie mogłam, nie w obecności doktora. W odpowiedzi na wypowiedziane lekceważącym tonem tanie łgarstwo poczułam ściskanie w żołądku i po raz pierwszy, odkąd byłam w ciąży, mdłości ze wstrętu, złości i niemocy... Spojrzałam na matkę z wyrzutem, ale ona jak zwykle unikała mojego wzroku.

– Cały czas przy niej będę – odezwała się szybko matka, jakby wiedziała, że mam ochotę wyjawić doktorowi Waltersowi prawdę.

Doktor wzruszył ramionami i wypisał mi receptę na żelazo. Kazał przyjmować tabletkę dziennie i powiedział, że umówi mnie na wizytę w szpitalu położniczym.

W drodze powrotnej do domu matka poprosiła o receptę, po czym podarła ją na strzępy, mówiąc:

– Nie będziesz brać tych tabletek. Od tego dziecko urośnie i będzie ci trudno je urodzić.

Oczy miałam zaczerwienione od łez, kiedy u boku matki wracałam do domu.

Parę tygodni później nadszedł czas wizyty w szpitalu. Zgłosiłam się do przychodni na wizytę prenatalną. Towarzyszyła mi Tara – miała pilnować, żebym się z niczym nie wygadała. Kiedy czekałyśmy w korytarzu, powiedziała:

– Jeśli będą cię pytać o ciążę, masz mówić, że spałaś z jakimś chłopakiem, ale nie wiesz, co się z nim teraz dzieje ani gdzie przebywa.

Słowa te sprawiły, że poczułam się, jakbym zrobiła coś niewłaściwego. Kiedy weszłam do gabinetu, nawet pielęgniarka rzuciła mi pełne dezaprobaty spojrzenie spod zmarszczonych brwi. Może doktor Walters zapisał coś w moich dokumentach i przeczytała to? Miałam ochotę krzyknąć, ale oczywiście milczałam.

Pielęgniarka zaczęła badanie. Rozsmarowała na moim wypukłym brzuchu trochę żelu i jeździła po nim jakąś niewielką maszynką połączoną z monitorem. Nie patrzyła przy tym na mnie, lecz na mały monitor. Na nim pojawiały się i znikwały zamazane szare kształty. Nagle zaczęła mówić – pełnym energii i zadowolenia głosem opowiadała mi, co widzi.

– O, mamy dziecko. Oto ono. Tu jest główka, a tu rączka.

Spojrzałam w miejsce, które wskazywał jej palec, i wtedy po raz pierwszy zobaczyłam moje dziecko. Główka nie była zbyt wyraźna, ale dobrze widziałam małe, bijące serduszko. Widok ten zaparł mi dech w piersi. Rosło we mnie dziecko i miało prawdziwe, bijące serduszko, widziałam je tuż przed sobą, na ekranie! Naprawdę dziecko!

Pielęgniarka pobrała mi krew. Następnie przysłała położna i wyjaśniła, że jestem w szesnastym tygodniu ciąży, a przede mną jeszcze dwadzieścia cztery tygodnie. Wtedy urodzi się dziecko. Mówiła życzliwym, ciepłym głosem, co sprawiło, że mój nastrój się poprawił.

– Czująś, jak dziecko się rusza? – zapytała.

– Nie wiedziałam, że powinnam – odparłam, kręcąc głową.

– Och, powinnaś. – Uśmiechnęła się do mnie i ścisnęła mi ramię. – Może się tego nie spodziewałaś, ale teraz już wiesz i na pewno poczujesz, kiedy się poruszy.

Po drodze powiedziałam do Tary:

– Położna mówiła, że powinnam czuć, jak dziecko się rusza.

– Skąd mam wiedzieć? Lepiej siedź cicho.

Jej ostry ton sprawił, że przez resztę drogi nie odezwałam się ani słowem. Zachwył, którego przed chwilą doświadczyłam, nagle wyparował.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, tej samej nocy, kiedy leżałam już w łóżku, poczułam ruchy dziecka. Wzbudziło to we mnie niesamowity podziw i czułość. Położyłam obie ręce na brzuchu. Pragnęłam, żeby poruszyło się znowu, i ono się poruszyło. I znów łzy napłynęły mi do oczu, ale tym razem były to łzy radości. Nikomu nic nie mówiłam. Nikt nie pytał o moje dziecko, a Mena, jak to ona, siedziała cicho, by nie narażać się matce, która oczywiście niczym się nie interesowała.

Za to ja narażałam się matce. Zaczęłam jej pyskować jeszcze w Pakistanie. Na początku mnie ignorowała, więc po powrocie do domu robiłam to dalej. Najpierw matka poprzestawała na wyzwiskach, ale nie upłynęło dużo czasu, zanim wróciła do bicia. Starła się omijać brzuch, a klapsy nie były na tyle silne, by zostawały po nich siniaki, toteż robiłam swoje – sprzeciwiałam się jej, by stanąć we własnej obronie. Uderzenia stanowiły jedyny kontakt cielesny, jaki miałam z matką. Poza tym żadnego kontaktu fizycznego, więc – jak głupio by to brzmiało – jej bicie wydawało mi się czymś naturalnym.

Manz rzadko pokazywał się w domu, dlatego miałam spokój – nie drżałam przed nim tak jak dawniej. Pod wieloma względami przypominałam dziecko, które cieszy się swobodą domowego życia, nie musi chodzić do szkoły ani znosić niczyich zaczepiek. Mimo że byłam w ciąży, rozkoszowałam się dzieciństwem, jakiego dotąd nie zaznałam. W Pakistanie czułam się jak dorosła, ale tu, w Glasgow, znowu zaczęłam skakać po łóżkach z Meną. Coraz bardziej oddalałam się od matki. Jej kontrola nade mną słabła. To, co powiedziała i co zrobiła, przestawało się liczyć. Nie obchodziło mnie to.

Przez następne miesiące stawałam się coraz większa i grubsza. Trudno mi było sprostać codziennym obowiązkom. Nie mogłam długo stać, czułam się zmęczona, puchły mi stopy, mimo to domownicy oczekiwali, że będę im gotować i sprzątać. Nie cierpiałam na żadne skutki uboczne ciąży i cieszyłam się, że

niedługo będę miała dziecko.

Matka kazała mi zakrywać brzuch szalem, kiedy przychodziły do niej znajome. Nie mogłam wtedy wychodzić z kuchni. Ani na zakupy, bo wszyscy by się na mnie gapili. Uważała, że powinnam się wstydzić ciąży, ale ja się nie wstydziłam, lecz cieszyłam z każdego wyjścia na dwór. Nawet gdy tylko wynosiłam śmieci, szłam powoli, delektując się słońcem i świeżym powietrzem.

Kiedy byłam w dziewiątym miesiącu, matka przykazała mi, że mam ją poinformować, kiedy poczuję skurcze, zwłaszcza takie, które będą się regularnie powtarzały.

– To będzie oznaczać, że dziecko jest gotowe do przyjścia na świat – wyjaśniła.

Tej nocy, leżąc w łóżku, czułam, jak dziecko kopie i się wierci. Dopóki matka nie poruszyła tego tematu, nie zastanawiałam się, w jaki sposób się narodzi. Wyobrażałam sobie, że się po prostu pojawi – czyste i zawinięte w kocyk, a ja będę leżeć na łóżku zmęczona, ale szczęśliwa. To dlatego, że noworodki widziałam tylko w telewizji, a pokazywano je właśnie w ten sposób.

Pewnego razu, jeszcze będąc w szkole, wraz z koleżankami słuchałam opowieści jednej z dziewczynek o narodzinach braciszka, który przyszedł na świat poprzedniego dnia. Powiedziała, że lekarze musieli rozciąć mamie brzuch, żeby go wyciągnąć. Potem ją zaszyli. Nie kryłyśmy wstrętu.

Tamtej nocy leżałam w łóżku i nie mogłam przestać o tym myśleć. Cały czas miałam przed oczami obraz siebie samej w szpitalnym łóżku z rozciętym brzuchem. Wydawało mi się to przerażające. Nagle przypomniałam sobie Hanif, która, pojawiając się w domu po urodzeniu dzieci, nie sprawiała wrażenia cierpiącej, więc może konieczność rozcinania nie dotyczyła naszej rodziny. Trzymałam się tej myśli kurczowo przez następne dni. Nie wiedziałam, kogo zapytać, co będzie się ze mną dalej działo.

Rankiem kilka dni później obudziło mnie dziwne uczucie: jakby silne ciągnięcie za dół brzucha. Dość szybko przekonałam się, że to wspomniane przez matkę skurcze, bo mimo że przez parę minut leżałam bez ruchu, uczucie nie mijało. W końcu uznałam, że czas obudzić matkę, która od pewnego czasu sypiała w drugim pokoju.

Bałam się, że na mnie nakrzyczy, że ją budzę, ku memu zdziwieniu jednak pojawiła się od razu.

– Ile trwa przerwa między skurczami? Od jak dawna je masz?

– Od pół godziny. Zresztą nie wiem.

Odwróciła się i ruszyła z powrotem do siebie, mówiąc:

– Powiedz, jeśli zaczniesz się następny.

– Teraz – odparłam, starając się opanować drżenie głosu. – Właśnie się zaczął.

– Dobrze. Połóż się i czekaj, aż zaczniesz się kolejny.

Skurcz trwał około piętnastu sekund. Nie był wcale taki silny – bardziej nieprzyjemny niż bolesny. Hałasy obudziły Menę, która zapytała:

– Która godzina?

– Śpij, śpij – odparła matka ze swojego pokoju. – Dopiero dwadzieścia po siódmej.

Mena zakopała się w pościeli, ale już nie zasnęła. Leżała tylko i przyglądała mi się, a ja próbowałam skupić się na patrzeniu na nią, żeby nie myśleć o strachu. W końcu zaczął się następny skurcz.

– Mam następny skurcz! – zawołałam do matki.

– Dobrze. Co dwadzieścia minut. Dzwonię po karetkę.

W czasie gdy skurcze przeszywały mnie na wskroś, Mena trzymała moją rękę. Zaczęłam się naprawdę bać. Do tej pory cieszyłam się z każdego ruchu dziecka, ale to było co innego. Teraz czułam silny ból. Chciałam, aby ktoś mnie pocieszył, powiedział, że wszystko będzie dobrze, wyjaśnił, co się stanie dalej. Matka stała za drzwiami. Czekwała na karetkę.

Ta przybyła dziesięć minut później. Wysiedli z niej dwaj sanitariusze, którzy pomogli mi wyjść z domu i wsiąść do pojazdu. Mena towarzyszyła nam do drzwi. Zanim wsiadłam do karetki, odwróciłam się ku niej z uśmiechem i pomachałam na pożegnanie.

Odjechaliśmy. Nikt z rodziny nie wsiadł do karetki, by dodawać mi otuchy w szpitalu. Jakby mój stan przynosił im taką hańbę, że woleli przekazać mnie w ręce obcych. Kiedy Hanif rodziła dzieci, nawet Manz jechał z nią do szpitala.

W szpitalu natychmiast zajęły się mną pielęgniarki, ale potem zostawiły samą. Skurcze stały się coraz gorsze. Po jakimś czasie przyszedł lekarz.

– O, to jeszcze bardzo długo potrwa. Podam ci teraz znieczulenie zewnątrzoponowe – objaśnił.

Myślałam, że ten medyczny termin dotyczy wyjęcia dziecka z mojego brzucha. Myśl o rozkrojeniu ciała napawała mnie przerażeniem. Spanikowana spojrzałam na towarzyszącą mu pielęgniarkę.

Ta położyła mi rękę na głowie.

– Nie martw się. To tylko mały zastrzyk w plecy. Przeszanie cię tak bardzo boleć.

Odetchnęłam z ulgą.

– W takim razie dobrze.

Wszystko, co się wokół działo, wprawiało mnie w zakłopotanie i byłam zdezorientowana, ale najbardziej w świecie chciałam, żeby ból już ustąpił.

Tak jak mówiła pielęgniarka, lekarz zrobił mi zastrzyk w plecy i po chwili skurcze ustały.

– W porządku – rzekła pielęgniarka. – Teraz poczujesz się znacznie lepiej.

Zostawimy cię na trochę, ale gdybyś czegoś potrzebowała, naciśnij ten guzik, a któraś z nas od razu do ciebie przyjdzie. – I wskazała przycisk na ścianie tuż nad moim łóżkiem. – Czy ktoś z tobą przyjechał? Jeśli tak, to teraz może wejść.

Pokręciłam głową.

– Nie, jestem sama – poinformowałam ją z uśmiechem. – Ale czy mogłabym dostać coś do czytania?

Wyszła i po chwili wróciła z kilkoma czasopismami. Zaczęłam czytać. Pielęgniarka przychodziła co pewien czas sprawdzić, jak się miewam. Potem musiałam się zdrzemnąć.

O wpół do szóstej po południu znieczulenie najwyraźniej przestało działać, ponieważ znowu obudził mnie ból. Tym razem znacznie bardziej dotkliwy – ostry i rozdzierający, zaczynał się na wysokości krocza, kończył w górnej części brzucha, a potem promieniował z powrotem w dół. Był tak niespodziewany, że krzyżąc ze zdziwienia, wydmuchałam z płuc chyba całe powietrze. Poczułam nagłą potrzebę parcia. Boki i plecy zupełnie mi zeszywniały i wydawało mi się, że zaraz eksploduję. Zanim zdążyłam wezwać pielęgniarkę, ktoś musiał usłyszeć, jak krzyknęłam, bo do pokoju weszło kilka osób i wytoczyło moje łóżko do sali porodowej.

Pielęgniarki kręciły się po pokoju, a ja zwijałam się w paroksyzmach bólu. Jedna z pielęgniarek położyła na końcu łóżka kilka koców, a druga w tym czasie zdjęła ten, którym byłam nakryta. Pomyślałam przez chwilę, że dziwnie jest być w centrum uwagi, ale szybko skoncentrowałam się z powrotem na bólu, który przeszywał mnie falami. Chciałam poprosić o coś przeciwbólowego, ale zamiast tego tylko dyszałam i próbowałam nie krzyczeć. Nie wiem, dlaczego nie wrzeszczałam. Może dlatego, że przez lata powtarzano mi, że mam siedzieć cicho.

Pielęgniarka zbadala mnie i stwierdziła, że dziecko jest już prawie gotowe, by wyjść.

– Chcę... się... załatwić – zdołałam wyjąkać, zwijając się z bólu.

– Nie, kochanie, to tylko dziecko wychodzi – powiedziała pielęgniarka, która stała tuż przy mojej głowie i ocierała mi pot z twarzy. – Nie martw się. Wszystko jest w porządku.

– Ale... ja... naprawdę... chcę... do... ubi... aaa! – krzyknęłam i brzuch rozdarł mi ból znacznie gorszy niż którykolwiek z dotychczasowych. Bałam się, że za chwilę rozerwę się na pół. Pielęgniarka wsunęła ręce pod moje ramiona i uniosła mnie nieco, a pod spód podłożyła więcej poduszek.

– Usiądź – poprosiła. – Wtedy łatwiej jest przeć.

Nie rozumiałam, o co jej chodzi. Prócz tego ból odbierał mi zdolność trzeźwego myślenia. Miałam mętlik w głowie. Słyszałam wokół siebie głosy, ale przez gęstą mgłę potwornego bólu nie rozumiałam, co mówią. Za chwilę nie zwracałam już żadnej uwagi na całe to zamieszanie. Chciałam tylko jednego: by

przestało mnie boleć.

Czułam, jak moje plecy rozdzierają się na pół, kiedy dwie pielęgniarki rozsunęły mi nogi. Do sali weszła jeszcze jedna pielęgniarka i ustawiła się w nogach łóżka.

– Dalej, dalej – zachęcała silnym, optymistycznym głosem. – Nie przestawaj. Świetnie sobie radzisz.

Z czym sobie świetnie radziłam? Nie wiedziałam. Pielęgniarka, która ocierała mi twarz, delikatnym ruchem odgarnęła włosy z mojego czoła. Nagle doznałam olśnienia. Myśl ta, bardzo jasna i wyrazista, nałożyła się na moment ulgi w bólu. Od lat nikt nie dotknął mnie tak czule.

Potem na moje krocze naparła jakaś ogromna siła. Miałam wrażenie, jakby cała ziemia zatrzęsała się w posadach.

– A teraz przyj długo, długo – powiedział ktoś, nie wiedziałam kto. – Dalej, dalej, pchaj tak mocno, jak możesz. Przyj!

– Nie mogę – histeryzowałam. Po mojej twarzy ciekł strumień łez. – Już nie mogę! Błagam, pomóżcie mi. Błagam! – jęczałam.

Pielęgniarka, która stała obok, wzięła mnie za rękę. Ścisnęłam ją z całej siły. Powiedziała łagodnie:

– Za chwilę będzie po wszystkim. Jeszcze tylko kilka razy. Poradzisz sobie.

Teraz dla odmiany myślałam, że moje biodra rozchodzą się na boki. Wrzasnęłam i poczułam, że mam coś między nogami.

– Zabierzcie to! Zabierzcie! – krzyczałam w panice.

– Jeszcze tylko raz. Dalej, przyj. Mocno!

– Aaa! – krzyknęłam, starając się przeć.

Wtedy ból nagle zniknął.

W sali na chwilę zapadła całkowita cisza.

Zapłakało dziecko.

Pielęgniarki położyły mi je na brzuchu. Jedna z nich powiedziała:

– To chłopiec.

Jednocześnie śmiejąc się i płacząc, objęłam maleństwo ramionami.

– Ciii, dziecko, ciii – mruczałam. W jednej chwili zalała mnie niewyobrażalna, niepojęta fala miłości, która sprawiła, że momentalnie zapomniałam o bólu i cierpieniu.

Czyjeś ręce wdarły się pod moje i zaczęły podnosić dziecko.

– Na razie je zabiorę. Musimy zważyć i nałożyć mu na rączkę opaskę z nazwiskiem – wyjaśnił czyjś głos.

– Nie! – wrzasnęłam, wznagając uścisk. Chciałam, by zostało ze mną. Nie rozumiałam, co mówili o wazeniu i tak dalej. Jeśli pozwolę, żeby je zabrali, już nigdy nie dostanę go z powrotem, pomyślałam z przerażeniem. Każą mi wracać do domu, a sami zabiorą dziecko. Rozpłakałam się podczas mycia i zakładania

szwów.

– Przepraszam – powiedziała pielęgniarka. Źle zrozumiała mój płacz. – Staram się, jak mogę, żeby cię nie bolało. Ale muszę to zrobić. Nie możemy dopuścić do tego, żebyś dostała infekcji, prawda?

– Gdzie jest moje dziecko? – zdołałam z siebie wydusić. – Czy mogę je znowu zobaczyć?

– Nie w tej chwili, moja droga, bo teraz...

Weszła inna pielęgniarka i przerwała tej pierwszej:

– Ile to jeszcze potrwa?

– Niedługo. Prawie skończyłam.

– Zawieziesz ją potem na oddział?

– Tak. Jak tylko skończę.

Po chwili pielęgniarka posadziła mnie na fotelu inwalidzkim i zawiozła na oddział. Bez dziecka. Chciałam krzyknąć, żeby mi je oddali, ale gardło miałam tak zaciśnięte, że ledwie mogłam oddychać.

Kiedy dojechałyśmy do sali, gdzie przedtem leżałam, pielęgniarka uporządkowała łóżko.

– Dasz radę? – chciała się upewnić.

Znużona, skinęłam głową i podniosłam się z wózka. W łóżku obok leżała kobieta z maleńkim dzieckiem przy piersi. Zastanawiałam się, czemu ona mogła zatrzymać swoje dziecko, a ja nie. Pewnie dlatego, że byłam za mała. Leżałam, rozmyślając o maleńkiej istocie, którą przez krótką chwilę mogłam potrzymać w ramionach. Zaraz po tym, jak pielęgniarka pomogła mi wygodnie się ułożyć, znowu zaczęłam płakać.

Do pokoju weszła inna pielęgniarka. Pchała coś przed sobą. Zatrzymała się przy moim łóżku i spytała:

– Chcesz, żeby łóżeczko zostało tutaj, czy podjechać bliżej?

Mój chłopiec! Był tam, w szklanym łóżeczku na kółkach.

Przez łzy uśmiechnęłam się do pielęgniarki. Mój uśmiech nigdy nie był bardziej promienny, nigdy też nie czułam się bardziej szczęśliwa ani równie dumna jak teraz.

– Mogłaby pani przysunąć go bliżej?

Pielęgniarka, uśmiechając się szeroko, przysunęła łóżeczko do krawędzi mojego łóżka.

– Gdybyś czegoś potrzebowała albo gdyby dziecko się obudziło, naciśnij przycisk.

Spojrzałam na maleńką buzię i jeszcze mniejszą rączkę spoczywającą na piersi śpiącego dziecka. Pogłaskałam tę rączkę najdelikatniej, jak potrafiłam, tylko po to, by się upewnić, że naprawdę istnieje. Przepelniała mnie radość. Równocześnie nie mogłam opanować senności.

Moje własne ciało i krew! Moje dziecko. Mój synek.

Zostałam podstępem wywieziona do Pakistanu, zmuszona do fikcyjnego małżeństwa, jak również do poczęcia tego dziecka. Teraz jednak, kiedy przyszło na świat, natychmiast zapalałam do niego bezgraniczną miłością. Wystarczyło, że na niego spojrzełam i dotknęłam, a już wiedziałam, że będę kochać, jak nikogo dotąd w moim krótkim życiu. Leżałam w łóżku z odwróconą ku niemu głową, cała obolała, ale patrząc na niego, promieniowałam szczególnym blaskiem. Cierpienie kilku ostatnich godzin odeszło w niepamięć. Czułam, że dokonałam czegoś niezwykłego. Stworzyłam nowe życie – i to nie byle jakie, ale należące do tego konkretnego dziecka, które tu było. Rozkoszowałam się spokojem, jakiego nie zaznałam od lat. Zasnęłam.

Obudziła mnie pielęgniarka. Usiadłam, rozespana, a ona wyjęła mojego synka z łóżeczka i włożyła go w moje ramiona. Uśmiechnęłam się na widok ślicznej małej twarzyczki.

– Myślałaś już, jak dasz mu na imię? – zapytała.

– Azmier – odparłam. – Będzie miał na imię Azmier. – Matka wciąż powtarzała, że pierwszy syn jej córek ma dostać tak na imię. Obiecała to jeszcze swojej matce. Pochodziło od jakiegoś świętego miejsca w Indiach, które babka odwiedziła. Matka zawsze sądziła, że to Tara pierwsza powije syna. Hanif chciała nadać to imię swojemu dziecku, ale matka się nie zgodziła. Miał je nosić syn któregoś z jej córek.

– Bardzo ładne imię – stwierdziła pielęgniarka. – Myślę, że Azmier jest już głodny – powiedziała. – Nakarmimy go?

Widziałam, jak Hanif karmi piersią, i sama chciałam zrobić to samo, ale nie spodziewałam się, że będzie to aż tak proste. Tymczasem pielęgniarka rozpięła mi koszulę i przystawiła buzię Azmiera do mojej piersi. Natychmiast przyssał się i zaczął intensywnie ciągnąć.

– Och! – krzyknęła. – W życiu czegoś takiego nie widziałam! Zwykle musimy długo zachęcać dziecko, żeby zaczęło jeść.

Uśmiechnęłam się do niej, a potem przeniosłam wzrok na Azmiera. Wydawało mi się, że śnię albo znajduję się w innej rzeczywistości. Pogłaskałam małego po główce, żeby upewnić się, że to wszystko dzieje się naprawdę. Kiedy synek zaczął jeść, poczułam się bardzo zmęczona, choć zaledwie przed chwilą się obudziłam. Pielęgniarka wiedziała, że tak będzie, ponieważ zaglądała do nas co parę minut, by sprawdzić, jak sobie radzimy.

Po chwili Azmier zasnął. Nie chciałam odkładać go do łóżeczka – częściowo dlatego, że nie miałam siły, ale przede wszystkim dlatego, że trzymanie go w ramionach sprawiało mi wielką radość. Trzymałam go więc dalej i spoglądałam na niego z uśmiechem. Był taki doskonały. Zaczynałam właśnie zasypiać, kiedy wróciła pielęgniarka.

– Mogłaby pani odłożyć go do łóżeczka? – poprosiłam.

Ostrożnie odebrała Azmiera ode mnie i ułożyła w łóżeczku. Spał dalej, jakby się nic nie stało. Pielęgniarka delikatnie pogłaskała go po czarnych włoskach i się uśmiechnęła. Potem spytała:

– Miałabyś ochotę na herbatę i tosty?

Do tej pory nawet nie pomyślałam o jedzeniu.

– Tak, poproszę.

– Herbata ma być z cukrem?

– Nie.

– Dobrze. Za chwilę ci przyniosę.

Kiedy czekałam na jej powrót, uświadomiłam sobie, że do tej pory nikt nigdy nie zaproponował mi filiżanki herbaty. Teraz poczułam się bardzo dorosła. No cóż, przecież byłam dorosła. Miałam dziecko.

Pielęgniarka wróciła po paru minutach.

– Proszę. – Postawiła tacę na stoliku, który następnie przysunęła tuż obok mojego łóżka.

Zjadłam najpierw tosta, a potem łyżkami popijałam herbatę. Smakowała wyśmienicie. Po raz pierwszy od wielu miesięcy znowu mogłam się cieszyć smakiem jedzenia, bo w czasie ciąży moje kubki smakowe po prostu zanikły.

Następnego dnia obudziłam się o szóstej rano. Azmier leżał cichutko w łóżeczku, a jego śliczne, ciemnobrązowe oczka były otwarte.

– Dzień dobry, jak się dzisiaj miewasz? – zapytałam i wyciągnęłam rękę, by pogłaskać jego mięciutkie ciało. Wciąż nie mogłam uwierzyć, że to moje dziecko.

Weszła pielęgniarka.

– Niedługo śniadanie – powiedziała. – Może chciałabyś najpierw wziąć prysznic?

– O tak, bardzo chętnie – odparłam i zaczęłam powoli i ostrożnie wstawać z łóżka.

– Tu są twoje rzeczy? – zapytała i schyliła się, by sięgnąć do szafki nocnej przy moim łóżku.

– Jakie rzeczy?

– No, rzeczy osobiste. – Wyprostowała się i spojrzała na mnie jakoś dziwnie.

– Nie, nic nie przywiozłam.

– Nawet koszuli nocnej? Ani kapci?

– Mam tylko buty – przyznałam cicho. Zacerwieniłam się ze wstydu.

Pielęgniarka westchnęła i powiedziała:

– W takim razie pójde poszukać, może coś się dla ciebie znajdzie.

Czułam się bardzo głupio. Skąd miałam wiedzieć, że do szpitala trzeba się spakować i przywieźć ze sobą walizkę rzeczy? Wstydziłam się, że się tego nie domyśliłam. W szpitalach, w których przebywałam w dzieciństwie, zawsze czekała

na mnie piżama, ręczniki i szczoteczka do zębów. Nic nie trzeba było ze sobą zabierać. Czekałam z nadzieją, że ta miła kobieta coś znajdzie, bo naprawdę chciałam wziąć prysznic. Wróciła po paru minutach, niosąc naręczne rzeczy.

– Proszę, masz – rzekła, wręczając mi mydło, piżamę i kapcie. – Pysznic jest tam, za rogiem. Przed chwilą sprawdziłam, jest wolny. Najpierw włóż kapcie. Przecież nie możesz się przeziębic. I proszę. – Otworzyła paczkę podpasek. – Weź jedną ze sobą, będziesz jej potrzebować. Resztę wkładam do twojej szafki nocnej. – Wśród rzeczy znajdowała się też para jednorazowych majtek.

W zielonych kapciach, które od niej dostałam, z ręcznikiem i piżamą w jednej ręce, a drugą przytrzymując szpitalną nocną koszulę z rozcięciem na plecach, ruszyłam w stronę prysznica.

Choć po gorącym prysznicu poczułam się znacznie czystsza, zrobiło mi się trochę słabo i wracałam do pokoju bardzo niepewnym krokiem. Azmier zaczął płakać w tej samej chwili, kiedy stanęłam w drzwiach.

– Chyba chce jeść – rzekła kobieta z sąsiedniego łóżka, która również nie spała i karmiła swoje dziecko. – To chłopczyk czy dziewczynka?

– Chłopczyk – odparłam, podniosłam Azmiera, usiadłam na brzegu łóżka i zaczęłam go karmić. – A u pani, chłopiec czy dziewczynka?

– Dziewczynka – odpowiedziała, a jej twarz rozjaśnił łagodny uśmiech. – Miałam bardzo długi i ciężki poród. Przyjęto mnie do szpitala dwa dni temu, a urodziłam tuż przed twoim przybyciem na oddział.

– Naprawdę? – Pomyślałam o własnym porodzie, który nie trwał nawet jednego dnia, i stwierdziłam, że jestem szczęściarą. – Tak długo?

– Owszem, ale było warto.

– To prawda. – Uśmiechnęłam się do niej. Wiedziałam, że łączy nas jakaś szczególna więź. – Wiem – dodałam.

– Jestem Julie, przy okazji.

– A ja Sam.

– Wyglądasz bardzo młodo – rzekła Julie.

Uśmiechnęłam się, ale nic nie odpowiedziałam. Nie miałam najmniejszego zamiaru poruszać tematu mojego wieku ani wyjaśniać, dlaczego tak wcześnie urodziłam dziecko.

Weszła pielęgniarka.

– I co, śpi? – spytała.

– Nie. Obudził się i patrzy na mnie. – Zerknęłam na Azmiera i się uśmiechnęłam.

– W takim razie chyba mogę ci pokazać, jak się go przewija – stwierdziła. Skinęłam głową. – Przynies go do pokoju do przewijania.

I poprowadziła mnie do pokoju, w którym pod ścianą stało sześć przewijaków. Obok umywalki w rogu znajdowało się kilka plastikowych wanienek.

– Połóż go na plecach na jednym z przewijaków – poinstruowała mnie pielęgniarka. Wybrałam ten, który był najbliżej. – Dobrze. A teraz rozepnij mu ubranko.

Rozebrałam Azmiera w ten sam sposób, w jaki niezliczoną ilość razy rozbierałam dzieci Hanif, i automatycznie, nie czekając na instrukcje pielęgniarki, zmieniłam mu pieluchę.

Pielęgniarka się zaśmiała.

– Już to robiłaś, prawda?

Uchwyciłam jej spojrzenie i odwzajemniłam uśmiech.

– Tak, wiele razy.

– To widać, bo młode mamy najczęściej nie potrafią. Trzeba im wszystko tłumaczyć krok po kroku. A ty na kim ćwiczyłaś?

– Mam dwóch bratanków i bratanicę. Często się nimi opiekuję.

– Wystarczy. Pewnie będziesz umiała go wykąpać, co?

Wyszczrzyłam zęby w uśmiechu.

Westchnęła.

– Och, szkoda, że wszystkie matki nie są takie jak ty!

Gawędziłyśmy o małych dzieciach i Azmierze, a ja w tym czasie szybko go wykąpałam. Zapłakał króciutko, kiedy włożyłam go do wody, ale cały czas uspokajająco do niego przemawiałam. Choć miałam pojęcie o tym, co robię, czułam wielką różnicę między kąpaniem dzieci Hanif a własnego synka. Kiedy skończyłam, pielęgniarka wręczyła mi niebieskie body i kaftanik.

– Chodź, odprowadzę cię na oddział.

Najpierw ubrałam Azmiera, potem owinęłam go w kocyk, pozostawiając na wierzchu tylko rączki. Kiedy wróciłam do swojej sali, w powietrzu unosił się apetyczny zapach tostów. Odłożyłam Azmiera do łóżeczka. Za plecami usłyszałam głos:

– Co chciałabyś na śniadanie, kochanie?

– Poproszę tosty i herbatę.

Miła pani kiwnęła do mnie głową i się uśmiechnęła.

– Proszę. Może jeszcze płatki z mlekiem? Musisz być głodna jak wilk.

Wsunęłam się z powrotem do łóżka.

– Zgadza się. W takim razie poproszę o płatki.

Podsunęłam bliżej tacę, a ona postawiła na niej śniadanie. Przypomniałam sobie, że ostatni raz dostałam śniadanie do łóżka, kiedy przebywałam w domu dziecka. Ten prosty gest miał dla mnie ogromne znaczenie.

Pani, która roznosiła jedzenie, wręczyła mi małą kartkę i długopis.

– Zaznacz na tej karteczce, co chcesz na obiad. Potem przyjdę i ją zabiorę.

Jedząc śniadanie, przeczytałam jadłospis. Wybrałam ziemniaki w mundurkach i sałatkę, a na deser szarlotkę i budyń. Ślinka mi ciekła na samą

myśl o czekającej mnie uczcie. Od wieków nie jadłam nic równie pysznego!

– Faj, wstrętne to szpitalne jedzenie – narzekła Julie.

– Uhm – mruknęłam niezobowiązująco, w głębi duszy byłam jednak przekonana, że jest dokładnie na odwrót. Cudowna odmiana od jedzenia, do którego przywykłam na co dzień.

Po skończonym posiłku odsunęłam stoliczek z tacą i rozłożyłam na płasko oparcie łóżka. Azmier głęboko spał. Ja też czułam się zmęczona, przykryłam się więc kołdrą i leżałam, rozmyślając o własnym dzieciństwie, o najzycziwszej, najlepszej i najpiękniejszej z kobiet – cici Peggy, i o tym, jaką otaczała mnie troską i jaki szacunek mi okazywała w domu dziecka. Przysięgłam sobie, że będę ją naśladować, a Azmier będzie dorastał w miłości i poczuciu bezpieczeństwa. Krótko mówiąc, że nigdy nie stanę się podobna do własnej matki. W tamtej chwili ogarnęło mnie poczucie mocy, jakiego wcześniej nie znałam, źródłem tej mocy był zaś maleńki Azmier i moja miłość do niego, a także bezgraniczna chęć, by go chronić. Uśmiechając się do leżącego w przezroczystym łóżeczku syna, zasnęłam.

Następne dwa dni upłynęły mi cudownie. Spędziłam je na tych samych czynnościach co pierwszego ranka – budziłam się, brałam prysznic, karmiłam Azmiera, jadłam i spałam. Czasem rozmawiałam z Julie, trochę czytałam kolorowe czasopisma, a niekiedy po prostu wpatrywałam się w mojego ślicznego dzidziusia.

Trzeciego dnia po lunchu, kiedy właśnie przewinęłam Azmiera i odkładałam go do łóżeczka, usłyszałam za plecami głos Tary:

– Co robisz?

Odwróciłam się na pięcie i ujrzałam siostrę stojącą w nogach łóżka. Julie akurat kąpała córeczkę, więc byłyśmy w sali same. Uśmiechnęłam się – wreszcie ktoś z rodziny przyszedł mnie odwiedzić!

– Właśnie zmieniałam mu pieluszkę. Nie śpi. Chcesz go zobaczyć?

Oczekiwałam, że powie „tak”, i już zaczęłam się odwracać, by go podnieść, ale ona odparła:

– Czy ktoś wypytywał cię o dziecko?

Wyprostowałam się, a uśmiech zniknął z mojej twarzy.

– O co ci chodzi?

Byłam przekonana, że przede wszystkim obejrzy małego.

– Dobrze wiesz, o co – warknęła. – Czy ktoś cię pytał o ojca tego dziecka?

Zmarszczyłam czoło.

– Nie. A dlaczego miałby pytać?

Usłyszawszy moją odpowiedź, Tara odwróciła się na pięcie i wyszła. Ruszyłam za nią. Nawet nie spytała, jak się czuję, ani nie chciała zobaczyć mojego synka, dowiedzieć się, ile ważył lub czy może go potrzymać, albo czy ja czegoś nie potrzebuję. Zanim jednak zdołałam drgnąć, Tara cofnęła się z korytarza.

– Pielęgniarki mówiły, że za dwa dni wracasz do domu – oznajmiła. W jej

głosie usłyszałam twardy, nieprzejednany ton. – Przyjadę po ciebie w porze obiadu.
– I wyszła. Tym razem już nie wróciła.

Kiedy nadszedł dzień wyjścia ze szpitala, musiałam spytać pielęgniarkę, czy mogę zatrzymać ubranka, które dała mi dla Azmiera, ponieważ zupełnie nic dla niego nie miałam. Zapytałam też, czy mogę wziąć jeden z kocyków.

Pielęgniarka spojrzała na mnie ze współczuciem.

– Cóż. Nie powinniśmy nikomu dawać tych rzeczy, ale w twoim przypadku zrobimy wyjątek...

– Dziękuję – rzekłam z ulgą. W głębi duszy zastanawiałam się jednak, co miała na myśli, mówiąc o „moim przypadku”.

Przebrałam się w ubranie, w którym tu przyjechałam. Było teraz o wiele za luźne. W kieszeni swetra odkryłam parę monet. Wzięłam je do ręki i przeliczyłam. Zapakowałam do torby parę pieluch na zapas, a potem usiadłam i czekałam. Czas włókł się niemiłosiernie. Minęła pierwsza, potem druga. Gdzie podziewała się Tara? Trzecia. Dawno minęła pora obiadowa. Zmęczyło mnie czekanie. Postanowiłam, że wrócę do domu autobusem. Miałam drobne na bilet. Wzięłam więc Azmiera, podeszłam do dyżurki pielęgniarek i oznajmiłam, że wychodzę.

– Ktoś po ciebie przyjechał? – zapytała jedna z nich ze zdziwieniem.

– Nie – odpowiedziałam. Próbowałam mówić stanowczym, zdecydowanym głosem. – Jadę autobusem.

Obie kobiety otworzyły szeroko oczy i zaszokowane patrzyły na mnie.

Wreszcie pierwsza odchrząknęła.

– Nie mogę ci tego zakazać, ale będziesz musiała chwilę zaczekać. Odprowadzę cię do wyjścia.

– Dobrze – zgodziłam się. – Gdzie mam czekać?

– Wróc do swojej sali. Zaraz po ciebie przyjdę.

Wróciłam więc i usiadłam na łóżku. Było piętnaście po czwartej. Coraz bardziej się niecierpliwiłam. Już miałam ponownie podejść do dyżurki, kiedy w drzwiach pojawiła się Tara.

– Gotowa jesteś? – zapytała.

– Co tak długo? Czekam na ciebie godzinami – odparowałam.

– Przecież mówiłam, że po ciebie przyjadę, prawda?

Spojrzałam na nią i pokręciłam głową.

– Chodźmy już lepiej.

Kiedy mijałyśmy dyżurkę pielęgniarek, jedna z nich na mój widok powiedziała:

– O, jak to dobrze! Ktoś po ciebie przyjechał. Już się martwiłyśmy, że rzeczywiście będziesz wracać autobusem.

Tara rzuciła mi szybkie spojrzenie.

– Co, chciałaś wracać autobusem? Oszalałaś?

- Myślałam, że nikt nie przyjedzie.
- Ona oszalała – powiedziała Tara do pielęgniarki, nie zatrzymując się.
- Nieprawda! – zawołałam.

Tara przystanęła i popatrzyła na mnie lodowato. Odwzajemniłam jej spojrzenie. Nigdy dotąd się jej nie postawiłam, ale teraz czułam się jakoś inaczej. Miałam dziecko. Musiałam być silna, żeby je chronić.

Tara pierwsza odwróciła wzrok. Nie odzywając się ani słowem, jechałyśmy samochodem do domu.

Weszłyśmy do dużego pokoju, w którym siedziała matka. Już w drzwiach Tara obwieściła:

- W szpitalu zachowywała się naprawdę bezczelnie.

Jazda samochodem zmęczyła mnie, więc usiadłam w milczeniu. Matka podeszła i wyjęła Azmiera z moich rąk. Kazała mi iść się położyć i nie martwić się o synka. Nie byłam z tego zadowolona. Nie miałam do niej zaufania, jeśli chodzi o dziecko. Na widok Azmiera w ramionach matki ujrzałam tam samą siebie. Również jej słowa: „ja się nim zajmę”, sprawiły, że w mojej głowie od razu pojawiło się pytanie: „co, może tak samo, jak się mną zajmowałaś?”. Aż wzdrygnęłam się na myśl, jak mogłaby wyglądać ta opieka. Wyciągnęłam rękę, odebrałam synka matce i powiedziałam:

- Nie, nie, dam sobie radę. Nie jestem zmęczona.

Wtedy weszła Mena, cała w mące. Roześmiałam się, a ona stała ze wzrokiem wlepionym w dziecko. Spojrzała na mnie i zupełnie zbita z tropu, zapytała:

– O co chodzi? Z czego się śmiejesz? Nie wezmę Azmiera na ręce, jeśli to miałaś na myśli. Właśnie robię *roti*, ale nie mogłam się doczekać, żeby go zobaczyć.

– Wiem – odparłam, nadal się śmiejąc. – Masz na twarzy tyle samo mąki, ile na rękach. – Mena nie zasługiwała na miano najlepszej kucharki. Starła się, ale potrawy, które wychodziły spod jej rąk, zawsze były albo niedogotowane, albo przypalone. – Kto to jest, Azmier? – zapytałam, unosząc dziecko. – Patrz, twoja ciocia udaje klauna!

– Jaki śliczny! – zawołała Mena, podchodząc bliżej. – Jakie ma maleńkie paluszki! Ej, *roti* mogą poczekać. Umyję ręce, żeby go potrzymać.

Wyszła, a ja posłałam za nią spojrzenie pełne wdzięczności. Była pierwszą osobą z rodziny, która pozytywnie zareagowała na pojawienie się Azmiera. Ogromnie dużo to dla mnie znaczyło.

W tej samej chwili Azmier się rozplakał. Był głodny. Zabrałam go więc do swojego pokoju, żeby nakarmić. Po paru minutach pojawiła się Mena. Usiadła obok mnie na łóżku. Ze zdumieniem na twarzy przyglądała się, jak łapczywie ssie pierś.

- To nie boli? – spytała.

– Troszkę. Już skończyłaś gotować? Umieram z głodu.

– Och, no pewnie. Czekał, pójdę i coś ci przyniosę.

Po paru minutach wróciła, niosąc talerz wypełniony ryżem i gorącym curry z kurczaka. Choć danie zupełnie nie przypominało cudownego szpitalnego jedzenia, pochłonęłam je w mgnieniu oka. Smakowało wyśmienicie.

Tej nocy Azmier spał u mnie w łóżku. Nie miałam dla niego łóżeczka. Nie miałam też żadnych ubranek, z wyjątkiem tych, które dostałam w szpitalu.

Następnego ranka odwiedziła nas pielęgniarka rejonowa. Przyszła sprawdzić, jak sobie radzimy z dzieckiem, czy wszystko jest w porządku i czy niczego nam nie brakuje. Ze wstydem przyznałam, że nie mam dla dziecka żadnych ubranek. Rozejrzała się po moim pokoju i spytała, gdzie mały śpi. Musiałam powiedzieć jej prawdę.

– Spróbuję załatwić dla was łóżeczko i trochę ubranek – obiecała.

Jeszcze tego samego dnia wieczorem przytaszczyła łóżeczko i cztery duże torby ubrań.

Zdołałyśmy z Meną ustawić łóżeczko w kącie pokoju, a tymczasem matka przeglądała ubranka. Nagle przyszła mi do głowy myśl, że doskonale wiedziała, że jeśli nic Azmierowi nie kupi, wszystko przyniesie nam pielęgniarka. Rozzłościłam się. Jak to możliwe, myślałam, że moja rodzina nic nie kupiła dziecku, podczas gdy Hanif miała dla swoich dzieci wszystko, co trzeba, a nawet znacznie więcej. Matka posortowała ubranka pod względem rozmiaru i spakowała z powrotem te, które na razie były za duże. Obejrzałam pozostałe ciuszki – używane, ale niezniszczone i czyste. Dostałam też całą torbę pościeli. Wyjęłam kilka sztuk i pościeliłam Azmierowi łóżeczko, a potem go w nim położyłam.

W ciągu następnych dni odkryłam, jak miło jest mieć kogoś, o kogo się troszczy. Poświęcanie uwagi synowi i zaspokajanie jego potrzeb było najprzyjemniejszym zajęciem, jakie wykonywałam do tej pory. Przypominałam sobie, jak przed laty w domu dziecka bawiłyśmy się lalkami z Amandą, z tym że opieka nad prawdziwym dzieckiem przynosiła znacznie więcej satysfakcji. Pozwalała mi też skupić się na czymś pozytywnym. Odczułam to jako dużą zmianę na lepsze.

Pewnej nocy, kiedy wstałam nakarmić Azmiera, przyjrzałam mu się bardzo dokładnie. Miał otwarte oczka i patrzył na mnie podczas jedzenia. Potem, kiedy się najadł, opadły mu powieki, zamrugały piękne, długie rzęsy i zapadł w sen. Wpatrywałam się w niego i czułam, jak rytmicznie oddycha, a z każdym oddechem unosi się i opada jego maleńka klatka piersiowa. Tej nocy więc złożyłam obietnicę mojemu skarbowi. Wyszeptałam cichutko, żeby nikt nie słyszał:

– Nie będziesz musiał przechodzić przez to, co ja. Nie dopuszczę do tego. Nie pozwolę, aby na ciebie klęli, dawali ci klapsy i popychali. Obiecuję. Ja ci tego nie zrobię i nie pozwolę, aby inni również to robili. Uchronię cię przed tym. Nie

będziesz też musiał wykonywać tego, czego od ciebie żądają. Będiesz tym, kim zechcesz. Rozkwitniesz jak piękny kwiat. – Pochyliłam się i przypieczętowałam obietnicę pocałunkiem na jego małym czółku.

Kiedy Azmier skończył osiem miesięcy, Manz kupił sklep z narzędziami i artykułami metalowymi, w którym musiała pracować Mena. I znowu po wielu miesiącach dzielenia z nią obowiązków domowych wszystko spadło na mnie. Byłam wykończona. W miarę upływu tygodni i miesięcy przekonałam się, że moje macierzyństwo nic dla matki nie znaczy. Ona zawsze wiedziała lepiej. Jeśli zamierzałam zrobić coś dla Azmiera, matka zwykle wynajdowała inne metody wychowawcze. Nie pozwalała mi zabierać go na spacer, karmić tym, czym chciałam, brać na ręce, gdy płakał. Twierdziła, że jeśli za każdym razem będę go tulić, przyzwyczai się do rozpieszczania.

Zasady te nie dotyczyły jednak dziecka Tanvir i Sabera. Szam urodził się miesiąc po Azmierze. Codziennie wychodzili z nim na spacer, ubierali tak, jak chcieli, karmili, czym sobie życzyli, a matka sama brała go na ręce, gdy płakał. Dlaczego do mojego dziecka odnosiła się inaczej?

Choć nie miałam czasu, zawsze sama karmiłam Azmiera, przebierałam go i bawiłam się z nim. Był radosnym dzieckiem i nie płakał dużo, zwłaszcza w porównaniu z dziećmi Hanif. W wieku czternastu miesięcy umiał już załatwiać się do nocnika. Mniej więcej w tym samym czasie zaczął chodzić. Kiedy Szam postawił pierwsze kroki, Tanvir i Saber byli w siódmym niebie, jak zresztą cała rodzina. Natomiast kiedy tydzień czy dwa później zaczął chodzić Azmier, nikt prócz mnie i Meny nawet tego nie zauważył. Tylko ona dała mu buziaka i coś słodkiego.

Afzal nie zareagował na list, w którym matka zawiadomiła go o narodzinach Azmiera. Nie przysyłał mu życzeń urodzinowych, nic takiego. Chciałam, aby Afzal przyjechał i otoczył nas opieką, ale ponieważ nigdy nawet nie spytał o syna, czułam się bardzo rozczarowana. Potem stwierdziłam, że muszę walczyć nie tylko o siebie, lecz również o Azmiera. Skupić się przede wszystkim na tym, by go chronić. Czasem było mi ciężko, więc często płakałam, trzymając śpiącego synka na rękach.

Opowiadałam mu historie, które zapamiętałam z dzieciństwa, z czytanych jeszcze w domu dziecka książek. Śpiewałam piosenki, których nauczyła mnie ciocia Peggy, kiedy siedziałam u niej na kolanach. Wymyślałam mnóstwo bajek o dzieciach mieszkających w lesie Cannock Chase. Opowiadałam je synkowi co dzień na dobranoc, gdy nikt nie słyszał.

Powoli stawałam się inną osobą. Uczyłam się stawiać na swoim. Jeśli miałam ochotę, zabierałam Azmiera na spacer. Odmawiałam, jeśli czułam, że nie chcę czegoś robić. Z upływem miesięcy stawałam się coraz bardziej niezależna.

Szłam za przykładem mojego taty. Kiedy Azmier miał prawie dwa lata, tata, który nocował u nas parę dni, wyszedł do miasta i wrócił z dużą torbą. Akurat robiłam coś w kuchni.

– Ruchy, ruchy! – krzyknął. Aż podskoczyłam, bo nigdy dotąd nie podnosił na mnie głosu. Rozejrzał się po kuchni i zobaczył garnek, którego chciał użyć, ale naczynie było brudne. – Umyj to! – wrzasnął znowu.

Zrobiłam, co mi kazał. Trzęsłam się z przerażenia. Matka, Mena i Tara, słysząc zamieszanie, przybiegły do kuchni.

– Co ty tu znowu wyprawiasz?! – krzyknęła matka na ojca. – I po co przyszedłeś? Wynoś się!

Tata odwrócił głowę i wrzasnął na nią:

– Odpieprz się, ty suko!

Wtedy matka kazała nam uciekać do sypialni, a sama zawołała policję.

Wszyscy wybiegli z kuchni. Ja szłam powoli, ociągając się. W drzwiach odwróciłam się przez ramię, by na niego spojrzeć. Zachowanie ojca okazało się dla mnie całkowitą nowością. Doznałam swego rodzaju przebudzenia. Odczytałam je jako zachętę. Jeśli tata potrafił sprzeciwić się matce, to ja również. Przeżycie to dodało mi odwagi, by zacząć postępować wbrew rodzinie.

Przyjechała policja, która z kolei wezwała pogotowie. Matka powiedziała, że ojciec zachowuje się agresywnie, bo nie wziął leków, więc muszą dać mu zastrzyk na uspokojenie. Tata pojechał z nimi bez słowa sprzeciwu. Od tego dnia jednak czułam się jakoś inaczej. Coś mi niechący podarował.

Od tamtej pory matka straszyla Azmiera policjantami.

– Jak będziesz niegrzeczny, przyjedzie policja i cię zabierze – mawiała. – Zamknie cię samego w pokoju bez jedzenia i picia, a jak spróbujesz uciec, to cię zbiję. Lepiej bądź grzeczny i rób, co ci każe.

Wściekłam się, że mu to powiedziała. Mały bardzo się bał, ale było już za późno – tych słów nie dało się cofnąć.

Jeszcze bardziej złościłam się, kiedy matka kazała mi mówić do mnie *badzi*, czyli starsza siostra. W ten sposób ja i Mena zwracałyśmy się do Tary. Powiedziałam matce:

– Nie, tak nie będzie. Jestem jego matką i ma do mnie mówić mamó.

Wrzasnęła, że jestem za młoda na matkę, że wyglądam jak dziewczynka i że nie chce, aby jej znajome zadawały jej dziwne pytania. A jeśli ktoś doniesie, że mam dziecko w tym wieku i mi je odbiorą? Zgodziłam się niechętnie, ponieważ wstydziłam się, że zostałam matką w wieku czternastu lat. Kiedy matka wyszła, nauczyłam Azmiera, że ma mówić do mnie „mama”. Gdy jednak przez pomyłkę robił to w jej obecności, pytała surowo:

– Jak ty do niej powiedziałeś?

Azmier zaś odpowiadał szybko:

– *Badzi.*

Bał się jej gniewu. Dostałam po twarzy, bo jej się postawiłam, ale była to niewielka cena za to, by na co dzień słyszeć, jak synek mówi do mnie „mamo”.

Każdej nocy śniłam powracający sen. Czułam się w nim bardzo samotna. Znajdowałam się w pokoju na strychu, wysoko nad resztą ludzi, których znałam i doskonale słyszałam. Wszędzie wokół piętrzyły się kartonowe pudła, a pod ścianami stały przeszkolone witryny z biżuterią, która migotała w mroku. Ktoś – nie jestem pewna kto – mówił do mnie: „No, wybierz sobie któryś, nic się nie stanie”, a ja przeglądałam witryny w poszukiwaniu klejnotu, który najbardziej mi się spodoba. Wreszcie znajdowałam – był to wisiołek, stary i zmatowiały, ale z jaskrawą, lśniąca, czerwoną różą. Wyciągałam rękę, żeby go dotknąć, i dokładnie w tej chwili się budziłam. Leżałam wpatrzona w sufit, zastanawiając się, co ten sen ma znaczyć. Potem rano złościłam się na wszystkich.

Tak czy inaczej, świeżo zdobyta niezależność sprowadziła na mnie stare kłopoty. Parę miesięcy po tym, jak Manz został właścicielem sklepu z narzędziami, kupił drugi sklep na tej samej ulicy. Był to warzywniak. Kazał matce, żebym następnego dnia rano stawiała się tam razem z Meną. Odmówiłam. Kto zajmie się Azmierem? Za nic nie zostawiłabym go z matką.

– Nie będę dla ciebie pracować za darmo – oznajmiłam. – I tak haruję tu, w domu, jak niewolnica, a teraz chcesz jeszcze, żebym robiła to samo w sklepie?

Tym sposobem wróciło to, co działo się w czasach przed wyjazdem do Pakistanu, a o czym zdążyłam już zapomnieć: Manz znów dał mi wycisk. Leżałam posiniaczona na podłodze, a on stał nade mną i wrzeszczał:

– Przyjdiesz pomagać w sklepie! Twoim głupim bachorem może zająć się matka, a poza tym jest Tanvir. Ona też może się nim opiekować!

Nie miałam wyboru.

Dotychczas każdy poranek przynosił radość spotkania z synkiem – uściski, widok jego otwartych oczu, rozpoczęcie dnia w jego miłym towarzystwie. Jedliśmy razem śniadanie, potem ja zabierałam się do swoich obowiązków, a on płatał mi się między nogami. Następnego ranka byłam gotowa do wyjścia, nim jeszcze mały zdążył odwrócić się na drugi bok. Kiedy Manz nacisnął klakson, ponaglając mnie i Menę, ucałowałam Azmiera w czołko i wybiegłam z domu, zanim zdążyłam się rozplakać.

Manz zaparkował na przecznicy, która dochodziła do ruchliwej ulicy, jednej z głównych w mieście. Po obu stronach mieściły się rozmaite sklepy. Manz poprowadził nas do sklepu z narzędziami i artykułami metalowymi. Mena bez słowa wzięła od niego klucze, otworzyła i weszła do środka.

– Chodź tędy – powiedział do mnie Manz, nawet się nie oglądając. Ruszyłam więc za nim, by dotrzeć aż do sklepu o nazwie „Zielone Pastwiska”. Tam zatrzymał się i zaczął podnosić metalową roletę.

Rozejrzałam się po wnętrzu. Jedną ścianę zajmowały półki zastawione puszkami i słoikami, a drugą – lada z kasą. Manz przerwał moją zadumę, mówiąc:

– Najpierw weź się do ważenia ziemniaków. W kącie są worki. – Wskazał palcem na zaplecze. – Odważ trzy kilo, tam jest waga, wsyp do worka i zwiąż. Gotowe worki odkładaj o, w tamto miejsce. Jak skończysz, powiem ci, co masz robić dalej.

Zaczęłam pracować w kącie, ale według niego niewystarczająco się wysilałam.

– W ten sposób daleko nie zajdziesz. Przesuń się, pokażę ci, jak to robić. – Wziął pusty worek. – Najpierw wsyp ziemniaków – rzekł i wsypał do środka trochę ziemniaków. – Potem zważ. Widzisz? Prawie trzy kilo, starczy. – Nie śmiałam wtrącić, że w worku było znacznie mniej niż trzy kilo i każdy głupi mógł to w każdej chwili sprawdzić. Nie chciałam zarobić kolejnego szturchańca. Manz zdjął worek z wagi, zawiązał go i odłożył na podłogę. W tej samej chwili do sklepu wszedł klient. – No, zabieraj się do roboty, i to szybko.

Zaczęłam ważyć ziemniaki i wsypywać je do worków, ale myślałam wyłącznie o Azmierze. Czy już się obudził? Czy zjadł śniadanie? Czy będzie musiał płakać, żeby ktoś się nim zajął? Po jakimś czasie, kiedy skończyłam pakować ziemniaki, podeszłam do Manza i spytałam:

– Jestem głodna, czy mogę iść kupić sobie coś do jedzenia?

– Tak, i kup coś dla Meny. Tylko załatw to szybko – odparł.

Nie wiedziałam, co kupić, postanowiłam więc iść do Meny, zapytać, co ona chce, i kupić sobie to samo. Ruszyłam do sklepu z narzędziami, po drodze mijając piekarnię. U Meny panował spokój. Ucieszyła się na mój widok.

– No, i jak tam? – zapytała z uśmiechem.

Powiedziałam jej, a potem spytałam, co chce do jedzenia.

– Idź do piekarni i kup kanapki. Z jajkiem i majonezem. – Po czym sięgnęła do kasy i podała mi banknot pięciofuntowy.

Dla siebie kupiłam pasztecik i ciastko z kremem, dla niej kanapki, po czym wróciłam do Meny, usiadłyśmy sobie za ladą i gawędząc, jadłyśmy śniadanie.

– Nie nudzi ci się tak tutaj siedzieć, dzień w dzień? – zapytałam.

– Nie, wcale. Lepiej tu niż w domu, gdzie matka cały czas klnie i bije.

Trudno było się z tym nie zgodzić, ale ja martwiłam się o synka.

– Tak. Mam tylko nadzieję, że Azmierowi jest dobrze. Och, jak chciałabym móc go wziąć ze sobą.

– Sam, jestem pewna, że Azmier ma się dobrze. To twardy dzieciak – odparła Mena, dojadając kanapkę. – Lepiej już wracaj, bo Manz się wścieknie.

Manz wydał mi następne polecenia w tej samej chwili, kiedy weszłam do sklepu.

– Mam zamiar nauczyć cię obsługiwać kasę, bo jutro muszę jechać do

hurtowni. Patrz. Najpierw wbijasz cyfry, a potem naciskasz ten klawisz. Tylko tyle. Teraz weź z półek parę produktów, jakbyś była klientką, i nabijemy je na kasę.

Podeszłam do półek, zapakowałam do koszyka kilka rzeczy i przyniosłam je do kasy. Manz znowu pokazał mi, jak ona działa i co po kolei naciskać. Kiedy już opanowałam tę sztukę, do końca dnia obsługiwałam klientów.

Wieczorem po powrocie do domu padłam ze zmęczenia, ale kiedy przybiegł Azmier i objął swoimi ramionkami, od razu poczułam się lepiej. Nikt nigdy nie powitał mnie równie gorąco, byłam więc w siódmym niebie. Przytuliłam go i wycalowałam jego słodką buźkę tak, że zaczął chichotać.

– Dobrze się bawiłeś? Tęskniłeś za mną? – pytałam.

Azmier śmiał się, a potem powiedział, że chce zjeść kolację. Pojawiła się matka i nakazała, że mam przygotować wszystkim kolację, i to tyle, by wystarczyło na jutrzejszy obiad – tak, aby Azmier miał co jeść w ciągu dnia.

Odstawiłam Azmiera na podłogę i przeklinając pod nosem, ruszyłam do kuchni. Przez cały dzień stałam przy kasie w sklepie, więc teraz marzyłam jedynie o tym, by usiąść i odpocząć, jak robiły to Hanif i Tanvir. Zamiast tego musiałam gotować – nie tylko kolację, ale i jutrzejszy obiad dla wszystkich. Przygotowałam curry z ryżem, tak dużo, by starczyło na jutro. Wkrótce po tym, jak zjedliśmy z Azmierem, położyłam go do łóżeczka i sama też poszłam spać. Nie było jeszcze ósmej, kiedy oboje spaliśmy kamiennym snem.

Zdawało się, że nie minęło nawet parę minut, gdy Mena mnie obudziła.

– Sam, Sam!

– Co? – zapytałam, zaspana.

– Pospiesz się, Manz zaraz po nas będzie!

Powtórzyło się dokładnie to samo, co wczoraj. Azmier jeszcze spał, więc pocałowałam go w czoło i zbiegłam po schodach. Kiedy dotarliśmy do sklepów, Mena została w swoim, a ja poszłam z Manzem. Najpierw pomagałam mu ustawiać towar na półkach, a potem wyszłam kupić coś na śniadanie dla siebie i dla Meny. Manz poinstruował mnie:

– Wróc za piętnaście minut, bo muszę jechać do hurtowni.

Jedząc z Meną kanapki, wyznałam jej, że boję się zostać sama w sklepie.

– Co będzie, jeśli coś pójdzie na opak? Jeśli komuś źle wydam? Nie chcę zostawać w pojedynkę.

– Też tak się czułam, kiedy pierwszy raz zostałam tu sama – odparła. – Ale nic się nie stanie – jeśli się pomylisz, to po prostu przeproś. Słuchaj – jeżeli naprawdę wydarzy się coś okropnego i nie będziesz dawała sobie rady, poproś kogoś, żeby po mnie przyszedł. Zamknę sklep i przybiegnę.

Ku memu zdziwieniu Manz również próbował dodać mi otuchy.

– Wszystko pójdzie dobrze – rzekł przed odjazdem. – O tej porze nie ma dużego ruchu. Wrócę najpóźniej za dwie godziny.

Miałam nadzieję, że w tym czasie nie przyjdzie żaden klient, ale oczywiście, kiedy tylko drzwi się za Manzem zamknęły, w sklepie pojawiło się mnóstwo kupujących. Przejęłam się tym do tego stopnia, że nawet nie zauważyłam, kiedy Manz wrócił załadowaną po sam dach półciężarówką.

– Chodź, pomożesz mi opróżnić samochód – rozkazał.

Miło byłoby usłyszeć: „Jak sobie poradziłaś?” albo „Świetnie dałaś sobie radę sama”, ale oczywiście nic z tych rzeczy. Pomogłam mu rozładować towar, a potem do końca dnia rozkładałam go na półkach i obsługiwałam klientów. Po południu odczuwałam pragnienie i ślaniałam się ze zmęczenia. Chciałam czegoś się napić, ale Manz powiedział:

– Nie, zaraz wracamy do domu. Tam się napijesz.

Podczas jazdy powrotnej zdrzemnąłam się. W kuchni przeszukałam lodówkę i szafki, by przekonać się, że nikt nie naszykował nic do jedzenia. Azmier narzekał, że jest głodny, przygotowałam więc jemu i sobie tosty. Zjedliśmy je na sucho, bo zużyli całe masło. Dopiero kiedy trochę się posililiśmy, zaczęłam gotować curry.

Matka, poczuwszy zapach jedzenia, krzyknęła do mnie z sypialni:

– Sam, nie gotuj dziś ryżu! Zrób *roti*.

Azmier był ze mną w kuchni, więc powoli policzyłam do dziesięciu. Pokazałam matce język, na co Mena zaczęła chichotać.

– Sam, pomogę ci robić *roti*. Pierwsze damy Azmierowi, wydaje się naprawdę głodny.

Azmier w mgnieniu oka pochłonał placek.

– Normalnie nigdy nie je tak łapczywie, Mena – stwierdziłam. – Zdaje mi się, że przez cały dzień nie dają mu nic do jedzenia.

Tego wieczora ukryłam pod łóżkiem cały talerz jedzenia. Mena, widząc to, spytała:

– Co robisz?

– A jak myślisz? Jutro, jak wrócimy do domu, będziemy chociaż miały co włożyć do ust!

Następnego dnia tuż przed zamknięciem sklepu powiedziałam do Manza:

– Matka mówiła, że w domu kończy się jedzenie. Prosiła, żeby przywieźć trochę chleba, jajek, masła i mleka.

– Dobra, w takim razie pospiesz się i weź, co chciała – warknął. – Tylko szybko, bo chcę już zamykać.

Zapakowałam wszystkie produkty, o które prosiła matka, i ukradkiem wsunęłam do torby parę tabliczek czekolady. Po powrocie do domu ukryłam je pod swoją poduszką i dopiero zeszłam do kuchni.

– I znowu nie ma nic do jedzenia – jęknęła Mena. – A jestem głodna jak wilk.

Przytknęłam palec do ust, pokazując jej, by zamilkła, a potem wróciłam do

pokoju po wczorajsze zapasy. Podgrzałam danie w kuchence mikrofalowej i podzieliłam na trzy porcje – dla mnie, dla Meny i dla Azmiera. Zjedliśmy je z chlebem, a w tym czasie wzięłam się do przygotowania dzisiejszej kolacji. Odtąd codziennie wieczorem chowałam jedzenie, by Azmier mógł dostać jeść od razu po moim powrocie do domu.

Codzienna rozłąka z synem stała się dla mnie torturą, bo wkrótce okazało się, iż w domu nikt się nim nie opiekuje. Kiedy wracałyśmy z Meną z pracy, zawsze był głodny i brudny – nikt nie mył mu rączek ani buzi. Nie miałam pojęcia, co robił całymi dniami, ale gdy pytałam, sprawiał wrażenie radosnego i zadowolonego. Wiedziałam jednak, że nikt się z nim nie bawi ani nie poświęca mu uwagi.

Karmiłam go, kąpałam, czytałam mu bajki i śpiewałam, wymyślałam historie, których bohaterami były jego paluszki, a potem kładłam go spać. Ale zamartwiałam się – doskonale zdawałam sobie sprawę, że potrzebował ode mnie więcej, niż mogłam mu zapewnić. Powinien przebywać ze mną przez cały dzień. Kiedy leżałam w łóżku, patrzyłam na jego spokojną, uśpioną buzię i modliłam się o cud. Nie potrafiłam opisać, czego konkretnie chciałam. Wiedziałam jedno – jego życie musi być lepsze od mojego.

W sklepie też rozmyślałam tylko o nim i o tym, jak wyglądałoby nasze życie, gdybym zabrała go i uciekła. Znalezlibyśmy gdzieś mały domek z ogrodem i przez cały dzień bawilibyśmy się na słońcu. Uśmiechałam się do siebie na samą myśl, a wtedy Manz przerywał mi, mówiąc:

– A ty znowu myślisz o niebieskich migdałach!

Jeśli zaś w sklepie akurat nikogo nie było, uderzał mnie ręką w głowę i marzenia natychmiast pryskały.

Trzecie urodziny Azmiera minęły cicho i niepostrzeżenie – prócz Meny i mnie nikt ich nie obchodził. Ukradkiem wyniosłam ze sklepu trochę czekoladek i kiedy zostaliśmy tylko we trójkę, dałam mu je, mówiąc:

– Wszystkiego dobrego z okazji urodzin.

Urodziny Szama, które wypadają trzy tygodnie później, wyglądały zupełnie inaczej: dostał zabawkę od Tary, od matki nowe ubranka, a od Tanvir i Sabera – dużo różnych prezentów.

Tej nocy Azmier, który teraz spał ze mną, bo wyrósł już ze swojego łóżeczka, bardzo wiercił się przez sen. Myślałam, że może po pełnym wrażeń dniu niespokojnie śpi. Chciałam synka jakoś uspokoić, więc nie budząc go, przytuliłam do siebie. Przy okazji dotknęłam jego pleców. Wzdrygnął się gwałtownie. Nie wiedziałam, o co chodzi. Nie chciałam zapalać światła, żeby nie przeszkadzać Menie. Poczekałam do rana i kiedy zrobiło się wystarczająco widno, uniosłam bluzę jego piżamki.

I wtedy zamarłam. Pod piżamą, mniej więcej pośrodku pleców, widniał rozległy, świeży siniak, którego z całą pewnością nie mógł nabić sobie sam, spadając ze schodów lub uderzając się o coś w ogrodzie. Zapłakałam bezgłośnie. Mojego małego chłopczyka w tej rodzinie bito tak samo jak mnie. Przynależało mi, że go ochronię, i zawiodłam. Równocześnie zauważyłam, że zmoczył łóżko, czego nigdy dotąd nie robił.

Azmier odwrócił się, uśmiechnął, a kiedy zobaczył, że płaczę, objął mnie rączkami i powiedział:

– Nie płacz, mamó. Cicho, wszystko będzie dobrze.

Przez łzy uśmiechnęłam się do niego. Powtórzył dokładnie te słowa, którymi go zawsze uspokojałam. Otarłam policzki i uścisnęłam synka.

– Masz rację, kochanie. Wszystko będzie dobrze.

Wstaliśmy, ubrałam Azmiera i szybko zwlekłam pościel. Włożyłam ją razem z piżamą do pralki, by nikt się nie dowiedział, że Azmier zrobił siusiu do łóżka, i go za to nie zbił. Zjedliśmy po toście, po czym musiałam zbierać się do pracy. Bardzo się martwiłam, co będzie dalej, czy ktoś się zajmie moim dzieckiem.

Jadąc furgonetką Manza do sklepu, podjęłam decyzję: ucieknę stąd, teraz nie mam już wyboru. Spakuję walizkę, wezmę Azmiera i pojedziemy – nie wiem dokąd, byle daleko.

Poczekałam do przerwy śniadaniowej, a kiedy wreszcie nadeszła, pobiegłam do drugiego sklepu powiedzieć Menie.

– Dokąd pójdziecie? – spytała.

– Nie wiem – odparłam. – Wszędzie indziej będzie lepiej niż w tym domu.

– Ale gdzie będziesz mieszkać? Co zrobisz? Sam, zostań. Znajdą cię, a wtedy cię zabiją albo siłą zaciągną do Pakistanu i tam zostawią.

Spojrzałam na nią. Tak, miała rację. Na pewno będą nas szukać. A co zrobią, jak znajdą? Wyślą do Pakistanu? Zrobią krzywdę, a może nawet zabiją? W naszej społeczności takie rzeczy się zdarzały. A ponieważ poza rodziną nikt z sąsiedztwa mnie nie znał, to moje zniknięcie przejdzie bez echa, nie poniosą konsekwencji. Nawet Mena, zważywszy na to, jak bardzo się wszystkiego bała, nie ośmieli się rozmawiać z policją. A co najważniejsze – co wtedy będzie z Azmierem?

W porządku. Nie będzie łatwo. Ale coś wymyślę, na pewno. Muszę jakoś wydostać Azmiera z tej okropnej rodziny. Nie miałam dokąd pójść, nie miałam pieniędzy na podróż, nie miałam nikogo, kto by mnie przed nimi obronił. Ale musiałam coś wymyślić.

Przez kilka następnych dni bez przerwy o tym rozmyślałam, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Aż nagle pewnego wieczora po powrocie z pracy weszłam do kuchni, by jak zwykle zabrać się do gotowania, i zatrzymałam się w progu. Nie wierzyłam własnym oczom: w środku kręciła się matka, otoczona, jak to zwykle ona, mnóstwem pootwieranych paczek i torebek, misek i brudnych garnków w zlewie. Ale będzie sprzątania, pomyślałam, i po co to? Matka wyjaśniła:

– Jutro będziemy mieć gościa. Wyjmij masło. I podaj cebulę.

No tak. Nie dość, że sprzątanie, to jeszcze więcej gąb do wykarmienia. Matka szarogęsiła się w kuchni i rządziła mną, jakbym to nie ja była główną kucharką tego domu, która codziennie przygotowywała i podawała jej kolację.

– Zdejmij mi ten duży garnek. Umyj miskę.

Przyczynę zamieszania poznałam dopiero wtedy, gdy siekając cebulę, powiedziała:

– Jutro przyjeżdża hadździ Oshgar z Pakistanu. Pochodzi z bardzo znanej i zamożnej rodziny. Postaraj się, żeby curry nie było za ostre. Przygotuję, co się da dzisiaj, a jutro ugotuję ryż.

No, jasne. Matka nie chciała, aby hadździ Oshgar wrócił do domu i rozpowiedział swoim krewnym i znajomym, że nie przyjęła go dość dobrze. To dlatego urzędowała w kuchni. Przygryzłam wargę, usiłując stłumić śmiech.

Miano hadździ przysługiwało każdemu, kto brał udział w hadźdzu, czyli pielgrzymce do Mekki. Było oznaką powszechnego szacunku, a kiedy następnego dnia wróciłam z pracy, spodziewałam się zastać w domu świątobliwego starca z siwą brodą i w białej czapeczce, podobnego do mojego dawnego nauczyciela Koranu. Jednak zostałam z marszu zapędzona do zmywania. Wszyscy już zjedli, a nawet po raz pierwszy w historii nakarmili Azmiera. Resztki zostawili zaś dla mnie i dla Meny. Usiadłyśmy więc obie w kuchni i przed przystąpieniem do

zmywania zjadłyśmy kolację. Właśnie skończyłyśmy, kiedy rozległo się stukanie do drzwi i wszedł młody człowiek, gładko ogolony, w dżinsach i koszulce z krótkim rękawem.

– Cześć, jestem Oshgar. Mogę umyć ręce? – zapytał. Uśmiechnął się do nas sympatycznie, a mówił głosem tak łagodnym i miłym, że aż zamarłam. Nikt nigdy w życiu nie zwracał się do mnie w ten sposób.

– Oczywiście – odparłam. Jego zachowanie kolosalnie różniło się od powitań, do których przywykłam po codziennych powrotach z pracy. Podałam mu ręcznik, a on znowu się uśmiechnął.

W tej chwili wszedł Manz i powiedział:

– Jesteś gotów? To chodźmy, pokażę ci okolicę.

Kiedy wyszli, spojrzaliśmy po sobie z Meną, tłumiąc śmiech.

– O Boże, on wcale nie wygląda jak hadździ! – krzyknęłam, rumieniąc się. – On wygląda sympatycznie!

Mena westchnęła:

– Sam, jesteś mężatką!

– Rzeczywiście, zapomniałam. Naprawdę. Ale co tam, w patrzeniu nie ma nic złego!

I obie wybuchłyśmy śmiechem.

Rano wstałam pierwsza, obudziłam Menę i ruszyłam do kuchni. Oshgar już tam był. Kiedy weszłam, przywitał mnie uprzejmie, ale nie mogłam go o nic zapytać, bo od razu wszedł Manz i oznajmił, że pora się zbierać. Przygotowałam dla wszystkich tosty i wyruszyliśmy.

Oshgar zabrał się z Manzem i ze mną, a w południe pojechał razem z Manzem do hurtowni. Kiedy wrócili, jak zwykle poszłam pomagać przy rozładowaniu samochodu. Oshgar odwrócił się jednak do mnie i powiedział z uśmiechem:

– Dzięki za pomoc, ale poradzimy sobie sami.

Skinęłam głową i wróciłam do sklepu. Czułam, że w sercu zapłonęło mi ciepłe światełko. Członkowie mojej rodziny omijali mnie wzrokiem, gdy coś mówili, a przede wszystkim nigdy nie zwracali się miłym tonem. A tu prócz ciepłego słowa dostałam jeszcze uśmiech! Dzięki temu poczułam się inaczej niż zwykle. Nie przywykłam do takiego traktowania. Cudownie było mieć koło siebie życzliwego i pomocnego Oshgara. Wiedziałam jednak, że niedługo wyjedzie, a wtedy nastąpi drastyczny powrót do starej rzeczywistości.

Tamtego wieczora, kiedy kończyłam zmywanie, powiedziałam Azmierowi, że zaraz idziemy do łóżka. Mały wybiegł z kuchni. Słyszałam, jak woła do Oshgara i matki:

– Ciii, nie mówcie jej, że tu jestem. Schowam się.

Ruszyłam za nim. Widziałam, że ukrył się za zasłoną. Zapytałam głośno:

– Czy był tutaj Azmier? Musi iść spać.

Do zabawy włączył się Oshgar.

– Nie, nigdzie go nie widziałem – rzekł z uśmiechem.

– Hm, ciekawe, dokąd mógł pójść.

– Może do ogrodu? – zapytał Oshgar, a ja po cichu zakradłam się pod okno.

Gwałtownie odsłoniłam zasłonę i krzyknęłam:

– Uuu!

Azmier krzyknął i zaczął się śmiać. Wzięłam go na ręce.

– Nie, nie chcę do łóżka! – krzyczał. Był jednak radosny i zadowolony.

Następnego dnia Manz gdzieś wyszedł, a Oshgar został ze mną w sklepie.

Przez jakiś czas szperał przy towarach objętych promocją, wystawionych tuż przy kasie, a potem zwrócił się do mnie z wahaniem:

– Twoja matka coś mi wczoraj opowiedziała.

– Co takiego? – zapytałam.

– Zdziwiłem się, kiedy się dowiedziałem, że masz trzyletniego syna.

Wydajesz się za młodą. Zapytałem więc twoją matkę, o co chodzi.

– I? – Otoczyłam się ciasno ramionami, czekając na wyrok.

– Powiedziała, że przespałaś się z kimś w Pakistanie i musieli cię za niego wydać.

Poczułam, jak zalewa mnie lodowata fala gniewu.

– Ale jej nie uwierzyłem – dodał szybko, widząc wyraz mojej twarzy.

Łzy zakręciły mi się w oczach. Nie mogłam uwierzyć, że matka powiedziała coś takiego przyjacielowi rodziny. Powinnam się domyślić, że zostanę przedstawiona w złym świetle, niemniej trudno było słuchać takich słów z ust Oshgara.

– Ej, przepraszam, nie chciałem cię urazić – rzekł łagodnie.

– Nie, nic się nie stało. Już dawno powinnam była się przyzwyczać – odparłam, otarłam oczy i wydmuchałam nos. – Chcesz znać prawdę?

Pokiwał głową.

– Matka podstępem zabrała mnie do Pakistanu. Miałam wtedy trzynaście lat.

Pod przymusem poślubiłam człowieka, którego w ogóle nie znałam. – I opowiedziałam mu całą historię. Wszystkie uczucia, które od dawna skrywałam głęboko w sobie – złość, frustracja, bezsilność, samotność – wypłynęły teraz na wierzch. Natychmiast poczułam się lepiej. Dotąd nie zdawałam sobie sprawy, że właściwie nie byłam w stanie opowiadać o tym, co się stało. Ukryłam prawdę nawet przed Meną, bo wiedziałam, że przeraziłaby się, iż to samo może spotkać i ją. – A teraz mam siedemnaście lat – ciągnęłam – i trzyletniego syna. Kocham go, ale nie mogę z nim być, bo cały czas muszę siedzieć w tym głupim sklepie, podczas gdy on jest w domu. Wiesz? Wczoraj po raz pierwszy zdarzyło się, że wróciłam do domu, a mały nie był głodny ani brudny. A niedawno odkryłam, że go

biją pod moją nieobecność. I teraz moczy się w nocy. – Nagle zawstydziłam się, że aż tyle o sobie powiedziałam komuś w zasadzie nieznanemu. – Nie wiem, czemu ci to wszystko opowiadam. Ale chciałeś znać prawdę, więc przysięgam, że to prawda. – Oczywiście wiedziałam, dlaczego się przed nim otworzyłam. Z tak życzliwym spojrzeniem i miłym zachowaniem nie spotkałam się od dawna. Była to tylko naturalna reakcja na jego dobroć.

Oshgar przez chwilę milczał, a potem rzekł:

– Nie wiem, co powiedzieć, ale nie rozumiem, co za matka byłaby zdolna do takich czynów.

W tej chwili do sklepu wszedł Manz i musieliśmy przerwać rozmowę. Manz podszedł do mnie.

– Jutro masz spotkanie z prawnikiem imigracyjnym. Będziesz podpisywać dokumenty.

– Jakie dokumenty? – Chciałam wiedzieć. O czym on w ogóle mówił?

– Nieważne, masz podpisać i tyle. Jutro cię zawiozę. I nie zadawaj mi już żadnych pytań! – wrzasnął.

Oshgar stał ze wzrokiem wbitym w podłogę.

Przez cały wieczór prawie się nie odzywałam. Po kolacji Oshgar znowu wszedł do kuchni, żeby umyć ręce.

– Przepraszam za dzisiaj – rzekł. – Nie miałem zamiaru sprawić ci przykrości.

– Nic się nie stało. Dobrze było komuś o tym powiedzieć – odparłam. – Teraz czuję się znacznie lepiej.

Odwrócił się od zlewu z ociekającymi rękami, więc podałam mu ręcznik. Nasze palce na chwilę się zetknęły i oboje spojrzeliśmy sobie w oczy.

W tej samej chwili do kuchni weszła Tanvir i czar prysł.

– Oshgar, niczego nie potrzebujesz?

– Nie, dziękuję.

Oshgar odłożył ręcznik i ruszył za Tanvir do salonu.

Tej nocy nie mogłam zasnąć. Godzinami leżałam i rozmyślałam o Oshgarze. Działo się coś dziwnego, ale jeszcze nie potrafiłam określić, co konkretnie. Wiedziałam, że powinnam być zła i przestraszona, ale przed oczami wciąż widziałam ciepły uśmiech Oshgara, a na palcach czułam dotyk jego dłoni.

Rano Manz poprosił Oshgara, żeby wraz z Meną przypilnował obu sklepów, podczas gdy on zawiezie mnie na spotkanie z prawnikiem.

Zdażyłam już zupełnie zapomnieć o tym spotkaniu. O co mogło chodzić? Dlaczego musiałam tam jechać? Po co mi był prawnik? Czyżbym się rozwodziła? Czy może sprawa dotyczyła świadectwa urodzenia Azmiera? Chciałam poprosić o wyjaśnienie Manza, ale wiedziałam, że nie mogę – skończyłoby się na wrzaskach. Mena spojrzała na mnie pytająco. Odpowiedziałam nieznacznym

wzruszeniem ramion.

W kancelarii musieliśmy chwilę zaczekać, a potem wysoki mężczyzna zaprosił nas do gabinetu i wskazał mi krzesło. Choć zapewne nie miał takiej intencji, w jego obecności czułam się mała i nic nieznająca. Onieśmiał mnie jego elegancki garnitur i olbrzymi gabinet, w którym stało zasłane dokumentami wielkie, mahoniowe biurko.

– Spotkaliśmy się, bo musi pani podpisać kilka dokumentów w związku z podaniem o przyjazd pani męża do Wielkiej Brytanii – oznajmił.

Miałam wrażenie, że podłoga ugina się pod moimi stopami. Musiałam kurczowo złapać się podłokietników. Mojego męża? Co takiego? Nigdy w życiu nie użyłabym tej nazwy w odniesieniu do tamtego człowieka z Pakistanu. Z wściekłości ścisnęło mi się gardło, ale nie byłam w stanie zaprotestować – nie tu, nie przy tym mężczyźnie. A więc dlatego Manz nie pisnął ani słowa. Zawiódł mnie i oszukał, tak samo jak matka. Poczulałam na sobie jego wzrok – świdrował mnie, żebym na pewno nie pokrzyżowała mu planów. W głowie mi szumiało. Zorientowałam się, że prawnik położył przede mną jakieś dokumenty.

– Proszę tu podpisać – rzekł, stawiając krzyżyk na dole pierwszej strony – a potem tu.

Manz pochylił się i oparł jedną rękę na dokumentach, które należało podpisać, a równocześnie odwrócił się w moją stronę i gestem nakazał mi postąpić według instrukcji prawnika. Obserwator z zewnątrz mógł odnieść wrażenie, że starszy brat udziela siostrze wsparcia, jakby chciał powiedzieć: „chodź, zrobimy to razem”. Ja wiedziałam, że jest zupełnie odwrotnie – był to jawny gest groźby. Nie miałam wyboru. Drżącą ręką podpisałam dokumenty.

– I jeszcze jeden podpis proszę, o tutaj. – Kiedy skończyłam się podpisywać, prawnik złożył swoje podpisy obok moich, wyjaśniając, że poświadczą tym samym, iż to ja, nie kto inny, podpisałam się w jego obecności. Następnie wsunął formularze do koperty, a tę odłożył do specjalnej przegródki na biurku. – Dziękuję. Złożę państwa dokumenty w urzędzie imigracyjnym. Dam znać, jak tylko otrzymam odpowiedź. – Po czym wstał i odprowadził nas do drzwi.

Przez całą drogę powrotną do sklepu gotowałam się ze złości, ale nie odezwałam się do Manza ani słowem. Tamten... Tamten człowiek – bo w moich oczach pozbawiony był tożsamości – który mnie skrzywdził, a który potem nawet nie nawiązał kontaktu z dzieckiem, zamierzał przyjechać. A ja miałam mu gotować oraz prać jego ubrania! Chciało mi się krzyczeć z przerażenia, bo przecież znowu będę musiała dzielić z nim łóżko!

O, nie. Tylko nie to. Do tego nie mogłam dopuścić. Wzdrygałam się na samą myśl o jego dotyku.

A matka i Manz, którzy wypełnili i złożyli dokumenty bez mojej wiedzy? Jak śmieli? Nagle zdałam sobie sprawę, że gdyby nie konieczność złożenia podpisu

w obecności prawnika, Manz najprawdopodobniej podrobiłby mój podpis, nawet mnie o tym nie informując. Wróciłabym któregoś dnia z pracy i zastała tamtego w salonie z Azmierem na kolanach, jak gdyby nigdy nic!

Byłam tak rozwścieczona, że musiałam odwrócić twarz do okna, by Manz niczego nie widział. Oddychałam głęboko i powoli, jak wtedy, dawno temu, gdy ciocia Peggy uczyła mnie panować nad jękaniem. Niestety, teraz nie pomagało.

Kiedy znaleźliśmy się z powrotem w sklepie, nie zwracałam uwagi na to, co mówił Manz, tylko niecierpliwie wyczekiwałam pory obiadu. Wiedziałam, że będę mogła wyjść, by zjeść go z Meną.

– Jak pójdziesz do drugiego sklepu, przyślij tu Oshgara – polecił mi Manz.

Mena natychmiast zaczęła mnie wypytywać.

– Mów, co to było za spotkanie?

– Poczekaj chwilę, zaraz ci powiem – przerwałam jej i zwróciłam się do Oshgara: – Manz prosi, żebyś do niego poszedł.

– Dobra, w takim razie do zobaczenia później – rzekł, a wychodząc, posłał mi dodający otuchy uśmiech.

Niestety, nie byłam w stanie odpowiedzieć mu tym samym.

Kiedy tylko drzwi się za nim zamknęły, wyrzuciłam z siebie wszystko.

– Ci cholerni dranie wypełnili za moimi plecami wszystkie dokumenty, żeby go tu ściągnąć! Nigdy nie napisał, nigdy nawet nie zapytał o syna. Minęły ponad trzy lata! Gdyby chociaż mu przysłał kartkę na urodziny, ale gdzie tam! Więc co oni sobie, do cholery, myślą? Nie chcę go tutaj widzieć, ale nie mogłam protestować, bo Manz nade mną wisiał. Co ja zrobię, Mena, powiedz, co ja teraz zrobię?

Mena była równie zaszokowana jak ja.

– Matka i Manz zapraszają tu twojego męża?

– Tak! Mena, ale ja go w ogóle nie znam, nawet nie pamiętam, jak on wygląda. Byłam z nim parę miesięcy, zaszłam w ciążę i wróciłam do Szkocji. Nie zapomniałam tylko tego, że to okropny człowiek, który mnie ciągle krzywdził. Nie wierzę, że braliśmy ślub! Nie składałam żadnej przysięgi! Nie rozumiałam, co mówił ten *molwi*. On nie może przyjechać, Mena, po prostu nie może!

– Ale, Sam, co masz zamiar zrobić?

– Jeszcze nie wiem, ale coś wymyślę. Nie chcę go widzieć.

Obie zamilkłyśmy. Czekałam, aż Mena wyrazi współczucie lub powie coś na pocieszenie, ale zamiast tego usłyszałam:

– Nie wiem jak ty, ale ja jestem strasznie głodna. Mogłabyś mi kupić frytki?

Zatkało mnie. Czy ona nic nie rozumiała? Z całą pewnością nic.

– Dobra, daj pieniądze.

Poszłam do małego baru, gdzie sprzedawano frytki, i ustawiłam się w kolejce. Nagle poczułam szturchnięcie w ramię. To był Oshgar, jak zwykle

uśmiechnięty. Stał w kolejce parę osób przede mną, a ponieważ, zamyśliwszy się, nie zauważyłam go, podszedł do mnie.

Najpierw skonsultowaliśmy, co oboje zamierzamy kupić, a potem Oshgar rzekł:

– Manz mówił mi o spotkaniu u prawnika. Sądząc po twojej minie, nie jesteś z tego powodu zbyt szczęśliwa.

Po naszej wczorajszej rozmowie znał już wprawdzie całą historię, ale nie wiedziałam, czy powinnam się dzielić z nim swoimi przemyśleniami. Kiedy wychodziliśmy z baru, powiedziałam:

– Później o tym pogadamy. Manz na pewno czeka na jedzenie. Lepiej niech nas za często razem nie widuje, bo weźmie mnie pod lupę. A tego nie chcę.

Oshgar skinął głową i poszedł w swoją stronę, a ja wróciłam do sklepu i w towarzystwie Meny zasiadłam do jedzenia. Milczałam, a w głowie kłębiły mi się połowicznie wyklarowane plany i chaotyczne myśli. Nie miałam żadnego sensownego pomysłu.

Tego samego dnia wieczorem matka weszła do kuchni i stwierdziła:

– Jutro nie pojedziesz do sklepu. Jadę z Tanvir na zakupy, więc zostaniesz z dziećmi. Zajmiesz się nimi przez cały dzień. – Odwróciła się na pięcie i wyszła.

Byłam bardzo szczęśliwa. Cały dzień w domu z Azmierem! Wieczór dobiegł jakoś końca i nawet noc nie była taka straszna, bo spał przy mnie synek. Następnego dnia rano, kiedy wszyscy wyszli i pozmywałam po śniadaniu, bawiliśmy się z Azmierem i Szamem w różne gry. W chowanym w domu, w berka w ogrodzie. W przerwach brałam Azmiera na kolana, a Szam siadał obok nas, i opowiadałam im bajki. Po chwili znów biegali i wszystko zaczynało się od początku. Och, żeby każdy dzień mógł wyglądać tak jak ten!

Chłopcy szaleli w ogrodzie, a ja poszłam przygotować lunch. Nagle rozległo się stukanie do drzwi. Okazało się, że to listonosz z dużą, brązową kopertą w ręku.

– Mam list dla Sameem Aktar. Proszę tu podpisać – rzekł.

Podpisałam i zamknęłam drzwi. Stałam w bezruchu ze wzrokiem wlepionym w kopertę. Cóż to mogło być? Nie oczekiwałam żadnej przesyłki, nikt też nigdy do mnie nie pisał.

Rozdarłam kopertę. Znalazłam w niej swój paszport oraz pismo z Ambasady Pakistanu. Przeczytałam w nim, że odsyłają mi paszport wraz z pakistańską wizą, o którą się ubiegałam.

Matce i Manzowi najwyraźniej nie wystarczało, że sprowadzają tu tamtego człowieka. Skąd, było im za mało. Chcieli jeszcze mnie po niego wysłać. Z wściekłości miałam ochotę zdemolować całe mieszkanie. Opanowałam emocje, spokojnie poszłam do swojego pokoju i ukryłam paszport pod materacem. Następnie zeszłam do kuchni i podałam chłopcom obiad. Resztę obowiązków dnia wykonałam jak automat. Nic nie czułam. Byłam odrętwiała. Jak oni mogli mi coś

takiego zrobić?

Tanvir i matka wróciły z zakupów, taszcząc całe torby materiałów, z których planowały uszyć nowe ubrania, oraz dużą walizkę. Zapytałam je, po co im walizka.

– Wybieram się do Pakistanu – odparła matka. – Z nagłą, nieplanowaną wizytą. Chcesz ze mną jechać? – zapytała, a dopiero potem dodała: – Lecę w przyszłym tygodniu.

– Nie, nie, raczej nie – odpowiedziałam najbardziej obojętnym tonem, na jaki mogłam się zdobyć. – No bo kto by się zajął Azmierem? Czy mam już podać obiad?

Podaliśmy im obiad i wycofałam się do kuchni, by przystąpić do gotowania kolacji. Tym razem byłam zadowolona, że mam konkretne zajęcie, bo dzięki niemu mogłam zostać sama ze swoimi myślami. Siekałam i kroiłłam powoli, z nadmierną uwagą, a równocześnie wyobrażałam sobie same najokropniejsze rzeczy.

Ciekawe, kiedy mają zamiar mi o wszystkim powiedzieć, zastanawiałam się. Czy matka potajemnie zapakuje mój bagaż, a potem zwabi mnie do samochodu pod pretekstem jazdy po zakupy? O, patrz, jesteśmy koło lotniska, powie, może tak byśmy się przelecieli do Pakistanu? Jak oni sobie to wszystko wyobrażali? Myśleli, że boję się ich na tyle, żeby na wszystko się zgodzić?

O szóstej wróciła Mena, a wkrótce po niej Manz i Oshgar. Zjedli przygotowaną przeze mnie kolację. Zaraz potem Manz oznajmił, że wychodzi i wróci późno. Matka, zmęczona zakupami, położyła się. Saber i Tanvir poszli do siebie, a Mena stwierdziła, że wcześniej idzie spać. Azmier zasnął około ósmej.

W tej sytuacji poszłam posiedzieć z Oshgarem w salonie. Posłał mi pytające spojrzenie, a ja odparłam:

– W porządku, wszyscy śpią.

Spuściłam wzrok na ręce, które trzymałam spokojnie złożone na podołku, po czym wzięłam głęboki oddech i wypaliłam:

– Chcą mnie wysłać z powrotem do Pakistanu. Na siłę. Te dokumenty, które podpisywałam u prawnika, były po to, żeby ściągnąć go tu ze mną, jak będę wracać. Wysłali mój paszport do ambasady po wizę. Matka leci w przyszłym tygodniu. Chce, żebym z nią poleciała. Nie wiedzą, że wszystkiego się domyśliłam. – Mówiąc to, spojrzałam na niego. – Dziś rano pod nieobecność matki listonosz przyniósł mój paszport, więc matka nie wie, że już go mam i że odgadłam ich plany. Nie mogę jechać, Oshgar. Nie mogę. I nie chcę, żeby ten, no ten człowiek tutaj ze mną przyjeżdżał. Nigdy. – Zdenerwowałam się tak, że nawet się nad sobą nie litowałam. Nie płakałam, tylko wszystko się we mnie gotowało.

Oshgar był w szoku. Powtórzył sobie po cichu parę pytań, które przed chwilą zadałam, a potem siedział przez chwilę w milczeniu.

– Nie mogę w to uwierzyć. Jak oni mogą coś takiego robić, i to właśnie tobie, Sam?

Kiedy usłyszałam te słowa, na chwilę zabrakło mi tchu.

– I co zamierzasz? – zapytał.

– Nie wiem. – Nieustannie wyginałam palce, szukając rozwiązania. –
Chciałabym zabrać stąd Azmiera i uciec gdzieś, gdzie nigdy nas nie znajdą.

Zapadła cisza. Po chwili przerwał ją Oshgar.

– Za parę dni wyjeżdżam. Jedź ze mną.

Gapiałam się na niego bez słowa. Jechać z nim? Uciec z domu, od tego koszmaru?

Oshgar ciągnął:

– Jadę do Manchesteru, będę tam mieszkał u znajomych.

– Co ty mówisz? – zdołałam wyjąkać. – Chyba żartujesz!

– Chcesz wyjechać, a ja właśnie wyjeżdżam – odparł, jakby to była najlogiczniejsza rzecz pod słońcem. – Zapewnię tobie i Azmierowi spokojny dom. Słuchaj: wyjeżdżając z Pakistanu, kupiłem sobie bilet w jedną stronę w najbardziej odległe miejsce, jakie przyszło mi do głowy, i wsiadłem do samolotu. Byłaś w Pakistanie, więc sama wiesz, jak tam jest. Nie chcę tam na razie wracać. Nie mam zamiaru cię przekonywać, że będzie łatwo, bo nie będzie. Ale mam trochę oszczędności i sporo zapału do pracy. Obiecuję, że będę się o was troszczył.

Słuchając jego spokojnego głosu, zastanawiałam się, czy to nie cud, o który tak gorąco się modliłam. Czyżby właśnie nadeszła odpowiedź na mojej zmartwienia?

– Muszę to przemyśleć – odparłam i wstałam, chcąc wyjść z pokoju.

Oshgar również się podniósł. Pocałował mnie delikatnie w czoło i wziął w ramiona. Po raz pierwszy, odkąd dziesięć lat wcześniej opuściłam dom dziecka, ktoś inny niż Mena dodał mi otuchy w sposób fizyczny, dotykając czule. Nie chciałam, by Oshgar się odsuwał. W jego objęciach czułam się bezpieczna.

Następnego dnia po całym dniu pracy w sklepie wróciłam do domu i zastałam matkę pakującą walizki.

– Jutro lecę do Pakistanu – zaczęła, lecz nagle przerwał jej Manz.

– A co z Sam? Nie jedzie z tobą?

– Nie dostała jeszcze paszportu. Ale pamiętaj, Manz – jak tylko przyjdzie jej paszport, natychmiast mi ją przyslij.

Kiedy to usłyszałam, przeszły mnie ciarki i mimowolnie wyrwało mi się pytanie:

– Ale dlaczego muszę jechać? Ja nie chcę.

W tej samej chwili poczułam silne uderzenie w plecy. Krzyknęłam z zaskoczenia, nogi się pode mną ugięły i osunęłam się na podłogę. Manz już przygotował pięść do następnego ciosu, gdy nadbiegł Oshgar. Kiedy zorientował się, co się dzieje, odciągnął Manza.

– Masz jechać do Pakistanu po swojego męża! – krzyczał mój brat na cały głos. – Słyszysz czy nie? Słyszysz?

– Czyś ty zwariował? – przerwał mu Oshgar, odsuwając Manza jak najdalej

ode mnie, aż do salonu, a potem stając na wprost niego i krzycząc: – Nie wolno ci bić siostry! Ani w ogóle żadnej kobiety!

Drzwi się za nimi zamknęły i stłumiły ich głosy tak, że nie mogłam rozróżnić słów.

Matka obrzuciła mnie gniewnym spojrzeniem.

– Sama prosisz się o lanie – syknęła. – I najwyraźniej dobrze ci to robi.

Zignorowałam ją, myśląc o czymś innym. Zamiast odczuwać ból po uderzeniu pięścią Manza czułam tylko zdziwienie, że ktoś stanął w mojej obronie. Nigdy dotąd nikt tego nie zrobił. Nie znalazłam żadnego sprzymierzeńca, ponieważ wszystkim brakowało odwagi, by stawić czoło mojej matce, a zwłaszcza mojemu bratu. Ale Oshgarowi jej nie brakowało. I zrobił to. Dla mnie. Czułam się zażenowana. Tym, że w ogóle się troszczył, i to do tego stopnia, by sprzeciwić się temu, jak byłam traktowana przez rodzinę. Nagle doznałam olśnienia. Przecież to on stał się odpowiedzią na moje modlitwy. Pragnęłam, by już zawsze się mną opiekował.

Podniosłam się i przyciskając rękę do obolałego krzyża, ruszyłam do kuchni, dokąd Mena wcześniej zaprowadziła Azmiera, by nie widział całego zajścia. Po chwili wszedł Oshgar. Przyjrzał mi się wnikliwie.

– Nic ci nie jest? – zapytał.

– To jeszcze nic – odparłam i zmusiłam się do nikłego uśmiechu. – Zwykle to tylko wstęp.

Oshgar nalał szklankę wody z kranu i podał mi, drugą zaś zaniósł Manzowi, który wciąż się wydzierał.

– Nie jedzie do Pakistanu, tak? A właśnie, do jasnej cholery, że jedzie! Pojedzie, nawet gdybym musiał ją tam wysłać martwą, w pieprzonym czarnym worku!

Matka tego wieczora była tak zajęta przygotowaniami do wyjazdu, że nie zwracała uwagi na nic, umknął jej nawet mój szczęśliwy wyraz twarzy. Nie mogłam doczekać się jej wyjazdu. Martwiłam się, że w ostatniej chwili może znaleźć mój paszport – dobrze się składało, że jechała już jutro, bo trudno byłoby mi przez kilka kolejnych tygodni ukrywać, że paszport przyszedł. Manz i matka z pewnością zadzwoniliby albo napisali w tej sprawie do ambasady.

Tej nocy nie mogłam spać. Słyszałam, jak Manz i Oshgar rozmawiają w salonie do drugiej w nocy. Postanowiłam, że odejdę z Oshgarem. Nie mogłam już znieść bicia i pogodzić się z myślą, że Azmier będzie w przyszłości cierpiał jak ja. Miałam dość. Więcej niż dość. Nie zważałam na to, co planował Oshgar i co właściwie będziemy robić. Wszystko wydawało się lepsze niż koszmar, w którym funkcjonowałam. Nie wiedziałam, co przyniesie przyszłość, ale wiedziałam, że jeśli zostanę w domu, nie będzie żadnej przyszłości. Oshgar był człowiekiem spokojnym, a ja dobrze się czułam w jego towarzystwie. W tamtej chwili nie

myślałam o niczym więcej. Tak czy inaczej, po groźbie Manza, że wyśle mnie do Pakistanu w czarnym worku, klamka zapadła. Nie mogłam zostać. Jeśli coś by mi się stało, kto zająłby się Azmierem?

Następnego ranka w drodze do pracy nikt nie odezwał się nawet słowem. Kiedy weszliśmy do warzywniaka, od razu poszłam na zaplecze ważyć ziemniaki i zajmowałam się tym, dopóki Manz nie zawołał:

– Stań za kasą, jadę odwiedzić matkę na lotnisko. Chodź, Oshgar, jedziemy.

– Wiesz, miałem dziś zamiar wybrać się po nowe buty. Może po drodze na lotnisko podrzuciłbyś mnie do centrum?

– Jasne – zgodził się Manz.

Oshgar wyszedł. Matka przypomniała Manzowi, żeby wysłał mnie do Pakistanu, kiedy tylko przyjdzie mój paszport. Nie pozwoliłam, by domyśliła się, co o tym sędzę. W duszy mówiłam sobie: „Nigdy w życiu”, a równocześnie grzecznie się do niej uśmiechałam i kiwałam głową. Definitywnie straciła władzę nade mną. Nie byłam już tą samą przerażoną, małą Sam skuloną ze strachu przed jej atakiem. Zmieniłam się w dorosłą kobietę, która trzymała w rękach ster swojego życia. Matka straciła prawo do kontrolowania go i podejmowania decyzji w moim imieniu. Miałam jej powyżej uszu. Cudownie było stać i jej słuchać, wiedząc, że to, co mówi, pozbawione jest znaczenia. Już niedługo będę wolna!

Wreszcie odjechali. Nie patrzyłam za nimi. Od razu odwróciłam się i weszłam do sklepu. Matka odjeżdżała – ale ja też.

Po około dwudziestu minutach wrócił Oshgar z pustymi rękoma.

– A buty gdzie? – zapytałam.

Wzruszył ramionami i powiedział rozbrajająco:

– Żadne mi się nie podobały.

– Na pewno dobrze nie szukałeś. – Uśmiechnęłam się do niego mimo podenerwowania. – Nie spędziłeś w sklepie nawet pół godziny.

Spoważniał.

– Wróciłem od razu, bo musimy porozmawiać. Nie zamierzam cię zostawić na pastwę tej rodziny. Kocham cię, Sam, i chcę się tobą opiekować. Azmierem także. – Wyciągnął z kieszeni pierścioneł. – To po niego pojechałem, Sam. Wyjdiesz za mnie?

Świat zastygł w bezruchu. Wszystko wokół zamarło – wszystko prócz mego serca, które waliło jak oszalałe.

– Czyżbyś zapomniał? Przecież już jestem mężatką.

– Nie, nie jesteś – mówił gorączkowo. – Byłaś za mała, więc nie zdawałaś sobie sprawy z tego, co się dzieje. Niczego nie rozumiałaś. A zatem – zgadzasz się czy nie?

Pomyślałam, że wygląda to tak, jakby Oshgar rozwiązał bardzo splątana linię. Sytuacja wydała mi się naturalna, bardzo właściwa. Oczywiście, że moje

małżeństwo było nieważne – nie miałam wtedy pojęcia, o co chodzi. Przez całe życie trzymano mnie w niewiedzy. W ciemności. A teraz pojawił się Oshgar i prowadzi do światła. Poczułam, jak moje serce wypełnia nadzieja. Zobaczyłam przyszłość przed sobą. Będę szczęśliwa!

– Tak, oczywiście, że za ciebie wyjdę – odparłam i wsunęłam złoty pierścionek na palec. – Dziś w nocy podjęłam decyzję, że odchodzę z tobą. Dłużej tu nie wytrzymam. Więc jaki masz plan?

– Plan? Cóż. Twoja matka wyjechała. To oznacza, że w domu jest tylko twoja szwagierka. Musimy się zastanowić, jak niepostrzeżenie wynieść bagaż, i tyle.

Już po chwili mnie natchnęło:

– Ach, wiem! Jutro Tanvir idzie z Szamem do lekarza, bo od dawna brzydsko kaszle. Nie pójdę do pracy, bo ktoś będzie musiał zostać w domu z Azmierem. Wtedy uciekniemy! – zawołałam. Teraz, kiedy poszczególne elementy tej układanki zaczęły powoli wskakiwać na swoje miejsca, poczułam motyle w brzuchu.

Oshgar nie wypuszczał mojej dłoni.

– Jesteś pewna, że chcesz to zrobić?

Skinęłam głową.

– Jestem pewna. Nigdy niczego nie byłam tak pewna. Ale trochę się denerwuję. I będę musiała powiedzieć Menie. Nie odejdę od niej bez pożegnania. Przecież będzie tęskniła za Azmierem.

Opracowaliśmy plan na następny dzień. Zanim wypuścił moją dłoń ze swojej, nachylił się i bardzo delikatnie pocałował mnie w usta. Do końca dnia czułam na nich jego dotyk.

Tego wieczora, kiedy byliśmy z Meną same w kuchni, wyłożyłam jej kawę na ławę.

– Mena, muszę ci powiedzieć. Nie zostanę tu. Nie przeżyję tego, co dla mnie planują. Oshgar zaproponował, żebyśmy z Azmierem wyjechali z nim. Chce się ze mną ożenić. Muszę się stąd wydostać. Jutro wyjeżdżam.

– Co?! – krzyknęła. – Nie, nie! Nie możesz!

– Ciii. Ciszej – ostrzegłam ją. – Bo jak ktoś usłyszy...

– Och, Sam, Manz się dowie i cię zabije. A kto wtedy zajmie się Azmierem?

Wiedziałam, że jeśli chodzi o Manza, Mena ma rację. Gdyby odkrył, co planuję, zbiłby mnie tak, że nie mogłabym się ruszyć o własnych siłach. Albo jeszcze gorzej. Zdawałam sobie sprawę jednak, że druga okazja już się nie powtórzy.

– Słuchaj – zaczęłam i mocno ścisnęłam Menę za rękę. – Gdyby cokolwiek złego mi się przydarzyło, proszę cię, żebyś zajęła się Azmierem.

Skinęła głową i zalała się łzami. Wtedy i ja się rozkleiłam. Objęłyśmy się

i szlochałyśmy.

– Rozumiesz, Mena, prawda? Muszę to zrobić. Nie chcę dłużej patrzeć na męczarnie Azmiera. Dziecko potrzebuje miłości i troski, nie lania i szturchańców.

– Wiem. I rozumiem cię. Boję się tylko, co zrobi Manz, jak się dowie...
Wolę o tym nawet nie myśleć.

Objęłyśmy się mocniej i płakałyśmy dalej.

Wiedziałam, że Mena sobie poradzi. Że nic jej się nie stanie. Wypracowała sobie własną taktykę obronną – płakała, gdy ktoś na nią krzyknął, a gdy kazano jej pracować, zacinała się w palec lub w inny sposób kaleczyła, by już więcej nikt jej o nic nie poprosił. Mocno stąpała po ziemi; mocniej niż ja. Zdawała sobie sprawę, że nigdy nie zdobędzie uznania rodziny, przyjęła więc taktykę, by wtulić głowę w ramiona i przeczekać, aż wszelkie burze przetoczą się obok. Doskonale wiedziała, że nieświadomość to błogosławieństwo, i tego się w życiu trzymała. Ja natomiast tego nie wiedziałam, a w zasadzie wiedziałam, że jest zupełnie odwrotnie. Nauczyła mnie tego ciocia Peggy. To ja pragnęłam za wszelką cenę zadowolić rodzinę, to ja zawsze szukałam substytutu miłości, jaką otrzymałam wcześniej od cioci. Trzymając wąż sylwetkę siostry w objęciach, byłam pewna, że kiedy wyjadę, nikt nie będzie się na niej wyżywać.

W końcu przestałyśmy się obejmować. Osuszając łzy, Mena powiedziała:

– Tylko troszcz się o mojego ulubionego siostrzeńca. I dawaj czasem znać, co u ciebie. – Zamilkła na chwilę. – Nie, nie dawaj. Po prostu dbaj o siebie. – Spojrzała na mnie i łzy znowu napłynęły jej do oczu. – Nie mogę uwierzyć, że to prawda.

– Kocham cię, Mena.

– A ja ciebie.

Następnego ranka przygotowałam dla wszystkich śniadanie. Przed wyjściem do sklepu Mena uściskała mnie i wyszeptowała:

– Będę za tobą tęsknić. Kocham cię.

Potem wzięła Azmiera na ręce i mocno go przytuliła.

– Mam nadzieję, że kiedyś wrócisz. Jak będziesz starszy. I nie próbuj czasem o mnie zapomnieć. Kocham cię najbardziej na świecie.

Starłam się przełknąć gulę, która urosła mi w gardle, kiedy Mena zatrzymała się w drzwiach kuchni, odwróciła się i posłała ostatnie spojrzenie.

– Do widzenia – wyszeptalam bezgłośnie. – Kocham cię.

I już jej nie było.

Słyszałam, jak furgonetka Manza odjeżdża. Jak na razie wszystko szło dobrze. Zabrałam Azmiera do swojego pokoju. Nie chciałam, żeby powtórzył Tanvir coś z tego, co przed chwilą powiedziała mu Mena. Gestykulując obiema dłońmi, których użyłam jako bohaterów, opowiedziałam mu bajkę. Łaskotałam go przy tym tak, że pokładał się ze śmiechu.

W końcu pojawiła się Tanvir.

– Wychodzę. Powinnam być za godzinę.

– Dobrze – odparłam, próbując opanować drżenie głosu. – Mam nadzieję, że Szamowi przejdzie ten kaszel.

Chwilę później drzwi wejściowe trzasnęły. Podeszłam do okna i śledziłam ich wzrokiem, aż oddalili się na znaczną odległość od domu. Kiedy byłam pewna, że już nie wrócą, pobiegłam do drugiego pokoju po walizkę.

Musiałam w niej zmieścić cały swój dobytek. Mimo pośpiechu pakowałam więc uważnie, choć korciło mnie, by po prostu wrzucać do środka co popadnie. Kilka par tunik i szarawarów, stary biustonosz, dwie pary butów i skromna biżuteria, mój paszport z niechcianą i niepotrzebną już pakistańską wizą. Resztę miejsca zajęły ubrania Azmiera.

Azmier uznał, że to jakaś nowa zabawa i kiedy tylko włożyłam coś do walizki, od razu to wyciągał. Normalnie natychmiast przyłączyłabym się do zabawy, ale tym razem nie było na to czasu.

– Azmier, nie rób tak, kochanie, teraz muszę zapakować tę walizkę – upominałam go, choć niezbyt surowo. – Usiądź, proszę, i popatrz, jak mama pakuje. Dziś pojedziemy pociągiem, wiesz? Ale będzie przygoda! – mówiłam. Starłam się, by mój głos mimo zdenerwowania brzmiał wesoło.

W końcu walizka była spakowana. Zasunęłam suwak, zniosłam ją do przedpokoju i ustawiłam obok drzwi. Potem obeszłam resztę mieszkania. Walizka Oshgara stała w drugim pokoju, więc ustawiłam ją obok swojej. Następnie poszłam do kuchni przygotować Azmierowi kanapkę. Nie wiadomo, kiedy znowu będzie szansa coś zjeść.

Ledwie zdążyłam wytrzeć małemu buzię po jedzeniu, rozległo się stukanie do drzwi. Choć wiedziałam, że to musi być Oshgar, myślałam, że serce wyskoczy mi z piersi, kiedy szłam otworzyć. Wyjrzałam przez wizjer. Tak, to był Oshgar. Odetchnęłam z ulgą, choć serce waliło dalej. Przecież miałam uciec. Dotąd nie powiedziałam sobie tego wprost, ale teraz, kiedy podjęłam decyzję, pociałam się ze zdenerwowania. Uświadomiłam sobie, że boję się jak dotąd nigdy w życiu.

Otworzyłam drzwi. Nasze spojrzenia się spotkały, ale oboje byliśmy zbyt spięci, by się choćby uśmiechnąć.

– Gotowa? – spytał Oshgar.

– Tak, tu są walizki. Mógłbyś zanieść je do taksówki, a ja wezmę Azmiera?

Znalazłam syna, wzięłam go na ręce i zniosłam do przedpokoju. Oshgar był już z powrotem. Otworzył drzwi i je przytrzymał.

– Wszystko wzięłaś? – zapytał.

Skinęłam głową i zamknęłam za sobą drzwi. Idąc chodniczkiem do taksówki, ani razu nie obejrzałam się za siebie. Był 17 listopada 1987 roku. Nareszcie opuszczałam swój rodzinny dom.

– Proszę na Central Station – rzekł Oshgar do kierowcy. Do mnie zaś powiedział: – Kupiłem bilety, zanim po ciebie przyjechałem. Pociąg odjeżdża za dwadzieścia minut.

Nie byłem w stanie wydusić słowa. Azmier siedział mi na kolanach, wyglądał przez okno i pokazywał różne rzeczy, które mijaliśmy. Kiedy wchodziliśmy na dworzec, cała się trzęsłam. Trzymałam Azmiera mocno za rękę, a Oshgar ciągnął dwie walizki – moją ogromną i swoją małą.

– Idziemy na peron ósmy – poinformował.

Ruszyliśmy szybkim krokiem. Azmier dreptał przy nas. Wzięłam go na rękę, wsadziłam do pociągu, a potem wsiadłam sama i poszłam szukać naszych miejsc, podczas gdy Oshgar ładował walizki. Kiedy usiedliśmy, zaczęłam nerwowo wyglądać przez okno. Wypatrywałam na peronie Manza lub innej znajomej postaci, a siłą woli próbowałam zmusić pociąg, by już ruszył. Jeszcze całe dziesięć minut do odjazdu. W ciągu dziesięciu minut może się zdarzyć niemal wszystko. Z panicznego strachu zaczęłam wyobrażać sobie najrozmaitsze historie. Wiedziałam, że są niemądre, więc nie podzieliłam się nimi z Oshgarem.

Co, jeśli Tanvir wróciła do domu, stwierdziła, że nas nie ma, i natychmiast dała znać Manzowi? Być może jest już w drodze na dworzec.

A nawet na dworcu.

Ba, nawet w pociągu. Zaraz wyłoni się zza drzwi, złapie mnie za włosy i wyciągnie z przedziału. Serce waliło mi tak głośno, że musiało je być słycać w całym pociągu.

– Dokąd jedziemy, mamó? – zapytał Azmier.

– Na wycieczkę pociągiem, który ciągnie duuuuż lokomotywa, kochanie – odparłam i mocniej go przytuliłam. – A teraz bądź cicho. Wyglądaj przez okno i powiedz mi, kiedy ruszymy.

– Wszystko będzie dobrze. – Oshgar siedzący naprzeciwko pocieszał mnie. – Za cztery godziny dotrzemy do Manchesteru. Zadzwoń do znajomego, jak już będziemy na miejscu.

Nagle drgnęłam na fotelu.

– Mamó, jedziemy, jedziemy! – zawołał Azmier.

Pociąg szarpnął i wreszcie ruszył.

– Tak, masz rację – powiedziałam. Kiedy pociąg odjechał ze stacji, rozluźniłam się nieco. Serce przestało mi walić, a ramiona swobodnie opadły.

Wiedziałam, że Manz już nas nie dopadnie. Nie skrzywdzi. Że na razie jesteśmy bezpieczni.

Przez większą część podróży zabawialiśmy Azmiera. Obydwaj, Oshgar i Azmier, zaśmiewali się, słuchając mojej opowieści o dwóch niegrzecznych chłopcach, którzy podczas jazdy pociągiem robili psikusy innemu pasażerom. Wymyśliłam też kilka nowych historii o Cannock Chase i grasujących

w tamtejszych lasach goblinach.

Azmier podniósł na mnie wzrok i zapytał niewinnie:

– A twoja mama też tam była?

Przed oczami ujrzałam postać – nie matki jednak, ale cioci Peggy.

– Nie, nie było jej – wyjaśniłam małemu, który odwrócił się w stronę okna i radośnie relacjonował, co mijamy. Mocno chwyciłam Oshgara za rękę. Nagle z całą jasnością uświadomiłam sobie to, co musiałam wiedzieć już od dawna – że rodzona matka za mało się o mnie troszczyła i okazywała jeszcze mniej miłości, a gdy myślałam o kobiecie, która mnie wychowała, otoczyła miłością, nauczyła być silną oraz wpoila wartości, którymi się w życiu kierowałam, widziałam jedynie ciocię Peggy. To właśnie jej twarz teraz zobaczyłam. Nie była moją matką biologiczną, ale w roli matki sprawdziła się znacznie lepiej niż prawdziwa. Zaschło mi w gardle. Oshgar poszedł kupić nam coś do picia.

– Spakowałaś mu jakieś zabawki? – zapytał. – Bo mógłbym coś wyjąć z walizki, żeby miał się czym zająć.

Z trudem przełknęłam ślinę.

– On nie ma zabawek.

– Jak to, zapomniałaś je spakować? – zapytał zdziwiony Oshgar.

– Nie. On po prostu nie ma żadnych zabawek. Wszystkie, które widziałeś w domu, należały do Szama.

Oshgar patrzył na mnie przez chwilę, po czym pokręcił głową.

Niedługo potem Azmier zasnął z głową na moich kolanach, Oshgar zaś powiedział, że jego znajomy obiecał nam pomoc w znalezieniu jakiegoś dachu nad głową. On sam planował jak najszybciej znaleźć pracę, nieważne jaką, byle zarobić, podczas gdy ja będę mogła zostać w domu i opiekować się Azmierem. Nie mówiłam dużo. Wciąż nie mogłam uwierzyć, że uciekłam, że siedzę w mknącym na południe pociągu, a moja rodzina nie ma pojęcia, gdzie jestem. Byłam przekonana, że Manz będzie próbował mnie znaleźć. Co by to dla nas znaczyło? Dla całej naszej trójki? Nie myślałam już tylko o sobie i Azmierze, ale również o Oshgarze – w tej sytuacji i jego Manz może skrzywdzić. Szybko porzuciłam te myśli.

Spojrzałam na Oshgara i się uśmiechnęłam. Oto jechaliśmy w nieznane, bez pieniędzy, bez jedzenia i bez zapewnionego mieszkania. Ale nie miało to znaczenia. Po raz pierwszy od wielu, wielu lat poczułam, co znaczy być wolną i szczęśliwą w obecności drugiego człowieka. Prawie go nie znałam, wiedziałam jednak, że jest miły, dobry i łagodny. Wiedziałam też, że przy nim będę bezpieczna. Że oboje będziemy bezpieczni.

Do Manchesteru przybyliśmy o trzeciej po południu. Oshgar zadzwonił do swojego znajomego – Ikbala, który po piętnastu minutach pojawił się na stacji.

– Mam dla was mieszkanie na parę tygodni – oświadczył. – Właśnie kupiłem

sobie dom, ale jeszcze nie oddałem kluczy do budynku komunalnego, gdzie dotąd mieszkaliśmy. Możecie się tam na razie zatrzymać.

Ikbal zawiózł nas prosto na miejsce i wręczył klucze.

– Proszę, to jest klucz do tylnego wejścia, a to do drzwi frontowych.

W domu pachniało stęchlizną. W salonie stała czarna trzyosobowa sofa, a w rogu mały stolik. Ściany były brudne, panował chłód, a kominek gazowy sprawiał wrażenie zdezelowanego. Na podłodze leżała postrzępiona szara wykładzina. W głębi domu mieściła się kuchnia z gołą betonową podłogą, ze zlewem pod oknem i czteropalnikową kuchenką, której, jak mi się przynajmniej zdawało, nikt nigdy nie mył. Poza tym w zlewie stał jeden czysty garnek.

Poszliśmy na górę zobaczyć sypialnie. Okazało się, że są w znacznie lepszym stanie niż salon i kuchnia. W pierwszej zastaliśmy podwójne łóżko z gołym materacem, czystą wykładzinę na podłodze, a na tylnej ścianie okno wychodzące na ogród. W drugiej zaś na ścianach tapetę w misie, a na podłodze kolorowy, dziecięcy dywan. Tam również stało łóżko. Łazienka była bardzo brudna. Oshgar spojrzał na mnie niespokojnie, niepewny mojej reakcji.

– Cóż, trzeba będzie trochę posprzątać – rzekłam spokojnie. Spoglądając na Oshgara, dodałam po chwili: – Ale jestem do tego przyzwyczajona. Po tylu latach wprawy to żaden problem. W ogóle się tym nie przejmuję!

Ze względu na Ikbala nie dodałam, że czuję się jak w pałacu, bo nie ma tu mojej rodziny. Towarzyszyła mi cudowna świadomość, że są ze mną tylko Oshgar i Azmier. Będę więc sprzątać dla siebie i dla tych, których kocham. To ogromna różnica!

Zeszliśmy na dół.

– Gdzie tutaj są jakieś sklepy? – zapytał Oshgar – bo muszę kupić pościel i coś do jedzenia.

– Zaraz cię zawiozę, a Sam z małym mogą tu poczekać.

Oshgar uścisnął mnie krótko.

– Zaraz wracam – dodał.

Usiadłam na kanapie. Azmier przyszedł i usadowił się obok.

– Podoba mi się tu – oświadczył. – Czy ten pokój z misiami na ścianach to mój?

– Tak. Tylko twój – przytaknęłam i go uściskałam.

Wysmyknął się z moich objęć i odbiegł, krzycząc:

– Idę się pobawić w swoim pokoju!

Uśmiechnęłam się. Azmier zachowywał się jak normalny trzylatek. Radosny, żywiołowy, beztroski. Cokolwiek miało się zdarzyć, warto było usłyszeć w jego głosie ten radosny ton i wiedzieć, że małemu z całą pewnością nic nie grozi.

Kiedy tak siedziałam, znów wyobraziłam sobie moją matkę. Wiedziałam, że się nieludzko wścieknie, kiedy okaże się, że jej plany wzięły w łeb. Ale było mi

wszystko jedno. Znajdowała się zbyt daleko, by jej gniew mógł mnie dosięgnąć. Położyłam się na kanapie i słuchałam dochodzącego z góry radosnego głosu synka. Powoli zapadłam w sen.

Dwie godziny później wrócił Oshgar z zakupami. Przytaszczył koce i jedzenie. Azmier zbiegł na dół, wykrzykując jego imię, a Oshgar podał mu jedną z toreb.

– To dla ciebie – wyjaśnił.

– Co jest w środku? – chciał wiedzieć Azmier.

– Otwórz, to zobaczysz – odparł Oshgar i spojrzał na mnie z figlarnym uśmiechem.

Azmier otworzył torbę i wyjął z niej samochodzik, kredki i książeczkę do kolorowania. Na samym dnie znalazł trochę słodyczy i chipsy.

– Azmier, co się mówi? – ponagliłam.

– Że idę się bawić do swojego pokoju! – krzyknął znowu, odwrócił się i pobiegł na górę.

Roześmiałam się. Nie chciałam go za wszelką cenę poprawiać. Zamiast tego otarłam z oka łzę szczęścia.

– Dziękuję – powiedziałam do Oshgara. – Dziękuję w jego imieniu i swoim.

– Musisz być bardzo głodna – stwierdził Oshgar, po czym ruszył do kuchni, gdzie postawił na blacie torbę z zakupami. – Kupiłem jednorazowe naczynia i sztućce – zawołał do mnie – garnka nie, bo zauważyłem, że tu jakiś jest. – Otworzył puszkę zupy jarzynowej, podgrzał ją w garnku, a potem przelał do plastikowych misek. Przyniósł je do salonu wraz z bochenkiem chleba.

– Chodź, zjemy – zaprosił.

– Ty zjedz. Ja nie jestem głodna.

– Nad czym się zastanawiasz? – zapytał.

Westchnęłam. Próbowałam zebrać myśli.

– Jestem szczęśliwa, ale czuję się zagubiona. Nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Wiem jedno – oto osiągnęłam pierwszy kamień milowy, a do końca drogi pozostało ich jeszcze bardzo, bardzo wiele. Z całą pewnością będzie coraz lepiej, ale na razie się boję.

Podszedł i ujął moją rękę.

– Nie będziesz sama. Jestem tu z tobą. Jesteśmy zagubieni, ale razem. Może czasem będzie ciężko, ale obiecuję, że dojdiesz do końca drogi – gdziekolwiek by to było. A teraz chodź coś zjeść. – Pociągnął mnie za rękę i postawił na nogi.

Poszłam do przedpokoju zawołać Azmiera, żeby zszedł na kolację. Zjedliśmy. Rzeczywiście, nie zdawaliśmy sobie sprawy, jak bardzo wszyscy byliśmy głodni. Zupa zniknęła nie wiedząc kiedy, pochłonęliśmy też cały bochen chleba.

Po posiłku rozesałam prześcieradła na łóżkach i dałam Azmierowi koc.

Robiło się późno, więc kazałam małemu się kłaść. Zrobił to bez sprzeciwu, uparł się tylko, że będzie spał z nowym samochodzikiem.

– Dobranoc, kochanie. Kolorowych snów – powiedziałam i dałam mu buziaka.

– Zostaniemy tu? – zapytał. – Podoba mi się tutaj.

– Tak. Będziemy musieli szybko znaleźć nowy dom, ale na razie nie wrócimy do Glasgow. A jutro pójdziemy zapisać cię do przedszkola, żebyś miał się z kim bawić. – Pocałowałam go jeszcze raz, a potem siedziałam przy nim, nuciłam pod nosem kołysanki i głaskałam go po główce. Kiedy zasnął, cichutko zesłam do salonu, gdzie Oshgar siedział na kanapie.

– Jutro idę szukać pracy – oznajmił. – Iqbal mówi, że prawie na pewno da się znaleźć jakąś robotę w fabryce ubrań. – Wzruszył ramionami i się uśmiechnął. – Lepszy rydz niż nic. – Wstał, zbliżył się i mnie przytulił. Powinnam poczuć się skrępowana, może nawet bardzo, ale wcale tak nie było. Czułam się dobrze, jak trzeba, więc wsparłam się o niego i podniosłam głowę, żeby spojrzeć mu w oczy. Przyjęłam jego pocałunek.

– Wszystko w porządku?

Jego wargi były miękkie i delikatne.

– Jest dobrze – mruknęłam. – Wspaniale. – Pragnęłam tylko tego, żeby jeszcze raz mnie pocałował.

– Pójdziemy na górę? Tam jest przytulniej – zaproponował Oshgar.

Skinęłam głową.

Położyliśmy się do łóżka i wtuliliśmy w siebie. W jego objęciach czułam się naprawdę bezpieczna. Po raz pierwszy, odkąd sięgałam pamięcią, ktoś doceniał mnie za to, kim jestem, a nie za to, jakich dostarczam korzyści. Kiedy przy nim leżałam, wróciłam myślami do odległych lat – lat szczęśliwego dzieciństwa. Rozpłakałam się na myśl o tym, jak rzadko w życiu bywałam szczęśliwa. W ramionach Oshgara zrozumiałam, że miłość, jaką noszę w sobie, nie kończy się na uczuciu do Azmiera – że starczy jej też dla Oshgara i że lata, gdy musiałam tłumić emocje, definitywnie minęły. Nagle życie wydało mi się piękne jak sen, z którego nie chciałam się nigdy obudzić.

Nie kochaliśmy się tej nocy. Oshgar gładził moją twarz, dopóki nie zasnęłam.

Rano przez firanki do pokoju zajrzało słońce. Byłam ciekawa, która jest godzina. Przekonana, że zasnęłam do pracy, przeklęłam pod nosem Menę, że nie zbudziła mnie na czas.

– Dzień dobry. Która godzina? – spytał Oshgar, obracając się twarzą w moją stronę.

Jak mogłam zapomnieć, gdzie jestem? Jakże cudownie było obudzić się w obcym domu, u boku mężczyzny moich marzeń! Zakręciło mi się w głowie z oszołomienia.

Nie odpowiedziałam, więc Oshgar zapytał:

– I jak się dzisiaj miewasz?

– Żyję i jestem w siódmym niebie – odparłam.

– To wszystko zasługa miłości – stwierdził, mrugnął do mnie i sięgnął po leżący na parapecie zegarek. Była ósma.

Leżeliśmy jeszcze chwilę, zastanawiając się, czy wstawać, kiedy z sąsiedniego pokoju dobiegło wołanie Azmiera:

– Mamo, gdzie jesteś?

– Chyba jednak pora wstawać – powiedzieliśmy jednocześnie.

Przygotowałam proste śniadanie. Czekają już, kiedy Oshgar zszedł na dół. Zjedliśmy je we trójkę. O dziesiątej przyjechał Iqbal i wraz z Oshgarem ruszyli na poszukiwanie pracy. Azmier i ja zostaliśmy w domu. Ogarnęłam trochę nasze rzeczy i przygotowałam nas do wyjścia na spacer. Chciałam poznać okolicę, w której mieliśmy zamieszkać. Wzięłam Azmiera za rączkę i ruszyliśmy na zwiady.

Wszędzie panowała cisza, po obu stronach ulicy obsadzonej drzewami słychać było tylko głosy ptaków. Nie odchodziłam daleko, bo nie chciałam się zgubić. Kiedy wróciliśmy, usiadłam z Azmierem przy stole i zabraliśmy się do kolorowania jego książeczki. W duchu modliłam się, by Oshgar znalazł pracę.

Dwie godziny później wrócił w bardzo dobrym nastroju. Miał pracę.

– Chodź, wyjdziemy, to pokażę ci sklepy i przystanek, z którego możesz dojechać do centrum – zaproponował.

Wyszliśmy z domu i ruszyliśmy ulicą.

– Z tego przystanku wszystkie autobusy jadą do centrum – rzekł – a tu, tuż za rogiem, jest parę sklepów.

Na głównej ulicy naszym oczom ukazał się budynek szkolny.

– Och! – krzyknęłam, zachwycona. – Musimy wstąpić i zapytać, czy w przedszkolu są wolne miejsca.

Skierowałam się do wejścia. Szkoła wydawała się nieduża, a na ścianach wisiały namalowane przez dzieci obrazki przedstawiające sceny z Biblii. Nieoczekiwanie dopadła mnie tęsknota za moim starym przedszkolem. To, w którym się znajdowaliśmy, bardzo je przypominało, choć moje zapisało się we wspomnieniach jako znacznie większe.

W sekretariacie zapytałam, czy w przedszkolu są wolne miejsca. Zostałam skierowana bezpośrednio do nauczycielki. Zapukałam do drzwi oddziału przedszkolnego. Otworzyła wysoka kobieta, która spojrzała najpierw na mnie, potem na Oshgara, a na końcu na Azmiera. Wtedy się uśmiechnęła.

– W czym mogę pomóc? – zapytała.

– Chciałabym się dowiedzieć, czy w przedszkolu znajdzie się miejsce dla mojego syna. Właśnie wprowadziliśmy się do tej dzielnicy.

Kobieta zadała nam kilka pytań, a potem odparła, że zostało parę wolnych miejsc i że Azmier może zacząć od poniedziałku. Co prawda na razie tylko na przedpołudnia, ale to wystarczało, by nawiązał kontakt z dziećmi i zaczął bawić się w grupie rówieśników.

Kiedy wróciliśmy do domu, nareszcie zaczęłam wierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Oshgar miał pracę, Azmier miejsce w przedszkolu, a my wszyscy – dach nad głową. Moje modlitwy zostały wysłuchane.

Nasz ślub odbył się sześć tygodni później, kilka dni przed Bożym Narodzeniem. Była to skromna i szybka uroczystość, w której udział wzięło tylko dwoje przyjaciół Oshgara w roli świadków. Po południu Oshgar musiał iść do pracy. Nie mogliśmy sobie pozwolić na uczczenie tego dnia wyjściem do restauracji, położyłam więc Azmiera wcześniej i przygotowałam uroczystą kolację przy świecach.

Choć spędzaliśmy nocę w jednym łóżku, nie kochaliśmy się. Doszliśmy wspólnie do wniosku, że zaczekamy do ślubu. Kiedy więc w dniu ślubu po kolacji poszliśmy do sypialni, żadne z nas dłużej się nie wahało. Nie bałam się już i dałam się ponieść czystej namiętności. Złe wspomnienia wymiotła teraz fala rozkoszy.

– Kocham cię – powiedział Oshgar, kiedy było już po wszystkim.

– Ja też cię kocham.

Następnego dnia rano Oshgar obudził mnie, mówiąc, że wychodzi do pracy. Przez firanki wpadały promienie słońca.

– Naprawdę musisz? – zapytałam.

– Tak, muszę. – Nachylił się nade mną i pocałował namiętnie. Pocałunek ten nie zmienił mojego nastawienia – wręcz przeciwnie. – I ty musisz już wstawać, by odprowadzić Azmiera do przedszkola. Ale nie ukrywam, że wolałbym zostać w domu.

– Cóż, w takim razie do wieczora – rzekłam z uśmiechem.

Był to pierwszy dzień reszty naszego życia.

Przez następne tygodnie układaliśmy sobie życie po nowemu. Oshgar pracował sześć dni w tygodniu i zarabiał tyle, że dość szybko stanęliśmy na nogi. Kupiliśmy lodówkę, telewizor, talerze, sztuce i garnki. Ustaliliśmy sobie codzienny porządek zajęć. Rano odprowadzałam Azmiera do przedszkola, wracałam, piłam spokojnie herbatę i czytałam. Och, jak cudownie było mieć czas na czytanie i świadomość, że nikt nie wpadnie znienacka, nie wyrwie mi książki z ręki i nie krzyknie, że próżnuję! Potem sprzątałam w domu, przygotowywałam obiad i szłam odebrać Azmiera z przedszkola.

Pewnego wieczora Oshgar jak zwykle po południu wrócił z pracy. Zjedliśmy kolację i położyłam Azmiera spać. Siedzieliśmy przytuleni na kanapie, kiedy rozległo się stukanie do drzwi. Był to Iqbal. Przyszedł porozmawiać z Oshgarem. Zostawiłam ich samych, posłam na górę poprasować.

Z dołu dochodził jedynie niezrozumiały gwar ich głosów, z którego w pewnym momencie wychyciłam wypowiedziane przez Oshgara zdanie: „Dokąd teraz pójdziemy? Jeszcze nic nie znaleźliśmy. Daj nam choć parę tygodni”. Natychmiast zrobiło mi się ciężko na sercu. To mogło oznaczać tylko jedno.

Wkrótce potem trzasnęły drzwi i Oshgar przyszedł na górę. Zgarbiony, ze zwieszonymi ramionami, usiadł na łóżku. Zupełnie jakby uszło z niego powietrze.

– Rano musimy się wyprowadzić. Iqbal przechowa nam rzeczy, dopóki sobie czegoś nie znajdziemy. Jutro rano przyjedzie i nam pomoże.

Ogarnął mnie lęk, ale nie dałam nic po sobie poznać. Oshgar tak dużo dla nas zrobił. Nie chciałam, by już przy pierwszym niepowodzeniu stracił wiarę w siebie. Przecież do tej pory mogło nas spotkać tyle niepowodzeń, a tu proszę – wszystko się udało.

– Nie martw się, Oshgar. Coś znajdziemy – odparłam. Z całej siły starałam się, by mój głos brzmiał optymistycznie.

Tej nocy nie mogłam zasnąć. Wciąż rozmyślałam nad tym, co zrobimy, gdzie pójdziemy. Nie mieliśmy pieniędzy na kaucję, żeby wynająć mieszkanie – wszystko, co dotąd zarobił Oshgar, wydaliśmy na kupno najpotrzebniejszych sprzętów. Zwróciłam się więc do jednej jedynej osoby, która mogła nam pomóc. Modliłam się, modliłam, aż wreszcie zasnęłam.

Następnego dnia sytuacja nie wydawała się już taka okropna. Wiedziałam, po prostu wiedziałam, że wszystko jakoś się ułoży. Iqbal pomógł nam złożyć nasz skromny dobytek w swoim garażu. Potem poszedł do pracy.

– Chodźmy do ośrodka opieki społecznej – rzekłam. – Jestem pewna, że coś dla nas znajdą. Przecież nie mamy dokąd iść.

W sali przyjęć interesantów wydziału mieszkaniowego czekała już inna para z dwojgiem dzieci. Usiedliśmy w pewnej odległości, a Azmier pobiegł bawić się do kącika zabaw. Po mniej więcej kwadransie z zaplecza wyszła urzędniczka, usiadła za biurkiem i zawołała:

– Następny, proszę!

Spojrzałam na ludzi z dziećmi, którzy byli pierwsi, ale stwierdzili:

– Proszę podchodzić, my już jesteśmy obsługiwani.

Podeszliśmy więc do biurka i usiedliśmy.

– Słucham państwa.

– Nie mamy gdzie mieszkać – oznajmiłam.

Urzędniczka – na imię miała Linda – zaczęła zadawać pytania. Było ich nieskończenie wiele.

– Od jak dawna jesteście państwo w Manchesterze? Gdzie mieszkaliście przez ostatnie miesiące? Czy to jest pani mąż? Dlaczego nie pracuje?

Wyjaśniłam okoliczności naszego przybycia do Manchesteru. Nie mogłam powiedzieć prawdy, że Oshgar pracuje, ponieważ nie miał pozwolenia na pracę. Co gorsza, za parę miesięcy wygasała mu wiza, a dotąd nie mieliśmy czasu ani możliwości się tym zająć. Cóż, to nie była pora na to, żeby się tym zamartwiać. Najpierw musieliśmy znaleźć mieszkanie, a dopiero potem rozwiązać wszelkie pozostałe sprawy. Powiedziałam jej, że uciekłam z domu, że przyjechaliśmy tu, na południe, do znajomych, ale właśnie dziś kazali nam się wyprowadzić i teraz nie mamy dachu nad głową. Linda słuchała mojego monologu ze współczuciem. Kazała nam chwilę poczekać, mówiąc, że zobaczy, co może dla nas zrobić.

Wróciliśmy na miejsca i czekaliśmy, czekaliśmy, czekaliśmy. Przyjechaliśmy do ośrodka o dziesiątej, a dochodziła druga. Byliśmy głodni i coraz bardziej zdenerwowani. Za parę godzin zrobi się ciemno – co wtedy z nami się stanie, jeśli opieka społeczna nic dla nas nie znajdzie? Ta druga rodzina już wyszła. Tymczasowo, dopóki nie znajdzie się dla nich normalne zakwaterowanie, dostali miejsca w schronisku. My chyba też możemy na coś takiego liczyć, myślałam.

Dla zabicia czasu wymyślałam dla Azmiera opowieści o przygodach w Cannock Chase – historie, które przypominały mi czasy szczęśliwego dzieciństwa. Kiedy mały się nudził, szedł do kącika zabaw, a potem znów wracał. Oparłam głowę na ramieniu Oshgara i zaczęłam płakać. Oshgar spojrzał na mnie zdziwiony.

– Nic się nie stało – wyjaśniłam. – Tylko jestem zmęczona. – Uśmiechnęłam się do niego. – Cieszę się, że tu z tobą jestem. To znaczy nie tutaj – dodałam,

rozglądając się po poczekalni – ale tu i teraz, z tobą. Wszystko będzie dobrze. Nie mam wątpliwości. Ktoś nad nami czuwa i nic nam się nie stanie.

W końcu wróciła Linda z dobrymi wiadomościami.

– Znalazłam dla was mieszkanie – rzekła w uśmiechem. Oboje z Oshgarem spojrzeliśmy po sobie z ulgą. – Znajduje się na osiedlu dla bezdomnych i możecie się tam zatrzymać do czasu, aż będziemy mogli wam przydzielić jakieś stałe lokum. – Powiedziawszy to, podała nam adres, pokazała na mapie, gdzie dokładnie znajduje się osiedle, i dodała, że na miejscu będzie na nas czekał pracownik ochrony.

Mieszkanie znajdowało się dość blisko domu, w którym dotąd mieszkaliśmy. Po drodze wstąpiliśmy na frytki. Azmier pochłonął łapczywie swoją porcję. Kiedy dotarliśmy na miejsce, ochroniarz zapoznał nas z panującymi na osiedlu zasadami.

– Należy wracać do domu przed dziesiątą wieczór. Później nie wpuszczamy nikogo na teren. Jeśli ktoś będzie was odwiedzał, najpierw musi zgłosić się do mnie – mówił stanowczo. Zaprowadził nas na pierwsze piętro i otworzył drzwi po prawej. Następnie wręczył nam klucze i odszedł.

Mieszkanie składało się z dwóch pokoi – sypialni i salonu oraz maleńkiej kuchni. Pod tylną ścianą sypialni stały trzy pojedyncze łóżka. Salon wyposażony był w dwuosobową, poplamioną sofę i nieduży stół pod oknem. W ciasnej kuchni pod jedną ścianą znajdował się mały blat roboczy z kuchenką elektryczną, pod drugą – szafka, a pod oknem naprzeciw wejścia – zlew. Szczęśliwie mieliśmy lokum, lecz jeszcze nie miejsce, które nazwałabym domem. Spokojnie mogłam jednak twierdzić, że do nas należało. Nikt nie mógł tu przyjść i nas wyprosić, rozkazywać, co mamy robić, lub zrobić nam coś złego. Nawet moja matka. Wróciłam do sypialni i się położyłam. Byłam oszołomiona, a jednocześnie podekscytowana i pełna energii. Oto znalazło się miejsce, w którym możemy razem żyć. Azmier przyszedł i położył się obok mnie.

Do sypialni wszedł Oshgar.

– Od rana jesteś na nogach – rzekł. – Odpocznijcie sobie z Azmierem, a ja pójdę zorganizować coś na kolację.

Skinęłam głową, zamknęłam oczy i natychmiast zasnęłam. Śniło mi się, że w towarzystwie Oshgara i Azmiera szybuję po niebie. Nagle ktoś zaczął mnie potrząsać. Nad łóżkiem nachylał się Oshgar, mówiąc, że pod drzwiami stoi policja i chce ze mną rozmawiać.

Musiałam zasnąć głęboko, bo kiedy wstałam i ruszyłam do drzwi, nie mogłam złapać równowagi. Nie wiedziałam, co się dzieje – moja głowa jeszcze się nie obudziła.

Na klatce schodowej stało dwoje policjantów – kobieta i mężczyzna.

– Sameem Aktar? – zapytała kobieta.

– Tak.

– Czy możemy wejść? Musimy z panią porozmawiać.

Zawahałam się chwilę. Serce podeszło mi do gardła, ale mimo to otworzyłam drzwi. Azmier, który stał do tej pory w przedpokoju, na widok mundurów uciekł do sypialni. Wprowadziłam policjantów do salonu.

– Czego państwo od nas chcecie? – Kiedy spałam, zaschło mi w ustach, więc zamiast normalnego głosu wydałam z siebie ochryply pisk.

– Przyszliśmy sprawdzić, czy pani i pani synowi nic nie jest. Gdzie pani syn? Czy możemy go zobaczyć? – zapytała policjantka.

Zdezorientowana, ruszyłam do sypialni po Azmiera, ale nigdzie go nie było. Uświadomiłam sobie, że musiał schować się pod łóżko.

– Nic nie zrobiłem, nic nie zrobiłem! – krzyczał, kiedy tam zajrzałam. – Mamusiu, powiedz im, żeby mnie nie zabierali. Obiecuję, że będę grzeczny. Proszę, mamó, proszę!

Ze ściśniętym sercem przypominałam sobie, jak matka straszyla go policją, która przyjedzie go zabrać, gdy tylko będzie niegrzeczny.

Przykucnęłam obok łóżka.

– Ciii, Azmier, kochanie. Nie przyszli cię zabrać. Przyszli sprawdzić, czy u nas wszystko dobrze. Wychodź stąd, proszę – przemawiałam do niego łagodnym, kojącym głosem, równocześnie wyciągając rękę. Powoli wyczołgał się spod łóżka i chwycił moją dłoń. Kiedy go podniosłam, mocno do mnie przylgnął. Cały trząsał się ze strachu. Zaniósłam go do salonu i wyjaśniłam policjantom, dlaczego jest taki przerażony.

Policjantka pokręciła głową z niedowierzania, a przez jej twarz przemknęło coś w rodzaju złości – jakby słowa matki dotknęły ją tak samo jak mnie.

Policjant natomiast uśmiechnął się miło do Azmiera i powiedział:

– O, nie, młody człowieku. My nie zabieramy dzieci. Przecież rodzice byliby wtedy bardzo smutni, a my tego nie chcemy. My zawsze pomagamy ludziom. Przyszliśmy do was, żeby pomóc mamusi. Dobrze? Możemy pomóc twojej mamusi? – Azmier nieznacznie skinął głową. – To wspaniale. Odważny z ciebie chłopak, pięknie opiekujesz się mamusią. Chciałbyś pójść ze mną na dół obejrzeć samochód policyjny?

Azmier przecząco pokręcił głową, ale już tak mocno się we mnie nie wtulał. Ja za to byłam coraz bardziej podenerwowana.

– Czy możecie mi państwo powiedzieć, o co tu w ogóle chodzi? – zapytałam.

– Zna pani kogoś o imieniu Manz? – rzucił policjant.

– Tak. To mój brat – wyjaśniłam. Poszukałam wzrokiem Oshgara, ale on wyszedł zamknąć drzwi wejściowe.

Policjant uniósł brwi ze zdziwienia, ale odezwał się spokojnym głosem:

– Dziś po południu w okolicach Manchesteru aresztowano trzech mężczyzn. W ich samochodzie znaleźliśmy pani nazwisko, adres i przedmioty, za pomocą

których zamierzali zatrzymać panią i pani syna. Złożyli już zeznania. Przyznali się, że działali na zlecenie niejakiego Manza, który polecił im sprowadzić panią wraz z synem do Glasgow, obojętnie w jaki sposób i niezależnie od kosztów. Gdyby im się to nie udało, mieli inne plany.

Poczułam, jak krew odpływa mi z twarzy. Padłam na kanapę, gdzie Azmier przylgnął do mnie jeszcze mocniej.

– Wszystko w porządku, Sameem? – zapytała policjantka.

Wtedy wszedł Oshgar. Policjant powtórzył mu to, co przed chwilą usłyszałam. Przeliterował adres i wyjaśnił, że napastnicy tam byli i poszukiwali nas. Oshgar usiadł obok i opiekuńczo objął mnie ramieniem.

– Nie mogę w to uwierzyć – wyjąkałam. Cała się trzęsłam. – Jeszcze dziś rano mieszkaliśmy pod tamtym adresem, a tutaj wprowadziliśmy się dopiero po południu. – Łzy strumieniem popłynęły mi po twarzy. – Dopiero po południu! A co by było, gdybyśmy tam zostali? Gdyby Iqbal nie kazał nam się wyprowadzić? Skąd mieli adres? – zapytałam.

Policjanci pokręcili głowami.

– Podobno dostali od pani brata.

Oshgar aż stęknął z niedowierzania.

– Dzień przed naszym wyjazdem z Glasgow wyrzuciłem swój stary notes. Wszystko przepisałem do nowego, który sobie kupiłem. Manz musiał wyjąć tamten stary ze śmietnika już po naszej ucieczce.

Policjantka skinęła głową.

– Mogło tak być. Sameem, czy pojedzie pani z nami na komisariat złożyć zeznania?

Rozległo się stukanie do drzwi. Wzdrygnęłam się, ale policjantka wyjaśniła:

– To na pewno inspektor Blackly. Pójdę mu otworzyć. – Po chwili wróciła z innym policjantem, którego od razu nam przedstawiła.

– Co za ulga, że panią widzę, Sameem – rzekł nowo przybyły. – Manz został aresztowany w Szkocji. Niedługo go tu przywieziemy.

– Nie chcę go widzieć! – Zdenerwowałam się.

– Nie musi pani się z nim spotykać – uspokoił mnie inspektor Blackly. – Nie będziemy pani o nic prosić poza jednym: aby udała się pani z nami na posterunek złożyć zeznania.

Straciłam w końcu panowanie nad sobą. Utrata domu, długie oczekiwanie w urzędzie, przeprowadzka do tego ciasnego mieszkania, pobudka urządzona przez policję – te wszystkie wydarzenia wyssały ze mnie tyle energii, że w końcu się załamalam. Byłam do cna zmęczona, nie miałam już siły podejmować nowych wyzwań. A oto stanęłam przed kolejnym – w końcu udało mi się uciec od rodziny, od nienawiści i ciągłego strachu, lecz okazało się, że uciekłam niewystarczająco daleko.

– Jakie zeznania?! – wrzasnęłam. – Chcę tylko, żeby wszyscy w końcu zostawili mnie w spokoju i pozwolili mi żyć tak, jak sobie życzę. Dlaczego nikt tego nie rozumie?

Słyszając mój krzyk, Azmier się rozplakał. Oshgar wyjął go z moich ramion i zaprowadził do pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Policjantka usiadła na miejscu Oshgara, wzięła mnie za rękę i trzymała, a ja próbowałam się uspokoić. Kiedy przestałam płakać, wręczyła mi chusteczkę. Osuszyłam nią oczy.

– Sameem – odezwała się. – Będziemy cię pilnować. Nie będziesz musiała spotykać się z nikim, kogo nie masz ochoty widzieć. Ale musimy cię prosić, abyś pojechała z nami na komisariat i pomogła nam zrozumieć, o co tu w ogóle chodzi. Lepiej zrobić to tam, nie tutaj, bo dzięki temu twój synek nie będzie się denerwował. Zgoda? – Uśmiechnęła się do mnie na zachętę.

Osuszając twarz chusteczką, skinęłam głową i wstałam.

– Powiem im tylko, że jednak z wami jadę – powiedziałam.

Poszłam sprawdzić, jak ma się Azmier. Oshgar dał mu biszkopta i mały bawił się w najlepsze samochodzikami i misiem. Oshgar rzucił mi pytające spojrzenie.

– Muszę złożyć te zeznania. Niedługo wrócę. Opiekuj się małym.

– Nie – zaprotestował Oshgar. – Pojedziemy z tobą.

– Nie chcę, żeby Azmier musiał jechać na komisariat – powiedziałam. – Niech się tu bawi. Świetnie sobie z nim poradzisz. Jak zawsze.

Oshgar zgodził się niechętnie.

Inspektor Blackly zaprowadził mnie do nieoznakowanego samochodu policyjnego, natomiast pozostali policjanci poszli do radiowozu. Po drodze na komisariat milczałam, rozpatrując jeszcze raz przebieg wydarzeń. Jak Manz mógł nam coś takiego zrobić? Co powiedziałyby matka, gdyby się dowiedziała? Co się dalej stanie z całą rodziną? Skoro Manz wpadł w kłopoty, to kto poprowadzi sklepy?

Przyjechaliśmy na komisariat. Wsiadając z samochodu, inspektor zapytał:

– Czy pani się domyśla, czemu brat mógłby coś takiego zrobić?

– Bo chce, abym wróciła do Pakistanu – odparłam. – Gdybym się nie zgodziła, najprawdopodobniej siłą wsadziłby mnie do samolotu. I obudziłabym się gdzieś w środku Pakistanu.

– Ale dlaczego? Ma pani osiemnaście lat. Jest pani dorosła, może pani sama zdecydować o swoim życiu.

Wzruszyłam ramionami.

– Planował to, jeszcze zanim uciekłam z domu – wyjaśniłam.

Komendant najwyraźniej chciał wiedzieć więcej, a równocześnie zdawał sobie sprawę, że z dalszymi pytaniami trzeba poczekać, aż znajdziemy się

w środku. Kiedy szliśmy korytarzem, schyliłam głowę i patrzyłam pod nogi – nie chciałam natknąć się na ludzi, których Manz po mnie wysłał.

Inspektor zapraszającym gestem wskazał na jakieś drzwi.

– Za chwilę kogoś przyślę, żeby spisać zeznania – oznajmił i wyszedł.

Usiadłam na jednym z dwóch krzeseł ustawionych przy niewielkim stoliku. W pokoju nie było okna, a ściany pomalowano na obrzydliwy szary kolor. Parę minut później nadeszła policjantka z segregatorem pod pachą.

– Witaj, Sameem, mam na imię Theresa. Jak się masz? – przywitała się przyjaźnie.

– Dobrze – skłamałam.

– Muszę spisać twoje zeznania, lecz najpierw wyjaśnię ci, co się stało. Wraz z kolegą podczas rutynowej kontroli samochodu na autostradzie znaleźliśmy w bagażniku nunczaki, kije baseballowe i noże.

Słyszając to, gwałtownie zaczerpnęłam powietrza.

– Zatrzymaliśmy ludzi podróżujących tym pojazdem i przywieźliśmy ich do nas na komisariat – ciągnęła. – Podczas przesłuchania okazało się, że zostali wynajęci, by porwać ciebie i dziecko, a następnie dostarczyć do Szkocji. Resztę pieniędzy mieli dostać po powrocie. Zeznali, że do wykonania tego zadania zostali zatrudnieni przez niejakiego Manza. W kieszeni jednego z nich znaleźliśmy kartkę z twoim nazwiskiem i adresem. Twierdzili, że jeśli nie udałoby im się nakłonić cię do powrotu do domu, zamierzali inaczej sobie z tobą poradzić, a przywieźć tylko chłopca.

Słuchając jej, cała się trzęsałam. Nie mogłam przestać myśleć o tym, co mogło się zdarzyć, o ukrytej w samochodzie broni, która zapewne została użyta przeciwko mnie, gdybym stawiała opór. A na pewno bym go stawiała, bo nigdy, przenigdy nie pozwoliłabym im zabrać Azmiera. Nigdy też nie zgodziłabym się wrócić do domu.

– Dobrze się czujesz? – zapytała ze współczuciem policjantka. – Może się czegoś napijesz?

– Właśnie dziś rano wyprowadziliśmy się z tamtego domu – odparłam, drżąc na całym ciele. Wzniosłam oczy do góry. Tak, z całą pewnością ktoś nad nami czuwał.

– Jesteś pewna, że dasz radę złożyć zeznania? – dopytywała się. – Pozwól, że najpierw przyniosę ci coś do picia. – Theresa wyszła z pokoju i po chwili wróciła ze szklanką wody. – Czy teraz możemy zaczynać? – zapytała.

– Nie wiem, co pani chce wiedzieć. Mogę tylko przypuszczać, dlaczego Manz chciał coś takiego zrobić. Jak już mówiłam inspektorowi, jego życzeniem było, abym wróciła do Pakistanu, a ja nie chciałam tam jechać.

Sądziłam, że składanie zeznań nie potrwa długo, tymczasem zajęło to aż dwie godziny. Theresa pytała o najdrobniejsze szczegóły i wszystko dokładnie

zapisywała, a ja potem musiałam potwierdzić zeznania swoim podpisem. Kiedy cała procedura dobiegła końca, czułam się wykończona. Przez całą drogę powrotną nie odezwałam się ani słowem.

Choć Azmier spał już, kiedy wróciłam, położyłam się obok niego i mocno go przytuliłam. Po chwili poprawiłam mu kocyk i poszłam do salonu, gdzie zrelacjonowałam wszystko Oshgarowi.

– Jak się czujesz? – zapytał, kiedy skończyłam, a potem ogarnął mnie ramionami. – Na pewno trudno ci było o tym mówić przez całe dwie godziny. Strasznie się o ciebie martwiłem. Kocham cię. I masz rację: z całą pewnością ktoś nad nami czuwa. Mam nadzieję, że nigdy nie przestanie.

Następnego dnia rano kiepsko się czułam. Bolała mnie głowa i było mi niedobrze. Po wydarzeniach poprzedniego dnia, a zwłaszcza wieczora, nie budziło to mojego zdziwienia, ale Oshgar bardzo się przestraszył i poszliśmy do lekarza.

Pani doktor zapytała mnie o objawy, a potem kazała położyć się na leżance za parawanem. Oshgar czekał po drugiej stronie. Zbadała mi brzuch, a potem spytała:

– Czy wiedziała pani, że jest w ciąży?

– Co? – oboje z Oshgarem wydaliśmy okrzyk zaskoczenia.

Lekarka się roześmiała.

– Chyba dostałam odpowiedź na moje pytanie. Będzie pani musiała zrobić badania, żeby to potwierdzić, ale zdaje mi się, że ciąża trwa już około trzech miesięcy. – Oshgar wszedł za parawan, żeby mnie uściskać. – Nie mogę więc zaproponować żadnych leków na złe samopoczucie. Objawy, na które pani się skarży, są typowe dla ciąży.

– Będziemy mieli drugie dziecko – rzekł Oshgar z uśmiechem.

Mocno go objęłam. Cieszyłam się, ale równocześnie bardzo się bałam. Czułam jednak, że kocham go jeszcze bardziej. Drugie dziecko, powiedział. Choć nie wątpiłam w jego miłość do Azmiera, właśnie dostałam jej dowód. Mimo iż wcale tego nie potrzebowałam.

W perspektywie kolejnych miesięcy rysowało się przed nami sporo wyzwań. Martwiłam się, że nie mamy normalnego domu, żeby wychowywać w nim Azmiera i jego rodzeństwo. Poza tym wciąż tyłam, puchły mi stopy, a potem cierpiałam na uporczywe krwotoki z nosa.

Kiedy byłam w ciąży z Azmierem, matka zabroniła mi przyjmować zapisane przez lekarza tabletki, żeby dziecko zbyt nie urosło. Wtedy mogłabym mieć ciężki poród. Jej rozkaz wisiał nade mną i teraz – choć lekarz zalecił branie żelaza, nie robiłam tego. Mimo wszystko wciąż matce wierzyłam. Odbyłam za to wszystkie zalecane wizyty w poradni położniczej. Często chodził ze mną Oshgar, choć czasami zostawał w domu z Azmierem.

Druga ciąża była zupełnie inna. Pielęgniarki nie patrzyły na mnie krytycznym wzrokiem, lecz traktowały jak każdą inną pacjentkę. Oshgar opiekował się mną i starał mi się dogadzać, ale znosiłam to z trudem. Wedle jego zaleceń, jeśli gorzej się czułam, musiałam kłaść się z nogami do góry i odłożyć na bok codzienne obowiązki. Może to niezrozumiałe, ale wcale nie przynosiło ulgi, tylko zagrożenie. Nigdy w życiu nikt wokół mnie nie skakał, więc kiedy Oshgar zaczął tak postępować, odnosiłam wrażenie, że tracę kontrolę nad sytuacją. Powtarzałam mu

wciąż z uporem, że wszystko w porządku, zmuszałam się do obowiązków, odbierałam Azmiera z przedszkola i przygotowywałam mu podwieczorek, by potem padać bez siły na kanapę. Tak bardzo przywykłam do poświęcenia na rzecz innych, że nie potrafiłam teraz zwolnić tempa i skoncentrować się na sobie. Chciałam być silna i ze wszystkim sobie radzić, a raczej czułam, że muszę być silna i ze wszystkim sobie radzić. Chodziłam po urzędach, starałam się o przydzielenie nam domu komunalnego, załatwiałam formalności związane z przedłużeniem wizy Oshgara, zaspokajałam bieżące potrzeby rodziny.

Raz na tydzień szłam do miasta – nie mogliśmy sobie wtedy pozwolić na bilety autobusowe – tylko po to, by zapytać w ośrodku opieki społecznej, czy nie znalazł się dla nas dom.

– Bardzo mi przykro, niestety, ciągle nic się nie zwolniło – słyszałam niezmiennie.

Było to frustrujące. Oshgar musiał przedstawić w urzędzie imigracyjnym stały adres zameldowania, ponieważ jako mąż obywatelki brytyjskiej wystąpił o wizę stałego pobytu w Wielkiej Brytanii. Wciąż się zamartwiałam, czy będzie mógł ze mną zostać. A co się stanie, jeśli odeślą go do Pakistanu? Jak sobie sama poradzę z dwójką dzieci, bez domu i bez pieniędzy? Codziennie modliłam się o poprawę tej sytuacji. Pragnęłam tylko dwóch rzeczy – domu i wizy dla Oshgara, żeby mógł z nami zostać. Czy to naprawdę wiele?

Aż pewnego dnia, dwa tygodnie przed terminem porodu, dostałam telefon, na który tak długo czekałam.

– Zwolnił się dom. W tej samej dzielnicy, gdzie państwo teraz mieszkacie. Nasz pracownik będzie tam na państwa czekał o jedenastej. Sprawdźcie, czy ten dom wam odpowiada – poinformował mnie kobiecy głos w słuchawce.

– I tak go wezmę! – krzyknęłam z radością. – Wszystko mi jedno, gdzie się znajduje i jak wygląda, najważniejsze, żeby miał dach i cztery ściany!

Do tego stopnia zależało mi na miejscu, które wreszcie mogłabym nazwać prawdziwym domem, że już o wpół do jedenastej staliśmy pod wskazanym adresem w Moss Side. Był to niewielki szeregowiec bez frontowego ogródka, do którego wchodziło się wprost z chodnika. Zajrzeliśmy przez okno do małego, wyłożonego białą-czarną tapetą holu. Wnętrze domu sprawiało wrażenie czystego, a kiedy tylko weszłam do środka, od razu wiedziałam, że będziemy tu bardzo szczęśliwi. Na górze znajdowały się dwie sypialnie – jedna większa, która mogła pomieścić podwójne łóżko, a druga mniejsza, idealna dla małego chłopca. Na dole zaś salon z kuchnią, w którym spokojnie dało się ustawić stół i kanapę.

Och, nareszcie mogliśmy gdzieś osiąść na stałe! Wymarzone miejsce, do którego przyniesiemy nowo narodzone dziecko! Dom był jednak nieumeblowany. Wszystkie nasze dotychczasowe mieszkania miały podstawowe sprzęty.

– Tylko gdzie będziemy spali? – zapytałam.

– Dziś dostanę wypłatę – rzekł Oshgar. – Pójdę i po pracy kupię jakieś używane łóżko. Poza tym nie przypuszczam, żebyśmy musieli natychmiast wyprowadzić się z osiedla dla bezdomnych. Na pewno dadzą nam parę dni, żebyśmy się jakoś urządzili.

Kiedy wieczorem wróciliśmy do domu i szykowaliśmy się do pójścia spać, zauważyłam, że czuję się gorzej niż zwykle.

Następnego dnia Oshgar poszedł do pracy, obiecał jednak wrócić do domu na obiad. Azmier powkładał swoje zabawki do toreb, a ja spakowałam ubrania do walizki. Wcale się nie napracowałam, a czułam się wykończona – zupełnie jakbym tyrała cały dzień od świtu do nocy. Oshgar, przyszedłszy na obiad, zastał mnie w łóżku. Powiedziałam mu, że źle się czuję, mam lekkie skurcze.

– To pewnie przez te wszystkie emocje związane z domem. Uspokoisz się, to ci przejdzie.

Nie byłam taka pewna. Rozpoznawałam te objawy. Zmierzyłam czas między skurczami – występowały co siedem minut. O dwunastej trzydzieści oznajmiłam Oshgarowi, że dziecko zaczęło się rodzić.

– Naprawdę? – Na jego spokojnej zwykle twarzy zobaczyłam panikę. – Naprawdę niedługo urodzisz?

Wróciłam myślami do narodzin Azmiera.

– Nie, to jeszcze trochę potrwa – uspokoiliam go.

Oshgar wyszedł do budki telefonicznej zadzwonić po taksówkę. Parę minut później była na miejscu – okazało się, że w samą porę, bo inaczej urodziłabym w domu. W drodze do szpitala skurcze się nasilały. Na miejsce przyjechaliśmy o dwunastej czterdzieści pięć. Ledwie zdołałam dowlec się do rejestracji.

– Chyba zaczęłam rodzić – wysapałam do rejestratorki. – Skurcze są do wytrzymania, ale wciąż się nasilają.

– Może pani chodzić? – zapytała pielęgniarka, która przybiegła z oddziału. Na mój widok, nie czekając na odpowiedź, zawołała: – Zaraz wracam! – I zniknęła, by po paru sekundach pojawić się z wózkiem inwalidzkim. – Siadaj, kochanie, już wiozę cię na oddział.

Usiadłam na wózku. Oshgar i Azmier, nieźle zaniepokojeni, szli obok. Po drodze wyjaśniłam Azmierowi, że niedługo urodzi mu się braciszek lub siostrzyczka, z którą będzie mógł się bawić. Mały uśmiechnął się szeroko, a zanim pielęgniarka wprowadziła wózek na salę porodową, wyszeptał:

– Chcę, żeby to był brat.

Odpowiedziałam mu uśmiechem.

W sali porodowej pielęgniarka wręczyła mi koszulę, a dwie inne zajęły się przygotowaniem sprzętu – włączały urządzenia i rozciągały przewody. Kiedy się przebrałam, przy pomocy jednej z pielęgniarek umościłam się na łóżku, a druga podłączyła mnie do urządzeń. Skurcze były już tak silne, że czułam potrzebę

parcia.

– To niemożliwe, nie może pani jeszcze rodzić! – zawołała pielęgniarka. – Nie zdążyłam nawet sprawdzić, czy jest pełne rozwarcie. Proszę zaczekać!

– Nie mogę czekać! – krzyknęłam.

Druga pielęgniarka pobiegła po położną. W tej samej chwili odeszły mi wody, a skurcze stały się wprost nie do wytrzymania. Ciągnęło tak mocno, jakby jakaś potężna łapa chwyciła mnie za kręgosłup i nawijała go na siebie. Nie pamiętałam tego z porodu Azmiera.

– Boli! – wołałam. – Dajcie mi znieczulenie! Proszę, podajcie znieczulenie!

– Jest już za późno, dziecko się rodzi. Przyj, Sam, przyjm!

Nadeszła położna i zajęła swoją pozycję. Spojrzała między moje nogi i skomentowała:

– Co, zamierzała pani rodzić w domu?

– Nie – odparłam, walcząc z bólem.

– Widzę już główkę – wyjaśniła położna. – Jeszcze tylko kilka skurczów.

Parłam i parłam, aż wreszcie usłyszałam krzyk. Czy to naprawdę ja krzyknęłam tak głośno? Po chwili rozległ się drugi krzyk – dziecka.

– To chłopczyk!

Dziesięć po pierwszej trzymałam już Asima na rękach. Poród zaczął się tak szybko, że pielęgniarki ledwie zdążyły zawieźć mnie na salę. Byłam wycieńczona. Nigdy bym nie przypuszczała, że można mieć w sobie aż tyle miłości. Teraz jednak z maleńkim zawiniątkiem w ramionach czułam się nią wypełniona. Choć myślałam, że będę musiała ją podzielić między moich ukochanych chłopców, okazało się, że miłość do Azmiera, Asima, a zwłaszcza Oshgara wręcz mnie zalewa. Byłam zdumiona.

Po jakimś czasie do sali wszedł Oshgar. Miał mokre oczy.

– Pielęgniarka powiedziała, że to chłopiec – rzekł i mocno mnie przytulił.

Skinęłam głową. Och, co to była za ulga – mieć w takiej chwili kogoś u swego boku.

Nagle wcisnęła się między nas główka Azmiera.

– Mogę zobaczyć? Ja też chcę, ja też chcę! – wołał mały.

– Oczywiście, chodź tutaj – odparłam i wyciągnęłam do niego rękę. – Chodź do mamy. Spełniło się twoje życzenie. Masz braciszka.

Jeszcze chwilę przytulaliśmy się i ściskaliśmy. Potem pojawiła się pielęgniarka i położyła rękę na ramieniu Oshgara.

– Czy mógłby pan chwilę poczekać na korytarzu? Teraz musimy ją oporządzić. Potem zawieziemy na oddział, tam będziecie mogli być razem.

– Kochamy cię – powiedział Oshgar, pomachali do mnie, a Azmier posłał mi buziaka.

Odmachałam do nich:

– Do zobaczenia za chwilę! Po jakimś czasie zostałam odwieziona na oddział, gdzie czekali już Azmier z Oshgarem. Mój synek Asim spał w łóżeczku przy łóżku. Ucałowałam go i sama się położyłam.

– Wyglądasz na zmęczoną – rzekł Oshgar i delikatnie odsunął mi z policzka kosmyk włosów. – Teraz odpoczywaj, a my pojedziemy kupić małemu trochę ubranek. Wieczorem znów do ciebie wpadniemy.

Zdołałam tylko skinąć głową i natychmiast zapadłam w głęboki sen. Obudziła mnie pielęgniarka, donosząc, że dziecko płacze.

– Zdecydowała się już pani na sposób karmienia? Butelka czy pierś? Bo mały nie może dłużej czekać.

– Pierś, oczywiście – odparłam.

Pielęgniarka podała mi Asima i zasunęła zasłonę przy łóżku.

Oshgar i Azmier codziennie przychodzili do szpitala. Czwartego dnia zostałam wypisana do domu. Przyjechał po mnie Oshgar. Taksówka czekała przed wejściem.

Pojechaliśmy prosto do nowego domu. Okazało się, że Oshgar zdążył już go trochę umeblować. Za dwadzieścia funtów nabył używaną dwuosobową kanapę, a dla Azmiera – składane łóżko polowe. Nowy podwójny materac, który kupił dla nas, położył na podłodze w kącie sypialni.

– Nie mogłem sobie pozwolić od razu na wszystko, ale przynajmniej mamy podstawowe sprzęty – rzekł.

– A ja sam wybierałem ubranka dla Asima, mamó! – powiedział z dumą Azmier. – Patrz! – I wysypał wszystko z torby.

– Śliczne, kochanie. Świetnie sobie poradziłeś. Kupiłeś same najładniejsze.

Staliśmy w salonie. Trzymałam śpiącego Asima na rękach, Oshgar oplótł mnie ramieniem i przytulił, a Azmier objął za kolana i uśmiechał się do brata. Miałam własną, kochającą rodzinę.

Kiedy urodził się Azmier, nic dla niego nie miałam i bardzo się tym martwiłam. Teraz nie musiałam – o wszystko zatroszczył się Oshgar. Ale najważniejsze było to, że nie byłam sama! Nigdy nie doświadczyłam piękniejszego uczucia. Wtuliłam się w Oshgara, pocałowałam go w policzek i powiedziałam:

– Jest cudownie.

Ale musiałam się zmierzyć z jeszcze jedną traumą. Dwa miesiące po narodzinach Asima wyznaczono termin rozprawy sądowej Manza. Od pamiętnego wieczora, kiedy składałam zeznania, nie byłam już w nią zaangażowana. Na dzień przed rozprawą odwiedził mnie w domu policjant, a nazajutrz wprowadził na salę sądową.

– Wiemy, że w procesie wezmą udział członkowie pani rodziny. Najprawdopodobniej jutro będą obecni na sali rozpraw. Kiedy wejdziemy, proszę spuścić głowę, nie rozmawiać z nimi i na nich nie patrzeć. Zgoda?

Skinęłam głową, ale w głębi duszy wiedziałam już, co zrobię.

Następnego dnia włożyłam swoje najlepsze ciuchy, jakich nigdy w życiu nie sprawiła mi matka. Wchodząc na salę w asyście policjanta, specjalnie odszukałam ją wzrokiem. Chciałam sprawdzić, czy na mnie patrzy. Wiedziałam, że tam będzie. Miałam rację – patrzyła. Odważnie wytrzymałam jej spojrzenie. Po złożeniu zeznań z wysoko uniesioną głową, odprowadzona przez policjanta, wyszłam do poczekalni. Byłam z siebie dumna – po pierwsze, że przyszłam, po drugie, że pokazałam jej i im wszystkim, do czego jestem zdolna, a po trzecie i najważniejsze – że po wszystkim mogłam wrócić do mojej kochającej rodziny.

Manz został uznany za winnego próby uprowadzenia i skazany na cztery lata więzienia. Karę odbywał w okrytym złą sławą więzieniu Strangeways Prison w Manchesterze.

Uwielbiałam być matką. Więź, jaka łączyła mnie z chłopcami, była bezcenna. Przez kolejne miesiące i lata, kiedy chodziłam do przedszkola, by odprowadzić lub odebrać Azmiera, przed budynkiem zawsze stała grupka plotkujących matek. Witałam je skinieniem głowy i nie zatrzymując się, szłam w swoją stronę, ale pewnego razu któraś z nich na widok siedzącego w wózekku Asima rzuciła:

– Pewnie nie możesz się doczekać, kiedy i on pójdzie do przedszkola, prawda? Dopiero wtedy będziesz miała trochę swobody. – I wszystkie zachichotały.

Uśmiechnęłam się i uprzejmie skinęłam głową, ale w głębi duszy myślałam inaczej. Wcale niespieszno mi było oddać Asima do przedszkola. Miałam ochotę spędzić z nim jak najwięcej czasu.

Mocniej stanęłam na nogi dopiero wtedy, gdy Manz trafił do więzienia i wiedziałam, że z jego strony nic mi już nie grozi. Ważnym kamieniem milowym był też dzień, gdy podczas rozprawy sądowej odważyłam się spojrzeć matce w oczy jak wolna kobieta. Azmier zaprzyjaźnił się z innymi dziećmi, dużo opowiadał o tym, co działo się w szkole. Wieczory spędzaliśmy zawsze razem, często pomagałam mu w lekcjach. Po jakimś czasie zaczęłam rozmawiać z innymi matkami. One ciągle gadały na ogólne, niezobowiązujące tematy, jak na przykład co dziś planują, co wczoraj zrobiły dzieci albo kogo ostatnio spotkały. Choć wiedziałam, że nie mamy ze sobą wiele wspólnego, przystawałam obok nich, a z czasem zaczęłam włączać się do rozmów. Niektóre poznałam nawet całkiem dobrze. W końcu poczułam się częścią mojej lokalnej społeczności. Przywiązałam się do miejsca, w którym mieszkałam. Wreszcie uznałam je za swoje.

Wraz z Oshgarem ciężko pracowaliśmy, by zapewnić naszej rodzinie jak najlepszy byt. Mój mąż nauczył się angielskiego i uzyskał obywatelstwo brytyjskie. Zdołaliśmy uzbierać sumę wystarczającą na kupno domu tuż obok olbrzymiego parku, w którym mogli bawić się nasi synowie. Biegali po nim, wymyślając rozmaite gry i zabawy, podobnie jak ja z Amandą po Cannock Chase. Azmier i Asim dobrze radzili sobie w szkole i zawsze sprawiali nam mnóstwo radości. Owszem, bywało ciężko, ale to dorosłe życie nie miało nic wspólnego z koszmarem mojego dzieciństwa.

Pewnego dnia – Asim miał wtedy około pięciu lat – zadzwonił telefon. Odebrałam.

W słuchawce rozległ się mocny, męski głos ze szkockim akcentem.

– Halo, czy to Sam?

Odparłam, że tak. Nie rozpoznałam, kto mówi.

– Sam, to ja, Saber.

Ręce zaczęły mi drżeć, a oczy napełniły się łzami. Nie rozpoznałam nawet głosu własnego brata. Uśmiechnęłam się przez łzy.

– Jak się masz? – wydusiłam wreszcie. – I skąd masz mój numer telefonu?

– Tanvir go dostała od rodziny Oshgara z Pakistanu – wyjaśnił. – Dzwonię w związku z tatą.

O, nie, pomyślałam. Powód mógł być tylko jeden.

– Jest bardzo chory – ciągnął Saber. – Był u nas w Glasgow, rozchorował się i trafił do szpitala. Pytał o ciebie. Chyba powinnaś przyjechać się z nim zobaczyć.

– Oczywiście. W którym szpitalu?

– Victoria. Oddział czwarty.

– Czy bardzo źle się czuje? – wykrztusiłam przez ściśnięte gardło.

– Przyjeżdżaj szybko – uciął Saber i odłożył słuchawkę, nie mówiąc nawet „do widzenia”.

Kiedy wieczorem Oshgar wrócił do domu, wyjaśniłam mu, że rano muszę jechać do Glasgow i dlaczego.

– Ale czemu w ogóle musisz tam jechać? A jak natkniesz się na Manza? Albo, co gorsza, na matkę?

Wzruszyłam ramionami. Byłam zdeterminowana.

– Wszystko jedno. Muszę zobaczyć się z tatą, nim będzie za późno. Jak się na kogoś natknę, to trudno, będę musiała sobie radzić.

Następnego dnia o szóstej rano wsiadłam do pociągu. Im bliżej Glasgow, tym gorsze sceny sobie wyobrażałam. A jeśli rzeczywiście natknę się na Manza? Odsiedział już wyrok za próbę uprowadzenia i choć od tamtej pory nie widziałam się z nikim z rodziny, doskonale wiedziałam, że Manz wini mnie za pobyt w więzieniu. Sądząc po tym, jakim był człowiekiem... A matka? Co zrobię, jeśli się z nią spotkam? Lub z kimś innym z rodziny? Czy zostanę obrzucona obelgami, zaciągnięta do jakiegoś zaułka, pobita i rzucona na pastwę losu? Wyobrażenia podsuwała mi coraz gorsze rzeczy. Poszłam więc na tył pociągu, gdzie mieściło się stoisko z przekąskami, i kupiłam sobie kawę. Wróciwszy na miejsce, wyjęłam z torby gazetę i próbowałam czytać, ale słowa zaczęły się rozmazywać. Przez całą drogę nie mogłam znaleźć sobie miejsca.

Na dworcu wzięłam taksówkę do szpitala i ruszyłam prosto na oddział czwarty. Wydawało mi się, że korytarze i schody ciągną się kilometrami. Przystanąłam na chwilę przed drzwiami, zbierając się na odwagę, by wejść na oddział. Potem otworzyłam drzwi i podeszłam do dyżurki pielęgniarek, by zapytać o ojca.

– Drugie łóżko od końca – odpowiedziała jedna z nich i uśmiechnęła się krzepiąco.

Minęłam cztery łóżka, na których leżeli starsi ludzie, a potem stanęłam w nogach tego, które wskazała pielęgniarka. Mężczyzna, którego zobaczyłam, w niczym nie przypominał mojego ojca – wyglądał na bardzo wiekowego, kruchego, na skraju śmierci. Do przedramienia miał podłączoną kroplówkę. Omal nie zawróciłam w kierunku dyżurki, sądząc, że źle zrozumiałam wskazówki. Wtedy mężczyzna otworzył oczy, a na jego twarzy pojawił się uśmiech, który dobrze znałam, pamiętałam i zawsze uwielbiałam.

– Wiedziałem, że przyjedziesz – powiedział tak cicho, że ledwie usłyszałam.

Podeszłam bliżej i przywitaliśmy się w milczeniu. Łzy napłynęły mi do oczu, ale nie chciałam, by je zobaczył, więc szybko zaczęłam mrugać.

– Tato, wyglądasz na bardzo chorego, co się stało? – zapytałam. Szczerze mówiąc, wyglądał znacznie gorzej niż na bardzo chorego. Sprawiał wrażenie osiemdziesięciopięcioletniego, a nie pięćdziesięciopięcioletniego.

Pokręcił głową.

– Nie, nie, już jest lepiej. Trzeba było mnie widzieć tydzień temu. – Przyjrzał mi się uważnie. – Ale ty nic się nie zmieniłaś, Sam, nic a nic. Jesteś szczęśliwa?

– Tak, tato – odparłam. Przeklinałam się w duchu, że zapomniałam przywieźć zdjęć Azmiera i Asima. Sama nie miałam żadnych zdjęć z dzieciństwa, ale fotografowałam swoje dzieci na każdym etapie rozwoju. Czasem przeglądałam sobie te zdjęcia, kiedy obaj byli w szkole. Zawsze wtedy żałowałam, że nie wiem, jak sama wyglądałam w ich wieku. – Bardzo szczęśliwa.

Rozmawialiśmy kilka godzin. Wspominaliśmy dawne czasy, wszystko, co razem robiliśmy, jak wykradał nas z domu do zoo, na festyn czy do biblioteki, a potem wszyscy troje mieliśmy kłopoty.

– Podaj mi radio, tam jest – rzekł, wskazując na szafkę przy łóżku. Otworzyłam drzwiczki i posłusznie wyciągnęłam małe, niebieskie radio. – Proszę, weź – powiedział – to dla mojego ulubionego wnuczka.

Włożyłam radio do torby. Łza zakręciła mi się w oku. To był prezent na pożegnanie. Chętnie zostałabym u taty dłużej, ale powiedział, że po południu zawsze odwiedza go Manz. Nie chciałam się na niego natknąć, ucisnęłam więc i ucałowałam tatę na pożegnanie. Opuszczając oddział, parę razy odwracałam się i machałam.

Mieszkając w domu dziecka, widywałam tatę częściej niż w późniejszym życiu. To właśnie tam upłynął najszczęśliwszy okres mojego dzieciństwa. Zawsze wiedziałam, że to nie przypadek.

Tak jak się spodziewałam, Saber więcej nie zadzwonił. Zrobił to dopiero, by poinformować mnie o śmierci taty.

– Pogrzeb w czwartek – oznajmił. – Chcieliśmy, żeby odbył się jutro, ale nie udało się załatwić formalności w szpitalu.

– Przyjadę w czwartek pierwszym pociągiem – wydusiłam przez ściśnięte

gardło. – Będę koło dziesiątej.

– Tak będzie najlepiej. I tego samego dnia powinnaś wyjechać. Wszyscy będą wściekli, więc oszczędź im nerwów i nie zostawaj dłużej niż trzeba – powiedział i się rozłączył.

Drżącą ręką odłożyłam słuchawkę, po czym zaczęłam rozpaczliwie szlochać. Oshgar przytulił mnie i lekko kołysał – tak samo jak wtedy, gdy chciał uspokoić płaczące dziecko. Uzgodniliśmy, że lepiej będzie, jeśli ze mną nie pojedzie. Jego obecność mogłaby tylko dolać oliwy do ognia. Przewidywał, jak może zareagować Manz, a okoliczności nie sprzyjały temu, by prowokować awanturę.

Przyjechałam więc do Glasgow sama. Od razu wsiadłam do taksówki. Po mojej ucieczce z domu i sprawie sądowej Manza matka wyprowadziła się z dzielnicy Mały Pakistan. Saber mówił, że za bardzo wstydziła się przed ludźmi. Weszłam do domu. W przedpokoju czekał na mnie Saber. Wyciągnęłam ręce, by się z nim przywitać, ale cofnął się o krok. Stłumiłam szloch, a on spuścił wzrok i wskazał na drzwi.

– Kobiety są tam – rzekł.

Szczelnie okryłam głowę szalem i weszłam do pokoju. Na podłodze siedziało kilkanaście kobiet. Głośno intonowały modlitwy i zawodziły. Tara, Hanif i Mena zajęły miejsca na samym środku. Na widok Meny żywiej zabiło mi serce. Z twarzą zalaną łzami ruszyłam w stronę siostr. Tara podniosła oczy. Tak strasznie pragnęłam jej uścisku, że aż wszystko bolało mnie w środku. Choć nigdy nie łączyła nas bliska więź, byłyśmy jednak siostrami, które właśnie straciły ojca. Chciałam go z nimi oplakiwać – wspólnie przeżywać wydarzenie, które nas w chwili obecnej łączyło.

– Nie siadaj tu – odezwała się nieprzyjemnie Tara. – Tam masz wolne miejsce. – Wskazała na pusty kąt przy kominku.

Przez kilka sekund patrzyłam na nią w milczeniu. Ona też nie spuszczała ze mnie pełnego złości spojrzenia. W końcu powoli skinęłam głową i usiadłam tam, gdzie mi nakazała. Pozostałe kobiety zaczęły się niespokojnie wiercić, a potem, kiedy zaczęłam się im przyglądać, wszystkie spuściły głowy.

Niezależnie od tego, co Tara miała do mnie, nie mogła mi zabronić oplakiwać ojca i modlić się, by znalazł się w lepszym miejscu, szczęśliwszym świecie.

Mężczyźni z rodziny – Manz, Saber, Salim, Baszir i kilku innych, których nie znałam, przynieśli do pokoju trumnę z ciałem ojca i postawili ją, byśmy mogły się z nim pożegnać. Jako kobietom, nie wolno nam było iść na cmentarz. Żadna z kobiet nawet na mnie nie spojrzała. Tara, Hanif i Mena, dodając sobie nawzajem otuchy, podeszły do trumny. Wszystkie trzy głośno płakały.

Ponieważ siedziałam ze spuszczoną głową, widziałam tylko podbródek Manza. Nie miałam najmniejszej ochoty napotkać jego spojrzenia. Bałam się, że

mógłby wpaść w gniew, a tego bardzo bym nie chciała. Nie wiedziałam, czego się po nim spodziewać, ale przypuszczałam, że przy tylu znajomych matki nie zdecyduje się na agresywne zachowanie.

Drżąc na całym ciele, podeszłam do trumny. Na twarzy ojca malował się całkowity spokój. Po policzkach popłynęły mi gorące łzy. Wyglądał teraz znacznie młodziej niż w szpitalu. Myślałam tylko o jednym – jak szybko i niepostrzeżenie minęło ostatnich dziesięć lat i jaka szkoda, że przez ten czas nie nawiązałam z nim kontaktu. Teraz było już za późno.

Wszystkie kobiety otoczyły wianuszkami Tarę i Menę, by je pocieszyć, a potem zaczęły głośno intonować modlitwy. Przy wtórze naszych głosów mężczyźni wynieśli trumnę. Znowu odwróciłam wzrok, by nie patrzeć na Manza.

– Do widzenia, tato – wyszeptałam, kiedy go zabierano.

Parę minut później podeszła do mnie Tanvir.

– Chyba czas na ciebie – rzekła.

Zatkało mnie.

– Ale chciałam zostać na trzydniowe czuwanie na modlitwie – wyjąkałam.

– Nie ma tu dla ciebie miejsca.

Zebrałam się więc na odwagę i z całą szczerością, na jaką zdołałam się zdobyć, powiedziałam:

– Dziękuję za wiadomość o śmierci taty i że daliście mi szansę się z nim pożegnać.

Po czym wyszłam.

Po śmierci ojca jeszcze kilka razy jeździłam do Glasgow. Czułam się w rodzinie jak intruz, ale mimo to pragnęłam jak równy z równym nawiązać kontakt z matką i rodzeństwem. Wiedziałam, że nie jestem już ofiarą ani wiecznym popychadłem. Po śmierci ojca matka zadzwoniła i poprosiła, żebym przyjechała w odwiedziny. Dopiero po jakimś czasie dowiedziałam się dlaczego: otóż wcale nie dlatego, że przed śmiercią chciała poznać moje dzieci, a swoje wnuki. Podczas pierwszej wizyty u niej, około pół roku po pogrzebie taty, zdradziła mi powód – chciała mnie nakłonić, bym odeszła od Oshgara. Miała nadzieję, że dam się namówić na powrót do domu. Mówiła:

– Wybaczylimy ci to, co zrobiłaś, tylko wróć wreszcie do Pakistanu, do męża.

Nie wierzyłam własnym uszom.

– Wybaczylimy mi? Ale właściwie co?

– To, że uciekłaś.

– Nie zrobiłam nic złego.

Wracałam z tych wizyt smutna i rozczarowana, bo matka wciąż miała mnie za nic, wciąż nie spełniałam jej oczekiwań. Oshgar świetnie potrafił sobie ze mną poradzić, gdy wracałam. Dobrze wiedział, czego nasłuchiwałam się w domu i jak

ukoić moje nerwy.

Matka mieszkała z Salimem, jego żoną i dwojgiem dzieci. Salim miał sklep mięsny i bardzo dobrze radził sobie finansowo. Kilka pierwszych wizyt upłynęło w niezręcznej atmosferze, ponieważ stosunki między mną a matką ciągle były bardzo napięte. Nie odzywała się do mnie za wiele, pytała tylko, jak się mam, a potem od razu szła do łóżka, skarżąc się na ból głowy.

Żona Salima, Szahad, była jakąś naszą daleką kuzynką z Pakistanu, uprzejmą młodą kobietą, która zawsze życzliwie się do mnie odnosiła. Pewnego razu podczas mojej trzeciej wizyty u nich, kiedy wszyscy byli w pracy albo w szkole, a matka jak zwykle w łóżku, przysiadła się i zapytała, o co chodzi – dlaczego jestem skłócona z całą rodziną i dlaczego wszyscy okazują mi tyle chłodu.

– Na pewno już ci opowiadali – odparłam.

– Owszem, własną wersję wydarzeń. – Spuściła wzrok. – Ale ty nie sprawiasz wrażenia osoby z ich opowieści.

Przełknęłam ślinę.

– Co ci o mnie mówili?

– Że nic z ciebie dobrego i szkoda na ciebie czasu. – Szahad spojrzała mi prosto w oczy. – Ale ja tak nie myślę.

Przyłożyłam palec do ust.

– Ciii, bo jak matka usłyszysz, będziesz miała nie lada kłopoty.

Zaczęłyśmy chichotać. Odtąd byłyśmy przyjaciółkami.

Opowiedziałam jej o dzieciństwie w domu dziecka, o którym nic nie wiedziała, o tym, jak w wieku trzynastu lat zostałam wydana za męża, a w wieku czternastu – zostałam matką. Nie zdziwiłam się, że Szahad nie miała pojęcia o tym fragmencie mojego życiorysu.

Kiedy skończyłam, rzekła:

– Powrót tutaj wymagał prawdziwej odwagi.

– Chciałam im dać jeszcze jedną szansę, aby poznali mnie i moje dzieci. Ale jeśli nie chcą, to trudno – ich strata.

W czasie tej samej wizyty Szahad w obecności matki wspomniała coś o Manzie. Zaskoczona byłam reakcją matki, która powiedziała:

– Sama wiesz, jaki jest Manz: najpierw zrobi, potem pomyśli.

Spojrzała wtedy na mnie, a ja poczułam, że nawiązała do sytuacji, która zakończyła się procesem sądowym Manza. Potem już nigdy o tym nie wspomniała. Manz powiedział na pewno: „Sprowadzę ją z powrotem, choćby martwą”. Tak sobie postanowił i nikt nie zdołałby wybić mu tego z głowy.

Kiedy matka wyszła z pokoju, Szahad powiedziała:

– Twoja matka jest poważnie chora. Nie siedzi u nas w Glasgow cały czas, większą część roku spędza w Pakistanie, a tu, w Glasgow, przeczekuje tylko najgorsze upały. To wszystko przez tę jej astmę.

Zawsze wiedziałam, że matka jest chora. Och, dała się nam wszystkim we znaki ze swoim charkotem, pluciem i bólami głowy. Nigdy nie zdawałam sobie sprawy, na co konkretnie cierpi. Po pewnym czasie do astmy dołączyła się cukrzyca i matka tak łaknęła słodczy, że pochłaniała całe tabliczki czekolady. Jej zdrowie pogorszyło się do tego stopnia, że przy łóżku miała butlę z tlenem, której używała w razie potrzeby.

Szahad westchnęła.

– Ach, uważam, że powinna puścić to wszystko w niepamięć. Gdyby się trochę postarała i nawiązała z tobą normalne stosunki, twoje rodzeństwo od razu zrobiłoby to samo.

Tak się też stało – stopniowo, na przestrzeni kolejnych trzech lat. Jeździłam odwiedzać matkę, kiedy przyjeżdżała do Glasgow na lato. Czasem zostawałam na noc. Uzmysłowiłam sobie, że odbudowanie kontaktu z nią – teraz, kiedy dzięki Oshgarowi i ukochanym synom byłam inną osobą – daje mi nową siłę. Fakt, że miałam odwagę spojrzeć jej w oczy, choć ona, jak zwykle, odwracała wzrok, stanowił najważniejszą miarę tego, co w życiu osiągnęłam, co zrobiłam dla samej siebie. Wtedy namacalnie wręcz czułam, jak opuszczają mnie strach i nienawiść.

Podczas wizyt w Glasgow spotykałam się też z Meną, która kupiła dom naprzeciwko domu matki. Na początku odnosiła się do mnie z rezerwą – nawet gdy byliśmy same. Miałam wrażenie, że obawia się mi wyznać, co jej leży na sercu. Zamiast dociekać, o co chodzi, powiedziałam więc tylko:

– Bardzo mi ciebie brakowało. Azmierowi też.

Mena spojrzała na mnie i wyszeptła, jakby w obawie, że ktoś może usłyszeć:

– I ja za tobą tęskniłam.

A potem opowiedziała mi, jak po moim wyjeździe wszyscy się zmienili. Matka bardzo się uspokoiła, a na skutek mojej ucieczki Meny nie zmuszono do zawarcia zaplanowanego przez rodzinę małżeństwa.

– Wysłałam za mąż dopiero, jak miałam dwadzieścia jeden lat – oznajmiła z dumą.

Uśmiechnęłam się. Pomyślałam, że rzeczywiście dzięki mnie zaszła jakaś pozytywna zmiana.

Postanowiłam pojechać z Azmierem do matki. Zanim jednak do tego doszło, musiałam powiedzieć synowi prawdę o jego ojcu. Oshgar wychował go jak własnego, ale teraz, gdy chłopak był już nastolatkiem, uznałam, że powinien dowiedzieć się prawdy. Coś mi mówiło, że matka nie omieszka o niej wspomnieć lub choćby zrobić jakiejś aluzji. Wolałam sama Azmiera o tym uprzedzić. Musiał dowiedzieć się wszystkiego ode mnie.

Podjąwszy tę decyzję, pewnego popołudnia, kiedy Oshgar był w pracy, a Asim bawił się z kolegami na dworze, oznajmiłam Azmierowi, że musimy

pogadać.

Spojrzał na mnie z wyczekiwaniem. Nie miałam pojęcia, jak mu powiedzieć, że jego prawdziwy ojciec mieszka w Pakistanie i przez całe życie nic nie zrobił, by nawiązać z nim kontakt. Raz kozie śmierć, pomyślałam, wzięłam głęboki oddech i zaczęłam opowiadać. Nie wydawał się zdziwiony, gdy wyznałam, w jakim wieku wyszłam za mąż i go urodziłam – wiedział przecież, ile mam lat; i od dawna potrafił liczyć. Potem powiedziałam mu, że był aniołem zesłanym mi na ratunek. Dzięki niemu nie popełniłam samobójstwa i odważyłam się na ucieczkę z domu.

– Przepraszam, że dowiadujesz się o tym wszystkim dopiero teraz – zakończyłam. – Doskonale rozumiem, jeśli będziesz chciał jechać do Pakistanu, żeby go poznać.

Ale Azmier spojrzał tylko na mnie i się uśmiechnął.

– Nie. Po co miałbym tam jechać? – Wzruszył ramionami. – Może w przyszłości, kiedyś, jak zechcę... – rzucił, po czym uścisnął mnie i pobiegł do kolegów.

Parę tygodni później pojechaliśmy odwiedzić matkę. Ledwie zdążyłam wejść z Azmierem, wypaliła:

– Twój prawdziwy ojciec mieszka w Pakistanie.

Azmier wzruszył tylko ramionami i odparł:

– Tak, wiem, i co z tego?

Omali nie pękłam z dumy i ze śmiechu, który starałam się stłumić. Matka zniecka pozbawiona szansy, by nam dopiec, nie wiedziała, co ze sobą zrobić.

Matka próbowała poruszyć temat Afzala.

– Ożenił się, szansa przepadła, lecz moglibyśmy go jeszcze przekonać, aby do ciebie wrócił. – Nie przyjmowałam jej słów do wiadomości, więc próbowała znowu: – Ma same córki, wiesz, nie doczekał się syna.

Nie zwracałam na nią uwagi. Szybko przestała do tego nawiązywać.

Nie zaniechałam wizyt w domu. Od czasu do czasu jeździł ze mną Azmier, ale matka postawiła sprawę jasno – nie chce mieć do czynienia ani z Oshgarem, ani z Asimem. Nie rozumiem, czemu wracałam, ale wciąż to robiłam i wciąż nic się nie zmieniało – czułam, że matka dalej nie akceptuje tego, kim jestem, kim się stałam.

Kiedy Asim skończył prawie dwanaście lat, wzięłam go ze sobą do Glasgow, bo wypytywał o moją matkę i co robimy, kiedy z Azmierem jedziemy ją odwiedzić. Nie miałam serca mu odmówić, więc pojechaliśmy we trójkę – ja, Azmier i on. Kupiliśmy kwiaty. Przez całą drogę martwiłam się, co będzie, ale nie dawałam tego po sobie poznać. Nie wiedziałam, czego się spodziewać po matce. Nie śmiałam myśleć, jak zareaguje, bo nie uprzedziłam jej o wizycie Asima. Gdybym zapytała, czy mogę go ze sobą zabrać, z pewnością by odmówiła. Wiedziałam, że niezależnie od wszystkiego, jeśli go odepchnie, będę przy nim

i ochronię go – jak przystało na matkę.

Matka jednak mnie zaskoczyła. Gdy tylko przestąpiliśmy próg, przedstawiłam młodszego syna, popatrując na nią nerwowo.

– To twój wnuk Asim – powiedziałam.

Patrzyła na niego przez chwilę, po czym nieoczekiwanie odparła:

– No podejdz, nie przywitasz się z babcią? – I przytuliła go, spoglądając równocześnie na mnie ponad jego ramieniem.

Jej oczy powiedziały mi wszystko, choć nie odezwała się ani słowem. Zobaczyłam w nich akceptację. Niczego więcej nie potrzebowałam.

To sprawiło mi satysfakcję. Miałam poczucie, że dokonałam czegoś ważnego. Że osiągnęłam wszystko, czego pragnęłam. Znacznie później zdałam sobie sprawę, że prawdziwym, podświadomym powodem moich powrotów do domu było pragnienie, by matka wreszcie pogłaskała mnie po głowie. Pragnęłam jej akceptacji. Chciałam wiedzieć, że jest dumna ze mnie i z mojego życia. Kiedy to się ziściło, zrozumiałam, że pokonałam wszelkie ograniczenia i że dokonam w życiu wszystkiego, czegokolwiek tylko zapragnę.

Nie przestałam od czasu do czasu odwiedzać rodziny. Nauczyłam się nawet w pewnym sensie kochać matkę. Nasze stosunki nie przypominały wprowadzie normalnych relacji matka–córka, ale zawarłyśmy jakieś niepisane przymierze. Musiało upłynąć sporo czasu, by matka puściła w niepamięć dawne sprawy, ja zresztą tak samo. Gdyby nie okrutne, pozorowane małżeństwo, nie urodziłby się mój kochany Azmier, a w konsekwencji nie poznałabym Oshgara i nie wyszłabym za niego, więc nie miałabym też Asima. Być może wcale nie byłabym w życiu szczęśliwa. Kto wie.

W styczniu 2001 zadzwoniła Tara z wiadomością o śmierci matki w Pakistanie. Tak płakała, że prawie nie mogła rozmawiać, przekazała więc słuchawkę swojej najstarszej córce. To od niej dowiedziałam się, że cała rodzina wybiera się na pogrzeb.

– Ty też musisz koniecznie jechać – rzekła.

Po zakończonej rozmowie rozplakałam się. Ku memu zdziwieniu ogarnęło mnie poczucie najprawdziwszej straty. Przypomniało mi się powiedzenie, które gdzieś kiedyś przeczytałam, że jeśli ktoś nie kocha cię tak mocno, jak byś chciał, to nie znaczy, że nie kocha cię tak mocno, jak potrafi. W tamtej chwili uświadomiłam sobie coś bardzo ważnego – że matka była osobą, która po prostu nie miała w sobie miłości.

Oshgar, kiedy podzieliłam się z nim tą wiadomością, zgodził się, że koniecznie powinnam jechać. Powiedział:

– Jedź, należy jej się to. Tak trzeba.

Czułam smutek, ale równocześnie bardzo się martwiłam. Wiedziałam, że powinnam jechać, zresztą naprawdę chciałam, ale byłam przerażona. Miałam

wrócić w miejsce, gdzie czyhały moje najgorsze koszmary.

Oshgar zadzwonił do swojego brata i wszystko z nim uzgodnił.

– Zatrzymasz się u mojego brata. On zorganizuje samochód i kierowcę, który będzie cię codziennie woził do domu matki, czekał na ciebie, a potem odwoził z powrotem. W ten sposób wszyscy będziemy wiedzieli, gdzie jesteś, a ty będziesz mogła w każdej chwili wyjść.

Udało mi się załatwić natychmiastową wizę do Pakistanu i bilet lotniczy jeszcze na ten sam dzień. Manz był już na miejscu. Matka zmarła w jego obecności. Mena, Tara, Saber i Salim zdążyli na pogrzeb – wszyscy polecili razem. Mnie oczywiście pominęli – musiałam sama zatroszczyć się o bilet i zorganizować całą podróż. W samolocie słuchałam płyt z wykładami na temat radzenia sobie w trudnych sytuacjach. W ten sposób chciałam wzmocnić się przed ciężkimi przeżyciami, których się spodziewałam. Tuż przed lądowaniem słuchałam nagrania o tym, jak stawiać czoło własnym lękom. Potem okazało się, że wiele z niego skorzystałam.

Wieczorem przybyłam do domu szwagra i przez cały pierwszy dzień odpoczywałam po podróży. To był okropny dzień, bo spędziłam go na rozmyślaniach, po co właściwie przyjechałam i co tu robię. A jeśli spotkam ojca Azmiera i będzie chciał się ze mną rozmówić? Nie widziałam go dwadzieścia lat, nigdy o nim nie myślałam i nic mnie z nim nie łączyło. Wyobrażałam sobie różne rzeczy. Po paru godzinach powiedziałam sobie, że będę twarda, nie dam się i stawię czoło obawom, a z każdą trudną sytuacją będę sobie radzić na bieżąco, jeśli zajdzie taka potrzeba. Muzułmanie uważają, że należy spalić ciało jak najszybciej po śmierci, ale uroczystości pogrzebowe ciągną się cały miesiąc. Choć nie byłam obecna podczas kremacji, mogłam wziąć udział w uroczystościach, które zaczynały się następnego dnia. Główny okres żałoby to trzy pierwsze dni po kremacji. Jest to czas przeznaczony dla najbliższej rodziny, natomiast przez dziesięć następnych dni zmarłego może opłakiwać dalsza rodzina i krewni, którzy potrzebują z reguły więcej czasu, by dojechać na miejsce pochówku. Wtedy wszyscy, którzy znali zmarłą osobę, siedzą na podłodze i modlą się za nią – mężczyźni w domu (przy włączonych wiatrakach), a kobiety – na dworze. Kobiety raczej gawędzą, niż się modlą.

Siostra Oshgara przyjechała specjalnie, by dotrzymać mi towarzystwa pierwszej nocy i opowiedzieć, co słytać w rodzinie. Byłam tak zmęczona, że zasnęłam, gdy mówiła.

Następnego dnia rano miałam już jechać do domu matki, kiedy szwagierka wpadła do pokoju i zawołała:

– Nie jedź sama, weź ze sobą Nur, naszą pomoc domową. Zawsze lepiej mieć kogoś, kto w razie czego zareaguje i nas zawiadomi.

Podziękowałam jej i obie z Nur wsiadłyśmy do samochodu. Kierowca także

dostał wyraźny rozkaz, by nie spuszczać ze mnie oka. Ze zdenerwowania zaschło mi w gardle, a on nie potrzebował większej zachęty, by cały czas gadać.

– Nic się nie przejmuj, siostrze, wiem, dokąd jadę, a gdybyś czegoś potrzebowała, cały czas będę czekał przed domem. Czy po drodze kupujemy płatki róż i kadzidło?

– Co takiego? – zapytałam.

– Czy chcesz najpierw jechać na grób matki? Nie martw się, cały czas będę przy tobie.

– Tak.

– W takim razie po drodze wstąpimy po płatki. Wy, Anglicy, nie macie pojęcia o naszych zwyczajach, ale jestem tu po to, by pomóc.

Nie wiedziałam, o czym mówi, więc kiwałam tylko głową.

Kiedy przejeżdżaliśmy obok bazaru, zatrzymał się i kupił płatki róż i kadzidło. Nasza podróż trwała jeszcze około dwudziestu minut. Przez cały czas wyglądałam przez okno, a kierowca opowiadał, co mijamy. Starałam się rozpoznać otoczenie.

– Proszę, oto dom twojej matki – rzekł, wskazując na jakiś budynek i równocześnie skręcając w boczną ulicę. – A pochowana jest tu, niedaleko. – Jechaliśmy jeszcze parę minut, aż wreszcie zatrzymał samochód. Po lewej stronie ciągnęły się pola i niewielki płachetek wykarczowanej ziemi, na którym wznosiły się trzy niewielkie wzgórki.

– O, ten jest świeży, więc to na pewno grób twojej matki – rzekł i wręczył mi płatki róż. – Trzeba je tu rozsypać. Po tej stronie jest głowa, a po tej nogi – pokazał.

Nagle wszystko stało się prawdziwe. Ten pagórek skrywał moją matkę. Do tej pory nic nie czułam. Myślałam tylko: „Mam nadzieję, że pójdziesz do nieba, szczerze mam taką nadzieję”. Po głowie chodziło mi jedno – że była osobą władczą i nieznoszącą sprzeciwu. Teraz była niczym – wzgórzem ziemi. Spełniło się: *Z prochu powstałaś, w proch się obrócisz*. Rozsypując nad nią płatki róż, nie płakałam. Miałam jedynie żal. Zapaliłam kadzidło i ustawiłam je obok grobu. Kierowca i służąca zostawili mnie samą i czekali przy samochodzie. Po odwiedzinach grobu matki poczułam się silniejsza. Myślałam sobie – jestem gotowa na wszystko, co jeszcze może się zdarzyć. Poradzę sobie.

Tak pokrzepiona, wsiałam do samochodu. Ruszyliśmy, by dołączyć do reszty żałobników. Wchodząc w promieniach południowego słońca przez bramę wioski, miałam wrażenie, że jest dużo mniejsza, niż zapamiętałam. Otworzyłam furtkę i weszłam na podwórze matki. Nie rozpoznałam ani jednej z kobiet, które pogrążone w modlitwie siedziały na ziemi. Pośrodku wciąż rosło drzewo z obwisłymi gałęziami, tylko wydawało się wyższe niż dawniej. Podwórko nie zmieniło się, nie licząc przybudówki do głównego budynku, której za tamtych czasów nie było. Wszłam do wnętrza. Wyglądało identycznie jak dawniej – dwa

łóżka, a w rogu lampa.

Tara i Mena siedziały na jednym z łóżek. Spojrzały na mnie i natychmiast uderzyły w płacz. Stałam niezdecydowana, czy się z nimi witać, ale Tara wstała i wyciągnęła ręce, podeszłam więc i ją uścisnęłam. Nie potrafiłam płakać. Czułam smutek, prawdziwy smutek, ale nie płakałam. Uściskawszy Menę, usiadłam na drugim łóżku. Zapytałam o Manza. Tara odparła, że gdzieś się kręci. Obawiałam się go spotkać, ale zarazem wiedziałam, że w obecności Sabera, kierowcy i pomocy domowej mojego szwagra nic mi nie grozi. Nie odzywałam się, Tara i Mena też milczały. Zapytały tylko, jak minęła podróż, gdzie się zatrzymałam i tak dalej. Cisza nas nie krępowała. Po prostu nie był to odpowiedni czas na rozmowy.

Kilka godzin później do pokoju wszedł Manz. Spojrzał prosto na mnie. Niepewna, jak się zachować, wstałam. Podeszedł, a ja zapadłam się w sobie. Nie wiedziałam, czego się spodziewać. Nie zrobił jednak nic, powiedział tylko:

– Cieszę się, że przyjechałaś. Matka umierała mi na rękach. Powiedziała, że jej życzeniem jest, abyśmy zaprzestali sporów. Możesz tu zostać, jak długo chcesz.
– Zbliżył się jeszcze o krok i uściskał mnie niezdarnie.

Skinęłam głową. Dobrze wiedziałam, że nigdy nie zostaniemy przyjaciółmi, ale nasze stosunki mogły być przynajmniej cywilizowane. Nie musiałam się dłużej bać własnego brata.

W tej samej chwili weszli Saber z Salimem.

– O, jednak dotarłaś! – zawołali na mój widok. Sprawiali wrażenie zadowolonych. Saber zwrócił się nawet do mnie po dawnemu – Sid.

Znowu skinęłam głową.

Tego dnia zbyt wiele kobiet nie zgromadziło się na modlitwie, ale nazajutrz miało być inaczej – wypadła uroczystość trzeciego dnia, ważna chwila w okresie żałoby. Tara poprosiła, bym przyjechała jak najwcześniej, nawet o ósmej trzydzieści. Wracałam do domu w zapadającym zmroku, kiedy słońce już zachodziło, a znużeni ludzie po ciężkim dniu pracy powoli wracali do domów. Konie w swoim własnym tempie ciągnęły wozy. Czułam się tak samo wykończona jak one.

Następnego dnia, kiedy o ósmej piętnaście przybyłam do wioski, sporo kobiet siedziało na podwórzu. Na samym końcu, pod płotem, stały trzy krzesła. Myślałam, że to dla nas, ale na razie skierowałam się do domu. Na łóżku siedziała Tara. Wyglądała na zmęczoną. Podniosła wzrok i powiedziała:

– Podoba mi się twoje ubranie. Cały dzień będziemy na dworze, to chociaż nie zmarzniesz.

Miałam na sobie niebieski salwar-kamiz, rozpinany sweter i długi czarny szal. Nie spodziewałam się komplementu z jej ust, wyjąkałam więc tylko:

– Dzięki.

Po śniadaniu na podwórzu zrobiło się tłoczniej, owinęłyśmy się ciasniej

szalami i zajęłyśmy miejsca na krzesłach. Usiadłam na ostatnim, pośrodku Mena, a najbliżej – Tara. Zauważyłam, że wszystkie kobiety gapią się na mnie. Czułam się skrępowana, szepnęłam więc do Meny:

– Wszystkie się na nas gapią, jakbyśmy były kosmitkami. O co chodzi?

– Cicho bądź, nie rozśmieszaj mnie – syknęła.

– Co ona mówi? – zapytała Tara.

– Że się na nas gapią, jakbyśmy spadły z kosmosu – powtórzyła jej Mena.

Tara nachyliła się w moją stronę za plecami Meny, żeby nikt nie widział jej twarzy, uśmiechnęła się i odparła:

– Wiem, masz rację.

Nagle ktoś do mnie podszedł.

– Twoja matka obiecała, że będziemy mogli zobaczyć chłopca.

Podniosłam głowę i moim oczom ukazała się jakaś starsza kobieta.

– Na pewno mnie poznajesz. Jestem Fozija, siostra Afzala.

Już miałam odpowiedzieć, że wcale jej nie poznaję, ale zamiast tego spytałam:

– Słucham?

– Twoja matka mówiła, że będziemy mogli zobaczyć chłopca – powtórzyła lodowatym tonem.

– Jakiego chłopca? – Dalej nie wiedziałam, o co chodzi.

– Naszego.

Dopiero wtedy zrozumiałam, że ma na myśli Azmiera. Przeniosłam wzrok na Tarę, która wzruszyła tylko ramionami.

– Proszę teraz nie poruszać tej sprawy – odparłam.

Zignorowała mnie i nalegała dalej:

– Chcemy zobaczyć chłopca.

Westchnęłam.

– Cóż, koniecznie chce pani wywołać scenę? – powiedziałam podniesionym głosem. – Chce pani popsuć atmosferę, tak? W tej chwili, tu i teraz? Nie sądzę.

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem i się wycofała. Pewnie nie podejrzewała, że się jej sprzeciwię.

– Mój syn ma na imię Azmier – wyszeptałam, kiedy odchodziła.

Zostałam tam dwa tygodnie. Codziennie jeździłam do domu matki i wracałam o zmroku.

Po powrocie do Anglii odsypiałam ten wyjazd przez wiele dni, taka byłam wykończona. Nie opuszczały mnie radość i zdziwienie, że mimo wszystko zdecydowałam się tam jechać. Pojednałam się z matką, zanim umarła, i cieszyłam się z tego. Zdaję sobie sprawę, że puste miejsce w moim wnętrzu, które powinna wypełnić bezwarunkowa matczyna miłość, nigdy nie zostanie wypełnione. Minęło dużo czasu, zanim zrozumiałam, skąd się wzięła ta próżnia i co właściwie oznacza,

ale kiedy już sobie to uświadomiłam, było mi znacznie łatwiej ją zaakceptować.

Matka stanowiła część mnie, a ja – jej, i dlatego wybrałam się do Pakistanu. Chciałam się z nią pożegnać. Oznaczało to, że zadreślałam się przez całe życie czymś, co bezpowrotnie minęło. Skończyłam z tym. Kiedy dawała mi lanie, matka doskonale zdawała sobie sprawę, co robi, ponieważ nigdy nie uderzała po twarzy. Czy była zła? Nie sądzę. Jedynie chora, bardzo chora, a ponieważ w moim wczesnym dzieciństwie nie wytworzyła ze mną więzi, to później nic nie powstrzymywało jej od traktowania najmłodszej córki jak nieposłusznej niewolnicy. Drażniłam ją, przeszkadzałam jej. Nie byłam kochana.

Czy jej nienawidziłam? Nie. Czy teraz nienawidzę jej za wyrządzoną mi krzywdę? Nie, chyba nie – ona już nie żyje i nie może dłużej mnie maltretować. Czy ją kochałam? Nie, raczej nie, na pewno nie tak, jak ja kocham swoich synów – bezwarunkową miłością. Pragnęłam ją kochać, ale mi nie pozwalała. W każdym razie na pewno się jej bałam. Czekala mnie jeszcze jedna okrutna niespodzianka. Dowiedziałam się od Tary, która oczywiście powiedziała to w złości, że moje małżeństwo w Pakistanie nie zostało zaplanowane i zorganizowane przez matkę. Okazało się, że mój wuj przegrał sporą sumę, zadłużył się, a w zamian za umorzenie długu obiecał wierzycielowi miłą młodą Pakistankę urodzoną w Anglii. Dla matki dobro brata liczyło się bardziej niż dobro córki. Chyba powinnam była się tego spodziewać.

Wciąż mam na ciele blizny, choć w porównaniu z tymi na duszy są niczym. Są jak mapa, przewodnik po przeszłości, wytyczają drogę, jaką przebyłam, by dostać się tu, gdzie teraz jestem. Wszystko, czego w życiu doświadczyłam, wzmocniło mnie. Nauczyłam się walczyć o to, na czym mi zależy. To właśnie dlatego zdecydowałam się postawić przed sobą wyzwanie, jakim było napisanie tej książki – mimo że od dwunastego roku życia nie chodziłam do szkoły.

Kochać nauczyłam się dzięki Oshgarowi, a ufać – dzięki przyjaciółom z Manchesteru. Bliska mi osoba dopilnowała, bym została ciepło przyjęta przez tamtejszą społeczność pakistańską i bym nie musiała obawiać się presji społecznej. Dzięki temu sporo w życiu osiągnęłam. Miałam szczęście, że spędziłam pierwszych siedem lat życia w domu dziecka. Mocny fundament miłości, na jakim wyrosłam, pomógł mi przebrnąć przez trudne doświadczenia kolejnych lat życia. To tam nauczono mnie kochać – nie nienawidzić, przebaczać i zostawiać zło za sobą. Dziś cieszę się ze wszystkich doświadczeń. Wiem, że ojciec, gdyby mógł, dałby mi znacznie więcej swobody i otoczył ojcowską troską, i darzył miłością, ale matka świetnie zdawała sobie sprawę, że jeśli do tego dopuści, wymknę się spod jej kontroli. Nie chciała jej utracić, bo w jej przekonaniu dziecko należało poddać surowemu nadzorowi i nakazać mu życie zgodne z tradycją, niezależnie od jego osobistych wyborów. To właśnie dlatego do dziś funkcjonują wąskie, ściśle izolowane społeczności azjatyckie, zamknięte przed wpływami Zachodu. Dawniej takie instytucje, jak policja, opieka społeczna i służba zdrowia, obchodziły je szerokim łukiem, nie wtrącając się w ich wewnętrzne życie, ale obecnie zaczyna się to zmieniać. Uważam, że trzeba było w nie ingerować znacznie wcześniej. Nikt bowiem, kto nie należy do danej społeczności, nie może twierdzić, że zna jej potrzeby.

Do dziś żywy jest zwyczaj aranżowania małżeństw, a ludzie tracą życie w imię honoru rodziny. Ja należę do wybrańców, którym udało się uciec i przeżyć, by potem opowiedzieć swoją historię reszcie świata. Władze prowadzą wprawdzie akcję informacyjną na temat zmuszania do małżeństwa, ale moim zdaniem radykalne zmiany muszą najpierw nastąpić w społecznościach, które wciąż kultywują tę tradycję.

W 1990 roku dostałam pierwszą płatną pracę w lokalnym urzędzie imigracyjnym. Przed końcem tysiąclecia po raz pierwszy od dwunastego roku życia wróciłam do szkoły. Udało mi się zdobyć wykształcenie zawodowe, specjalność: turystyka i podróże. Uzyskane kwalifikacje umożliwiły mi pracę w obsłudze naziemnej lotniska w Manchesterze, przy stanowisku odpraw. Ostatnio założyłam

lokalne stowarzyszenie mieszkańców w dzielnicy, w której mieszkam, a w rezultacie poznałam większość miejscowych radnych. Dzięki mojemu zaangażowaniu w pracę społeczną nasza dzielnica otrzymała miliony funtów na modernizację.

W maju 2007 startowałam w wyborach do samorządu lokalnego z ramienia Partii Pracy. Uzyskałam dwukrotnie więcej głosów niż wszyscy pozostali kandydaci razem wzięci. Nie mówię tego, by się chwalić, ale by zaznaczyć, jak daleko udało mi się zajść.

Czasem odruchowo zakładam włosy za uszy. Wtedy natychmiast przypominam sobie, że matka zawsze pragnęła, abym się tak czesała. Mówiła, że mam włosy jak ona, takie same, dlatego powinnam nosić je tak jak ona. Wspominając to, od razu wyjmuję włosy z za uszu. Nie chcę, spojrzawszy w przelocie na własne odbicie w witrynie sklepowej, przywoływać wspomnień o matce.

Kiedy przeglądałam swoją teczkę w ośrodku opieki społecznej, znalazłam pewne intrygujące zdanie. Ktoś, kto pisał raport na temat naszej rodziny, a w szczególności na mój temat i Meny, przywołał słowa pracownika socjalnego, którym, jak przypuszczam, musiała być ciocia Peggy. Były następujące: „Pracownik socjalny jest zaniepokojony, że dzieci wychowują się w warunkach zachodnich, więc jeśli w przyszłości planowany jest powrót dzieci do rodziny, może się to odbyć dużym kosztem”.

Kiedy pisano te słowa, miałam około trzech lat. Na łono rodziny wróciłam po kolejnych czterech. Początkowo uznałam słowa: „dużym kosztem”, użyte dla opisu mojego powrotu do rodziny, za obraźliwe, ale teraz, patrząc na to z dzisiejszej perspektywy – z perspektywy żony i matki dwóch synów – mam świadomość, że przeszłam przez ten trudny czas bezpiecznie, zwycięsko, triumfalnie.

Kilka tygodni temu poszłam z Oshgarem i chłopcami na spacer do parku koło naszego domu. Chłopcy grali w piłkę, a my wdrapaliśmy się na niewielki pagórek pośrodku parku. Kiedy stanęłam na jego szczycie, przypomniały mi się czasy, gdy bardzo tęskniłam za podobnym miejscem – czy to były „małpie wzgórza” w Walsall, czy pola za wioską w Pakistanie. Czasy, kiedy byłam małą, przerażoną dziewczynką, nieszczęśliwą i samotną. Odwróciłam się do Oshgara, przytuliłam go i nasłuchując śmiechu synów, którzy biegali za piłką, zaśmiałam się razem z nimi – nareszcie szczęśliwa.

Podziękowania

Chciałabym w szczególny sposób podziękować następującym osobom i instytucjom: cioci Peggy, Aminie Khan, Sarah, Terie Garrison, Judith Jury, Denisowi Pelletierowi, South Manchester Writers Group, Broo Doherty, Humphreyowi Price'owi, Eleanor Birne, Helen Hawksfield oraz Nikkiemu Barrowowi.

Dziękuję wszystkim za zachętę i wsparcie, bez których nie napisałabym tej książki.

